

Wojciech  
Jaskólski

MARY  
DALOGH



Złodziej  
marzeń



Mary  
Balogh

Złodziej marzeń

Przekład

Agnieszka Dębski

## ROZDZIAŁ 1

Zanosiło się na pełen gorączkowej krzątaniny dzień; dzień urodzin lady Kasandry Havelock, kończącej właśnie dwadzieścia jeden lat.

Zazwyczaj uroczystość taka niewiele znaczyła dla kobiety z jej pozycją. Tym razem było inaczej. Ostatni hrabia Worthing imarł dokładnie rok temu, osierocając jedynaczkę. A że chodziło o jeden z nielicznych rodów hrabiowskich, któremu dane było przetrwać - z braku męskiego potomka - tylko w linii żeńskiej, tytuł należał się nowej hrabinie, potem zaś miał przejść na jej syna. Opiekunem młodej dziedziczki na czas jej niepełnoletności został brat zmarłego. Całoroczna żałoba nie pozwoliła mu jednak szukać jej męża i Kasandra wciąż była panną.

Nadchodzące urodziny były nadzwyczaj ważnym wydarzeniem. Hrabina Worthing zyskiwała pełnoletność i niezależność. Nie było jednak człowieka zdolnego pokierować jej życiem. Żadna kobieta nie *może* przecież żyć samodzielnie, bez przewodnictwa przewyższającego ją rozumem mężczyzny, a już zwłaszcza utytułowana, zamożna dziedziczka dóbr w hrabstwie Somerset. To zaś, że w dodatku odznaczała się urodą, urokiem i temperamentem, tylko dodatkowo komplikowało sytuację.

Co do tego wszyscy byli zgodni - jej stryj i do niedawna opiekun, ciotki i jedyny kuzyn, na tyle dorosły, by pozwalano mu wyrażać własne zdanie.

Wieczorny bal, do którego właśnie się sposobiono, winien zapisać się w pamięci sąsiadów i całej okolicy jako najwspanialszy ze wszystkich. Miała grać duża orkiestra, a zaproszono tak wielu gości i tylu z nich przyjął zaproszenie, że śmiało można go było porównać nawet z niektórymi skromniejszymi fetami w sezonie londyńskim.

Oprócz przygotowań - choć żaden z krewnych hrabiny nie chciałby przyznać, iż lwia część tej roboty spoczywa na barkach

służby - było jeszcze mnóstwo utrapienia ze składaniem życzeń i zabawianiem gości przez cały wieczór. W dodatku bardzo wielu przyjechało z oddalonych siedzib i nie należało się spodziewać, że wrócą tam własnymi powozami, kiedy już bal się skończy. Niemal wszystkie gościnne sypialnie zostały więc zajęte.

Szczęśliwym trafem Kasandra przebywała tego ranka gdzie indziej. Poszła do wdowej rezydencji pogawędzić ze swoją kuzynką i przyjaciółką, panną Patience Gibbons. Co więcej, wybrała się tam również na ostatnią przymiarzkę sukni balowej. Sprowadzoną z Londynu krawcową trudniącą się szyciem krynolin, która miała wraz z dwiema pomocnicami sporządzić stroje dla wszystkich pań, postanowiono bowiem umieścić raczej tam niż we dworze.

Kasandra absolutnie nic nie wiedziała o zwołanej pod jej nieobecność rodzinnej naradzie. A tymczasem chodziło o całą jej przyszłość.

Naradzie przewodniczył Cyrus Havelock. Jako jedyny brat zmarłego był niezaprzeczalnie głową rodu i tylko to, że przyszedł na świat pół godziny później, jako młodszy z bliźniaków, pozbawiło go tytułu. Havelock nie czuł się jednak pokrzywdzony i gorliwie dbał o dobro rodziny. Po śmierci matki stał się bardzo zamożny - przypadły mu w udziale okoliczne ziemie i dwór Willow Hall. Serdecznie zresztą lubił Kasandrę.

Stał przed pustym kominkiem, a wokół niego zasiedli pozostali członkowie rodziny: pani Altea Havelock, lady Beatrycze Havelock, niezamężna siostra zmarłego, lady Matylda Gibbons, wdowa po baronie Gibbons i także siostra zmarłego, oraz Robin Barr-Hampton, syn pani Havelock z pierwszego małżeństwa. Nie uważano go co prawda za członka rodziny w ścisłym znaczeniu tego słowa, lecz miał już dwadzieścia dwa lata i jako szanowany ziemianin z powodzeniem gospodarzył na własnych dobrach, choć mniej rozległych niż włości ojczyma i kuzynki. Prócz tego był rozumny i miłym młodzieńcem.

- Cała rzecz w tym - zaczął pan-Havelock, donośnym odchrząknięciem nakazując zebranym ciszę i wspinając się na palce, by po chwili opaść na pięty - że musimy postanowić, co począć z Kasandra. - Wsunął dłoń za rządek guziczków długiej kamizelki z błękitnego jedwabiu i rozejrzał się wokół. Szczęściem dla niego, uszyty zgodnie z ówczesną modą fałdzisty surdut, rozszerzający się ku dołowi, tak bardzo rozchyłał się na potężnej piersi, że nie można było nawet marzyć o jego zapięciu.

- Pozostaną przy niej, bracie, póki tylko będzie mnie potrzebowała - rzekła lady Beatrycze cierpkim jak zwykle tonem - bo myślę, że nie jestem już jej opiekunką, lecz towarzyszką, przyjaciółką i przewodniczką. Pragnę też pełnić wytrwale wszystkie te trzy powinności, dopóki Bóg mi pozwoli. Jeszcze nie zdzieciniałam ze starości!

- Na Boga, Beatrycze - odparł brat - nikt tego nie mówi! Co jednak poczniemy z samą Kasandrą? W tym cały kłopot.

- Ojciec dawno już powinien był zabrać ją do Londynu - odezwała się lady Matylda. - A skoro Beatrycze może nad nią czuwać, ja je tam zabiorę, no i wezmę też moją Patience. Wspominałam o tym bratu w rzadkich wypadkach, gdy zdarzało mu się odwiedzić dom, on jednak był zdania, że Kasandrą jest jeszcze za młoda, że to błahostki i lepiej dla niej będzie pozostawać na wsi. Czyż miałam się z nim kłócić? Myślę zresztą, że właśnie ty, Cyrusie, winienesz być poddać mu tę myśl.

- Błahostki! - Pan Havelock potrząsnął głową z rozdrażnieniem. - Co może być ważniejszego od wybrania córce męża? Och, nie chciał się tym zająć, bo nie lubił zaprzętać sobie dziewczyną głowy i tyle! Już dawno należało wydać ją za mąż!

- Dałam mu to do zrozumienia, kiedy ostatnim razem przyjechał do domu, chyba sobie przypominasz, mój miły - szybko wtrąciła pani Havelock. - Londyn jest najstosowniejszym miejscem do znalezienia Kasandrze odpowiedniego małżonka! Powiedziałam mu to, mając na względzie sprawę dziedzictwa. Wprost trudno uwierzyć, że już odziedziczyła tytuł i cały Kedleston Park jest jej własnością. Biedactwo, taka samotna!

- Zrobiłem, co do mnie należało: byłem jej opiekunem przez cały zeszły rok. - Havelock znów uniósł się na palcach i jeszcze raz powrócił do bardziej stabilnej pozycji - ale miałem związane ręce. Żałoba po Worthingu trwała aż do dziś. Jakże mogłem w tych okolicznościach wybierać jej męża?

- Ależ nie mogłeś, bracie - odezwała się lady Beatrycze - i nie masz sobie nic do wyrzucenia, podobnie jak my. Twoja opieka nad nią się kończy, lecz nadal jesteś stryjem, a ja ciotką. Mamy względem Kasandry wielkie zobowiązania.

- No i znów jesteśmy tam, skąd wyszliśmy - mruknął Havelock. - Co z nią począć? Jest pełnoletnia, utytułowana, należy do niej to wszystko - zatoczył ręką szeroki łuk - ale może paść ofiarą pierwszego lepszego łowcy posagów. Zważcie, co mówię. Co najmniej tuzin tutejszych młodzieniaszków wyczekuje dzisiejszego dnia z zapartym tchem.

- Kasandra to przecież rozumne dziewczę - odparła lady Beatrycze.

- No właśnie, jest dziewczęciem! Prześlicznym, miłym, ufnym i, doprawdy, bardzo jeszcze młodym. Trudno będzie ustrzec ją przed nimi i wybrać rozważnego, solidnego młodzieńca zdolnego należycie zarządzać majątkiem. Już mamy koniec maja, za późno, żeby z niąjechać do Londynu na tegoroczny sezon - westchnął z żalem Havelock. - Może przełożymy ten zamiar na przyszły rok i wtedy przedstawimy Kasandrę paru majątnym, dobrze urodzonym ludziom z jej sfery? Damy im sposobność, by się jej dobrze przyjrzeni, słowem uczynimy to, co należało zrobić trzy lata temu albo i wcześniej.

- A ja wezmę ze sobą Patience - powtórzyła lady Matylda. - Będzie już wtedy miała dziewiętnasty rok. Chyba nie ma w tym nic złego, że córkę barona i wnuczkę hrabiego wprowadzi się w towarzystwo i przedstawi na dworze? Doprawdy, Patience wyrosła na urodziwą panienkę, choć przyznaję, że nie tak ładną jak Kasandra. A więc wszystko ułożone, Cyrusie?

- Ja też z wami pojadę - wpadła jej w słowo lady Beatrycze. - Tobie, siostrze, wiele czasu zajmie Patience. Ja chcę czuwać nad Kasandra. Nie wątpię zresztą, że zrobi prawdziwą furorę.

- A może i my się tam wybierzemy? - ożywiła się pani Havelock. - Jak uważasz, Cyrusie? Mielibyśmy pod bokiem naszego Ruperta, który uczęszcza do tamtejszych szkół, a Amy i Hanna już się z góry cieszą na podobną wyprawę. A Kasandrze powinno być na rękę, że stryj wyszuka jej stosownego młodzieńca i za dba o korzystny kontrakt ślubny. Prócz tego już całe wieki nie byliśmy w Londynie!

- Owszem, tak będzie chyba najlepiej - orzekł po chwili namysłu pan Havelock, wydymając wargi. - Choć Kasandra skończy wtedy dwadzieścia dwa lata. Sporo jak dla panny na wydaniu.

- Gdzież tam! - parsknęła zniecierpliwiona lady Beatrycze. - Ona jest prawie-dzieckiem, bracie! Nie trzeba się bać opinii, że zanadto przebieramy wśród konkurentów. Kasandra ma dostatecznie wiele urody i jest na tyle dobrze urodzona, by nie musiała łapać byle jakiego młodzika zdolnego wydukać „ja cię chcę za żonę”. Wyda się tym bardziej pożądana, jeśli okaże rozagę. Ja po skończeniu dwudziestu dwóch lat miałam o wiele więcej ofert małżeńskich niż wcześniej, gdy byłam ponoć w odpowiedniejszym do zamażpójścia wieku!

- No, chyba nie chcemy, by Kasandra okazała się aż tak rozważna. - Pan Havelock pozwolił sobie zachichotać. - Ty rhogłaś

postąpić, jak ci się żywnie podobało. Ona zaś musi urodzić syna, dziedzica hrabiowskiego tytułu. Albo przynajmniej córkę.

- Więc sprawa zakończona. - Pan Havelock raz jeszcze uniósł się na palcach i opadł na pięty. - Pomówię z nią jutro, kiedy całe to zamieszanie z urodzinami się skończy.

- Na Boga, zapomniałeś o czymś, ojczy - odezwał się Robin Barr-Hampton spod okna, gdzie usiadł na samym początku narady. - Wszyscy zapomnieliście.

Krewni spojrzeli na niego ze zdumieniem i niedowierzaniem.

- A jeśli Kasandra nie zechce jechać do Londynu? Może odmówić zgody. Teraz ma do tego prawo. Nie będzie jej można zmusić do wyjazdu. fe

- Ależ my dbamy tylko o jej dobro, synu! - zawołała jego matka.

- Może poczuć się urażona tym, że inni mają względem niej swoje zamiary. I że zwołano naradę rodzinną w jej własnym domu, gdy ona bawiła gdzie indziej.

- Jesteśmy wszak jej krewnymi, Robinie - upomniała go lady Beatrycze - i szczerze ją kochamy. Mamy też prawo troszczyć się o jej przyszłe szczęście.

- Na miły Bóg - stęknął pan Havelock i powiódł dłonią po niepudrowanej peruce z harcapem - toż my wcale nie chcemy wydawać Kasandry za jakiegoś łajdaka, co roztrwoni fortunę żony i dzień w dzień będzie jej łoś skórę. Gdzie tam! Wybierze, kogo zechce, bylebyśmy się tylko na niego zgodzili... bylebym ja się zgodził! Jesteśmy starsi i rozumniejsi od naszej siostrzenicy.

- Lecz ona może nie dbać o waszą zgodę. Pozwólcie mi wystąpić z innym planem.

Jego ojczym zasznurował wargi, a cała uwaga obecnych skupiła się znów na Robinie.

- Kasandra nigdy nie była w Londynie ani nie życzyła sobie tam jechać. Dobrze jej w domu. Zawsze była w nim szczęśliwa. Szczerze pragnę tak pokierować wszystkim, by mogła nią nadal pozostać. A najłatwiej tego dopiąć, pozwalając jej wieść życie, jakie prowadziła przedtem. Oto moje zdanie.

- Nie będzie przecież szczęśliwa, jeśli wcale nie znajdzie męża, Robinie - rzekła lady Matylda i zaraz przygryzła wargę. - Och, wybacz, nie chciałam cię urazić, Beatrycze.

- Ja myślę całkiem podobnie, Robinie - zabrała głos ta ostatnia. - Samotną może zostać tylko niewiasta o silnym charakterze. Kasandra nie zazna szczęścia w wolnym stanie. Jej trzeba męża i dzieci.

- Z całego serca chciałbym zadowolić obie strony - podjął Robin. - Zawsze byłem Kasandrze miły, a ona mi przychylna. Ktoś inny mógłby mnie oskarżyć o pogoń za posagiem, skoro mój majątek i włości są skromniejsze od jej fortuny. Wy jednak wiecie, że to nieprawda. Pragnę jedynie uszczęśliwić Kasandrę i otoczyć ją niezbędną męską opieką. Będę rozważnie zarządzał jej własnością dla dobra jej i naszego syna. Pragnę, aby pozostała sobą. Aby była dalej Kasandrą, tylko tyle. Mam zamiar oświadczyć się jej dzisiaj wieczorem, nim zdoła wmieszać się w to któryś z łowców posagów, co wkrótce zaczną tłoczyć się u jej drzwi. Nie śmiem jednak uczynić tego bez waszej zgody, ojcze i matko, ani bez przyzwolenia ciotek, Matyldy i Beatrycze.

W pokoju zapadła głucha cisza. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

- Doprawdy, wspaniałe wystąpienie, mój miły - rozległ się w końcu głos pani Altei. - A ponadto wiem dobrze, iż najzupełniej szczerze. Zawsze przecież lubiliście się z Kasandrą.

- Tak będzie chyba najlepiej - odezwała się lady Matylda. - Kasandrą jest przywiązana do Kedleston i pewnie nie zechciałaby zamieszkać gdzie indziej. Wiemy też, Robinie, że jesteś człowiekiem honoru. Znakomity pomysł!

- Ślub mógłby się odbyć w lecie - zabrała głos lady Beatrycze. - Oszczędziłoby nam to uciążliwej podróży do Londynu wiosną przyszłego roku. Nigdy nie lubiłam Londynu, to wstrętne, śmierdzące miasto pełne żebraków i hultajstwa. Zresztą nie mogłabym się przyzwyczaić do kogoś obcego w domu po zamążpójściu Kasandry. Pochwalam plan. A co ty o nim sądzisz, bracie?

Pan Havelock zmierzył spojmeniem pasierba, odął lekko wargi i w zamyśleniu zmarszczył czoło. Znów zakołysał się na palcach stóp.

- Do Ucha, może coś z tego będzie. Dałeś przecież dowody, Robinie, że umiesz należycie zarządzać swoją posiadłością. Tak, to chyba najlepsze rozwiązanie! Dzisiejszego wieczoru, mówisz? Dobrze, oznajmię to przy kolacji. Albo może z podium dla orkiestry, pod sam koniec balu. O kontrakcie ślubnym pomówimy jutro, chłopcze. Dzisiaj zbyt wiele będzie się działo. Twój majątek ziemski przejdzie w takim razie na drugiego syna z tego małżeństwa. Tam do licha, to mi się podoba! Przyznam, że czekanie przez prawie cały rok byłoby nie do zniesienia. Damy na zapowiedzi w najbliższą niedzielę.

- Zapomniałeś o jednym, ojcze - uśmiechnął się Robin.



Wszyscy znów spojrzeli na niego.

- Kasandra może się nie zgodzić. Ma pełne prawo.

- Ależ nie widzę najmniejszego powodu, mój kochany - zapewniła go matka.

Spotkanie zakończyło się więc pomyślnie. Krewni Kasandry, którzy ją kochali i pragnęli zapewnić jej szczęście oraz bezpieczną przyszłość, doszli do porozumienia pod obydwoma względami. Nikogo z nich prócz Robina nie trawiły wątpliwości, czy Kasandra uzna ich plan za równie dobry.

Hrabianka Kasandra Worthing zwróciła twarz ku słońcu i pełną pierśią zaczerpnęła świeżego powietrza.

- Ach! - Stojąc pośrodku porośniętej trawą ścieżki, szeroko rozłożyła ręce, a potem zakręciła się w kółko ze śmiechem. - Czyż to nie najwspanialszy dzień, Patience, jaki można sobie wymarzyć?

Jej kuzynka przystanęła i spojrzała na nią.

- Pogoda jest rzeczywiście ładna, mimo iż rankiem padało. Ale tobie z pewnością wydaje się jeszcze piękniejszy niż komukolwiek innemu. Przecież to twoje urodziny.

- A w dodatku jestem wolna! - Kasandra jeszcze raz zakręciła się w kółko. Jej halka i spódnica mocno wydekoltowanej sukni zafalowały, nim ponownie opadły na podtrzymujące je obręcze. Przechyliła głowę, a szerokie rondo nasuniętego na czoło słomkowego kapelusza odsłoniło zakrywający uszy koronkowy czepeczek.

- Cóż to - roześmiała się Patience - czyżbyś przedtem była w niewoli?

- Owszem - odparła Kasandra - przecież nosiłam żałobę. Czyż to nie wspaniale spojrzeć na swoją suknię i nie widzieć już tej smutnej czerni? Ach, oczywiście, ty nie nosiłaś żałobnego stroju tak długo jak ja. Przecież to nie twój papa umarł. A prócz tego od dzisiaj jestem dorosła, Patience! Nikt mnie dłużej nie będzie pilnował ani mną kierował. Och, jestem teraz najszczęśliwszą z kobiet na całym świecie! Ile z nich może w dniu dwudziestych pierwszych urodzin powiedzieć, że są wolne, i pojąć, co to naprawdę znaczy?

Kasandra zatrzymała się we wdowiej rezydencji o wiele dłużej, niż tego wymagała ostatnia przymiarka sukni, i zrobiła to właśnie dlatego, by odwlec chwilę upragnionego skądinąd powrotu. Pierwsi goście mogli się pojawić dopiero wczesnym popołudniem, a w sali balowej nie należało płatać się pod nogami

służbie, której wydała już zresztą bardzo dokładne i jasne polecenia. Wiedziała, że w domu poczuje się niby zwierzę w klatce. Choć był to najszczęśliwszy dzień jej życia, wyraźnie czuła, iż największego szczęścia zazna wieczorem na balu. Nie mogła się go doczekać. A teraz wracała do siebie, wspinając się na zboczne pagórka za wdową rezydencją, pośród kępy lip, póki regularne grzędy ogrodu przed domem i sam budynek nie ukazały się w oddali.

- Przecież stryj Cyrus wcale cię nie tyranizował - rzekła Patience. - Lepiej, żeby nie słyszał, z jakiego powodu tak się czujesz.

- Och, oczywiście, że nie był tyranem. - Kasandra nagle oprzytomniała. - Okazał się najbardziej wyrozumiałym opiekunem, jakiego można sobie wymarzyć. Za nic w świecie nie chciałybym go urazić. Ale wiesz co, Patience? Traktował mnie jak dziecko, jak naiwną gąskę. Co za szkoda, że jestem taka niewysoka. Wyglądam przez to o parę lat młodziej. Może brano by mnie bardziej na serio, gdybym miała dwa metry wzrostu? - Roześmiała się z całego serca, a kuzynka jej zawtórowała.

- No cóż, w męskiej naturze leży takie właśnie traktowanie kobiet - orzekła Patience - a w naturze kobiecej uległość względem mężczyzny. Ja byłabym bezradna, gdyby stryj nade mną nie czuwał. Mama nie jest najpraktyczniejszą osobą, choć nieładnie, że o tym głośno mówię. Ale nad tobą, Kasandro, wnet roztoczy opiekę ktoś inny i założę się, że bardziej ci ona przypadnie do gustu niż starania stryja...

Kasandra zadrżała.

- Jak myślisz, Patience, czemu jesteśmy tak dobrymi przyjaciółkami? - spytała i wyjaśniła, nie czekając na odpowiedź: - Bo ogromnie się od siebie różnimy. Masz na myśli męża, prawda? Każdy uważa, że muszę teraz szybko kogoś wybrać, bo nie mogę obyć się bez małżonka, inaczej i ja przepadnę, i Kedleston także!

- Och, Kasandro - szepnęła kuzynka - na pewno nie dasz sobie rady sama.

- A fe! - wykrzyknęła nieelegancko Kasandra. - W końcu wszystko to należy do mnie! - Zatoczyła ręką ogromny łuk, wskazując lipy, lecz mając na myśli wszystko dookoła. - A od dziś wolno mi na własny sposób cieszyć się tym, co posiadam. Czemuż miałabym to oddawać mężczyźnie przeświadczonemu, że jestem tylko słabą kobietką potrzebującą jego wsparcia? No, czemu?

- Ale w końcu przecież kogoś poślubisz - trzeźwo zauważyła Patience.

- Dlaczego? Ciotka Beatrycze nigdy nie miała męża i jest całkiem szczęśliwa. Tyle że ona nie ma własnego domu i musi mieszkać u krewnych. Mnie zaś niczego nie brak do pełni szczęścia. Jestem zamożna, mam dom i wcale nie chcę wychodzić za mąż. Przenigdy! Chyba że zdarzyłoby się coś nadzwyczajnego, czego się zresztą nie spodziewam. Nie wyjdę za mąż, tylko dlatego że powinnam to zrobić.

- Ależ Kasandro! - Patience spojrzała na nią z przestrachem. - Czy ty... czy tobie zupełnie się nie podobają mężczyźni?

Kasandra wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście, głuptasku, że mi się podobają. Uwielbiam męskie towarzystwo, nieraz o tyle ciekawsze niż kobiece. Ogromnie lubię tańczyć z dobrze ułożonymi panami, a nawet trochę z nimi flirtować. Za nic jednak nie chcę stać się własnością któregoś z nich!

- Gdy ludzie pobierają się z miłości, nie można być czyjąś własnością.

- E tam! - Kasandra spojrzała w czyste, błękitne, rozsloneczone niebo. - A ilu znasz mężczyzn gotowych do ożenku z miłości? Pewnie, wiele kobiet sądzi, że zawierają małżeństwo z miłości, i wielu mężczyzn także. Szybko jednak zmienia się to w bardzo pospolitą codzienność. Niekiedy ledwie mogą ze sobą wytrzymać, nim minie pierwszy rok po ślubie.

- Nie powinnaś tak mówić - zachnęła się kuzynka. - Przecież stryj Cyryl i ciotka Altea bardzo są do siebie przywiązani.

- Przywiązani! - prychnęła Kasandra. - Nie zachwyca mnie to słowo. Doskonale jednak odmalowuje ich wzajemne uczucia. Nie wierzę w romantyczną miłość. Nie ma czegoś takiego. To tylko pobożne życzenia tych, którzy chcą lub muszą się pobrać.

- Mylisz się, Kasandro.

- Jak sądzę, wiesz to z własnego doświadczenia. - Kasandra spojrzała na kuzynkę, tknięta nagłym przecuciem. - Czyżbyś się zakochała? Och, naprawdę?

- Jak możesz zadawać takie pytania! - Patience zarumieniła się po uszy.

- Tak, tak, zakochałaś się! - Kasandra parsknęła śmiechem. - Doprawdy, coś nadzwyczajnego! Kim on jest?

- Mylisz się - odparła Patience i zacisnęła usta.

- Wcale nie. - Kasandra spojrzała z rozbawieniem na kuzynkę. Bez trudu odgadła jej sekret. Jakże mogła tego dotąd nie

zauważyć? Tak długo przyjaźnili się wszyscy troje, że nie pomyślała nawet o możliwości romansu. - To Robin. Ach, jak wspa-  
niale. Taki z niego miły i przystojny chłopiec. Jest wprawdzie  
nazbyt solidny, by można go było podejrzewać o romantyczne  
skłonności. Mimo wszystko zdaje się świetnie do ciebie pas-  
wać. Zgadzam się. Masz moje błogosławieństwo! - Kasandra aż  
cmoknęła z rozbawienia. - A czy on cię też kocha? Marzy o to-  
bie? Spędza bezsenne noce, gorączkowo przewracając się z bo-  
ku na bok, wciąż o tobie myśli i tęskni do ciebie?

Patience nie spodobały się te żarty. Zaczerwieniła się jeszcze  
mocniej i wyglądała na bardzo zakłopotaną. Kasandra porzuci-  
ła sarkastyczny ton, widząc, że kuzynka wzięła sobie jej docinki  
zanadto do serca.

- Przepraszam, Patience. Ale to Robin, prawda? Kochasz go?

- On we mnie widzi tylko młodszą kuzynkę, którą trzeba trak-  
tować z pobłażaniem - szepnęła Patience. - Przestań, Kasandro.  
I proszę cię, nie piśnij mu o tym nawet słówka, dobrze? Umarła-  
bym chyba ze wstydu.

- Tworzylibyście doskonałą parę - stwierdziła Kasandra. Jak  
mogła nie dostrzec tego wcześniej? Przyjaźniły się przecież tak  
serdecznie. Od śmierci ojca w dniu jej dwudziestych urodzin za-  
przątały ją tylko własne sprawy. Doprawdy, stała się za bardzo  
samolubna i za wiele o sobie myślała.

- To zresztą niemożliwe - rzekła z rozżaleniem Patience. - Ro-  
bin kocha ciebie, Kasandro.

- Mnie? - Kasandra spojrzała z osłupieniem na kuzynkę. -  
Och, oczywiście, on mnie lubi. Jesteśmy szczerymi przyjaciół-  
mi. Ale to nie miłość! Czy ty naprawdę sądzisz, że on mnie ko-  
cha? To absurd, Patience. Jesteśmy niby brat i siostra.

- A jednak to prawda - upierała się Patience. - Choć założę  
się, że nigdy ci o tym nie wspomniał. Stoisz o wiele wyżej od  
niego, jesteś przecież hrabiną, a Kedleston to twoja własność.

Kasandra na chwilę zaniemówiła ze zdumienia.

- Ładna historia! - wykrztusiła w końcu. - Więc ty wdychasz  
do Robina, Robin do mnie, a ja... ja nie kocham nikogo. Ale otwie-  
ram bal, tańcząc właśnie z Robinem. Powinnam go spytać. Cho-  
ciaż może nie. Niech to licho, co za kłopot. Czy on prosił cię  
o taniec, Patience?

- O drugi z rzędu.

- Świetnie! - W głosie Kasandry zabrzmiała nuta triumfu. -  
A więc poprosił nas obie. Mnie z obowiązku, głowę dam, że za  
namową stryja Cyrusa, a ciebie, bo się ku tobie skłania.

- Ale przecież ja byłam obecna przy tym, kiedy cię poprosił - odrzekła Patience. - Wpadało mu więc poprosić i mnie.

- Niech to licho! - powtórzyła Kasandra. Było już widać front domostwa, więc przyspieszyła kroku. - Spójrz, jakiś powóz. Czyj, jak sądzisz? Ja stąd nie widzę, stoi za daleko. Nie mam zresztą pojęcia, kto nim przyjechał. Goście już zaczynają się zjeżdżać, a mnie nie ma w domu, żeby ich powitać. Ładnie zaczynam moje dorosłe życie: od nieobecności! Ale Dexter winien każdemu wskazać jego pokój, a wszyscy zbiorą się później przy herbacie w salonie. Och, Patience, jestem tak podniecona, że jeszcze chwila, a pęknę z niecierpliwości, daję słowo! Mam udawać stateczną damę, tymczasem czuję się jak rozbrykane dziecko i chyba tak właśnie wyglądam. No cóż, może od jutra zacznę być inna! - Kasandra roześmiała się głośno i radośnie.

- Zaraz tam będziemy - rzekła Patience. - Kimkolwiek jest nasz gość, zjawił się zbyt wcześnie. Nie musisz sobie robić wyrzutów. Któż to może być? To jeden człowiek, nie cała rodzina.

Obydwie pobiegły przez trawnik ku ogrodowym terasom, lecz skrzyły, zanim do nich dotarły, tak że mogły wejść do domu frontowymi drzwiami.

Wcześnie się zaczyna mój najszczęśliwszy dzień, przemknęło przez myśl Kasandrze.

## ROZDZIAŁ 2

Promienie słońca przenikające skośnie przez leśny gąszcz tańczyły na przemian z cieniami po twarzy podróżnego, który wyglądał przez okienko powozu. Mógł przez nie dostrzec, że las rozciąga się, jak okiem sięgnąć, po obu stronach krętego, wyboistego traktu.

- A to dobre! - odezwał się mężczyzna siedzący na koźle. - Wszędzie pniaki, nic, tylko same pniaki. Takes to sobie wyobrażał, Nigel?

- Hm - mruknął wicehrabia Nigel Wroxley - sądziłem, że jest tu trochę inaczej. Od lat wyobrażałem sobie to miejsce, ale dopiero dzisiaj widzę je po raz pierwszy.

Oczami wyobraźni można bowiem dostrzec jedynie obraz, dodał w myślach. Teraz czuł również zapach listowia i ziemi zroszonej porannym deszczem. Wciągnął go głęboko w nozdrza i wstrzymał oddech. Stukot kopyt i skrzypienie kół powozu zagłuszały

większość dźwięków, ale z lasu dolatywał ptasi śpiew o kojącym brzmieniu.

- Jest rozleglejszy, niż się spodziewałem - rzekł Wroxley.

- A to dobre! - powtórzył jego towarzysz, zaplatając potężne ramiona na szerokiej piersi.

Wszystko w Williamie Stubbsie było bardzo potężne, od wielkiej, prawie łysej głowy - uparcie bowiem odmawiał noszenia peruki; zwał ją pchlim gniazdem, które można kłaść wszędzie, byle nie na głowę - do masywnych łydek, śmiało mogących konkurować z pniami mijanych drzew. Był niewiarygodnie wręcz szpetny. Miał wielki nochal złamany tyle razy, że na zawsze już przesunął się w bok, zęby wielkie i żółte, uszy przypominające kalafiory, a jedno okojpokryte bielmem i zupełnie ślepe. Jego kompan i zarazem pracodawca zwykł mawiać, że Will wygląda jak ktoś, kogo nie chciałoby się spotkać nocą w ciemnej ulicy.

Sam wicehrabia Nigel Wroxley - wysoki, zgrabny i przystojny - był uosobieniem elegancji i dobrego smaku. Zawsze nosił stroje zgodne z najświeższą londyńską modą i korzystał z usług najdroższego krawca w całym mieście.

Ktoś, kto nie dostrzegłby szerokiej piersi pod wytwornym surdudem i przenikliwego spojrzenia niebieskich oczu skrytych pod ciężkimi powiekami, wzięłby go zapewne za próżnego fircyka ze stolicy.

- Och, do licha, Will - rzekł Wroxley ~ ten krajobraz ukształtował sam Bóg. Musisz się oswoić z myślą, że przez jakiś czas będziesz mieszkał na zapadłej wsi. Chyba że chcesz umknąć. Ale bardzo by mi to było nie na rękę.

- Mnie też - odparł szpetny sługa. - A to dobre! Prędzej świat się zawali, niż ja puszcze cię w trąbę. *mm*

Nigel uniósł brwi i zmierzył go chłodnym, wyniosłym spojrzeniem, lecz nic nie odpowiedział. Nie miał ochoty na dłuższą pogawędkę. Zbyt był pochłonięty własnymi myślami. Niezadługo miały się spełnić marzenia jego życia czy może raczej obsesje narastające przez ostatnich dziewięć lat. Dobiegał wreszcie kresu rok oczekiwania, całkiem zresztą zbędnego, jeśli wierzyć Williamowi. Nigel jednak miał własny plan i nie chciał słuchać rad niezgodnych z jego zamiarami.

Zastanawiał się, czy nie działa zbyt pochopnie. Może należało zatrzymać się na noc w wiejskiej oberży i poczekać do jutra ze złożeniem wizyty. Co prawda ogolił się i ubrał tego ranka z niezwykłą starannością, lecz było już popołudnie. Zawsze zaś chciał

prezentować się jak najlepiej, gdy wypadło mu przebywać w dobrym towarzystwie. Stał się niesłychanie czuły pod tym względem, odkąd mógł sobie pozwolić na wybredność. Nie zajechał jednak do oberży, posłał tam tylko lokaja, by zamówił mu pokój.

Zabębnił długimi, wypielegnowanymi palcami po okiennej ramie i wciągnawszy w płuca przenikliwą woń liści i ziemi, zamknął okienko. Pośród drzew pasło się stadko saren. Nie spłoszył ich turkot powozu, były więc prawie oswojone. Nigel poczuł silny zapach azalii, a wkrótce potem zobaczył i kwiaty. Powóz nie jechał już lasem, lecz starannie utrzymanym, choć równie cieniastym parkiem.

Wkrótce, jak przypuszczał, ujrzy dom. Trakt z wolna wynurzał się z doliny, w której leżała wieś. Azalie i inne uprawne krzewy pozostały w tyle i tylko szeroka połac zielonego trawnika okalała z obu stron drogę. W oddali, na łagodnym wzgórzu, majaczyła ściana lasu.

Pomiędzy trawnikiem a lasem wznosił się budynek. To był właśnie dwór Kedleston, wielki i imponujący. Nigel spodziewał się, że zobaczy duży dom, nawet wyobrażał sobie jego wygląd. Mimo to rzeczywistość przerosła marzenia. Dwór, zbudowany za panowania króla Jakuba I z cegły o łagodnym odcieniu czerwieni, nie miał klasycznej symetrii nowszych domostw. Wieńczyły go małe wieżyczki i spadzisty dach. No, no, nie rozczarowałem się, pomyślał Nigel z cichą satysfakcją.

- A to dobre! O psiajucha! - William Stubbs odwrócił się na koźle i zajrzał do powozu przez okienko. - Czy to ten dom, Nigel? Toż to pałac z bajki!

- Ale istnieje naprawdę - rzekł Nigel rozmarzonym głosem, lecz jego oczy bystro spoglądały spod przymkniętych powiek. O tak, dom był prawdziwy. Nareszcie go ujrział. Długo musiał na to czekać.

Zastanawiał się, czyją zastanie. Nie uprzedził przecież o swoim przyjeździe, rzecz jasna rozmyślnie. Nie chciał jej niepokoić. Nie sądził jednak, by na dłużej opuściła dom. Nigdy z Kedleston nie wyjeżdżała. Nie była nawet ani razu w Londynie. Przed miesiącem nadal przebywała w domu, podobnie jak przed trzema czy sześcioma miesiącami. Z pewnością i teraz ją tam zastanie.

Nie wiedział, czy mu się spodoba. Uważano ją za piękność, ale nikt mu jej nie opisywał, a on o to nie pytał. Nigdy też nie widział jej portretu. Jakże może mieć usposobienie? Wyobrapi

ją sobie jako uległą i nieśmiałą panienkę, bo przecież całe życie spędziła na wsi. Lecz równie dobrze mogła się okazać sekutnicą albo hałaśliwą, nieznoszącą sprzeciwu prostaczką, rozmiłowaną nade wszystko w konnej jeździe.

W gruncie rzeczy nie dbał o to, jakiego pokroju kobietą się okaże. Miał pewne plany i nie chciał od nich odstępować tylko z powodu jej wyglądu czy manier.

- A ty czekałeś jak głupi przez cały rok, choć mogłeś mieć to zaraz. - William pokiwał głową. - Należy ci się porządny kopniak, Nigel. Wszystko przez jakąś gęś z prowincji, może jeszcze zezowatą czy dziobatą!

- I niewinną - dodał z westchnieniem wicehrabia.

- Całkiem cię opętało, co, Nigel? - rzekł sługa z zaskakującą poufałością. - Masz chyba nierówno pod sufitem.

- Słyszałem już nieraz te twoje komplementy - odparł Nigel - ale proszę cię, Will, daruj je sobie przy mieszkańcach Kedleston. Nie mów mi też po imieniu w ich obecności. Tego się w dobrym towarzystwie nie robi. Zresztą mówiłem ci już o tym, kiedyś się do mnie wkręcił na służbę. Mógłbym cię powiesić na najbliższym, drzewie - a sporo ich tutaj - za nieposłuszeństwo.

- Nikomu jeszcze nie udało się zarzucić powroza na szyję starego Willa, milordzie - odparował sługa, bynajmniej nieurazony. Często nazywał siebie starym, mimo że różnica wieku między nimi wynosiła tylko trzy lata: William liczył ich sobie trzydzieści dwa, a Nigel dwadzieścia dziewięć. - Ja tam myślę, żeś wszystko sknocił. Nie, nie myślę - ja wiem. Od dawna ci mówię. Nie udało nam się zrobić z ciebie twardziela, chłopie. - Znowu założył ramiona na piersi i spojrzał na swego wytwornego, wyniosłego pana z serdecznością, która mogłaby wzbudzić dreszcz lęku. - Rób, jak chcesz, ale kiedy ta kiecka złapie cię na haczyk, nie proś mnie, żebym go wyciągał. Tylko tyle.

- Bogu dzięki, że nic więcej - uciał oschle Nigel. - Ani trochę ci nie wierzę. No i nie myślę dłużej znosić twojego zuchwalstwa. - Zmierzył lodowatym spojrzeniem szkaradnego olbrzyma na koźle, bawiąc się uchwytem binokli. Nie podniósł ich jednak do oczu, może dlatego że wygląd Williama Stubbsa był dostatecznie przerażający nawet bez nich.

Powóz pokonał ostatnie wzniesienie i zatrzymał się przed frontowymi drzwiami dworu Kedleston. Od strony zabudowań, które wcześniej minęli, zbliżał się już stajenny, a drzwi otworzyły się, nim woźnica Nigela zdołał zeskoczyć, by w nie zastukać. Lokaj zbiegł po schodach i przytrzymał drzwiczki przy wysiadaniu. Inny



służący, zapewne kamerdyner, stał u szczytu schodów, patrząc badawczo na powóz. Niczego jednak nie potrafił odgadnąć. Widział pojazd świeżo kupiony i gładko pomalowany, lecz bez żadnego herbu ułatwiającego rozpoznanie właściciela.

- Dobry Boże - wymamrotał Will. - Czy już umarliśmy i jesteśmy w niebie?

- Witam jaśnie pana. - Kamerdyner zgiął się w sztywnym ukłonie, gdy Nigel wysiadł i oniemiały z podziwu rozglądał się wokół. - Kogo mam zaanonsować? - Tu zrobił stosowną pauzę.

- Wicehrabiego Wroxleya - rzekł Nigel. - Chciałbym się widzieć z hrabianką Worthing.

Kamerdyner skłonił się ponownie, lecz z pewną nieufnością.

- Milordzie, nie wydaje mi się, by pańskie nazwisko figurowało...

Nigel spojrział na niego spokojnie i unióśł brwi.

- ...na liście zaproszonych gości - dokończył kamerdyner. - To chyba jakieś przeoczenie. Proszę łaskawie wejść. Jesterii pewien, że...

- Przyjechałem bez uprzedzenia - wyjaśnił wicehrabia - i chcę mówić z jaśnie panią. Proszę jej to przekazać, jeśli łaska.

- Ale... - kamerdyner był wyraźnie zmieszany - ...jaśnie pani chyba nie ma w domu, milordzie. Muszę zapytać...

Spojrzał ponad ramieniem Nigela i natychmiast dostrzegł doskonałą jakość powozu, jak też świetny zaprzęg. Od razu również ocenił modny surdut, kamizelkę i spodnie gościa, jego nieskazitelnie ułożone, upudrowane włosy, trójgraniasty kapelusz trzymany, jak należało, pod zgiętym ramieniem, laskę ze srebrną gałką ujmowaną jakby od niechcienia urękawiczoną dłonią i polot świadczący o znakomitym wychowaniu. William Stubbs zeskoczył już na ziemię i stał przed drzwiami na szeroko rozstawionych nogach, z rękami założonymi na piersiach.

- Mam nadzieję, że będzie w domu, milordzie. Zechce pan przejść do szkarłatnego salonu?

- Oczywiście - odparł jakby od niechcienia Nigel.

Szkarłatny salon odpowiadał wyglądem swojej nazwie, lecz barwa obić meblowych i zasłon przybladła z wiekiem. Znać po nim było niegdysiejszą świetność i znacznie mniej pomyślną, terazniejszość. Wszystko wydawało się podniszczone, chociaż nie tak bardzo, jak się spodziewał Nigel. Lepiej wyglądał hall ze staromodną dębową boazerią i sztukateriami na suficie.

Nigel podszedł do podłużnego okna i wyjrzał przez jedną z kwadratowych szyb. Spojrział na drogę, którą przybył ledwie kilka

minut temu. Jego wzrok powędrował poprzez rozległy trawnik do krzewów w oddali, potem do widniejących za krzewami drzew, a wreszcie aż ku dolinie i zaokrąglonym pagórkom. Nie było stąd widać wsi, przesłaniał ją lasem. Widok po prostu oszołamiał. To był raj na ziemi. Will miał w gruncie rzeczy rację. To była Anglia.

Nigel poczuł bolesny skurcz serca. Anglia! Myśl o niej budziła w nim rozpacz i zarazem nieustanną nadzieję. O tak, Anglia była rajem, równie nieosiągalnym w ziemskim życiu jak ów drugi, niebiański raj, gdzie idzie się dopiero po śmierci.

Czekanie trwało długo, całe dziesięć minut. Zaczął już myśleć, że naprawdę nie ma jej w domu albo że nie chce go widzieć, co wydało mu się dość zabawne. Oczekiwała dziś, zdaje się, innych gości. Może uznała, że nie ma dla niego czasu? Czy powinien nalegać, czy też raczej zaczekać do jutra? Nie chciał wyrzucić niemiłego wrażenia. To był najważniejszy element długo obmyślanego planu.

Oczywiście, nawet teraz mógł wszystkiego poniechać. Will Stubbs - jego przyjaciel, powiernik i z rzadka tylko sługa - zawsze uważał ten zamysł za głupi. Upierał się, że Nigel Wetherby, wicehrabia Wroxley, winien pojechać prosto do Kedleston i domagać się uznania swoich praw. Że nie miało sensu cackanie się z kobiecymi uczuciami, zwłaszcza iż była to kobieta Nigelowi zupełnie obca. Will twierdził, że Nigel powinien ją zlekceważyć. Wszak ta kobieta jest dla niego nikim, a on nic jej nie jest dłużny.

Może należało postąpić zgodnie z radami Willa. Albo przynajmniej wycofać się do oberży i tam raz jeszcze wszystko przemyśleć.

Było jednak za późno. Drzwi się otworzyły i Nigel odwrócił się od okna, ciekaw, kogo posłano, by się pozbyć nieproszonego przybysza. Nie ujrzał jednak ani kamerdynera, ani innego sługi. Stała przed nim kobieta - młoda kobieta. Pani tego domu, jeżeli się nie mylił.

Państwo Havelock naradzali się w hallu z kamerdynerem, gdy Kasandra i Patience wpadły do domu ze słowami przeprosin.

- Powitaliście już naszego gościa? - spytała Kasandra, moczując się ze wstążkami przytrzymującymi jej kapelusz. - Bardzo mi przykro, że się z nim rozminęłam. - Skrzywiła się tknięta niemiłą myślą. - Och, mam nadzieję, że to dopiero pierwszy?

- Dexter poszedł po nas, Kasandro - odparł stryj - bo to nie żaden z zaproszonych.

Kassandra skrzywiła się ponownie.

- Ach, ładne rzeczy! O kim zapomniałam?

- O nikim, kochanie - zapewniła ją ciotka. - Mówi, że jest wicehrabią Wroxley. Nigdy o nim nie słyszeliśmy. To na pewno nikt z naszych bliskich znajomych. Cyrus chce się z nim zobaczyć i wy badać, co go tu sprowadza.

- Nie zaprzataj tym sobie swojej ślicznej główki. - Havelock pełen był serdecznej jowialności. - Możesz iść z Altea i Patience na pokoje, moja droga.

Wicehrabia Wroxley? Kassandra też nigdy o nim nie słyszała.

- Czy chciał się widzieć właśnie ze mną, Dexter? - zwróciła się do kamerdynera.

- Tak, proszę pani - odparł z ukłonem. - Zaprowadziłem go do szkarłatnego salonu. Tylko że pan Havelock...

Nawet Dexter traktował ją jak dziecko! Reszta służby także. Nie okazywali jej lekceważenia, skądże znowu. Ich zachowanie trąciło jednak łagodną pobłażliwością, jakby chcieli dać jej dyskretnie do zrozumienia, że nie musi się o nic martwić. Już oni będą czuwać nad tym, by życie w domu toczyło się gładko, będą ją rozpieszczać i otaczać opieką... chyba że wyręczy ich w tym jej mąż.

Mfê^cze wczoraj mogłaby obdarzyć stryja jednym ze swoich najpogodniejszych uśmiechów i pobiec gdzieś dalej z Patience. Ale dzisiejszy dzień dzieliła od wczorajszego niebotyczna różnica. Dzisiaj była dorosła. Dzisiaj była wolna.

- Pójdę go powitać - rzekła z uśmiechem i skierowała się wprost ku szkarłatnemu salonowi.

Stryj i ciotka poszli za nią. Lokaj, niewątpliwie uprzedzony przez Dextera, biegł przodem, by otworzyć drzwi.

Kim mógł być wicehrabia Wroxley? I o co mu chodziło? Zagadkowa historia, i to w same urodziny! W sercu hrabstwa Somerset rz&dko można spotkać kogoś zupełnie obcego.

Przed -wejściem do salonu Kassandra zatrzymała się, tak że stryj i ciotka mogli do niej dołączyć jako swego rodzaju ochrona. Wicehrabia Wroxley wyglądał przez okno, lecz odwrócił się na odgłos otwierania drzwi. Była pewna, że nie widziała go nigdy przedtem. Nie mogłaby bowiem go zapomnieć.

Był mężczyzną młodym, najwyżej trzydziestoletnim, wzrostu więcej niż średniego, szczupłym, lecz bynajmniej nie chudym. Miał przystojną, choć nieco pociągłą twarz z wydatnym nosem. Tym jednak, co uderzyło ją najbardziej podczas kilku sekund przed rozpoczęciem rozmowy, była jego nieskazitelna i zarazem

powściągliwa elegancja. Od razu wiedziała, że przybył z Londynu albo z innego dużego miasta, gdzie znajdują się na modzie.

Jego ciemnobłękitny surdut rozchyłał się z przodu, ukazując długą jedwabną kamizelkę. Krojem różnił się od surdutów, jakie nosili stryj i większość mężczyzn z jej otoczenia. Podkreślał zgrabną, wysoką sylwetkę. Jasnoszare spodnie sięgające kolan były spięte u dołu tuż nad białymi pończochami, stryj zaś naciągał pończochy na końce nogawek. Przybysz miał włosy starannie upudrowane i ułożone w loki. Z tyłu były ujęte w czarny jedwabny woreczek i przewiązane kokardą tej samej barwy co surdut. Zauważyła, że wicehrabia *Wroxley* nie nosi peruki; były to jego własne włosy. Trójgraniasty kapelusz i laska leżały na stole, przy którym przystanął.

Wicehrabia złożył Kasandrze elegancki ukłon, pełen niewymuszonego wdzięku.

- Czy mam zaszczyt mówić z hrabiną Worthing? - spytał.

Zdała sobie sprawę, że przez tych kilka pierwszych sekund wpatrywał się w nią równie natrętnie, jak ona w niego. Jakiż brak dobrych manier okazali obydwój! Uśmiechnęła się.

- Tak, łaskawy panie - odparła i podeszła trochę bliżej. - A to mój stryj i ciotka, państwo Havelock. Czemu zawdzięczam pańską wizytę?

- Wiem - rzekł, skłoniwszy się przedtem stryjostwu - że dzisiaj są pani urodziny. Wiem również, iż jest to także smutna rocznica śmierci pani ojca. Czy mogę złożyć jednocześnie życzenia i wyrazy współczucia?

- Dziękuję. - W jej głosie zabrzmiało zaskoczenie. - Czy znał pan mego ojca?

- O tak. Hrabia Worthing był moim przyjacielem, i to bardzo bliskim. Wciąż jeszcze boleję nad jego i pani stratą.

Kasandra ucieszyła się. Ojciec zawsze spędzał większą część roku w Londynie, gdzie bywał w interesach. Przez ostatnich pięć lat od śmierci matki pobyty te tak się jednak zaczęły przedłużać, że pod koniec rzadko go widywała. Czuła, że staje się mu obca, a on jakoś nigdy nie zdradzał chęci, by ją tam zabrać, nawet podczas wiosennego sezonu, kiedy inne młode damy zawożono do stolicy w nadziei znalezienia im męża. Kasandra nie chciałyby jechać tam tylko po to, lecz chętnie spędzałyby z ojcem więcej czasu. No i pragnęła zobaczyć Londyn.

- A więc był pan serdecznym przyjacielem papy? Tym bardziej miło mi pana poznać. Czy przyjechał pan z Londynu właśnie dlatego, że dziś przypadają moje urodziny i zarazem rocznica śmierci papy?

Przybysz uklonił się znowu.

- Nie mogłem lepiej spożytkować mego czasu. Wolałem jednak nie narzucać się podczas żałoby, mimo że z pani ojcem przyjaźniliśmy się bardzo blisko. Dzień dzisiejszy wydał mi się najważniejszym do złożenia wyrazów szacunku. Miałem nadzieję zastać panią w domu.

- Ależ ja zawsze jestem w domu! - Poczowała szczere wzruszenie. Nieznajomy, który nigdy jej nie widział, przyjechał aż z Londynu tylko po to, by złożyć jej życzenia jako przyjaciel ojca! I w dodatku nie miał nawet pewności, że zastanie ją w Kedleston. Musiał więc być kimś bardzo wiernym i oddanym. Pewnie spotkałaby go wcześniej, gdyby tylko ojciec zabrał ją do Londynu.

- Widzę, że szczęście mi sprzyja - odparł.

Dopiero wtedy spostrzegła, że i gość, i stryjostwo wciąż jeszcze stoją.

- Może usiądziemy? Każę podać herbatę. Musi mi pan opowiedzieć o przyjaźni z papą! Mamy sobie mnóstwo do powiedzenia.

Uśmiecha się ujmująco, pomyślała. Doprawdy, niezwykle atrakcyjny dżentelmen.

- Wielce sobie cenimy pańską uprzejmość - odezwała się pani Havelock - chciałabym jednak przypomnieć ci, Kasandro, że po południu zaczną zjeżdżać się goście i winnaś ich przywitać. Czy nie zechciałby pan zatrzymać się w okolicy i przyjść do nas jutro po południu na herbatę? - Uśmiechnęła się do wicehrabiego. - Jak pan sam wspomniał, dziś przypadają urodziny mojej bratanicy. Kasandrę czeka mnóstwo zajęć przez resztę dnia.

Pan Havelock donośnie odchrząknął.

- Chętnie będziemy gościć pana jutro po południu. Doradzałbym nocleg w wiejskiej oberży. Pościel jest tam dość czysta, jedzenie znośne, a gospodyni uczciwa.

- Przeszkodziłem, jak widzę, w zajęciach dnia równie pełnego krzątania, jak szczęścia. - Wroxley spojrział na Kasandrę w sposób tak szczególny, że zabrakło jej tchu. - Czuję się zaszczycony zaproszeniem na jutrzejszą herbatę. A pokój w oberży już zamówiłem.

Kasandra wpadła na pewną myśl.

- Nie będzie pan tam przecież całego wieczoru - rzekła, nie dbając o stryja, który dawał jej wyraźne znaki, by przerwała. - Zapraszam pana na mój urodzinowy bal! Będzie pan honorowym gościem. - Należało zapobiec temu, by stryjostwo wyprawili przybysza na całą dobę do oberży, tylko dlatego że ojciec nigdy im go nie przedstawił.

- Jestem pewien, Kasandro - dobrotliwy ton stryja jawnie dawał do zrozumienia, iż ona wciąż jeszcze jest dzieckiem, które nie wie, co mówi - że pan wicehrabia nie będzie się dobrze czuł na naszej zaściankowej zabawie, bo nie zna tutaj nikogo.

I Ale poznał nas - ucięła Kasandra. Nie chciała rezygnować z zaproszenia ani zniechęcać wicehrabiego do pozostania. Był przyjacielem ojca, a tym samym i jej.

Wroxley patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

I Z miłą chęcią przyjmuję pani zaproszenie - rzekł takim głosem, jakby jego słowa przeznaczone były wyłącznie dla niej, mimo że stryj i ciotka również mogli je słyszeć. - Niczego bardziej nie pragnę. Mam nadzieję, że nie obiecała pani nikomu tańca? i

|j||ł

- Tylko pierwszy. - Uśmiechnęła się i pożałowała nawet tej obietnicy.

- Mogę więc mieć zaszczyt zatańczenia z panią drugiego?

- Dziękuję - zgodziła się z uśmiechem. A więc na jej balu pojawi się elegancki nieznajomy, co zapewni wszystkiemu posmak nowości. Doprawdy, ten dzień okazał się jeszcze wspanialszy, niż myślała.

Stryj odchrząknął ponownie.

- Proszę wybaczyć, ale Kasandra będzie teraz bardzo zajęta. Zdaje się, że pański powóz nadal stoi u drzwi?

- Istotnie. - Wicehrabia zdjął ze stołu laskę i znów umieścił kapelusz pod prawym ramieniem. - Nie chcę pani przeszkadzać w obowiązkach.

Kasandrze przyszło jednak do głowy jeszcze coś.

- Nie może pan nocować w oberży! - zawołała. - Nie pozwolę, by przyjaciel papy musiał się tam zatrzymywać. Łóżka muszą być tam strasznie niewygodne, nawet jeśli są czyste, a jedzenie pospolite, nawet jeżeli niezłe. Musi pan zostać w Kedleston. Zostało kilka wolnych pokoi. Polecę Dexterowi, by wskazał panu drogę. Stajenny może odwołać rezerwację.

- Kasandro... - zaczął stryj.

! Słuchaj, moja droga... - przerwała mu ciotka.

Ale zaproszeniu wicehrabiego do pałacu nie można było nic zarzucić. Owszem, dom pełen był gości, lecz to przecież przyjaciel ojca, no i przyjechał z daleka, by ją odwiedzić.

- Nalegam, by przyjął pan zaproszenie - rzekła Kasandra pełna obawy, że odmówi, widząc jawną niechęć stryjostwa.

Wicehrabia jeszcze raz uniósł brew, z czym wyglądał bardzo wyniośle i niezwykle arystokratycznie.

- Jeśli pani nalega, muszę jako dżentelmen skapitulować.  
- Och, wspaniale! - Kasandra aż klasnęła w dłonie; słomkowy kapelusz zakołysał się jej na szyi. - Niechże się pan uda do swego pokoju. Powierzam pana Dexterowi, on już zadba o wszelkie wygody.

Położyła dłoń na szerokim mankiecie jego surduta. Minęła namurzoną parę stryjostwa, posyłając im promienny uśmiech. Nie bała się już reprimendy. Była panią Kedleston. Była wolna. Mogła zaprosić do domu, kogo tylko chciała. I właśnie tak zrobiła.

### ROZDZIAŁ 3

Była piękną. Drobną, kształtną, pełną wdzięku, z ciemnymi, nieupudrowanymi włosami pod koronkowym czepkiem i szarymi oczami, które rzucały urokliwe spojrzenia. Miała równe białe ząbki, a gdy się uśmiechała, na prawym policzku powstawał śliczny dołeczek. Była ubrana w głęboko wydekoltowaną muślinową suknię rozpiętą na niezbyt obszernych fiszbinowych obręczach. Nosiła słomkowy kapelusz z szerokim rondem, a jej policzki okrywał zdrowy rumieniec.

Była nie tylko piękna. W niczym nie przypominała nieśmiałej, skrytej, bezbarwnej istoty, jaką sobie wyobrażał. Promieniała ciepłem, żywością temperamentu i urokiem. Nigela zaproszono do salonu na herbatę. Zastał w nim mnóstwo gości i krewnych, i z pewnością nie był jedynym mężczyzną niezdolnym oderwać oczu od Kasandry. Skupiała na sobie całą uwagę, a nie przypuszczał, by działało się tak tylko z okazji urodzin. Musiała mieć licznych konkurentów. A przyciągały ich nie tylko jej pozycja i bogactwo. Dziwne, że nie wyszła za mąż przed śmiercią Worthinga.

Oczywiście, przez ostatni rok nic mu nie zagrażało; żaden konkurent nie mógł Uczyc, że zostanie przyjęty i uzyska zgodę na ożenek podczas żałoby. Jednak tego wieczoru można będzie starać się o jej względy. Podobnie w następnych dniach i tygodniach. Była jedną z najlepszych partii w kraju.

Nigel stał przy oknie przeznaczonej dla niego sypialni i patrzył na ogród, który trzema tarasami opadał z wyniosłości terenu po prawej stronie domu. Raj na ziemi. Tak, naprawdę raj. Nikt, kto mieszkał w tym domu, nie chciałby go opuścić. Całe piękno,

cała radość życia i cała energia, jakich człowiek mógł potrzebować, znalazłby właśnie tutaj.

Było to dużo więcej, niż sobie kiedykolwiek wyobrażał.

Nigel słyszał, jak Stubbs krząta się w przyległej małej garderobie, jak rozpakowuje i układa jego przybory do golenia oraz szykuje strój na wieczorny bal. Uśmiechnął się. Will w żadnym razie nie odpowiadał wyobrażeniom o typowym służącym. Nie był jednak pieczeniarem, jak otwarcie mu powiedział dwa lata temu, kiedy nieoczekiwanie, choć niezbyt chętnie połączyli swoje losy. Nigel nigdy jeszcze nie miał najemnego sługi, a Will, który musiał zarobić na życie, ochoczo zaofiarował się wypełnić tę lukę. Obu dziwiło i bawiło zarazem, że nowy służący nie tylko polubił swoje obowiązki, lecz okazał się wręcz znakomity w ich wykonywaniu.

Nigel powrócił myślami do hrabianki Worthing. Był zadowolony, że okazała się piękna, czarująca i pełna temperamentu. Z góry cieszył się na ten wieczór, na taniec z nią, na rozmowę. Okazała się znakomitą gospodynią podczas herbaty; z nikim nie rozmawiała dłużej niż z innymi gośćmi. Z nim zamieniła tylko parę słów.

Jak szczęśliwie się złożyło, że przyjechał już dzisiaj. Nie spodziewał się, że tak łatwo nawiąże z nią znajomość. A już z pewnością nie spodziewał się, że pierwszą noc spędzi tu, w domu. W Kedleston.

Polubiła mnie, przemknęło mu przez myśl. Przyjęła go miło i serdecznie, bez żadnych podejrzeń. Inaczej niż jej stryjostwo i dwie pozostałe ciotki, które spotkał na herbacie. Traktowali go wprawdzie z uprzedzającą grzecznością, lecz i z rezerwą, co zresztą było zrozumiałe. Tyle że od dzisiejszego dnia ona nie musiała już zważać na rady krewnych. Postąpiła, musiał przyznać, zaskakująco nieostrożnie.

Ale nie zamierzał jej skrzywdzić. Wręcz przeciwnie.

Pragnął tylko jej dobra. Pragnął obejść się z nią godziwie i wielkodusznie, mimo że nic go do tego nie zmuszało. Skoro zaś postąpiła nieostrożnie, to jej sprawa.

- Hej, Nigel! - William Stubbs wystawił głowę przez drzwi garderoby, nie fatygując się pukaniem. - Jeśli mam cię wystroić, jak się patrzy, żebyś zatańczył raz czy drugi szkockiego, lepiej przestań się gapić. Chodźże tutaj, chłopie!

Znakomitych skądinań usług Willa nie znamionuje, niestety, respekt, jaki sługa winien okazywać swemu panu, pomyślał Nigel, posłusznie odwracając się od okna.



Zebrał się, jak wcześniej ustalono, w prywatnej bawialni lady Beatrycze. Wszyscy mieli na sobie odświętne stroje, lecz było jeszcze za wcześnie, by pójść do salonu i tam wmieszać się w tłum gości.

- No i co o nim myślisz, Beatrycze? - spytał Havelock. Na tle białego kominka ze smukłymi kolumnkami wyglądał jeszcze potężniej niż zwykle, a błękitnozielona atłasowa kamizelka dodatkowo potęgowała to wrażenie.

- Ma nienaganne maniery, bracie - odparła. - Można by nawet rzec, że jest czarujący, tyle że nieco...

- Fircykowaty, prawda? Hm! A ty co sądzisz, Matylde?

- Ubiera się u najlepszych krawców. To pewne. I jest wyjątkowo przystojnym młodzieńcem. Nie zgadzam się z tobą, Beatrycze. To nie fircyk.

- Powóz ma nowy i nader elegancki - stwierdziła pani Havelock. - Założę się, że ten młody człowiek jest bardzo bogaty. No i utytułowany, co zawsze robi wrażenie. Szkoda jednak, że Kasandra nie pomówiła najpierw z Cyrusem. Zaproszenie go na bal to więcej niż wymaga zwykła uprzejmość. Jest wprawdzie wicehrabią, ale zapraszać go do Kedleston! Dziewczyna nie ma pojęcia, jak postępować. Bałam się, że zemdleję.

- Na Boga! - mruknął pan Havelock. - Może być dystyngowany i czarujący, elegancki i przystojny, może mieć pierwszorzędny powóz, ale czegoż to dowodzi? Kim on, do diaska, jest? Wybacz, Alteo, lecz zdaje mi się, że ujęłaś rzecz zbyt delikatnie. Zanim ja bym zaprosił jakiegoś młodzieniaszka choćby na herbatę, i to w obecności całej rodziny, spytałbym go, kim jest, kim jest jego ojciec, jaki ma majątek i widoki na przyszłość. Musiałbym wiedzieć, czy to ktoś godny szacunku. Może być uroczy - choć mnie się wydaje mocno arogancki - lecz czy to wystarczy, by go przyjmować? My zaś, skutkiem młodzieńczej popędliwości Kasandry, zrobiliśmy dużo więcej. Właśnie tego się obawiałem. Worthing powinien był wydać ją za mąż parę lat temu!

- Ależ to utytułowany dżentelmen, Cyrusie, o czym zresztą wspomniała Altea - odrzekła lady Matylde. - I był blisko zaprzyjaźniony z Worthingiem.

- No, to niekoniecznie musi być rekomendacją - wtrąciła lady Beatrycze. - W dodatku trzeba mu wierzyć na słowo.

- Sądzisz, że to oszust? - Lady Matylde wyglądała na zaskoczoną. - Dlaczego? Ma taki miły uśmiech.

- Dlaczego, Matylde? - rzekł Havelock tonem pełnym irytacji. - Dlatego że Kedleston to jeden z najbardziej dochodowych

majątków w całej Anglii, zwłaszcza teraz, kiedy nie ciąży już na nim kosztowne narowy Worthinga. A Kedleston należy do Kasandry. Nie twierdzę, że Wroxley jest szalbierzem. Sądzę jednakowoż, że to jeden z tych przeklętych - wybac mi ostre słowo - łowców posagów. Chce nam wmówić, że przejechał taki szmat drogi z Londynu tylko po to, by złożyć życzenia urodzinowe córce zmarłego przyjaciela. Czy on myśli, że okażemy się aż tak naiwni? Przyjechał, bo mu pilno do pieniędzy, zwęszył tu fortunę. Oto dlaczego przybył. Możecie być pewni!

- Nie unoś się tak, bracie, bo jeszcze trafi cię apopleksja - uspokajała go lady Matylda. - Może i masz rację. Kasandra postąpiła bardzo nierozumnie. Ale nic strasznego się nie stało. W domu roi się od mężczyzn, którzy chętnie zagarnęliby Kedleston dla siebie. To im się nie uda. Wszak wiemy, co robić. Już postanowiliśmy o przyszłości Kasandry. Gdy tylko zaręczy się z Robinem, wszyscy łowcy posagów będą musieli wrócić do Londynu, gdzie ich miejsce, i tam konkurować o bogate dziedziczki. -

- Brawo, ciotko Beatrycze - przyszedł jej w sukurs Robin. - Nie sądzę, by wynikł z tego jakiś kłopot. Kasandra nie jest trzpiotką. Zawsze okazuje rozsądek, nawet jeśli bywa trochę impulsywna. Nie zawrócą jej w głowie powłóczyście spojrzenia i nadskakiwanie, możecie być pewni, Przecież przy herbacie ledwo spjrzała na Wroxleya. Nie wyróżniła żadnego spośród możliwych wielbieli.

- Owszem, Robinie, Kasandra jest rozsądna - zgodziła się lady Matylda. - Skoro zaprosiła tego młodego człowieka na bal i do Kedleston, to niewątpliwie tylko dlatego że dzisiaj ma urodziny i że on był w przyjaźni z Worthingiem. Czyż mogła go stąd wyprosić? Nie mamy powodów do obaw. Jutro, a może jeszcze dzisiaj zaręczy się z Robinem i będą żyli szczęśliwie.

- Czy nie powinienem zadać dziś Wroxleyowi kilku pytań? - zastanawiał się Havelock, wodząc spojrzeniem od jednego do drugiego. - O to kim jest, skąd pochodzi i tak dalej? Jak sądzicie?

- Myślę, że nie, mój drogi - odparła jego żona. - Jutro wyjedzie, zwłaszcza jeśli się przekona, że nie ma po co starać się o Kasandrę. Nie zobaczymy go więcej i nie będzie to już miało znaczenia.

- Wygląda zbyt młodo jak na przyjaciela Worthinga - zauważyła lady Beatrycze. - Ale zgadzam się z Alteą. Nie widzę powodu - prócz zaspokojenia naszej własnej ciekawości - by wypytywać go dzisiejszego wieczoru. Mówiłaś, Alteo, że zatańczy drugi

taniec z Kasandra. Cóż, nie mało tu mamy różnych fircyków, kandydatów do jej ręki. Ale jutro Wroxley wyjedzie.

- Wypytywanie go byłoby niestosowne - dodał Robin. - Mógłby pomyśleć, że mamy go za poważnego kandydata do ożenku.

- Masz rację, chłopcze! - orzekł Havelock. - Zrobimy więc, jak postanowiliśmy. Jutro wszystko będzie załatwione i dziewczyna szczęśliwa. Spodoba się jej, że wybraliśmy ciebie. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem tego pewien.

- Oczywiście. - Pani Havelock posłała synowi czuły uśmiech # Przecież zawsze serdecznie lubiła Robina. Dziwię się, że nie pomyśleliśmy wcześniej o tym szczęśliwym rozstrzygnięciu.

- Aż do dziś nic nie można było robić, Alteo - przypomniała lady Beatrycze. - Mieliśmy przecież żałobę. Nie, wcale nie straciłmy czasu. No, chodź tu, Robinie, ucałuj starą ciotkę w policzek i pomóż jej wstać. Mam nadzieję, że Kasandra i Patience już skończyły się stroić i nie przyjdą za późno. Dziewczęta łatwo się spóźniają, kiedy im bale i kawalerowie w głowach. Dobrze pamiętam, jak to jest!

I nadstawiła policzek rozradowanemu Robinowi.

Kasandra była szczęśliwa. Ten dzień, myślała, to najwspanialszy dzień w moim życiu. Pamiętała, że jest to zarazem rocznica śmierci jej ojca. Ale przecież szczerze ojca kochała i cały rok nosiła po nim żałobę. O tak, zawsze będzie szanować jego pamięć, lecz życie musi iść naprzód.

Wieczór miał być ukoronowaniem cudownego dnia. Gdy służebna skończyła upinać koronkowy czepeczek na jej starannie ufryzowanych, upudrowanych włosach i zasznurowała swojej pani długie tasiemki na plecach, Kasandra wstała i podeszła do lustra zadowolona z własnego wyglądu.

Nawet więcej niż zadowolona. Nie powiedziała by tego głośno, ale pomyślała, że wygląda po prostu wspaniale. Ciotka Beatrycze miała rację. Kasandra chciała wystąpić na balu w sukni o intensywnych barwach. Tęskniła za czymś zupełnie odmiennym od monotonnej czerni, którą musiała nosić tak długo. Jednak ciotka Beatrycze stanowczo orzekła, że subtelność/fest bardziej w jej stylu niż jaskrattyfóćć.

Wybrała więc suknię w kolorze bladej złota wyszywaną srebrną nicią. Głęboko wydekoltowany gors miał nieco ciemniejszy odcień i był pięknie haftowany, a spod szerokiej spódnicy wyglądała biała koronkowa halka. Brzegi sukni również ozdobił misterny haft. Długie do łokcia, obcisłe rękawy kończyły się potrójną

falbaną z białej koronki. Pantofelki na obcasikach były ze złocistego jedwabiu, ozdobny wachlarz - z kości słoniowej.

Pomyślała, że choć prezentuje się pięknie, jest o wiele za niska i ma zbyt dziecinne rysy jak na swój wiek. Zawsze ją to martwiło. Wyglądała jak delikatne, bezbronne dziecko i wszyscy tak ją traktowali - z wyrozumiałością, lecz protekcyjnie.

- Wyglądasz prześlicznie, Kasandro - westchnęła Patience. W jej głosie zabrzmiała nutka zazdrości.

Kasandra prawie zapomniała o obecności kuzynki. Patience i ciotkę Matyldę zaproszono do ubieralni w Kedleston, by mogły włożyć stroje bez narażania się na podmuchy wiatru w długiej drodze do pałacu.

- Tak sądzisz? - Kasandra ciągle patrzyła w lustro. - Ja myślę, że to dotyczy nas obu.

Patience, ubrana w jasnobłękitną suknię, wyglądała ładnie, choć wciąż była po dziewczęcemu szczuplutka. Jeszcze nie nabrała bardziej zaokrąglonych, kobiecych kształtów, o jakich marzyła, zapewne na próżno. Ale przynajmniej, pomyślała Kasandra, nie brakowało jej wzrostu. Była o dziesięć centymetrów wyższa od starszej kuzynki.

- Każdy będzie chciał z tobą tańczyć - rzekła Patience. - Nie wystarczy tańców dla wszystkich.

- To przecież moje urodziny - odparła Kasandra - i wszyscy sądzą, że mają taki obowiązek. Ale i ty znajdziesz wielu partnerów do tańca. Na pewno! Czyżbyś myślała, że będziesz siać rutę? Afe!

Patience bardzo nisko oceniała własną urodę, lecz jej atutem był niezgorszy majątek po ojcu, który miała dostać w dniu ślubu.

- Lecz z tobą chce tańczyć wicehrabia Wroxley - szepnęła Patience. - Jaki on jest przystojny i elegancki, Kasandro! Może po tym tańcu zmienisz zamiar i mimo wszystko się zakochasz? To byłoby zupełnie jak w bajce. Przyjechał nie wiadomo skąd, akurat na twój bal urodzinowy. Był przyjacielem wuja. I właśnie dla ciebie przebył całą długą drogę z Londynu.

Mówiła pół żartem, pół serio, jak przekonała się Kasandra, gdy tylko spojrzała na niego. uważniej. Roześmiała się.

- Tylko że ja nie zgubię szklanego pantofelka. A poza tym, Patience, nie mogę o północy uciec z własnego balu! O tak, przynajmniej, on jest niesłychanie przystojny i już sobie u mnie zamówił drugi taniec. Cieszę się na ten taniec, ale to wszystko. Za-

pewne Wroxley jutro wróci do Londynu. Chciałabym chociaż z nim porozmawiać o ojcu, zanim stąd odjedzie.

- Może i on zakocha się w tobie - ciągnęła Patience, jakby nie słyszała słów kuzynki. - Wuj pewnie mu opowiadał, jaka jesteś śliczna, a on odczekał cały rok twojej żałoby. Cieszę się, że to zrobił. Wyglądasz o wiele ładniej w kolorowych niż w czarnych sukniach. Zakocha się i ożeni z tobą, i zabierze cię do Londynu, gdzie będziesz królować na każdym balu.

- Miejże litość! - Kasandra parsknęła śmiechem, ponownie spoglądając w wielkie lustro. - I będziemy żyli szczęśliwie aż do śmierci. Jakże głupio to brzmi! Lepiej zejźmy już na dół, Patience. Nie wypada, żebym zbyt późno zjawiła się w salonie, jestem przecież gospodynią. Ciarki mnie przechodzą na samą myśl. Ach, byłabym zapomniała!

Podbiegła do komódki i wyjęła małe pudełeczko z najwyższej szufladki. Uniosła wieczko i powiedziała do kuzynki:

- Chodź i też weź jedną.

- Muszki? - Patience zajrzała do pudełka. - Czy naprawdę chcesz nosić muszkę, Kasandro? Gdzie ją przykleisz?

- Daj, niech spróbuję. - Kasandra wyciągnęła z pudełeczka małeńki czarny krążek. - Czy tu koło oka? Myślę, że nie. Na kości policzkowej? Nie, tu też nie. Może tuż przy ustach? - Przytwierdziła muszkę i odwróciła się do kuzynki. - No, jak sądzisz?

- Przecież wiesz, co oznacza muszka koło ust. - Patience uśmiechnęła się.

- Że chcę, by mnie całowano - odparła Kasandra. - Ale też ze pragnę się z kimś droczyć. Ale na to nikt się nie odważy. Możemy już iść. Nie weźmiesz sobie jednej?

- Masz zamiar ją zostawić? - Patience wpatrywała się w prowokacyjny czarny punkcik na twarzy kuzynki. - Przecież nosiliśmy je tylko w domu. Nie, nie pokażę się z muszką przy ludziach, umarłabym chyba ze wstydu!

- Dzisiejszego wieczoru staję się w końcu kobietą - rzekła Kasandra. - Mogę więc sobie pozwolić na coś modnego, nawet tu, w Kedleston. No, chodźmy, zanim stracę całą odwagę!

I tak ją straciłam, pomyślała, gdy schodziły do salonu. Najpiękniejszy wieczór jej życia właśnie się zaczynał. Tego wieczoru przestawała być dziewczyną. W jakiś szczególny sposób już od wczoraj przeistaczała się w kobietę. Brała życie we własne ręce. Było to cudowne, radosne uczucie.

Zastanawiała się, czy spodoba się wicehrabiemu Wroxleyowi. Po południu ubrana była raczej pospolicie, jak wypadało na

wiejskim spacerze. Mogła mu się wydać osobą bez ogłady. Ale teraz prezentowała się modnie, krawcowa bowiem przyjechała z Londynu i znała najnowsze fasony. Rozbawiło ją, gdy uświadomiła sobie, w jakim kierunku zmiierzają jej myśli. Musiała przyznać, że przyjazd przystojnego nieznajomego trochę jej zawrócił w głowie. Nie dbała jednak o to. Ten wieczór należał do niej, a mimo niechęci do małżeństwa mężczyźni nie budzili w niej odrazy. |»

Miała nadzieję, że wicehrabia uzna ją za kobietę elegancką, a może nawet piękną. Przyjaźnił się z ojcem, było więc naturalne, że chciała zrobić na nim wrażenie.

Nie zjawiły się w salonie jako pierwsze. Stryj, ciotki i Robin już tam siedzieli, wraz z czworgiem innych gości. Jednym z nich był wicehrabia Wroxley.

Wyglądał doprawdy wspaniale w surducie ze szmaragdowego atłasu wyszywanego srebrną nicią i w srebrzystej kamizelce. Płótno i koronki koszuli oraz mankietów lśniły śnieżną bielą. Szare spodnie do kolan i białe pończochy ciasno opinały się na muskularnych, mocnych nogach. Obcasy i klamry butów wysadzane były szmaragdami. Włosy miał świeżo upudrowane i ułożone w dwa wałki po bokach, z tyłu zaś ujęte w czarny woreczek z kokardą. Na rękojeści szpady, którą nosił u boku, także skrzyły się szmaragdy. Cała jego postać nasuwała myśl o bogactwie, elegancji i dobrym guście. Kasandrze na jego widok zaparło dech w piersiach. Czy tak się ubierają na bal dżentelmeni w Londynie?

Gdy rozłożyła wachlarz, by zająć czymś nerwowo drżące ręce, zdała sobie sprawę, że Wroxley patrzy na nią równie uważnie i z takim samym uznaniem jak ona na niego. Uniósł brew i skłonił się przed nią.

Przeszedł ją dreszcz i zarazem poczuła ogromną radość. Najszczęśliwszy wieczór jej życia właśnie się zaczął.

Nigel rozmyślnie zjawił się w salonie wcześniej. Chciał mieć dość czasu, by dokładnie obejrzeć wnętrze. Dom wydał mu się wspaniały i wcale nie tak bardzo zniszczony, jak się obawiał. Ciekaw był, czy jest w nim galeria portretów. Chciał ją zobaczyć, dziś jednak nie było czasu, by o nią pytać. Może spyta jutro. Albo pojutrze. Nie spieszyło mu się. Skoro tak długo już czekał, teraz lepiej nie robić niczego pochopnie.

Do salonu wszedł jako pierwszy. Członkowie rodziny przybyli tam wkrótce po nim: pan i pani Havelock, lady Beatrycze, lady

Matylda i Robin Barr-Hampton, który, jak wywnioskował, był synem pani Havelock z pierwszego małżeństwa. Ukłonił się wszystkim po kolei i już po chwili wiedział, że nikt z nich go nie lubi. Nie odstępili wprawdzie ani na jotę od zasad dobrego wychowania, lecz nieustannie powtarzali, że bez wątpienia spieszo mu do wyjazdu i że oni będą bardzo zajęci w najbliższych dniach, zwłaszcza droga Kasandra, która musi się przygotować do przyszłego życia. Lady Beatrycze, mówiąc to, zrobiła znaczącą pauzę. Zrozumiał, że pragnęła powiedzieć „do małżeństwa”, była jednak zbyt dobrze wychowana, by posłużyć się tym słowem, nim rzecz zostanie ogłoszona oficjalnie.

Dali mu zatem do zrozumienia, że lady Worthing niezadługo wyjdzie za mąż, nie mówili jednak wyraźnie o zaręczynach.

Nigel słuchał ich uprzejmie i udzielał stosownych odpowiedzi z uśmiechem na ustach.

Ciekawiło go, kto okaże się domniemanym kandydatem na męża. Może Barr-Hampton, człowiek młody i należący do rodziny? Jego sztywność i niechęć, jaką dał odczuć domniemanemu rywalowi - choć zamienił z nim ledwie parę słów - zdawała się świadczyć, że rości sobie pewne prawa do bratanicy ojczyma. Czyżby krewni nie życzyli sobie związku hrabiny z kimś obcym? Niewykluczone. Małżeństwo w rodzinie pozwoliłoby im zachować kontrolę nad Kedleston, a lady Worthing nie umiałaby przeciwstawić się bliskim, choćby nawet nie czuła specjalnej skłonności do kuzyna. Jest tak pogodną, życzliwą dziewczyną. I w tym sęk: jako dziewczyna dałaby bez wątpienia sobą pokierować i łatwo uległaby czyimś wpływom. A zatem widzieli w nim zagrożenie.

Do salonu weszło troje kolejnych gości. Wskazano im miejsca i podano napoje. Wreszcie w drzwiach ukazały się hrabina i jej młoda kuzynka, panna Gibbons. Nigel nie krył, że patrzy tylko na Kasandrę, która weszła do salonu z rozradowaną miną, witając spojrzeniem wszystkich obecnych. W końcu zatrzymała wzrok na nim. Dostrzegł, że spodobało jej się to, co zobaczyła. Jemu też, na Jowisza! W bladozłotej sukni o modnym fasonie i z upudrowanymi włosami wyglądała niezwykle pociągająco, niczym przewrotna, mała kusicielka. Czarna muszka koło ust stanowiła zuchwałą zachętę, która winna była iść w parze z wyzywającym spojrzeniem. W jej oczach widniała jednak szczerza niewinność.

Nigel spojrział w te oczy, nienatrętnie, z niejakim rozbawieniem i uznaniem.

- Anioł zstąpił z niebios na ziemię ku radości śmiertelników - rzekł, składając jej głęboki, pełen rewerencji ukłon. - Ojciec byłby dziś z pani dumny, milady.

Zarumieniła się, co jeszcze dodało jej urody. Obrzuciła go bystrym spojrzeniem.

- Pochlebia mi pan, milordzie. Chciałabym jednak dowiedzieć się więcej o pańskiej przyjaźni z ojcem. Rzadko go widywałam w ostatnich latach jego życia.

- Sprawi mi to szczerą przyjemność - odparł - ale poczekajmy lepiej do czasu, gdy będzie pani mogła poświęcić całą godzinę jednemu tylko gościowi. Może jutro?

Uśmiechnęła się; najwyraźniej nie budziła w niej obawy myśl o spędzeniu z nim godziny sam na sam.

- Chyba nie opuści nas pan tak szybko? - rzekła. - Czy wzywają pana inne sprawy? Będziemy mogli porozmawiać, prawda? Bardzo się cieszę, milordzie. Czekam na tę chwilę z niecierpliwością.

A więc pójdzie mu o wiele łatwiej, niż przypuszczał. Nie będzie musiał opowiadać żadnej zmyślonej historyjki o znajomości z Worthingiem. Nie będzie musiał się troszczyć o żadne dowody swej rzekomej przyjaźni ze zmarłym lordem. Wiedział, że zawdzięcza ten sukces jej niewinności i ufności. Gdyby nie wróciła z przechadzki dziś po południu, w szkarłatnym salonie spotkałby tylko jej ciotkę i stryja. I siedziałyby teraz w wiejskiej obeerzy, obmyślając strategię na jutro.

- Gdyby wzywały mnie inne sprawy - odrzekł - zrezygnowałbym z nich na samą myśl, że to panią ucieszy.

Roześmiała się i był to radosny, serdeczny śmiech. Wiedziała jednak, że czyni honory domu i że zaraz podadzą obiad, a tuż potem zacznie się bal. Odwróciła się więc, by przywitać pozostałych gości, a także kolejnych, którzy zaczęli nadchodzić. Robin Barr-Hampton rzucił Wroxieyowi nieufne spojrzenie i stanął u jej boku. Kasandra uśmiechnęła się do kuzyna, ale Nigelowi wydało się, że nie był to uśmiech nazbyt serdeczny.

Miał nadzieję, że nie jest zakochana w Robinie. Nie chciał jej umeszcześliwiać. Dlatego właśnie tak długo zwlekał z przyjazdem.

## ROZDZIAŁ 4

Bal zaczął się menuetem. Kasandra tańczyła go z kuzynem, rada z szeptów i spojrzeń, jakie na nią rzucano. Sala balowa pełna kwia-



tów i przepełniona ich zapachem wyglądała jak zaczarowana kra-  
ina z baśni. Świece płonęły w żyrandolach, a ich światło odbijało  
się w świeżo wypolerowanych lustrach i skrzyło na klejnotach  
gości. Ci zaś, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, wystrojeni byli  
w barwne jedwabie i atłasy. Wszędzie rozlegały się rozmowy  
i śmiechy.

To mój bal, myślała Kasandra. Dziś wkraczam w dorosłe ży-  
cie.

- Kuzynko, wyglądasz tak ślicznie, że aż strach - rzekł do niej  
Robin.

- Czy to cię dziwi? - odparła z uśmiechem. - Słowa „aż strach”  
chyba tu nie pasują.

Patrzył na nią przez chwilę zmieszany, a potem odrzucił gło-  
wę w tył i roześmiał się.

- Nie jestem nazbyt wymowny, Kasandro, ale sądzę, że wyglą-  
dasz prześlicznie. Tak ślicznie, że chciałoby się ciebie schrupać.

Rozbawiło ją to. Robin nie zwykł prawić jej takich komplemen-  
tów.

- No, lepiej tego nie rób - rzekła. - Mogłoby mi się nie spodo-  
bać.

Robin bąknął coś niewyraźnie.

- Czy uwierzysz, że aż sześciu dżentelmenów prócz ciebie pro-  
siło mnie o pierwszy taniec?

- Chętnie temu wierzę. ~ Robin uśmiechnął się szeroko. - Ale  
będą musieli, nieszczęśnicy, czekać na drugi. I tylko jednemu  
z nich się powiedzie.

- Ani jednemu. Wicehrabia Wroxley już mnie o niego prosił.

- Och, zapomniałem. - Jego uśmiech przygasł. - Czy mądrze  
postąpiłaś?

- Obiecując taniec wcześniej? - Kasandra uniosła brwi. - Zro-  
biłam to przecież i w twoim przypadku, Robinie.

- Okazałaś względy komuś zupełnie obcemu. Nic o nim nie  
wiemy, Kasandro. Nie wiemy, czy jest tym, za kogo się podaje.  
Może to oszust albo awanturnik.

Kasandra spoważniała.

- Był przecież przyjacielem papy.

- Czy twój ojciec kiedykolwiek o nim wspominał?

- Oczywiście, że nie. Rzadko go widywałam, nieczęsto do mnie  
pisywał. Ależ co ty sugerujesz? Czemu Wroxley miałby mówić,  
że był przyjacielem papy, gdyby było inaczej? Po co przyjeżdżał-  
by tutaj aż z Londynu? Żeby mi złożyć życzenia urodzinowe? To  
bez sensu.

- Kasandro... - W głosie Robina zabrzmiał łagodny wyrzut.

Oddalili się od siebie, zgodnie z figurami tańca. Niech sobie wierzy w oszustów, łajdaków i awanturników, pomyślała Kasandra. Gdy byli dziećmi, Robin zawsze zaludniał lasy wokół Kedleston rojem złoczyńców. Najwyraźniej nie zmienił się od tej pory.

- Nie psuj mojego wieczoru - rzuciła, gdy znów znalazła się koło niego. Powiedziała to z uśmiechem, chcąc dać do zrozumienia, że nie będzie się z nim otwarcie kłócić. - Musisz przyznać, Robinie, że jest bardzo przystojny i znakomicie ubrany. Powinam czuć się dumna, iż z nim zatańczę. A jutro opowie mi o przyjaźni z papą. Co ty na to, panie Podejrzliwy?

- Mówisz jak dziecko, Kasandro. - Robin pokiwał głową. - Potrzebujesz kogoś starszego i mądrzejszego, żeby się o ciebie troszczył.

- Wuja Cyrusa? Wczoraj przestał być moim opiekunem i wcale mnie to nie martwi. A jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie dzieckiem, przerwę taniec. Tupnę nóżką, potrząsnę głową i zrobię straszną scenę! - Parsknęła śmiechem.

Robinowi jednak nie było do śmiechu. Nachmurzył się.

- Och, Robinie - rzekła, gdy w figurach tańca jeszcze raz zbliżyli się do siebie. - Może myślałeś o sobie? Czy właśnie ty miałbyś być kimś starszym i mądrzejszym? Pragniesz czuwać nade mną? Z chęcią będę radzić się ciebie w każdej sprawie i słuchać twoich pouczeń. Możesz być pewien. Nie przestanę cię lubić, tylko dlatego że stałam się dziedziczką.

On jednak nadal był nachmurzony, gdy figury menueta kazały im się oddalić. Wicehrabia Wroxley, jak dostrzegła, nie tańczył. Rozmawiał z pastorem Hythe'em i ze starym panem Wintersmere'em i patrzył na nią. Jej oddech stał się szybszy, kiedy obdarzyła go uśmiechem. Zauważyła, że trzyma w ręce lornion. Czy przedtem patrzył na nią przez szkła?

- Niech to Ucho - stęknął Robin - nie sposób rozmawiać podczas tańca. Pomówimy później, po kolacji. Wyjdziemy z jadalni i znajdziemy jakieś zaciszne miejsce.

- Dlaczego? - spytała z zaskoczeniem.

- Musimy porozmawiać.

- Naprawdę? - Miała nadzieję, że Robin nie dojdzie do niemądrego wniosku, iż teraz, gdy uwolniła się od kurateli wuja Cyrusa, potrzebna jej będzie jego pomoc przy każdej okazji. Lubiła go jak brata i wiedziała, że potrafi udzielać cennych rad, skoro z powodzeniem zarządzał swoim majątkiem. Ale nie chciała, by on lub ktokolwiek inny troszczył się o nią. Wszyscy są tacy

sami! Wszyscy uważają, że jak najszybciej winna wybrać sobie męża, że nie poradzi sobie z niczym, jeśli u jej boku nie stanie ktoś, kto wszystko jej podpowie.

- Spotkajmy się po kolacji. - Robin skłonił się przed nią, a ona nisko dygnęła. Menuet dobiegł końca.

- Doskonale - odparła - jeśli to dla ciebie takie ważne.

- Owszem, ważne.

Może Patience miała rację? - pomyślała. Pragnęła jednak, by kuzynka się myliła.

- Jestem rad - rzekł Nigel, gdy zaczęli tańczyć kotyliona - że byłem na tyle przytomny czy może zuchwały, by wcześniej zamówić ten taniec. Wielbiciele ciągną za panią jak pszczoły za królową.

Uśmiechnęła się i na jej policzku uwydatnił: się dołeczek. Wyobraził sobie, że dotyka go koniuszkiem języka. Dołeczek ten nęcił go o wiele bardziej niż muszka koło ust.

- A może - ciągnął - są kimś więcej niż wielbicielami? Może to konkurenci, którzy chcą prosić panią o rękę?

- A może - odpowiedziała ze śmiechem - to dżentelmeni, którzy wiedzą, że grzeczność nakazuje zatańczyć z gospodynią?

- Okazywanie dworności względem gospodyni takiej jak pani to doprawdy wyjątkowa przyjemność.

Wyglądała jak śliczne dziecko, rozradowana urodzinowym przyjęciem. Ale nie była dzieckiem. Łączyła powab kobiety z czystą niewinnością. Nie miała wprawy w udzielaniu ciętych odpowiedzi na słodkie słówka ani w zbywaniu ich udawaną obojętnością. Mężczyzna mógł ją bez trudu poddać swojej woli.

- Jestem pewien - rzekł - że wielu z tych dżentelmenów nie nadskakuje pani z samej tylko grzeczności. Którzy z nich są szczególnie gorliwymi wielbicielami? Pewnie pan Barr-Hampton. Dostało mu się jawne wyróżnienie, pierwszy taniec na balu.

- Robin? - spytała zaskoczona. - Ależ to mój kuzyn, milordzie, nie wielbiciel. Razem wspinaliśmy się na drzewa, razem przepędzaliśmy wymyślonych rabusiów z lasów, razem jeździliśmy konno.

Może się więc pomylił, choć nie bardzo chciało mu się wierzyć. Barr-Hampton najwyraźniej jeszcze się nie oświadczył, lecz z pewnością to zrobi. Słowa Kasandry przekonały go jednak, że szczerze lubi kuzyna, ale się w nim nie kocha. To zaś, czy Barr-Hampton kocha się w niej, już go nie obchodziło.

- No dobrze - podjął - a ten młody dżentelmen w błękitnych aksamitach? Ma na sobie tyle koronek, że starczyłoby ich do

załadowania całego brygu przemytniczego! Jawnie panią admiru-  
je i jeśli się nie mylę, ma nadzieję na przychyłość.

- Pan Raftan? - rzekła, patrząc we wskazanym kierunku. - Jest  
bardzo nieśmiały i w dodatku ma fatalną skłonność do jąkania,  
gdy się zdenerwuje, a denerwuje się nieustannie. Rozmowa z nim  
to prawdziwa męczarnia, młode damy unikają jak ognia jego  
towarzystwa.

Więc Raftan miał względem niej pewne zamiary. Nie kochała  
go jednak. Budził w niej jedynie litość.

- A dżentelmen, który tańczy z damą w różowej sukni? - spy-  
tał. - Jego lokaj spędził chyba całe popołudnie na fryzowaniu  
peruki swego pana.

- Pan Isaac Bingaman? Zeszłej zimy bawił dwa miesiące  
w Londynie wraz z kuzynami i od tej pory chętnie daje nam do  
zrozumienia, jak bardzo jesteście zaściankowi. Potrafi zachowy-  
wać się nader niemądrze.

- Admiracja, jaką darzy panią, wcale nie jest niemądra. Uosa-  
bia pani cały urok angielskiej wsi i tylko w tym sensie można by  
mówić o zaściankowości. Jakże tęskni się za tym urokiem na ob-  
czyźnie.

- Umie pan trafnie dobierać słowa, milordzie. A więc był pan  
za granicą? Czy długo?

Na moment zabrakło mu tchu, mimo że wszystkie okna były  
otwarte na oścież i napływało przez nie do sali balowej świeże  
powietrze.

i Jak wielu innych - rzekł, pochylając głowę.

- Rozumiem, wielka podróż kształcąca. Doprawdy, mężczyź-  
ni mają szczęście. Jakże chciałabym ujrzeć obce kraje! Czy wi-  
dział pan może jakieś sławne z malowniczości miejsca?

Widział piekło na ziemi.

- Nic nie może się równać - odparł - z... jakże się wyraziłem  
przed chwilą? Z urokiem angielskiej wsi, za którym każdy tęsk-  
ni. - Mówiąc to, zająrzył jej w oczy, tym razem świadomie, natręt-  
nie. Wiedział, że słowa te zapadną jej w pamięć, gdyż odnosiły  
się i do niej samej.

Spojrzała na niego, odchylając w tył głowę, z rozchylonymi war-  
gami, zanadto niewinna, by kryć zadowolenie z komplementów,  
których jej nie skąpił. On jednak potrafił uwodzić urokiem swej  
wymowy kobiety znacznie bardziej od niej doświadczone. Ledwie  
kilka tygodni wcześniej jedna z jego kochanek, mężatka świadoma  
własnych wdzięków, powiedziała niemal ze złością, że mógł-  
by przywabić nawet ptaki z gałęzi drzew, gdyby tylko zechciał.

A teraz właśnie chciał.

p|f p

- Mniemam, iż ma już pani tancerzy na cały wieczór i jedynie w wypadku nagłej śmierci któregoś z tych wybrańców losu ktoś inny mógłby zająć jego miejsce?

Roześmiała się wesoło.

- To przecież tylko prowincjonalny bal, milordzie. Nie robimy tu tyle ceremonii co w Londynie i panowie rzadko kiedy rezerwują sobie wszystkie tańce z góry.

- Tutejsi dżentelmeni są nader niemądzy i w pełni zasługują na utratę wybranych przez siebie partnerek. Pragnąłbym zatańczyć z panią pierwszy taniec po kolacji, jeśli będzie pani tak uprzejma, by zarezerwować go dla mnie.

- Jeśli zataczę na moim balu dwa razy z tym samym partnerem, zwróci to uwagę - odparła, lecz powiedziała to lekkim tonem, niemal przekornie. Chciała dać się namówić.

Unióśł brwi.

- Doprawdy? Czy pani opiekun będzie chciał znać moje intencje?

- Nie mam opiekuna, milordzie - zaśmiała się. - Mogę robić, co mi się podoba.

- W takim razie może sobie pani pozwolić na dwukrotne zatańczenie z tym samym dżentelmenem.

- Owszem, ale wolno mi również odmówić.

Ach, nareszcie. Nie tylko zaczęła z nim flirtować, ale wręcz upajała się własnym postępowaniem. Wroxley wolną ręką ujął binokle i przyłożył je do oczu.

- Muszę przypomnieć, że byłem przyjacielem pani ojca. Może nawet najserdeczniejszym ze wszystkich. Przyjechałem z tak daleka, by złożyć pani życzenia w dniu urodzin. Teraz zaś pokornie proszę, by raczyła pani znów ze mną zatańczyć.

Roześmiała się zachwycona.

- Nie zostawił mi pan wyboru. Pierwszy taniec po kolacji będzie pański.

A tego tańca, postanowił w duchu, nie zmarnuję na posadzcę sali balowej, gdzie rozmowę można prowadzić tylko w niektórych momentach i gdzie każdy może ją podsłuchać. Za francuskimi oknami rozpościerał się taras, za nim tarasowy ogród, a jeszcze dalej trawnik. Noc była ciepła, księżycowa. Wprost wymarzona na to, by trochę poromansować. Lecz tylko trochę. Musiał zachować cierpliwość.

Podczas kolacji Kasandra nie miała nawet chwili na rozmowę ze swym sąsiadem przy stole. Co chwila ktoś podchodził, by złożyć jej

życzenia urodzinowe i powinszować sukcesu na balu. I rzeczywiście bal udał się znakomicie.

Wszystkie panny miały partnerów do każdego tańca, w tym oczywiście i Patience, która ani razu nie musiała podpierać ściany u boku ciotki Matyldy i wydawała się mile zaskoczona swoim powodzeniem. Panowie tańczyli z większą ochotą niż zwykle. Nawet ciotka Beatrycze puściła się raz w tany z tęgawym panem Latimerem.

Kasandra wyczekiwała pierwszego tańca z pewnym zakłopotaniem. Co ludzie pomyślą, kiedy kolejny raz ustawi się w parze z wicehrabią Wroxleyem? Postanowiła się jednak nie przejmować - skoro miała ochotę zatańczyć z nim ponownie, zrobi to! W końcu to jedyna szansa, druga się jej nie trafi. A ludzie niech mówią, co im się podoba.

Wcześniej jednak należało rozmówić się z Robinem. Zorientowała się, że bynajmniej o tym nie zapomniał: podszedł i ujął ją za rękę, alcurat gdy pani Timmings kończyła anegdotkę dotyczącą szwagra swojego zięcia. Robin przeprosił panią Timmings i zaprowadził Kasandrę do pustej sali balowej.

- Wspaniały bal, kuzynko - zaczął. - Nie cieszysz się?

- Ależ tak, niezmiernie. Czy to nie cudowne, wręcz niewiarygodne, że mam już dwadzieścia jeden lat? Możesz sobie wyobrazić, co czuję teraz, kiedy nareszcie jestem wolna i mogę robić, co zechcę?

- Ja jestem mężczyzną, Kasandro - odparł. - W tym cała różnica.

Mogłaby się z nim spierać, ale wówczas wpadłaby w złość, a to nie była odpowiednia pora na kłótnię. Uśmiechnęła się więc i łagodnie spytała:

- Jakiż to -ważny powód sprawił, że musiałam odejść od kolacji?

- Myślę, Kasandro, że... że... może byś za mnie wyszła. - Uśmiechnął się niepewnie, ona zaś patrzyła na niego chwilę w osłupieniu, nie pojmując, co właściwie powiedział. - Tam do Ucha, niezbyt zręcznie mi to wyszło. Nie mam, jak wiesz, daru słowa i mówię wszystko prosto z mostu. Chciałbym, żebyś mnie poślubiła.

- Ciebie? - spytała, wpatrując się w niego. - Mam poślubić ciebie? Dlaczego?

- Przyznasz chyba, że rzadko kiedy kobieta dziedziczy cały majątek. Szczęściem nigdy się to dotąd waszej rodzinie nie zdarzyło, no ale teraz tak się akurat stało. Wuj winien był o tym

pomyśleć i wydać cię za mąż o wiele wcześniej. Pewnie nie sądził, że tak szybko umrze. W końcu wielu z nas nie lubi o tym rozmyślać. Ale postąpił nierozważnie, nie licząc się z najgorszym.

- Z najgorszym? - zdołała wykrztusić. - I to ja mam być tym najgorszym?

- Doprawdy, Kasandro, wcale nie miałem tego na myśli.

- Może więc wyjaśnisz, co miałeś na myśli - odparła ostrym tonem. Zaczynał ją ogarniać gniew. Nie spodziewała się czegoś podobnego po Robinie.

- Nie chciałem uwłaczać pamięci wuja - rzekł - był wszak twoim ojcem. A co się stało, to się nie odstanie. W każdym razie zostałeś z niebagatelnym majątkiem na karku i bez żadnego mężczyzny zdolnego otoczyć cię opieką.

- A ty, oczywiście, sądzisz, że właśnie nim jesteś?

Spojrzał na nią zasepiony.

- Rozgniewałaś się, jak widzę. A nie powinnaś. Tak będzie dla ciebie najlepiej. Wszyscy tak uważamy. My...

- Wszyscy? i przerwała mu. - My? Co za my?

- Mój ojczym. Mama, ciotka Beatrycze, ciotka Matylda. Zgadzą się co do tego w zupełności, Kasandro. Wiem, że stoisz znacznie wyżej ode mnie, a moja posiadłość jest żałośnie mała wobec twojej. Ale przecież mnie znasz. Wiesz, że wcale nie jestem chciwy. No i lubimy się nawzajem. Chciałbym...

- ...czuwać nade mną - dokończyła za niego. - Wszyscy chcą czuwać nade mną, a ty najbardziej. Zdajesz sobie chyba sprawę, że po naszym ślubie majątek nie przeszedłby na ciebie?

- Na twojego syna - odparł, czerwieniąc się. - Przedtem byłby pod zarządem powierniczym.

Powinna być wdzięczna. Robinem, o czym wiedziała, nigdy nie powodowała zachłanność. Miał silne poczucie odpowiedzialności, no i najwyraźniej był w niej zakochany. Czyżby Patience miała rację?

- Czy ty mnie kochasz, Robinie? - spytała. Biada Patience, jeśli odpowiedź zabrzmiałaby „tak”.

| Wiesz, że jestem do ciebie szczerze przywiązany. Zawsze zresztą byłem.

- Nie o to pytałam. Chcę wiedzieć, czy mnie kochasz.

- Z całym szacunkiem, Kasandro, miłość, jak wiesz, jifst sprawą kobiet.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się z ulgą, choć wciąż jeszcze kipiła od powstrzymanego gniewu. - To twoja odpowiedź na moje pytanie. A moja odpowiedź na twoje brzmi: nie!

- Nie?

- Nie wyjdę za ciebie.

Ciekawa była, czy jest zaskoczony. Rodzina orzekła, że powinna go wziąć za męża, i nikomu nie przyszło do głowy, że może odmówić. Robin jednak wiedział, że ona lubi decydować o sobie.

- Kogóż więc chcesz poślubić? - spytał.

- Nikogo. Nie wyjdę za męża.

- Wszystko przez moją niezręczność - mruknął. - Powiniennem się nauczyć, jak prawić miłe słówka.

- A pfe!

- Przecież musisz za kogoś wyjść. Widziałaś chyba, co się dzisiaj działo. Teraz, kiedy już nie nosisz żałoby, będziesz miała wielu konkurentów. W najbliższych tygodniach usłyszysz nie tylko moje oświadczenia. Będzie się koło ciebie kręcić cały rój łowców posagów czyhających jedynie na twój majątek. Spójrz choćby na tego Wroxleya.

- Myślisz, że jest łowcą posagów?

- Do licha, kuzynko - mruknął zgnębiony - a cóż ty sądzisz? Że przyjechał tutaj aż z Londynu, bo przyjaźnił się z wujem i chciał ci powinszować w same urodziny? To pyszałek i firecyk. Flirtował z tobą przed obiadem. Flirtował podczas kotyliona. Pewnie zechce zatańczyć z tobą jeszcze raz.

- Obiecałam mu najbliższy taniec.

- Czy ty nie masz oczu? - jęknął zrozpaczony.

- Może nie, ale dobrze widzę, jak mnie traktuje własna rodzina. Sądzicie, że niczego nie rozumiem, nie mam ani krzty oleju w głowie, bo jestem kobietą!

- Wcale tak nie sądzimy, Kasandro! Na Boga, przecież robimy to z miłości! Bynajmniej nie brak ci rozumu. Jesteś jednak młodą kobietą, więc trzeba ci męskiej pomocy i opieki. Chcemy cię tylko chronić, daję słowo. Zobaczysz, Wroxley zaraz ci powie, że chce u nas zostać jeszcze przez jeden dzień.

- Spędzi ze mną jutro godzinę na rozmowie o swojej przyjaźni z papą.

Robin westchnął.

- Posłuchaj rad osób starszych i mądrzejszych - rzekł niezbyt logicznie. - Jeśli nie moich, to mego ojczyma i ciotek. Ojczym chce ogłosić nasze zaręczyny, nim bal się skończy. Pozwól mu na to. Będziesz całkiem bezpieczna, obiecuję ci. Nigdy przecież nie nadużyłem twego zaufania.

Gniew niemal ją zaślepił. Jak oni śmieli! Nie była jednak zaskoczona. I może nie powinna tak się unosić. Nie mieli prze-



cięż czasu, by się przekonać, że potrafi kierować własnym życiem. Na pewno też chodziło im o jej dobro.

- Wiem, że nie, Robinie - odparła, starając się nie podnosić głosu. Wielu gości wróciło już do sali balowej, muzykanci stroili instrumenty. - Ale dzisiejszego wieczoru wuj nie ogłosi naszych zaręczyn. Ani jutro. Bo wcale ich nie będzie. Musisz wyzbyć się przekonania, że jesteś za mnie odpowiedzialny. Stryjowi Cyru-sowi powiem to samo co tobie.

- Kasandro, nie powinnaś... - zaczął Robin, lecz przerwano mu, nim zdołał wyjaśnić, czego nie powinna robić. Wicehrabia Wroxley skłonił się im nisko.

- Muszę pozbawić pana przywileju pogawędki z lady Kasandra. Teraz na mnie kolej. - I wyciągnął ku niej dłoń.

Wyglądał na rozbawionego, zupełnie jakby wiedział, że przerwana przez niego rozmowa wcale jej nie cieszyła. Nie jest żadnym oszustem, pomyślała, podając mu rękę. Wydał jej się elegancki, wymowny, pełen wdzięku i serdeczny. Miał poczucie humoru. Najwyraźniej był też zamożny i nie potrzebował cudzej fortuny. Nie chciała myśleć o kłopotliwej propozycji Robina ani o jego ostrzeżeniach, przynajmniej na razie. Nie pozwoli sobie zepsuć najpiękniejszego dnia życia.

- Z miłą chęcią, milordzie - powiedziała, uśmiechając się do niego, i odwróciła się w inną stronę, by nie widzieć zasepionej miny Robina.

Nikt nie zepsuje jej tego wieczoru. Ani życia. Nie pozwoli na to.

## ROZDZIAŁ 5

Wicehrabia Wroxley zaprowadził ją najpierw do sali, gdzie zaczynały się już ustawiać pary, a potem ku otwartym francuskim oknom. Poczwała miły, chłodny powiew. Przed kolacją niektórzy goście spacerowali po tarasie, gdzie dla ich wygody zapalono latarnie, lecz ona nie wyjrzała nawet na zewnątrz. Pan Snyder zaprosił ją na przechadzkę, ale mu odmówiła. Przeczowała, że Snyder, który często zabawiał ją rozmową w niedzielę, po wyjściu z kościoła, i nieraz zapraszał na wieczorną partyjkę kart, ma zamiar się oświadczyć, a chciała tego tego unikać. Lubiła go, jak zresztą lubiła wielu innych panów, którzy nagle przeobraził się z przyjaciół i sąsiadów w konkurentów. Żadnego nie chciała urazić, wołała więc nie dopuścić do oświadczyn.

Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć w to, co się stało, bo Robin był dla niej prawie jak brat. Nie potrafiła cieszyć się tańcami, tak" upragnionymi jeszcze parę godzin temu.

- Pani sala balowa - zaczął wicehrabia - przypomina tropikalny ogród pełen egzotycznych kwiatów. Co za szkoda, że zbyt w niej gorąco, by można czuć się dobrze. Może poniecha pani na chwilę tańca, by wyjść do ogrodu oblanego światłem księżyca i chłodzonego wietrzykiem?

Stali już przy samych drzwiach. Przeszli przez nie, nim zdążyła dać mu odpowiedź. Taras opustoszał po kolacji. Powietrze zrobiło się naraz chłodne i rześkie. Dźwięki rozmów i strojonych instrumentów przycichły. Odetchnęła pełną piersią i przymknęła powieki.

- Jak tu ładnie - rzekła w zamyśleniu.

- Tak, bardzo - powiedział miękko.

Otworzyła oczy i spostrzegła, że bacznie się w nią wpatruje.

Znow z nią flirtował. Niewiele wiedziała o tej sztuce i nigdy przedtem jej nie uprawiała. Miała wprawdzie konkurentów jeszcze przed śmiercią ojca, ale ich zaloty pełne były atencji. Nigdy więc nie żałowała, że ojciec nie zawoził jej do Londynu, nie przedstawił u dworu, nie prowadził na bale i przyjęcia. Musiała jednak przyznać, iż czasami - tak jak właśnie teraz - brakło jej towarzyskiego wyrobienia. Czuła, że błahey flirt byłby prawdziwym wytchnieniem po kłopotliwej rozmowie z Robinem.

- Może się przejdziemy? - spytał wicehrabia. Zatrzymał się tuż za francuskimi oknami, nie próbował zmuszać jej do niczego, co sprzeciwiało się jej woli. - Czy możemy na pół godziny pozbawić salę balową najpiękniejszego i najbardziej egzotycznego z jej kwiatów? - dodał.

Uśmiechnęła się łagodnie. Chciała wyjść z nim na przechadzkę. Chciała uwolnić się choćby na chwilę od tłumu gości i hałasu, nim wróci, by się radować resztą swego wyjątkowego wieczoru. Mimo niemądrych przestróg Robina miała pewność, że wicehrabia nie zaskoczy jej nagłą a niepożądaną ofertą małżeńską.

- Jak najbardziej, milordzie - odparła. - To będzie wręcz niebiańska przechadzka.

- O właśnie, niebiańska - rzekł, prowadząc ją przez taras ku kamiennym schodkom. Zeszli na wysypaną żwirem ścieżkę między górną a środkową kondygnacją ogrodu. - Gdy dzisiejszego popołudnia mój powóz wyjechał z leśnej doliny, uczułem, iż oto znalazłem się w niebie. To l m o uczucie towarzyszyło mi, gdy

ujrzałem ten dom i gdy potem patrzyłem z okna mego pokoju na ogród. To raj na ziemi. Każdy, kto tu przebywa, byłby głupcem, pragnąc stąd wyjechać, choćby na krótko.

Spojrzała na niego zaintrygowana.

- Czemu pan do nas przybył? - spytała. - Mieszkamy daleko od Londynu i nigdy mnie pan nie widział. Czy naprawdę chodziło tylko o złożenie mi wyrazów uszanowania? A może Kedleston był panu po drodze?

- Po cóż jechać gdzie indziej, jeśli istnieje Kedleston? No i jego pani. Pani ojciec często mi mówił o pani i o swoim domu z głębokim uczuciem.

- Naprawdę? - Starła się, by jej głos nie zdradzał zaskoczenia i smutku. Ojciec serdecznie ją kochał, kiedy była dzieckiem, lecz w ostatnich latach bardzo się zmienił. Spędzał z nią ledwie kilka tygodni w roku, nierzadko przez całe miesiące pozostawał z dala od Kedleston.

- Hrabia Worthing - odparł - nie był w pełni szczęśliwy. Sądzę, raczy mi pani wybaczyć, że mówię o czymś, co nie powinno mnie obchodzić, choć byłem jego przyjacielem, że głęboko kochał pani matkę.

Czy rzeczywiście? Pewnie, przebywał w Kedleston o wiele częściej za jej życia i wydawał się wówczas szczęśliwy. Czy jednak kochał żonę aż tak bardzo, że po jej śmierci pobyt w domu stał się dla niego udrętnieniem? Nie wiedziała. W chwili śmierci matki miała zaledwie dwanaście lat. Dzieci nie myślą o podobnych sprawach, rodzice są dla nich tylko mamą i papą.

- Zdawało mi się, że niemal panią znam - ciągnął wicehrabia. - Chciałem przyjechać tu zaraz po jego śmierci, lecz po prostu stchórzyłem. Czyż można pocieszyć pogrążoną w bólu córkę? Czekałem więc, aż najgorszy ból zmaleje, a później czekałem jeszcze dłużej, już bez żadnego rozsądnego powodu. Wreszcie dowiedziałem się, że zmarł w dniu pani urodzin, dwudziestych z kolei. Jakaż lepsza sposobność mogła się nadarzyć, jeśli nie dzisiejsze święto? Przyjechałem więc. I przekonałem się, że wszystko, co hrabia mówił o domu i o pani, w pełni odpowiada prawdzie.

Przerwał i podprowadził ją do schodów na drugim końcu ogrodowej terasy. Zaczęli iść ścieżką pomiędzy środkową a najniższą kondygnacją kwietników. Muzykę z sali balowej było tu słychać wyraźnie, lecz dobiegała jakby z bardzo daleka, z innego świata. Wieczne powietrze przesycały zapachy kwiatów i ziemi.

Kassandra nie wątpiła, że Wroxley mówi szczerze. Przyjechał, bo czuł, że jest to jego obowiązkiem. Szarmancki, czarujący i nieco uwodzicielski, nie był jednak łowcą posagów. Robin się mylił. Stryj Cyrus i ciotki także. Na szczęście mogła postępować zgodnie z tym, co sama uważała za prawdę.

- Cieszę się z pana przyjazdu - rzekła. - Dzięki panu wspomniały dzień stał się dniem idealnym. - Nie wiedziała, czy mądrze robi, mówiąc tak otwarcie, lecz nie znalazła innego sposobu wyrażenia swych myśli i chęci.

- Ja także się cieszę, że tu przyjechałem. - Uniósł jej dłoń do warg i trzymał ją tak przez chwilę.

Nie było to dla niej nowością. Wielu mężczyzn całowało ją już w rękę, a kilku nawet dzisiejszego wieczoru. Nigdy jednak nie było w tym czegoś tak intymnego i nawet jakby zakazanego. Może dlatego że za daleko odeszli od domu? A może dlatego że cały czas patrzył jej prosto w oczy, poza krótką chwilą, kiedy zatrzymał wzrok na jej muszce i chyba też na ustach. Może i dlatego, że ogarnęła ją fala dziwnej słabości, od serca aż po same kolana.

Puścił jej rękę i spojrzał w górę.

- „Jak jasny księżyc - wyrecytował. - W takiej jak ta nocy...”  
Znow skierował spojrzenie na nią i uśmiechnął się.

O tak, umiał znaleźć właściwe słowa. Brzmiały jednak znajomo. Zastanowiła się.

- To z jakiegoś wiersza... nie, ze sztuki pana Szekspira.

- Czasami słowa poety wyrażają nasze uczucia o wiele trafniej niż my sami.

Przypomniała sobie wreszcie. *Kupiec wenecki*. Dialog pary zakochanych. Każde z nich chciało prześcignąć drugie w opisie rozmaitych księżycowych nocy. To mówili kochankowie. Wicehrabia Wroxley znowu z nią flirtował, lecz dość żartobliwie. Napięcie znikło. Uśmiechnęła się do niego.

- Nie sądzę, milordzie, by brakowało panu słów. Schlebia mi pan zuchwale.

- Zuchwalstwo? - uniósł brwi. - Pochlebstwa? Chyba dawno nie patrzyła pani w lusterko, skoro sądzi pani, iż to tylko pochlebstwa. Czyż noc nie jest piękna? Rześkie powietrze, woń kwiatów, miękki trawnik, drzewa w oddali. A księżycowy blask dodaje tej scenerii uroku i tajemniczości. Czy jednak dostrzegam całe to piękno? A może błędnie ono i traci na znaczeniu w porównaniu z egzotycznym kwiatem zerwanym przeze mnie w sali balowej?

Był to najzuchwalszy z komplementów, a wyrzekł go z uśmiechem, gestykulując wolnym ramieniem elegancko i w sposób jawnie teatralny. W dodatku wciąż się w nią wpatrywał. Uśmiechnęła się lekko i w tej chwili uczuła całą moc owych niedorzecznych słów, mimo że - jak wiedziała - były jedynie czczymi pochlebstwami, które ją bawiły. Wszystko zbijało ją z tropu.

- Widzę, że nie chce pani odpowiedzieć na moje pytanie, odpowiem zatem sam. Wszystko błędnie i traci znaczenie. Ręczę za to.

Poczuła się zaskoczona. Rozbawienie i wszelka teatralność znikły. Tylko jego oczy nie zmieniły wyrazu, lecz na tak krótko, że zdziwiła ją intensywność własnej reakcji. Uśmiechnął się do niej jeszcze raz, spod na wpół przymkniętych powiek.

- Może potrafiłbym poradzić sobie bez pomocy Szekspira, lecz muszę już odprowadzić panią do sali albo przynajmniej na górną terasę ogrodu. Nawet nie spostrzegłem, że znaleźliśmy się tak daleko. Nie należy psuć sobie reputacji w tak pięknym dniu.

- Jestem dorosła, milordzie - rzekła, gdy szli ku schodkom. - Mogę robić, co mi się podoba. Nie potrzebuję przywoitki na każdym kroku.

- Winienem wdzięczność dzisiejszej nocy. Oddaliła się pani jednak od krewnych i przyjaciół na dłuższy czas.

Poczuła złość, bo znowu ktoś traktował ją jak dziecko, w dodatku ktoś zupełnie obcy. Trwało to jednak tylko chwilę. Miejsce gniewu szybko zajęła szcera wdzięczność. Nie, on nie uważał jej za dziecko, lecz za damę. Choć sypał pochlebstwami i flirtował z nią, nie chciał jej psuć opinii. Gdyby rzeczywiście był łowcą posagów, bez skrupułów skorzystałby z okazji.

Coraz bardziej go lubiła. A pół godziny, na które z niecierpliwością czekała, odkąd tylko zarezerwował je sobie podczas drugiego tańca, okazało się o wiele wspanialsze, niż sądziła. Nie był to również kres znajomości. Zamierzał przecież zostać do jutra. Z pewnością przyjechał, aby ją zobaczyć, a nie dlatego że było mu po drodze. Może go przekonać, żeby został na parę dni? Czemużby nie? Stryj Cyrus i Robin nie wyjadą przed końcem tygodnia, ciotka Altea też nie. A ciotka Beatrycze była stałą rezydentką. To nic nagannego mieć jeszcze jednego gościa, zwłaszcza przyjaciela papy.

Byłoby miło nawiązać bliższą znajomość z kimś tak przyjacielskim, interesującym i... nie umiała dokładnie określić, o co chodziło... atrakcyjnym? Owszem, był bardzo atrakcyjny. Czemu nie miała sobie pozwolić na mały flirt, a może nawet przelotny

romansik? Bawiłaby się świetnie, bez ryzyka, jakie niosło przedstawianie z sąsiadami, których rosnących nadziei nie zamierzała spełnić. Wicehrabia wkrótce wróci do Londynu. Z pewnością. A tymczasem...

Tymczasem muzyka umilkła, oni zaś wstępowali na najwyższy stopień schodków wiodących ku oświetlonemu latarniami tarasowi.

- Bal był wspaniały - rzekł wicehrabia, prowadząc ją w stronę francuskich okien. - Niech mi pani jednak wybaczy pewne wyznanie: najpiękniejszymi jego chwilami okazało się pół godziny, które spędziłem nie na parkiecie.

Jakże mogła przyznać, że czuje to samo, skoro chodziło o jej własny bal? Rzekła więc tylko:

- Czyż panu nie wstyd?

- Bynajmniej - odparł, zatrzymując się na moment, by złożyć krótki, elegancki ukłon.

Ta odpowiedź sprawiła jej ogromną radość.

Altea Havelock ocierała oczy obrębianą koronkami chusteczką, a lady Matylda Gibbons klepała ją po ramieniu. Robin stał przed nimi nachmurzony. Lady Beatrycze patrzyła na brata, ten zaś miał minę o wiele groźniejszą niż jego pasierb.

- Nie uważam tego za zniewagę, matko - mruknął Robin. - Wręcz przeciwnie. Jestem dla Kasandry kimś bardzo bliskim, niemal bratem. Nie widzi jednak we mnie przyszłego męża.

- Masz rację, siostrzeńcze - odezwała się lady Beatrycze. - Kasandrze trzeba dać trochę czasu. Nasz pomysł ją zaskoczył. Wkrótce, dzięki naszemu życzliwemu wsparciu, zrozumie, że to rzecz rozsądna, a nawet pożądana.

- Czasu?! - krzyknął Havelock. Rozejrzał się wokoło, chcąc się upewnić, że żaden gość nie zajrzał nieoczekiwanie do jadalni. Nie dojrzał jednak nikogo, prócz kilkorga służących. - Uważasz, że jej trzeba czasu, Beatrycze? Dziewczyna ma dwadzieścia jeden lat! Na co jej ten czas? Co z nim zrobi? Co już zrobiła po oświadczeniach Robina?

- Drogi synu, to jednak zniewaga. - Pani Havelock znów otarła łzy. - No proszę, nie jesteś dość dobry dla bratanicy twego ojczyma! Gdyby Cyrus urodził się o te pół godziny wcześniej...

- Uspokój się, Alteo - próbowała ją pocieszać lady Matylda.

- Uważam, mamó - rzekł Robin - że powinienem być pomóc z nią kiedy indziej. Szkoda, że nie poczekałem do jutra, kiedy całe to zamieszanie z balem przeminie.

- Porozmawiam z nią, siostrzeńcze - powiedziała lady Beatrycze. - Kasandra jest rozumną dziewczyną i nikogo nie faworyzuje. Nie ośmielała żadnego z domniemanych konkurentów.

- Właśnie że ośmielała, i to tego fircyka! - Havelock podniósł głos niemal do krzyku. - Zrobiła to, czego się najbardziej lękaliśmy. Jeśli pozwolimy jej działać samej, narobi więcej głupstw. Kasandra trzeba pokierować! Zatańczyła z Wroxleyem dwa razy, kiedy przynajmniej tuzin innych dżentelmenów chętnie prosiłoby ją o rękę. I wyszła razem z nim!

- Poszli aż na sam kraniec ogrodu - dodał Robin - i stali tam, patrząc na siebie. O mało go nie wyzwałem na pojedynek. Biedna Kasandra nie ma pojęcia, jak się zachować wobec wytrawnych uwodzicieli. Powiedziała mi, że chce pogawędzić z nim jutro. Żeby napłócił jej bajeczek o przyjaźni z wujem, a jakże!

- Spytam go o zamiary, nim zaczną tę pogawędkę - zapewnił pan Havelock. - Zażądam, żeby wyraźnie się zadeklarował, do licha! A wszystko przez to, że Worthing nie dopełnił ojcowskiego obowiązku wobec dziewczyny! Beatrycze, powinnaś jej przemówić do rozumu, a potem niech Robin jeszcze raz z nią pogada. Otrzyj oczy, Alteo. Kasandra wyjdzie za Robina. Musi tylko wszystko należycie przemyśleć i wysłuchać rozumnych rad. W końcu jesteśmy jej rodziną. Zrobi, co uważamy dla niej za najlepsze.

- Musimy jednak pamiętać - rzekł Robin - że nikt nie może jej zmusić. Jestem pewien, że okaże upór. Może, jak radzi ciotka Beatrycze, trzeba jej dać trochę czasu; niech na razie ma nieco swobody. Winniśmy jednak śledzić jej postępowanie i podać jej pomocną dłoń, kiedy się potknie.

- Jeśli tylko - sapnął pan Havelock - nie padnie przedtem ofiarą jakiegoś drapieżnika. Do diaska, czemuż ten hultaj musiał przyjechać akurat dziś, żeby jej zawracać w głowie?!

- Odpowiedź sama się nasuwa, bracie - stwierdziła lady Beatrycze. - Wicehrabia Wroxley świadomie wybrał właśnie ten dzień, bo dzisiaj najłatwiej było zawrócić jej w głowie.

- Wciąż uważam, że to zniewaga - jęknęła pani Havelock. - Tak, tak, Matyldo. Pojmujesz chyba, co czuję? Przecież i ty jesteś matką!

- No, no, uspokój się, moja droga - szepnęła lady Matylda.

Nigel siedział na jednym ze schodków między najniższą terasą ogrodu a trawnikiem. Bal dawno się skończył. Wszyscy, nawet służba, nawet Will Stubbs, leżeli już w łóżkach. Zaczynało świtać. Na

niebie za drzewami wyraźnie zarysował się od wschodu jaśniejszy rąbek.

Po balu Nigel udał się do sypialni, jak wszyscy, lecz nie mógł zasnąć. Może zanadto się zmęczył. A może przeszkadzała mu świadomość, że nareszcie jest w Kedleston, że jego starannie obmyślany plan został urzeczywistniony i powiódł się znakomicie. Martwiła go tylko ufność Kasandry. Była wręcz niebezpieczna.

A może nie mógł spać z winy Willa Stubbsa, który, rzecz jasna, czekał na niego. Wszyscy dobrzy słudzy czekają, by rozebrać swych panów i wyczesać puder z ich włosów. Tylko że nie zrzędzą ani nie pozwalają sobie na podsłuchiwanie.

- No i jak, Nigel? - Will zaszachował go już na wstępie. - Co powiesz o miesiączku, nocy i pachnących kwiatkach albo o egzotycznym kwiecie zerwanym w sali balowej?

- Niech cię лихо - mruknął Nigel - ale masz usłyska, człowieku! Znasz może stare powiedzonko o lamparciu, co nie zmienia skóry? Idealnie do ciebie pasuje. Jeśli będziesz tak daleko wychylał się z okna, w końcu przez nie wylecisz. Przydałoby ci się. Karku nie skręcisz, ale przy odrobinie szczęścia stukniesz się w twardy łeb. Trochę cię wtedy zaboli.

- Niedobrze mi się robi - odparł sługa, mając jednak na myśli nie ból głowy, lecz kwieciste pochlebstwa, które podsłuchiwał.

- Nie znasz się na zalotach, Will. - Nigel sięgnął po szczotkę i zaczął wyczesywać sobie puder z włosów. - Głowę dam, że według ciebie zaloty polegają na tym, by wetknąć dziewczynie grosik, a potem jak najprędzej zaciągnąć ją na siano w nadziei, że zechce na ten grosik zasłużyć.

- Oj, oj - mruknął William - stary Stubbs nigdy by się nie bał w takie ceregiele. Dziewka musi zdrzeć kiecki i solidnie się napracować, zanim na swój grosik zarobi. Ale ta dzierlatka nie ma za grosz rozumu, powiadam ci, Nigel. Łatwo ci z nią pójdzie.

- Tym lepiej. Wygląda na to, że zaloty nie będą trudne.

- Lepiej powiedz jej prawdę. - William począł groźnie wymachiwać szczotką, którą teraz on trzymał w ręku. - Trzeba ci było tak zrobić już rok temu. Jesteś diabło przystojny i umiesz obracać jęzorem, jak się patrzy, lecz nic ci z tego nie przyszło w tamtym miejscu, co to o nim obaj wiemy, tylko same kłopoty. Ałe głupie dzierlatki możesz na twoje gadanie brać, nic im więcej nie potrzeba. Kiedy będziesz już miał ją w garści i dopiero wtedy jej powiesz, zaczną się wrzaski i beki. Nic, tylko beki i wrzaski. Nie uciekniesz od tego. A dobrze wiesz, jak to bywa, kiedy



nie można wykaraskać się z tarapatów. Baby takie jak ona to istny kłopot.

Nigel nie chciał jednak zmieniać planów. Było na to zbyt późno.

— Niektórych wciąż gryzie sumienie, co, Will? - spytał tonem tak znudzonym, że zdawał się wręcz przeczyć wypowiedzanym słowom. - Dużo płaczu czeka to niewiniątko, ale przynajmniej ja będę miał czyste sumienie. - Był w złym humorze i bliski wybuchu. Z nawyku utrzymywał jednak pozory znudzenia. - Odłóż wreszcie tę przekłętą szczotkę i na przyszłość pomyśl dwa razy, nim zaczniesz mnie znowu straszyć. Ja się gróźb nie boję.

- Ej, nie trzeba złościć starego Stubbsa - mruknął William, patrząc na swego pryncypała jedynym okiem, którym mógł widzieć. - Dobrze o tym wiesz, Nigel, sam się przekonałeś. Już ja ukołyszę cię do snu, jakem kiedyś zrobił. Zbudzisz się potem taki chory, że będziesz mnie na klęczkach prosił, bym cię znowu zamalował w gębę! Niewiniątko! Jak mi Bóg miły! Chyba nie wiesz, coś do niej gadał, chłopie! Uch, porzygam się jak nic!

- Precz! - krzyknął mu Nigel. - Wynoś się! Nie potrzebuję już twoich usług. Dobranoc!

- Z tą dziurką czeka cię nielichy kłopot. - William zawsze chciał mieć ostatnie słowo. - Jeszcze pożałujesz, że się do niej zabrałeś. A Will Stubbs ciebie żałować nie będzie. Da ci nawet kopniaka za to, że taki z ciebie zawzięty sukinsyn.

Will nie trzasnął drzwiami. Nigdy nie tracił czasu na puste gesty. Wolał bardziej bezpośrednie działania. Kiedyś tak rąbnął jego wicehrabiowską mość Nigela Wroxleya, że ten o mało nie wyzionął ducha.

Dlatego właśnie Nigel nie potrafił zasnąć. Ubrał się więc i wyszedł z sypialni. Zamierzał rozejrzeć się po parku, lepiej go poznać. Wyszedł przez jedno z francuskich okien w sali balowej i zbiegł po schodkach wiodących na trawnik. Zatrzymał się jednak, nim do niego dotarł.

Błądzenie po parku mogło wydać się niestosowne. Nikt go przecież tutaj nie zapraszał. Był tylko chwilowym gościem. W rzeczywistości miał prawo tu przebywać, lecz nie zamierzał domagać się uznania go. Jeszcze nie teraz. Przybył z pewnym planem. Właśnie w ramach tego planu odczekał cały rok. Musiał zachować cierpliwość i urzeczywistniać swe zamiary powoli, kawałek po kawałku. Wciąż wydawało mu się to najlepszym rozwiązaniem mimo nieustannych sprzeciwów Willa. Ale nawet Stubbs nie znał całej prawdy. Tylko on sam.

Był w końcu tylko człowiekiem i miał nadzieję, że ona okaże się ładna albo chociaż miła. Albo przynajmniej pociągająca. Była zaś i ładna, i miła, i pociągająca. Tyle że taka niewinna. To komplikowało sytuację.

Przybył, by ją uwieść. Omamić zmyślonymi historyjkami o przyjaźni z jej ojcem, rozkochać ją w sobie. Okazało się to bardzo łatwe.

Próbował nie myśleć o tym, że wyglądała jak ufne, niewinne dziecko. Nie potrafił jednak. Zbyt mocno przypominała mu inne ufne dziecko, którego ufność okazała się niebezpieczna: jego samego w wieku dziewiętnastu lat.

Całe szczęście, że nie będzie musiała przeżyć tego, co on przyżył. Sama myśl o tym mroziła mu krew w żyłach.

Spojrzał na swoją prawą nogę, Zataczała kręgi w kierunku odwrotnym do wskazówki zegara. Stary nawyk. Nie czuł już bólu w kostce, chociaż znaki zostaną na niej aż do śmierci, wiecznie przypominając mu o piekle. Wzdrygnął się i przestał poruszać stopą.

Znalazł się przecież w niebie. Należała mu się odmiana. Zasłużył na nią. Na Boga, zasłużył sobie. Zdumiewające, że zdołał przejść przez to piekło bez niczyjego współczucia. Niełatwo było zachować człowieczeństwo, gdy wszystkie myśli skupiały się tylko na przeżyciu. Jednak wytrwał.

Rzecz jasna, głównie dzięki nienawiści i pragnieniu odwetu. Zawsze jednak towarzyszyła mu myśl o niej. To ona stała się jego jedyną szansą na zachowanie człowieczeństwa, jedyną istotą, dzięki której nienawiść nie zżarła go do cna. A że niszczenie niewinności było czymś strasznym, postanowił tego nie czynić.

Choć, kiedy w końcu pozna prawdę, będzie zdruzgotana.

Ptaki ukryte w gałęziach drzew zaczęły ćwierkać, radośnie witając świt. Zapowiadał się piękny dzień. Przed południem spędzi godzinę czy dwie w towarzystwie hrabianki i opowie jej swoje historyjki. Wykorzysta jej niewinność i naiwność. Rozkocha ją w sobie jeszcze bardziej.

Przedtem jednak musi przespać choćby kilka godzin. Wstał i począł się wspinać na taras, ku drzwiom sali balowej, które zostawił lekko uchylone. Dopiero w połowie drogi zdał sobie sprawę, że kuleje. Przystanął, zacisnął na chwilę powieki i zmusił się, by iść bez utykania.

## ROZDZIAŁ 6

Kasandra obudziła się i spojrzała na zegar. Była już dziesiąta, a ona nigdy nie sypiała dłużej niż do ósmej. Przez chwilę myślała, że zegar się zepsuł, lecz jego uparte tykanie niezbitnie dowodziło czegoś przeciwnego. Późną porę zwiastowało też słońce zagładające przez okno. Odwróciła głowę, by zerknąć na stoliczek przy łóżku i zmarszczyła nos, widząc filiżankę zimnej czekolady pokrytej szarą, tłustawą warstewką. Musiała tam już stać od dawna.

Dopiero teraz przypomniała sobie, że wczoraj był dzień jej urodzin, wspaniały, lecz bardzo męczący. Bal trwał prawie do białego rana. Najwspanialszy bal, w jakim kiedykolwiek brała udział. Oczywiście mogła być stronnicza, ale przecież liczni goście mówili jej to samo. Nigdy nie zapomni ani tego dnia, ani nocy.

Przeciagnęła się leniwie, usiadła na łóżku i odrzuciła kołdrę. Wczorajszy dzień, pierwszy dzień dorosłego życia spędziła na zabawie. Dzisiejszy przeznaczy na znacznie poważniejsze zajęcia. Musi, oczywiście, pożegnać gości. Wcześniej jednak zamierzała wezwać rządcę Kedleston i wypytać o wszystko, co powinna wiedzieć o prowadzeniu gospodarstwa. Zapewne rządcą spojrzy na nią z rozbawieniem i wyższością. Gdyby stryj Cyrus usłyszał o jej zamiarach, zapewniłby, że nie powinna sobie zaprzętać ślicznej, małej główki podobnymi sprawami. I położyłby akcent na słowie „małej”. Chciała jednak dopiąć swego.

Dzisiaj jej dorosłe życie zaczynało się na dobre.

Idąc do garderoby, pomyślała o kuzynie. Biedny Robin. Pewnie oświadczył się jej, bo tak mu polecono. Było to podobne do niego: poświęciłby własne szczęście dla dobra rodziny, choć właściwie nie należał do niej w ścisłym znaczeniu tego słowa. A ona go odrzuciła. Bardzo ją rozgniewali - tamci, nie Robin. Nie mogli pojąć - nawet ciotka Beatrycze - że teraz żyje własnym życiem i znakomicie poradzi sobie bez niczyjej kurateli.

Postanowiła zobaczyć się z Robinem możliwie najszybciej. Chciała go przeprosić za to, że się pogniewali. On zaś uzna wszystko za żart, z którego oboje będą się śmiać. Ich przyjaźni i wzajemnego szacunku nie powinna zepsuć nieufność. Ciekawiło ją, czy Patience podobał się jej taniec z Robinem. Nie można pozwolić, by kuzynka wiedziała, co się stało wczoraj wieczorem. Przecież to było takie głupie! Robin nie powinien być tak ślepo posłuszny starszym.

Gdy była już przy samych drzwiach garderoby, przypomniała sobie jeszcze o czymś. Przyjaciel papy. Wicehrabia Wroxley. Przygryzła wargę, uśmiechając się do siebie. Chyba trochę się w nim zakochała. Zawsze myślała, że to niemądre, wydumane uczucie. I może nawet miała rację. Teraz jednak musiała przyznać, iż to uczucie nader miłe, które sprawiało, że dzień wydał jej się jaśniejszy i bardziej pogodny.

Cieszyła się na spotkanie z wicehrabią, miała też nadzieję, iż pozostanie on w Kedleston przez kilka dni. Zamierzała z nim poflirtować. Chciała cieszyć się niemądrym uczuciem, że jest zakochana.

Pragnęła też jednak porozmawiać z rządcą i przeciwstawić swoją wolę stryjowi Cyrusowi. Och, jak wspaniale wyglądało nowe, dorosłe życie! Jak cudowna okazała się wolność! Była jedną z nielicznych, uprzywilejowanych kobiet, które jej doświadczały. Mogła żyć tak, jak żyją mężczyźni: być panią siebie i swojej przyszłości. Mogła sobie pozwolić na znacznie frywolniejsze przyjemności niż zakochanie się, bez rezygnowania z tego, co w życiu najważniejsze. Prawdziwa z niej szczęściara. Pociągnęła za sznurek dzwonka, żeby wezwać pokojówkę.

Nigel późno zszedł na śniadanie. W salonie zastał innych nocujących w Kedleston gości. Rozmawiano głównie o balu i o tym, że jest późno, trzeba więc jak najprędzej wracać do domów.

Lady Beatrycze Havelock spytała Nigela, czy już zajechał jego powóz. Musi, dodała, wyruszyć możliwie wcześniej, skoro wraca do Londynu.

Nigel skłonił się dwornie i odparł, że nie zamierza jeszcze wyjeżdżać.

Wtedy pani Altea oznajmiła, że musi mu się nudzić na wsi, jako człowiekowi przywykłemu do miejskich rozrywek. Zapewne ogromnie tęskni za Londynem.

Nigel odrzekł, ponownie się kłaniając, iż wiejskie powietrze i wiejskie widoki są miłą odmianą po zaduchu i ciasnocie miasta.

Robin Barr-Hampton rzekł do jednego z odjeżdżających - na tyle głośno, by każdy go słyszał - że wszyscy w Kedleston będą teraz niezwykle zajęci. Dodał, iż lady Worthing zapewne spędzi cały dzień z ciotką we wdowiej rezydencji, gdyż krawcowa miała jej uszyć nowe suknie, które są hrabinie potrzebne po skończonej żałobie. Nie starczy jej więc czasu na nic innego.

Nigel uśmiechnął się do siebie. Rodzina lady Worthing dawała mu jawnie do zrozumienia, nie dbając ani trochę o dobre ma-

niery, że nie jest mile widziany w Kedleston. Od wczoraj nie sprawowali już władzy nad posiadłością. Skoro więc czynili natrętne aluzje do jego wyjazdu, czy obawiali się, iż Kasandra zaprosi go na dłużej?

Mogła to uczynić. A on chętnie by się zgodził.

Zeszła na dół, gdy właśnie wychodził z salonu. Wiedział, że powinna zająć się żegnaniem gości. Złożył jej więc krótki ukłon, ale nie próbował wszczynać rozmowy. Wyglądała wyjątkowo ładnie w pastelowej sukni z obcisłym stanem. Jej włosy pod kokieteryjnym czepeczkiem nie były upudrowane.

Oderwał od niej oczy, gdyż podszedł do niego Cyrus Havelock.

- Jak widzę, nie wyjeżdża pan tego ranka wraz z innymi? - rzekł chłodno. - Mądrze pan robi, odczekując nieco, milordzie. Pański powóz mógłby utknąć w tłoku na drodze.

- Zamierzam uniknąć tego za wszelką cenę - przytaknął mu Nigel.

- Może zechce pan wstąpić ze mną do biblioteki, do czasu aż zrobi się tu nieco spokojniej. - Havelock wskazał mu drogę ręką i zaprosił półukłonem, by szedł pierwszy.

Bardzo się boją, że nie będą już mieć na nią wpływu, pomyślał Nigel. Tego ranka wszyscy usiłowali chronić Kasandrę przed zagrożeniem z jego strony, które wyraźnie wyczuwali.

Biblioteka okazała się zaskakująco bogata. Poprzedni hrabia musiał być bibliofilem, a może i miłośnikiem lektury. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające konie i sceny z gier sportowych. Był to zaciszny, miły pokój mimo oznak pewnego zaniedbania. Nigel zdążył już spostrzec, że dotknęło ono również inne pomieszczenia tego domostwa.

- Kim pan jest? - spytał Havelock, zamykając za sobą drzwi. Zmierzał prosto do celu, bez silenia się na uprzejmość i delikatność.

- Pan wybacz, ale nie rozumiem. - Nigel uniósł brwi, bawiąc się rączką binokli.

- Pytam o pańską rodzinę, majątek, koneksje. - Havelock patrzył Nigelowi prosto w oczy, trzymając dłoń w zanadrzu kamizelki. Sam stał i nie prosił gościa, by ten zechciał usiąść.

- Czyżbym przeoczył coś, co wyjaśniałoby pańskie zainteresowanie w tym względzie? - Nigel podniósł nagle szkła do oczu i obserwował przez nie swego rozmówcę.

- Co pana łączyło z moim bratem? - dopytywał się Havelock. - Czy byliście kompanami od kieliszka? Czy w ogóle go pan znał?

- Czy mam przez to rozumieć, że uważa mnie pan za kłamcę?  
- Do licha! - Havelock począł tracić panowanie nad sobą. -  
Moja bratanica jest niedoświadczoną młodą dziewczyną, pan  
zaś doskonale o tym wie i od samego początku robi z tego uży-  
tek. Mamy tylko pańskie słowo na potwierdzenie, że naprawdę  
jest pan tym, za kogo się podaje. Musimy też wierzyć na słowo,  
że przyjaźnił się pan z Worthingiem. Czy to należyta rekomen-  
dacja? Dystyngowany wygląd i wytworne maniery mogły za-  
wrócić w głowie mojej bratanicy, ale mnie pan nimi nie zwie-  
dzie!

- Nie dbam o to - odparował Nigel.

Havelock poczerwieniał z gniewu.

- Chcę znać pańskie zamiary. Zamiary względem mojej bran-  
tanicy, panie Wroxley.

Nigel odpowiedział dopiero po chwili:

- Czy mówi pan to jako jej opiekun?

- Owszem - rzekł stanowczo Havelock. - Ktoś musi dbać o jej  
interesy. Jestem jej stryjem, bratem jej ojca, a mówię to również  
w imieniu ciotek Kasandry.

- Ale hrabina, o ile wiem, jest pełnoletnia. Może więc dowol-  
nie rozporządzać swoją własnością. Czy przemawia pan w jej  
imieniu? Czy to ona prosiła pana, by wybadać moje intencje?  
Jeśli tak, wolałbym mówić z nią samą. Jeśli nie, nie odpowiem  
wcale.

- Tego się spodziewałem. - Havelock podniósł głos. - Nie musi  
mi pan mówić, kim pan jest, bo sam dobrze wiem. Łajdakiem  
i obwiesiem. Nie musi mi pan też wyjaśniać swoich zamiarów.  
Znam je doskonale. Chce pan zawładnąć moją bratanicą i jej for-  
tuną.

- Nie musiał pan mnie zatem pytać - rzekł spokojnie Nigel.  
Uważam, że winniśmy zakończyć tę miłą rozmowę. Zadajemy  
pytania, na które z góry znamy odpowiedzi - albo przynajmniej  
myślimy, że je znamy - po prostu z grzeczności, by podtrzymać  
konwersację i uniknąć jakże krępującego milczenia. - Uśmiech-  
nął się z sarkazmem.

- Nie powiedzie się panu - warknął Havelock. Zdołał się już opa-  
nować, lecz wciąż ciężko dyszał. - Lady Worthing jest rozsądna  
dziewczyną. Posłucha starszych. Nie wpadnie w pańskie sidła!

- A więc nie ma pan się czego obawiać, czyż nie? - Nigel po-  
nownie się uśmiechnął. - Doradzi pan milady, za kogo ma wyjść,  
a ona dokona mądrego wyboru. Kogóż jej pan wybrał, jeśli wol-  
no mi spytać?

- Mojego pasierba, Robina Barr-Hamptona. Wszystko już zostało ułożone. Trzeba tylko ogłosić zaręczyny i dać na zapowiedzi.

- Ach tak. - Nigel przybrał jak najuprzejmiejszy ton. - I narzeczona, jak przypuszczam, wyraziła już zgodę? Przecież to drobnostka w tak bardzo zżytej rodzinie. Wygodny układ, niewątpliwie korzystny dla wszystkich zainteresowanych. Takie małżeństwa nieźle się udają, mimo że bywają odrobinę... nudnawe, jeśli wolno mi użyć podobnego słowa.

Havelock sapnął ze złością.

- Jak pan sam widzi, lepiej byłoby kazać służce spakować pańskie manatki i wsiąść do powozu, milordzie. Może w Londynie znajdzie pan dziedziczkę mniej strzeżoną i mniej kochaną przez rodzinę.

Nigel podszedł ku drzwiom.

- Zapomina pan o jednym - rzekł. - Lady Kasandra wyraźnie sobie życzyła, bym jej opowiedział o mojej przyjaźni z jej ojcem. Postąpiłbym nieuprzejmie, wyjeżdżając przed spełnieniem tego zobowiązania.

Wyszedł z biblioteki i zamknął za sobą drzwi. Nie sposób spokojnie wysłuchać, dumając, słów, w których pobrzmiewa wzgarda i odraza. Albo jawnych zniewag. Człowiek może sobie wmawiać, że nic nie potrafi go zranić. Ale ilekroć zadadzą mu nowe rany, okazuje się to nieprawdą.

Wszyscy goście odjechali - prócz tego jednego. Z rządcą porozmawiała późnym popołudniem. Wyjaśniła, że to ona chciała z nim mówić, nie pan Havelock. Wcześniej musiała rozwiązać inną kłopotliwą sprawę.

- Robinie - rzekła, podchodząc do kuzyna i obejmując go ramieniem - proszę, wybac mi, że źle się z tobą obeszłam wczorajszego wieczoru. Jestem ci wdzięczna za twoje zamiary, ale oboje musimy przyznać, że były nierozumne. Zapomnijmy o tym albo - jeszcze lepiej - śmiejmy się z tego. Nic mnie bardziej nie martwi niż myśl, że mogłabym utracić twoją przyjaźń. - Obdarzyła go najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów.

- Droga kuzyn... - zaczął.

Przycisnęła dłoń do jego warg i zaśmiała się.

- Powiedz mi, że nadal jesteśmy przyjaciółmi - poprosiła.

- Doprawdy, Kasandro - odrzekł, odsuwając jej dłoń - oczywiście, że pozostaniemy przyjaciółmi.

- I zapomnimy o tych głupstwach z zeszłego wieczoru?

Westchnął.

- Jeśli już o tym mówisz, za bardzo się pospieszyłem. Wszyscy się zbyt szybko pospieszyliśmy. Leży nam na sercu twoje dobro, Kasandro, odkąd stałaś się samodzielna.

- Świat będzie toczyć się dalej.

- Obiecuj mi tylko, kuzynko, że niczego nie zrobisz pochopnie ani nie dasz się zmusić do pośpiechu komuś dbałem o twoje dobro znacznie mniej niż my.

- Obiecuję, że będę postępowała na tyle rozumnie, na ile mi pozwalają moja mądrość i doświadczenie - zapewniła. - Muszę już iść. Naprawdę. Muszę się przygotować do spotkania z panem Coburgiem.

- Z Coburgiem? - zdziwił się. - Z rządcą Kedleston? Chcesz się z nim spotkać? Ależ mój ojczym...

- Nie stryj Cyrus jest właścicielem Kedleston, Robinie - rzekła stanowczo - tylko ja.

Zrozumie to z czasem, pomyślała. Wszyscy rozumieją. Nie chciała się jednak z nimi spierać. Nigdy ich nie przekona samą argumentacją. Dopiero dzięki jej postępowaniu pojmą, że choć jest tylko kobietą, poradzi sobie znakomicie. Lepiej niż ojciec. Papa zaniedbał majątek. W ostatnich latach tylko wydawał, a nic nie inwestował w posiadłość. Chciała, by ta sytuacja uległa odwróceniu, by dwór rozkwitł pod jej zwierzchnictwem.

Godziny pozostałe do spotkania z panem Coburgiem i rozpoczęcia nauk, których nikt dotąd nie uważał za konieczne jej udzielić, chciała jednak poświęcić na coś znacznie mniej poważnego i o wiele przyjemniejszego.

Wicehrabia Wroxley wyglądał tego ranka bardzo dobrze i był równie elegancko ubrany, jak poprzedniego dnia. Widziała go tylko przelotnie, gdy zajęta była żegnaniem gości. Spojrzał wówczas na nią z uznaniem, ona zaś poczuła czysto fizyczne podniecenie, uczucie całkiem dla niej nowe. Przemiłe, choć zapewne grzeszne.

Teraz stał w hallu i przyglądał się uważnie zawiłym wzorom wyrzeźbionym na płytach dębowej boazerii.

- To wszystko oryginalne - rzekła, podchodząc do niego. - Wykonane w tym samym czasie co cały budynek.

- Rzeczywiście znakomite - odparł, wpatrując się w nią intensywnie. Pojęła: znów z nią flirtuje.

- Ojciec miał zamiar przebudować hall i zastąpić drewno marmurem, aby, jak mówił, dom nabrał wyglądu bardziej klasycznego i zgodnego z teraźniejszym smakiem. Ja jestem rada, że tego nie zrobił.



- A więc nie sądzi pani, że to, co modne, musi być lepsze? Podziwiam pani gust i rozsądek.

- W ostatnim czasie papa zbyt rzadko tu bywał, żeby wprowadzać przeróbki czy też ulepszenia, jak je zwykle określał. Zupełnie stracił na to ochotę. Znał go pan wówczas, milordzie. Proszę mi o nim opowiedzieć.

- Z wielką przyjemnością, ale nie tutaj. - Ujął jej dłoń i położył na szerokim mankencie swego rękawa. - Chociaż hall jest niewątpliwie piękny, dzień poza jego ścianami jest jeszcze piękniejszy. Muszę się przekonać, czy pani urok może z nim rywalizować.

Wciąż miała na głowie słomkowy kapelus; włożyła go, wychodząc pożegnać ostatnich gości. Jasne, słoneczne południe, wydało się jej jeszcze bardziej słoneczne, gdyż u jej boku stąpił przystojny mężczyzna, w którym nieco się podkochiwała. Pomyśleć, że wczoraj o tej porze nawet nie wiedziała o jego istnieniu, i to mimo że ubiegły dzień uważała za najpiękniejszy w życiu.

- Może obejrzy pan park, milordzie? - zapytała, gdy stali już na tarasie. - Jest tu sporo do obejrzenia. O wiele więcej niż można pokazać komuś w jeden dzień.

- Rzeczy piękne należy oglądać, sycąc się nimi powoli - odparł i pochylił głowę tak, by spojrzeć jej uważnie w twarz, z czym już się oswoiła. Znakomicie potrafił mówić jedno, dając zarazem do zrozumienia zupełnie co innego. Zdawał się podziwiać piękno otoczenia, a jednocześnie sugerował, że dostrzega tylko jej urodę. W jego oczach zaś czaił się lekki uśmieszek, jakby chciał ją upewnić, że nie zamierza jej zwodzić, lecz tylko sprawić przyjemność miłymi komplementami. - Pragnąłbym cieszyć się tym wszystkim dłużej niż przez jeden dzień.

Czy naprawdę pragnął właśnie tego, czego pragnęła i ona? Czy chciał zostać dłużej? Może na kilka dni? Miała taką nadzieję-

- Pokażę panu ogród różany.

- Wystarczy mi to na dziś, milady. Nie ma kwiatu piękniejszego od róży.

Najwyraźniej chciał zatrzymać się tutaj dłużej. Nie było pośpiechu. Mogła swobodnie cieszyć się jego towarzystwem. Zaprowadziła wicehrabiego ku zachodniej części domostwa, gdzie w wysokim strzyżonym żywopłocie widniała łukowato wygięta brama z ażurowej kraty wiodąca do ogrodu różanego.

Zawsze zadziwiał on gości. Trawniki, żywopłot, wysokie drzewa na wzgórzu za domem mieniły się najrozmaitszymi odcieniami

zieleni. A już za bramą ogrodu wstępowało się w całkiem odmienny świat, w orgię barw i doskonałość formy. Nawet powietrze było tam inne, przesycone ciężką wonią tysięcy róż.

- To drugie z moich najulubieńszych miejsc w całym parku - powiedziała. - Kto tu wejdzie przybity na duchu, opuści ten ogród, czując się jak odrodzony.

- Cóż za perfekcja - rzekł, ujmując w dłoń na wpeł rozkwitły pąk. - Nie ma kwiatu ponad różę i nie ma róży piękniejszej niż właśnie ta.

Patrzyła z uśmiechem, jak jego dłonie o długich, wypielęgnowanych palcach delikatnie trzymają kwiat, nie chcąc go zgnieść. Skórę na dłoniach miał zgrubiałą, co nie pasowało do reszty jego wyglądu, lecz przydawało mu męskości. Mimo elegancji nie był więc cherlawym paniczkiem. Szerokie ramiona pozwalały domyślać się silnych muskułów, a nogi w spodniach do kolan i pończochach obydwały się bez sztucznych wyściółek.

Zarumieniła się, gdy zdała sobie sprawę, o czym myśli i gdzie powędrowało jej spojrzenie.

Wicehrabia ostrożnie zerwał różę. Spodziewała się, że wręczy jej kwiat. On jednak oderwał łodyżkę tuż pod płatkami i spojrzał na gorszej sukni. Po chwili wsunął kwiat za dekolt staniczka, nie musnąwszy nawet palcami jej ciała. Spojrzał jej w oczy.

- Nie ma kwiatu piękniejszego niż róża. Ale, na moją duszę, nawet ten nieskazitelny kwiat nie jest równie piękny jak osoba, która go nosi.

Był to komplement tak ostentacyjny i zarazem tak zabawny (co zresztą nie znaczyło, że mniej przyjemny), iż najpierw się uśmiechnęła, a potem otwarcie wybuchnęła śmiechem.

- Z pewnością nie tak nieskazitelny jak pańska wymowność, milordzie. Niech mi pan powie: czy londyńskie damy dają wiarę podobnym pochlebstwom?

- Londyńskie damy nie są tak skromne, jak ich wychowane na prowincji siostry. Może dlatego że rzadziej mają sposobność obcować z naturalnym pięknem. Damy żyjące na wsi, pośród piękna natury, nie wiedzą nawet, że są jego częścią, a niekiedy je nawet przewyższają. Tak przynajmniej rzeczy się mają z pewną młodą, znaną mi damą, która przewyższa pięknnością różę u swej sukni.

Pochyliła głowę, spoglądając na kwiat. Miło było słyszeć podobne komplementy, zwłaszcza iż wypowiedano je lekko, bez innego celu niż sprawienie jej przyjemności.

- Chciała pani usłyszeć ode mnie o ojcu - rzekł, podając jej ramię. - Widzę ławeczkę pod wierzbą. Może usiądziemy w tym cieniście miejscu i zacznę opowiadać?

Znakomicie wiedział, jak daleko można posunąć się we flircie. Stał się nagle uprzejmy i serdeczny. Mogli usiąść na ławeczce i porozmawiać. Może się zaprzyjaźnią, tak jak przedtem Wroxley zaprzyjaźnił się z papą? Może ich znajomość potrwa dłużej niż kilka dni? Może będą pisywać do siebie? Nie widziała w tym nic zdrożnego. W końcu była już dorosłą kobietą, a nie młodą dziewczyną skrepowaną wymogami dbałości o reputację.

Miała nadzieję, że zostaną przyjaciółmi, że ich znajomość przetrwa, choćby dzięki okazjonalnej wymianie listów. Nie chciała myśleć o tym, że pożegna go po kilku krótkich dniach i nigdy więcej o nim nie usłyszy.

Było to niemądre, musiała przyznać, wszak wczoraj o tej porze jeszcze go nie znała.

## ROZDZIAŁ 7

Siedzieli pod wierzbą pośród róż, a on zabawiał ją historyjkami o ojcu. Niektóre z nich zawierały samą prawdę, inne - prawdę nieco ubarwioną, tak by dało się zmarłego hrabiego ukazać w korzystniejszym świetle, jeszcze inne były czystym wymysłem. Kasandra patrzyła na Wroxleya spod ronda słomkowego kapelusza, a twarz jej odzwierciedlała reakcje na jego opowieści: rozbawienie, zaciekawienie, napięcie, zaskoczenie. Brak jej choćby krztyny przebiegłości, pomyślał. Prawie się nad nią litował.

- Tak się cieszę, że w ostatnich latach życia ojciec miał przyjaciół i rozrywki - rzekła. - Niewiele o nim wiedziałam. A i pan powiedział mi wczoraj, że był człowiekiem nieszczęśliwym.

- Przyjaciele chcieli sprawić, by przestał boleć nas śmiercią pani matki. Jeśli nie całkiem im się to udało, starali się przynajmniej złagodzić jego ból.

- To pan złagodził ten ból. Jakże się cieszę, że pana poznałam. Byłam za mała i niewiele rozumiałam, lecz teraz pojmuję, że śmierć dziadka, a potem półtoraroczna choroba mamy musiały być dla niego zbyt wielkim ciężarem. Dwunastoletnia córka nie stanowiła wystarczającej pociechy.

Ujął jej dłoń.

- Nie powinna się pani zamartwiać, że pani miłość niewiele znaczyła dla ojca. -A więc ona kochała Worthinga, tego nikczemnika bez serca. - Przeciwnie, znaczyła bardzo dużo. Mówił o pani miłym usposobieniu i serdeczności. Nie chciał przywozić do domu swoich posępnych nastrojów. Nie chciał też zabierać pani do Londynu, gdzie mógłby swą melancholią panią przygnębiać. Dowiódł swojej miłości, żyjąc z dala od pani.

Miała łzy w oczach, gdy spojrzała mu w twarz, odwróciwszy wzrok od jego rąk trzymających jej dłonie.

- Jakie to było niemądre z jego strony. A teraz już za późno, nie mogę go pocieszyć.

Uniósł jej dłoń do ust.

- Proszę mi wybaczyć. Nie powinienem był o tym mówić. Pani łzy mnie ranią.

- Nie! - Nachyliła się ku niemu tak nagle, że przez chwilę myślał zaskoczony, iż pocałuje go w policzek. Nie zrobiła tego, lecz uśmiechnęła się przez łzy. - Na szczęście wiem już, że papa do samego końca miał przyjaciół, a czasami potrafił się nawet bawić i radować. Rozumiem teraz, czemu tak rzadko zaglądał do domu i dlaczego nigdy nie zabrał mnie do miasta. Nie odważyłam się dotąd przyznać przed sobą, że mnie zaniedbywał i że mnie to bolało. Teraz już mogę, bo wiem, że nie miałam po temu powodu. Kochał mnie tak samo, jak ja jego.

Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek. Czy i on był kiedyś aż tak naiwny? Wiedział dobrze, że był.

- Dziękuję panu - szepnęła.

Mógł wykorzystać jej wdzięczność. Ich usta dzieliło ledwie kilka milimetrów. Mógł sprawić, że i ten dystans zniknie. Mógł przemienić jej wdzięczność w zupełnie inne uczucie i przyspieszyć moment, dla którego tu przybył. Wciąż jednak powracał myślami do niewinnego dziewiętnastolatka, jakim był kiedyś.

- Pani stryj bardzo przypomina swego brata- rzekł, chcąc zmienić temat. - Podobieństwo wydaje mi się doprawdy zdumiewające.

- Byli bliźniakami. Papa urodził się pół godziny wcześniej niż stryj Cyrus. W naszej rodzinie bardzo często trafiały się bliźnięta. Babcia powiedziała mi kiedyś, że zawsze byli to chłopcy, w dodatku pierworodni.

- Skutkiem tego młodszy z braci tracił prawo do tytułu i majątku z tak błahego powodu jak przyjście na świat pół godziny później. Brzmi to niewesoło.

- Stryj Cyrus nigdy nie czuł rozgoryczenia z tej przyczyny, gdyż dla mnie bardzo dobry, mimo że nie odpłacałam mu chyba wdzięcznością. Próbowałam ukrywać moje zniecierpliwienie, ale kiedy ma się dwadzieścia lat, przymus posłuszeństwa względem opiekuna musi drażnić. Stryj spędził tu w zeszłym roku prawie tyle samo czasu co we własnym domu. I pewnie wciąż myślał, jak niewiele brakowało, żeby to wszystko było jego.

- A więc bliźnięta rodziły się i wcześniej?

- Od kilku pokoleń nie. Pamiętam, jak mama rzekła mi kiedyś, co to była dla niej za ulga, kiedy przyszłam na świat ja, a nie żadne bliźniaki. - Roześmiała się. - Mamy portrety wszystkich członków rodziny, od całych wieków wstecz, ale ja najbardziej lubię patrzeć właśnie na podobizny bliźniąt. Było ich aż pięć par!

- Czy te portrety znajdują się w Kedleston? Jest tu galeria?

- Owszem, ale nie będę pana nią zanudzać. Wiem, jakie to nużące, kiedy się komuś na siłę chce pokazać galerię portretów rodzinnych, która go nic a nic nie obchodzi.

- Ależ milady - popatrzył jej prosto w oczy - mój drogi zmarły przyjaciel był członkiem tej rodziny i pani też do niej należy. Boh mnie posądzenie, że wizyta w galerii portretów mogłaby mi się wydać nudna.

Policzki się jej zaróżowiły i szybko wstała.

- Może to tylko pańska galanteria, ale jeśli tak, poniesie pan jej konsekwencje. Zaraz tam pana zaprowadzę.

Na tarasie, tuż koło frontowych drzwi, spotkali Robina Barr-Hamptona. Nigel był prawie pewien, że Robin ich śledzi. Może jako rodzaj przyzwoitki? Jeśli hrabina Worthing miała podobne podejrzenia, nie zrobiła żadnej uwagi na ten temat.

- Czyż nie wspomniały mamy dzień, Robinie? - rzekła i uśmiechnęła się pogodnie jak zawsze. - Wicehrabia i ja gawędziliśmy w różanym ogrodzie o papie, a teraz zabieram go do galerii. Chcę mu pokazać kilka portretów. Czy możemy się zobaczyć przy herbacie, kiedy już rozmówię się z panem Coburgiem?

Dała mu jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie jego towarzystwa podczas zwiedzania galerii. Barr-Hampton nie ruszył się z tarasu, gdy odchodzili. Kim jest ten Coburg? - zastanawiał się Nigel.

Pokazała mu najpierw wielkie płótno przedstawiające jej dziadka z żoną i dziećmi. Mały chłopiec, późniejszy hrabia Worthing, i Cyrus Havelock byli nie do odróżnienia.

- Bardzo łatwo jednak poznać, który jest który - wyjaśniła. - Papa stoi dumnie, tuż przy dziadku, a stryj Cyrus przy babci,

w podporządkowanej pozycji. Zawsze wydawało mi się smutne, że jeden z bliźniaków zyskiwał tak wyraźną przewagę; przecież bliźniacy muszą być sobie o wiele bliżsi niż zwykli bracia. Ale tak już w życiu bywa.

Nigel patrzył z zaciekawieniem na obydwu: i na zmarłego lorda, i na młodszego brata.

- Mamy tu również portret papy w wieku dojrzałym. Z mamą i ze mną.

- Muszę go więc zobaczyć. - Spojrzył na nią z uśmiechem.

Zmarły lord był w młodości bardzo przystojnym mężczyzną, a jego żona prawdziwą pięknoscią. Po niej Kasandra odziedziczyła ciemne włosy i nieskazitelną cerę. Portret przedstawiał ją jako kilkuletnią dziewczynkę z niesfornymi kędziorkami i o rumianych policzkach. Uśmiechała się pogodnie, z łokciem wspartym na matczynym kolanie i z jedną rączką pod brodą.

- Na miły Bóg - odezwał się Wroxley - była pani czarująca.

- Mówi pan w czasie przeszłym? Milordzie, chyba zapomniał pan o galanterii?

Roześmieli się oboje. Uderzyło go jednak, że Worthing w czasach, kiedy go znał, był zupełnie inny. Nie pod względem fizycznym, rysy twarzy prawie się nie zmieniły. Ale mężczyzna na obrazie był pełnym życia, szczęśliwym młodym człowiekiem. Patrzył na świat pogodnie, z niczym niezmaconą pewnością siebie. Do Ucha, jakże inaczej wyglądał po latach!

- Później papa bardzo się zmienił. - Spokojny głos Kasandry wydawał się wtórować jego myślom. - Wystarczy rzucić okiem na ten portret, żeby nabrać takiego przekonania. Przedtem ciągle śmiał się i żartował. Bawił się ze mną, przekomarzał, czytywał mi i... ach, nie ma to zresztą znaczenia. Śmierć dziadka, przejęcie obowiązków związanych z tytułem i odejście mamy go załamały. A może gnębiło go, że nie miał syna. Któż może wiedzieć? Zmienił się jednak wyraźnie.

- Czy moglibyśmy obejrzieć portrety innych bliźniaków?

Ostatnią parą bliźniąt przed Worthingiem i Havelockiem był jej pradziadek z bratem. Obraz niczym się nie wyróżniał, tyle że sportretowani chłopcy byli trochę starsi, mniej więcej czternaścieletni. Wydawali się wprost identyczni. Który jest który? - zastanawiał się Wroxley. Starszy brat, wicehrabia, stał, rzecz jasna, ramię w ramię z ojcem. Ale który z braci był który?

- Zdumiewające podobieństwo, prawda? Przychodziłam tu często jako dziecko i wymyślałam sobie o nich różne historyjki. A gdyby tak zamieniali się rolami? Może kiedy starszy musiał,

dajmy na to, wypełniać jakieś nudne, oficjalne obowiązki, młodszy go zastępował i dzięki temu braciszek mógł sobie swobodnie hulać gdzie indziej.

- Wręcz można by żałować, że nie jest się bliźniakiem.

- Czy w pańskiej rodzinie ich nie było?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł, podchodząc bliżej do malowidła. - Niech to licho, ależ są podobni. A co się stało z młodszym?

- Tego nie wiem. Podobno wybuchła jakaś kłótnia rodzinna, ale nikt mi o niej nie umiał opowiedzieć ze szczegółami. Dziadek bardzo się rozżłościł, kiedy go o to spytałam, a papa nic nie wiedział. Jakie to przykre, że tak niewiele wiemy o krewnych z poprzednich pokoleń.

- Gdyby było inaczej, miałyby się zbyt wielu krewniaków, by ich zapraszać na takie uroczystości jak śluby. Trzeba by chyba wynająć najobszerniejszą katedrę w Anglii albo nawet dobudować do niej dodatkowe nawy!

Wybuchnęła śmiechem.

- Cóż, słuszność jest po pańskiej stronie! Czy chce pan obejrzeć kolejną parę bliźniąt?

, Zdażył obejrzeć wszystkie, nim krzyknęła z przerażeniem:

- Och, jak długo tu siedzimy?! Jeśli się spóźnię, pan Coburg nabierze o mnie całkiem innego przekonania, niż powinien!

- Chyba niecałą godzinę. Chętnie będę pani towarzyszył i wyjaśnię panu Coburgowi, że spóźnienie powstało wyłącznie z powodu nadmiernej uprzejmości względem gościa. Jeżeli nie uzna takiego wyjaśnienia, okaże się nędznikiem niegodnym pani troski.

Odetchnęła z ulgą.

- Jeśli zabawiliśmy tu mniej niż godzinę, jeszcze się nie spóźniłam. Pan Coburg jest moim rządcą i założę się o całą przypadającą mi w udziale fortunę, że potrafi zarządzać tą posiadłością samodzielnie czy też pod kierunkiem stryja. Założę się także, że żadnemu z nich nie postało w głowie, iż mogę powziąć postanowienie o samodzielnym kierowaniu sprawami majątku.

- A tak właśnie pani postanowiła? - spytał ze zdziwieniem Nigel.

- Jestem kobietą, milordzie - rzekła z figlarnym uśmiechem. - Ale uważam, że mam w głowie nieco oleju. Co więcej, jestem kobietą obdarzoną niejaką władzą. Czy może pan sobie wyobrazić coś bardziej zatrważającego? Zostałam lady Worthing. Kedleston należy do mnie i pozostanie mój aż do końca życia.

W dodatku jestem pełnoletnia. Pragnę, żeby rządcą odpowiadał za sprawy majątku tylko przede mną. Chcę nauczyć się wszystkiego, na czym on się zna, a może i więcej. Zamierzam zająć się Kedleston tak sprawnie, jak wszyscy hrabiowie przede mną, a nawet lepiej od niektórych z nich. - Policzki jej płonęły, a oczy błyszczały, gdy skończyła swoją tyradę.

Nigel zagryzł wargi. Myślał o utracie swojej niewinności. Czy pojął to w jakiejś konkretnej chwili, czy też świadomość torowała sobie drogę stopniowo? Mógł zniweczyć niewinność tej kobiety jednym zdaniem, gdyby tylko zechciał.

Jej uśmiech przygasł.

- Myśli pan, że sobie nie dam rady. Mężczyźni zawsze tak sądzą, ale ja im wszystkim pokażę!

- Przeciwnie, milady - odparł, składając ukłon, nim zaofiarował jej ramię. - Niech mi się pani pozwoli odprowadzić do rządcy. Wtedy się pani nie spóźni. - Nigdy nie oczekiwał, że zwykła kobieta może okazać się punktualna. - Będę na tym spotkaniu jedynie cieniem. Jestem pewien, że poradzi sobie pani dzielnie, po męsku - och, przepraszam najmocniej, po kobiecemu - i zyska przewagę nad kimś, kto jest tylko zwykłym mężczyzną.

Roześmiała się wesoło i położyła dłoń na jego mankiecie.

- Czekałam przez cały rok na pełnoletność. Jakaż to zabawna rzecz, milordzie, dowiedzieć się, że choć jestem kobietą, nie muszę słuchać niczyich poleceń\*

Podobnie jak inne kobiety mogłyby uważać za zabawne, że nie muszą chodzić na przyjęcia, bale i rauty tak często, jak sobie tego życzą, przemknęło mu przez myśl. Z pewnym zaskoczeniem zaczynał zdawać sobie sprawę, że hrabianka Worthing prócz urody, pogodnego usposobienia i naiwności ma też co nieco charakteru.

Choć bez wątpienia byłoby dla niej lepiej, gdyby go nie miała.

Godzina, którą Kasandra spędziła z rządcą, nie należała do łatwych. Przede wszystkim znalazła się w obecności nie jednego, lecz dwóch mężczyzn, gdyż zastała tam również stryja, spoglądającego na nią z wielką powagą i protekcjonalnie. Na twarzy pana Coburga malowały się podobne uczucia. Stryj począł jej tłumaczyć, że nie musi sobie zaprzętać ślicznej główki niczym, co dotyczy majątku, mimo że nie jest już oficjalnie jej opiekunem. I że może na nim polegać, gdyż pan Coburg to jeden z najlepiej znających swój fach rządców w całej Anglii, a gdyby nawet napotkał jakieś trudności, zawsze może się z nim naradzić. Przecież Wil-



low Hall, jego własna siedziba, leży nie dalej niż czternaście kilometrów stąd.

Swoją przemową pan Havelock miał zamiar zakończyć spotkanie. Jego wygląd i uśmiech nie pozostawiały co do tego wątpliwości.

Kasandra uśmiechnęła się jednak ciepło do obu panów, podszła ku wielkiemu dębowemu biurku, zasiadła w obitym skórą fotelu i poprosiła, by wolno jej było zajrzeć do ksiąg.

Księgi zaś mogłyby równie dobrze leżeć przed nią do góry nogami, bo wyglądały jak napisane po arabsku. Takie było jej pierwsze wrażenie. Pod koniec owej godziny zdołała pojąć tylko tyle, że nikt ich nie obrócił do góry nogami ani że nie są napisane obcym alfabetem. Zadawała swoim rozmówcom pytania, które musiały im się wydawać niewiarygodnie naiwne, a nawet po prostu głupie, i zażądała, by niektórych wyjaśnień udzielano jej w bardziej zrozumiałej angielszczyźnie. Pytała o rzeczy, które w jej odczuciu znaczyły więcej od rządków niezrozumiałych znaków, choć najwyraźniej te ostatnie dotyczyły spraw bardzo ważnych. Takich jak na przykład reperacja domostw wyrobników i szkół dla dzieci farmerów. W końcu zrozumiała, że owe znaczki wiązały się jakoś z tymi właśnie sprawami, składając się w sumie na coś zwanego możliwościami finansowymi. Innymi słowy, jak pojęła, chodziło o to, czy jest na coś dosyć pieniędzy, a jeśli już były, to czy nie dałoby się ich wykorzystać na ważniejsze cele.

Na koniec spotkania oznajmiła, ku wielkiej konsternacji obydwu dżentelmenów, że niektóre z ksiąg zabierze do swoich pokojów. Zamierzała bowiem ślęczeć nad nimi dopóty, dopóki ich sens nie stanie się dla niej jasny.

- Tam do licha - rzekł jowialnie stryj Cyrus, gdy wrócili do salonu na herbatę - ależ z ciebie śmiała sztuka, Kasandro. Rozumiesz już chyba, że lepiej zostawić wszystko Coburgowi, lecz dałaś mu odczuć, że naprawdę jesteś lady Worthing. Nawet gdy już znajdziesz męża, który się tym wszystkim zajmie, nie będziesz mu w niczym ustępować, chyba że wyjdiesz za kogoś równego ci albo nawet wyższego od ciebie pozycją.

Kasandra nie zamierzała tracić czasu na prostowanie błędnych przekonań. Uśmiechnęła się tylko do niego i jednocześnie do lokaja, który otworzył przed nimi drzwi salonu.

Pani Havelock, lady Beatrycze, Patience i Robin już tam siedzieli i pili herbatę. Wicehrabiego Wroxleya między nimi nie było, co dostrzegła od razu. Najwyraźniej lady Matylda i Patience przybyły

wcześniej z wdowiej rezydencji i wicehrabia zabrał pierwszą z nich na przechadzkę po parku.

- Sądzę, droga Kasandro - odezwała się pani Haveiock- że za późno już, by wicehrabia opuścił nas dzisiejszego dnia. Bez wątplenia wyruszy jutro rano. Najlepiej podróżuje się rankiem.

- Zostanie na jutro, ciotko Alteo. - Kasandra przemierzyła pokój, by przyjąć filiżankę herbaty z rąk lady Beatrycze. - A może nawet dzień czy dwa dłużej.

Wywołało to burzę, której się zresztą spodziewała. Nie, nie rozumiała ich obiekcji co do hrabiego. Był człowiekiem młodym, przystojnym, utytułowanym i najwyraźniej zamożnym. No i przyjacielem ojca. Przyjechał z daleka, żeby złożyć jej wyrazy uszanowania. Wszyscy przecież gorąco pragnęli, by wcześniej i dobrze wyszła za męża. Mogła się co prawda domyślać, że obawiają się jakiegoś podstępu z jego strony. Żaden z jej konkurentów nie mógł się z nim jednak równać jako kandydat na męża, nawet Robin.

- Prawdziwy dżentelmen nie przyjeżdżałby bez uprzedzenia, nie wpraszałby się na twój bal urodzinowy i nie nadużywałby naszej gościnności, Kasandro - orzekła pani Havelock. - Zwłaszcza jeśli jest nam całkiem obcy.

- Rozmawiałem z nim dzisiejszego ranka - powiedział pan Havelock, wsuwając dłoń pod kamizelkę. - Zbył milczeniem moje pytania o majątek i koneksje i kategorycznie odmówił ujawnienia swoich zamiarów wobec Kasandry!

- Musi wszystko wyjaśnić Cyrusowi - zwróciła się lady Beatrycze do bratanicy - nim zaczniesz go traktować jak konkurenta. Musi powiedzieć, kim jest i co zamierza. Trzeba się przekonać, czy to młodzieniec wart zaszczytu, jaki mu uczynisz, biorąc go za męża.

Kasandra odpowiedziała na te obiekcje śmiechem wyrażającym nie drwinę, lecz szczere rozbawienie.

- Mój mąż? Mój konkurent? Poznałam go dopiero wczoraj, ale mi się podoba. Traktował mnie nader uprzejmie i opisał mi ostatnie lata życia papy. Za kilka dni wróci do Londynu, zostawiając po sobie miłe wspomnienia. I to wszystko! Nie jest moim konkurentem i nigdy nim nie będzie. Pamiętajcie też, że to ja zaprosiłam go na bal i ja chciałam, by został u nas na noc, a potem jeszcze na parę dni. Nie potrzebujemy wiedzieć o nim więcej, niż nam powiedział. Wiem o wicehrabim wszystko, co trzeba.

- Okazał się niezwykle miły dla mamy i dla mnie, kiedy zjawiliśmy się tutaj zbyt wcześnie - odezwała się nieśmiało Patience.

- Wicehrabia Wroxley znakomicie potrafi czarować swoją osobą, moja droga - odparła pani Altea - i właśnie z tego powodu tak się martwimy. Gdybyście były starsze, zrozumiałybyście, że mąż powinien się odznaczać poważniejszymi cnotami. Robin...

- Nie chcę mieć nic wspólnego z waszymi planami, mam - rzekł Robin. - Osiągniecie tylko tyle, że Kasandra zatnie się w uporze i wicehrabia wyda się jej jeszcze bardziej pociągający.

Nadal więc chcieli planować jej życie, uświadomiła sobie. Spojrzała na krewnych i uniosła brwi.

- Plany. Jakie plany macie wobec mnie?

- Nastąpiło fatalne w skutkach opóźnienie - zaczął Havelock. - Bardzo niefortunnie się składa, że masz już dwadzieścia jeden lat, Kasandro. Jednakże dzięki twojej pozycji i fortunie tak zaawansowany wiek nie będzie się liczyć, daję ci słowo.

- Skoro więc jestem leciwą damą - parsknęła śmiechem - cóż to za plan?

- Chcemy zabrać cię do Londynu przyszlą wiosną - wyjaśniła pani Havelock - i, rzecz jasna, przedstawić cię u dworu. To haniebne, że dotąd tego nie zrobiono. Znajdziemy dla ciebie męża równego ci pozycją, kochanie, i takiego, który, mam nadzieję, nie zabierze cię z Kedleston.

- Będę ci towarzyszyć, Kasandro - rzekła ciotka Beatrycze. - A Matylda zabierze Patience. Należy wprowadzić ją w wielki świat, zanim będzie na to zbyt dorosła. Ma przecież majątek po ojcu. Altea odwiedzi syna w szkole, Matylda zajmie się Patience, ja zaś tobą.

- A ty, Robinie? - Oczy Kasandry rozblęły podejrzaną wesołością. - Czy także jesteś przewidziany w tym planie? Czy pojedziesz do Londynu szukać sobie odpowiedniej żony? A może zostanie nią ja albo Patience?

- Och, cóż ty wygadujesz, Kasandro. - Patience zasłoniła twarz dłońmi.

- Muszę zająć się własnym majątkiem, Kasandro. - Robin mówił spokojnie, z godnością.

Uraziłam jego uczucia, pomyślała zaniepokojona. W dodatku przyprawiła o zakłopotanie Patience. Pożałowała tego, lecz przypuszczono na nią atak ze wszystkich stron i chęć złagodzenia tego afrontu wzięła górę.

- Jestem wam wielce zobowiązana - zaczęła, patrząc na każdego po kolei. Wiedziała, że kochają ją przecież, podobnie jak ona ich. - Chociaż świetnie się czuję w Kedleston, perspektywa

spędzenia przyszłej wiosny w Londynie bardzo mi odpowiada. Musicie jednak zrozumieć, że pojedę tam nie po to, by szukać męża. Bo widzicie, ja nie zamierzam wychodzić za mąż. Przynajmniej na razie.

Może za kilka lat, jeśli poczuje, że już dobrze daje sobie radę z posiadłością, poślubi kogoś z własnego wyboru. Teraz jednak nie. Gdyby wyszła za mąż teraz, straciłaby cenny dar wolności, dany tak niewielu kobietom.

Nie uwierzyli jej oczywiście. Nadal trwali w przekonaniu, że gdy tylko pojedą z nią do Londynu, raz-dwa wydadzą ją za mąż. Nie byli wcale bezwzględni, sądzili jedynie, iż bez małżonka, który pokieruje jej życiem, nie da sobie rady. Nawet Beatrycze tak myślała, ciotka Beatrycze, kobieta z silnym charakterem. Uważała bowiem bratanicę za delikatną istotę potrzebującą wsparcia mężczyzny.

W tejsze chwili rozwarły się drzwi, by przepuścić lady Matyldę i lorda Wroxleya. Ktoś zaczął rozmowę o pogodzie i omawiano ten temat aż do zupełnego wyczerpania. Robin dobitnie przypomniał Kasandrze, że krawcowej potrzeba znacznie więcej przymiarów, nim się ostatecznie zabierze do pracy.

Wicehrabia Wroxley zapewnił, iż z chęcią obejrzy wdowią rezydencję i z radością dotrzyma lady Worthing towarzystwa jutrzejszego ranka.

Kasandra zerknęła na Robina, a gdy ich oczy się spotkały, posłała mu uśmiech. Nachmurzył się i odwrócił wzrok. Podstęp, jaki obmyślił, przyniósł zupełnie inny efekt, niż było zamierzone.

- Dziękuję, milordzie - zwróciła się do Wroxleya. - Jakże mi miło. Z góry się cieszę.

## ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia Nigel spędził we wdowiej rezydencji kilka miłych godzin, mimo że prawie nie widział Kasandry, która narażać się na piętrze z krawcową. Lady Matylda na jego prośbę oprowadziła go po tym budynku w czysto palladiańskim stylu. Z kolei panna Patience Gibbons pokazała mu niewielki park, stanowiący zresztą część większego, tego, który otaczał Kedleston. Jak mu wyjaśniła, nie wyglądał tego dnia najlepiej, bo słońce schowało się za chmury, wiał porywisty wiatr i zdawało się, że

zaraz znacznie padać. Nigel mimo to zapewnił ją, że i dom, i park pełne są sielankowego wręcz uroku.

Obydwie łatwo było oczarować, toteż czarował je bezwstydnie. Za jakiś czas na pewno będzie potrzebował wszelkich możliwych sprzymierzeńców.

Pozwolił więc sobie na przedłużenie pobytu. Jeszcze dziś i jutro. Tak zdecydował poprzedniej nocy. Niemal jawna wrogość reszty rodziny mogła w tych okolicznościach utrudnić mu dalszy pobyt. Dzisiaj, rzecz jasna, rozczarował się, nie mogąc długo przebywać z Kasandrą sam na sam, lecz wykorzystał każdą sposobność. Przeszli pieszo blisko trzy kilometry z Kedleston do wzdowej rezydencji przez piękny, gęsto zadrzewiony park, choć pan Havelock przepowiadał, że będzie deszcz, a ciotki gorąco namawiały bratanicę do jazdy powozem. Powóz, jak rozstrzygnął Barr-Hampton mimo odmowy Kasandry zostanie wysłany, jeśli deszcz zacznie padać przed ich powrotem. Nigel cały dzień patrzył na wiszące nisko chmury w nadziei, że zechcą poczekać z ulewą choćby przez parę godzin.

Kasandrą zeszła do bawialni ciotki, gdy oni we troje pili już herbatę. Zdawało się, że razem z nią wtargnął do pokoju blask słoneczny i podmuch świeżego powietrza. Była roześmiana.

- Słowo daję, ciciu Matyldo, dużo bardziej wolałabym już nosić worki. Nie suknie w kształcie worka, ale prawdziwe worki. Przez cały dzień wybierałam materiały i fasony, a potem aż się wzdrygałam na ten widok i wybierałam inne tylko po to, by znów zacząć wszystko od nowa. A później stałam na podium z uniesionymi w górę rękami, poszturchiwana, obmacywana, kłuta szpilkami, obmierzana. Myślałam, że nigdy się to nie skończy. Och, czy to te ciasteczka z rodzynkami, które tak świetnie ci się udały? Proszę, Patience, włóż mi kilka na talerz, bo umieram z głodu!

- Myślę, milady - rzekł Nigel, wstając na jej widok - że mogłaby pani wystąpić w worku na największym z balów i zaćmić nawet samą królową.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Niechże pan zważa na słowa, milordzie - lady Matylda udawała oburzenie - to pachnie zdradą stanu!

- Wręcz przeciwnie, mówię czystą prawdę.

- Jawne pochlebstwo. - Hrabina wymierzyła palec w jego kierunku. - Ale i zdrada.

- Czy królowa jest piękna? - zapytała Patience i wszyscy znów się zaśmiali.

Bawili się w najlepsze, gdy Nigel poderwał się ponownie, bo ujrzał na szybie pierwsze krople deszczu.

- Powiniennem odprowadzić panią do domu, zanim zacznie się ulewa.

- Ach, rzeczywiście - lady Matyldą również spojrzała w okno - już pada. Powinnaś była zgodzić się na powóz, Kasandro, bo od rana zanosiło się na deszcz. Nie chcesz go przeczekać? Przemokniesz na wskroś, jeśli tak pójdziesz do domu. Może wkrótce deszcz ustanie.

- Myślę, że nie. Raczej rozpada się na dobre. Musimy zaraz iść. Nie boję się przemoczenia nóg.

- Może stryj Cyrus wpadnie na pomysł przysłania powozu - powiedziała Patience.

Nigel spojrzał na Kasandrę. Zaciekawilo go, że nie wspomniała nawet o obietnicy kuzyna.

- Czy mogłaby pani pożyczyć nam jakiś parasol? - spytał lady Matyldę.

- Mam duży czarny parasol po moim mężu. Zaraz go przyniosę. - Znów z niepokojem spojrzała w okno. - Och, deszcz wcale nie zamierza ustać.

- Mogę ci pożyczyć moją małą parasolkę, Kasandro - ofiarowała się Patience.

- Zdaje mi się - wtrącił Nigel - że dwa parasole są gorsze niż jeden. Zawsze zaczepiają o siebie, co zmusza do schodzenia ze ścieżki w mokrą trawę. Jeden w zupełności nam wystarczy, panno Gibbons.

Zauważył, że Kasandra nie zaprotestowała, i pojął, że tak jak on nie chce zrezygnować z powrotu pieszo, nawet wobec groźby przemoknięcia do suchej nitki. Tak, pomyślał, dziś i jutro to odpowiednia pora. Nie muszą dłużej zwlekać.

Deszcz był tak gęsty, że po wyjściu musieli od razu otworzyć parasol. Nigel trzymał go nad obydwójgiem w prawej ręce. Lewą podał Kasandrze. Z początku trzymała dłoń, jak należało, na jego szerokim mankiecie, lecz stąpali zbyt daleko od siebie, by parasol należycie ich chronił.

- Niech pani wsunie mi rękę pod ramię— zaproponował, patrząc w jej twarz pod rondem kapelusza. - Mniej wtedy zmokniemy.

Cały czas bał się deszczu, który mógł pokrzyżować jego plany. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że będzie całkiem na odwrót. Gdy go usłuchała, przygarnął jej ramię do swego boku, a tym samym przygarnął też i ją. Obręcze sukni nie stanowiły wielkiej

przeszkody. Parasol nad głowami zamykał ich jakby w ścisłym odosobnieniu, jeszcze bardziej niż opustoszała ścieżka, po której szli przez park od wdowiego domu aż do porośniętego drzewami wzgórze. Bębnienie deszczu o pokrycie parasola wzmacniało to wrażenie.

Świadomie nie wszczynął rozmowy. Ona również milczała, ale nie wiedział, czy rozmyślnie. Nie próbowała przerywać ciszy, papląc byle co. To mu coś mówiło. Coś, o czym pragnął wiedzieć.

Odwrócił się, by spojrzeć na wzgórze, gdy doszli już do drzew.

- Oho, oto i powóz.

Obejrzała się z lekkim uśmiechem.

Powóz zatrzymał się przed drzwiami wdowiej rezydencji. Ktoś - zapewne Robin Barr-Hampton - wyskoczył z niego i pospiesznie wbiegł do domu.

Nigel poczuł, że teraz śmiało może zadać jej pewne pytanie.

- Czy pani chce nim wrócić?

- Nie. - Pokręciła przecząco głową i pozwoliła, by zajrzał jej w oczy.

Wysunęła rękę spod jego ramienia. Odwróciła się jednak ku niemu, a on ku niej. Nie zaoferował jej ponownie ramienia, tak by mogli iść wspierając się o siebie, ona zaś nie uczyniła żadnego ruchu, by je ująć. Wciąż patrzył na nią, błędził oczami po jej twarzy. Spojrzał na jej wargi, a potem odwrócił wzrok. Nie uśmiechał się i nie poruszał.

Pomyślał, że bawi się nią niczym marionetką na sznurkach, gdy wsparta lekko ręce na jego piersi. Nie była to jednak z jego strony chłodna obojętność. Jej uroda i wdzięk na to nie pozwalały. Zaloty nie były trudne, jak powiedział Willowi Stubbsowi. Bez wątpienia nie byłoby też trudno pocałować ją w usta - i nie tylko w usta.

Zbliżył twarz do jej twarzy, znów zatrzymując wzrok na ustach. Zaczekał, póki jej powieki nie zaczęły trzepotać, a potem przytknęły się, nim rozchylił wargi i dotknął nimi jej warg. Nie był to głęboki pocałunek, namiętny i długi, lecz ciepły i czuły. Uniósł głowę i spojrział na nią spod na wpół przymkniętych powiek. Otworzyła oczy i popatrzyła mu prosto w twarz. Pomyślał, że wargi jej lekko nabrzmiały. Próbowaly się cofnąć przed jego ustami. Najwyraźniej był to jej pierwszy pocałunek.

- Powinnaś być powstrzymać pana - szepnęła.

- Naprawdę? - Pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

- Cieszę się, że tego nie zrobiłam. Byłam taka ciekawa.

Zdumiała go szczerść jej słów. Hrabina Worthing nie znała czegoś takiego jak dziewiczy rumieniec i zażenowanie. Nie

wypominała mu, że skorzystał z ich odosobnienie i braku przyzwyczajenia. Ale nie udawała też doświadczonej i zblazowanej. Tylko „byłam taka ciekawa”. Ciekawa czego? Co się czuje, będąc całowaną? Co się czuje, będąc całowaną przez niego?

- I ja się cieszę. Pragnąłem tego, odkąd panią ujrzałem dwa dni temu. Nie, jeszcze wcześniej. Gdy pani ojciec opowiadał mi o swej córce. Wiedziałem, że muszę panią ujrzeć na własne oczy. Wiedziałem, że muszę panią pocałować.

Uśmiechnęła się.

- Głupie - rzekła. - Jakie to głupie. Wracajmy.

Tak, już dosyć dzisiaj osiągnął. I zarazem przygotowywał grunt do tego, co miało nastąpić jutro.

Deszcz przybrał na sile. Choć znajdowali się wśród drzew, które dawały pewną osłonę, byli też bardziej narażeni na otarcie się o wilgotne Mstowie lub potrącenie nisko rosnącej gałęzi, która spryskiwała ich strumieniem wody. Nie zaoferował jej więc ramienia, lecz objął ją w talii i przytulił do siebie. Nie zaprotestowała.

Dopiero po chwili zauważył, że ona też oplotła go ramieniem. Zeszli w milczeniu ze wzgórza i po przebyciu lipowej alei, którą podziwiał rankiem, po trawniku dotarli aż do domu od strony sali balowej.

- Wczoraj - przerwał długie milczenie - uznała pani ogród różany za drugie ze swych ulubionych miejsc. Jakie jest pierwsze?

- Sádzawka. Za domem jest strome wzgórze, a u jego stóp sadzawka. Z sąsiedniego wzgórza spływa do niej wodospad. Pełno tam paproci, polnych kwiatów, drzew i... och to cudne ustronie! Nie tylko najpiękniejszy zakątek w parku, ale, daję słowo, na całym świecie!

- Chciałbym, żeby mnie tam pani jutro zaprowadziła.

- Chętnie. - Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego. - Ja także pragnę, żeby zobaczył pan to miejsce przed odjazdem.

- A tam, nad sadzawką - rzekł, napotykając jej spojrzenie - pocałuję panią raz jeszcze.

Znowu się zatrzymali. Poruszyła wargami, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie zrobiła tego. Przygryzła wargę.

- Dlaczego powstrzymała się pani od mówienia? - spytał, przysuwając głowę nieco bliżej i nachylając parasol w taki sposób, aby nie mógł ich dostrzec nikt, kto by przypadkiem wyjrzał przez jedno z wychodzących na wschód okien.

•h Nie mogę powiedzieć, że pan nie powinien był... że nie było panu wolno. Powinnam, ale nie mogę, bo nie chciałabym kła-



mać. Byłoby to nieładnie wobec pana. A ja nie chcę udawać skromnisi.

Nigdy nie spotkał kogoś takiego. Miała ochotę, by ją jutro pocałował, lecz nie chciała dziś przyznać - jak zrobiłoby dziewięćdziesiąt kobiet na sto w podobnych okolicznościach - że tego pragnie. Nie chciała obciążać go odpowiedzialnością za pocałunek. Pragnęła bowiem pocałunku i nie zamierzała się tego zapierać. Okazała się rzeczywiście kobietą z charakterem.

- Cenię pani zaufanie.

- Ach tak? - Zmarszczyła czoło. - Zabiorę pana jutro nad sadzawkę, milordzie. Jest tam przepięknie, nawet kiedy pada. Pocałuję tam pana, tak jak pan mnie. Tylko niech pan pamięta, żeby to był taki sam pocałunek jak dzisiaj. Między... między przyjaciółmi. - Zawahała się przy ostatnim słowie, lecz nie potrafiła znaleźć trafniejszego. Nie byli przyjaciółmi, ale nie byli też kochankami. Jeszcze nie.

- Nigdy nie uczynię niczego wbrew pani woli. - Zaplanował sobie z góry, że wszystko stanie się za jej zgodą.

Tylko że zgoda, jak uważał, bywa niekiedy nieświadoma. Zgodził się kiedyś skwapliwie na wieczorną partyjkę kart i pospieszył na nią z radosnym, młodzieńczym zapałem. Nie miał najmniejszego pojęcia, najślabszego przeczucia, na co właściwie wyraził zgodę.

Hrabina Worthing też nie miała pojęcia. Myślała, że zgadza się tylko na pocałunek, na błahey flirt. No cóż, podobieństwo było w istocie niewielkie. Nie kierowała nim bowiem wrogość, choć mógł na dejsć czas, kiedy ona bez wątpienia pomyśli coś odwrotnego.

Następny ranek był pogodny i ciepły, zupełnie jakby dwóch słonecznych dni nie przedzielał pochmurny i dżdżysty. Patience przyjechała do Kedleston tuż po dziesiątej powozem wysłanym przez Robina.

Robin zamierzał porozmawiać z nią i z jej matką jeszcze poprzedniego dnia, kiedy przybył do wdowiej rezydencji, chcąc zabrać Kasandrę do domu. Stanowczo nie chciał, by Kasandra pozostawała sam na sam z tym nędznikiem Wroxleyem. Doznał jednak przykrego zawodu, dowiadując się, że oboje pomimo deszczu powędrowali pieszo do Kedleston.

- Jestem przekonana, mój drogi, że twoje podejrzenia co do osoby wicehrabiego są bezzasadne - rzekła ciotka Matylda. - To dżentelmen pełen uroku i, jak mi się zdaje, szczerze polubił Kasandrę.

Robin rzucił ciotce niechętnie spojrzenie. Patience zaś pojęła w trakcie późniejszej rozmowy, że wszystkie jej najgorsze przeczucia się sprawdziły. Robin oświadczył się Kasandrze wieczorem przed balem, a ona go odrzuciła.

Kiedy kołła złamane serce, kuzyn obrócił się ku niej i oznajmił, że musi im pomóc. Jemu i Kasandrze. Wicehrabia Wroxley zamierza pozostać co najmniej dzień czy dwa i bez wątpienia będzie się starał znaleźć na osobności z Kasandrą. A ona jest taka naiwna i łatwowierna, dorzucił, że pójdzie z nim wszędzie, nie dbając o jego intencje ani o swoją reputację. Patience winna więc zawitać skoro świt w Kedleston i wraz z kuzynem chodzić krok w krok za tamtą parą, gdziekolwiek się udadzą.

Mieli zatem odgrywać role przyzwoitek, jak zrozumiała Patience. Nie uśmiechała się jej taka rola, odkąd pojęła, że Robin chce po prostu pilnować własnego interesu. Polubiła wicehrabiego i uważała, iż tworzyliby z Kasandrą niezwykle piękną, romantyczną parę. Nie mogła powiedzieć tego Robinowi, lecz mimo to nie potrafiła oprzeć się sposobności spędzenia z nim części - może nawet większej części - przyszłego dnia.

Zjawiła się więc w Kedleston wczesnym rankiem. Zastała Kasandrę jeszcze przy śniadaniu. Nie dlatego, by kuzynka późno wstała, była przecież rannym ptaszkiem. Spędziła jednak sporo czasu z panem Coburgiem, by zaznajomić się z metodami zarządzania posiadłością. Robin i wicehrabia siedzieli w saloniku razem z nią, kiedy Patience pojawiła się w drzwiach.

- Dzień dobry, Patience. - Robin wstał, gdy weszła do pokoju. - Cieszę się, że zechciałaś przyjść.

- Witaj, Patience. - Kasandrą spojrziała na nią zaskoczona. - Miło cię widzieć. Czy szłaś piechotą?

- Kasandrą i wicehrabia mają zamiar wybrać się do wodospadu - rzekł Robin. - To długa i stroma droga, ale dzień jest przepiękny, wymarzony na podobny spacer. Myślę, że my również moglibyśmy się tam przejść. - Spojrzał na Kasandrę pytająco. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, kuzynko.

Patience znała Kasandrę na tyle dobrze, by pojąć, że będzie się zawzięcie temu sprzeciwiać. Była święcie przekonana, mimo zapewnień kuzynki, że Kasandrą jednak się zakochała i że to ona zaplanowała przechadzkę, by na pewien czas znaleźć się z wicehrabią sam na sam. Cóż mogło stanowić bardziej romantyczne tło dla takiego spotkania niż sadzawka u stóp wodospadu?

- Wspaniały pomysł - odparła pogodnie Kasandrą.

Nim Patience zdążyła usiąść, zakłopotana świadomością, że jest intruzem, wicehrabia uśmiechnął się do niej ujmująco i zagadnął:

– Panno Gibbons, skoro pan Barr-Hampton zamierza dotrzymać towarzystwa milady, to może ja wybiorę się na spacer z panią? Słońce świeci zbyt pięknie, by marnować taką okazję.

– Dziękuję, milordzie. – Patience lubiła go, najwyraźniej on też zdawał się ją darzyć sympatią. Był niezwykle wytwornym dżentelmenem, co ją z początku ogromnie onieśmiewało, ale też mężczyzną prawdziwie czarującym. Przekonała się, że przy nim może czuć się całkiem swobodnie, być po prostu sobą.

– Panno Gibbons – odezwał się ponownie, gdy wyszli na trawnik przed domem – nic nie sprawi mi większej przyjemności niż towarzystwo pani i pana Barr-Hamptona, podczas gdy lady Kasandra będzie mi pokazywać jej ulubiony zakątek w parku... Do licha, to kłamstwa! Kłamię i pani o tym dobrze wie.

Spojrzał na nią z rozbawieniem i porozumiewawczo do niej mrugnął; nie mogła się więc gniewać. Poza tym domyślała się prawdy. Mama miała rację. Wicehrabia rzeczywiście bardzo polubił Kasandrę! Nie dziwiłaby się, gdyby ją nawet pokochał. Nie spodziewanie dla siebie samej odwzajemniła jego uśmiech.

– Robin chce jednak czuwać nad Kasandra, milordzie. Co mam zrobić, by mu to wyperswadować? Będzie zły, jeżeli odmówię.

– Za nic nie dopuszczę, żeby się na panią gniewał. Musimy więc obmyślić jakiś drobny wybieg, i to taki, dzięki któremu znajdzie się pani z panem Barr-Hamptonem w cztery oczy.

Wpatrywał się z przejęciem w jej twarz. Patience poczuła, że się rumieni. A więc on wiedział!

– Coś mi się zdaje – ciągnął wicehrabia – że do sadzawki schodzi się po stromym stoku. Czy jest tam jakaś ścieżka?

– Owszem, ale miejscami mocno zdradliwa i skalista. Trzeba po niej stąpać bardzo uważnie. Kasandra i ja dobrze ją jednak znamy i umiemy się po niej bezpiecznie poruszać.

– Nie byłoby chyba niczym dziwnym, gdyby się na niej, powiedzmy, skrzyżowało nogę, tak żeby nie móc chodzić? – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, mimo wyraźnie pytającego tonu.

– Ach! – Patience nigdy nie była dobrą aktorką, ale zrozumiała, o co chodzi. Miała oszukać Robina! Proszono ją, by dzięki niej Kasandra i wicehrabia mogli się znaleźć nad sadzawką sami.

– Rzecz jasna, nie chcę, by stała się pani jakaś krzywda – dodał z figlarnym uśmiechem. – Lecz na tak niebezpiecznej ścieżce trzeba bardzo ostrożnie stawiać nogi.

Nie musiał jej dłużej namawiać. Czuła zresztą, że zrozumiała-  
by ją, gdyby nie chciała usłuchać jego podszeptów. Sama musiała  
pójść podjąć decyzję.

Wydawał się świetnie pasować do Kasandry - przystojny, ser-  
deczny, no i taki męski. A gdyby się z nią ożenił, Robin nie mógłby  
już tego zrobić. Nigdy by jej nie dostał. Myśl, że Kasandra i Ro-  
bin mogliby się pobrać, była dojmująco bolesna. Zwłaszcza że,  
niezależnie od niechęci Patience, nie tworzyłiby dobranej pary.  
Robinowi nie brakowało męskości, z pewnością jednak dałby się  
zdominować Kasandrze właśnie z powodu poczucia odpowied-  
zialności, z chęci chronienia i jej, i majątku przed tymi, którzy  
chcieliby wykorzystać słabą kobietę. Sądziłby, że to właśnie jest  
jego powinnością, choć rzeczywistość byłaby inna. Podobny układ  
nie przyniósłby szczęścia ani jemu, ani Kasandrze.

Patience nie mogła sobie natomiast wyobrazić, by wicehrabia  
Wroxley dał się zdominować przez kobietę.

No i godzinę później zdarzył się wypadek. Wszyscy czworo  
minęli ogród różany i poczęli schodzić po pochyłości znajdują-  
cego się za nim trawnika, aż dotarli do drzew na wzgórzu za  
domem. Ścieżka była bardzo stroma i skalista, lecz skały mogły  
być teraz raczej pomocą niż przeszkodą. Chroniły przed upad-  
kiem i stoczeniem się w dół. Wicehrabia pomagał Kasandrze,  
choć ona ze śmiechem twierdziła, że potrafi skakać po gła-  
zach niczym koza. Robin podał Patience rękę i uściśnął jej dłoń  
uspokajająco. Nawet się do niej uśmiechnął i szepnął:

- Dziękuję, że przysłałaś. Nie zapomnę, że wyświadczyłaś mi  
przysługę.

Jego słowa mogłyby zmusić ją do zmiany decyzji, gdyby nie  
to, że rozległy się o chwilę za późno. Patience stąpnęła bowiem  
na kanciasty gład zbyt blisko jego krawędzi i ześlizgnęła się z nie-  
go tak niefortunnie, że straciła równowagę; przez chwilę aż jej  
zabrakło tchu. Robin podtrzymał ją, dzięki czemu nie stoczyła  
się w dół, lecz poczuła dotkliwy ból w kostce.

Stanowczo nie potrafię udawać, pomyślała, siadając u stóp gła-  
zu, tak by mogła objąć kostkę wolną ręką. Nie opłaciło się jej  
oszukiwanie Robina; naprawdę skręciła nogę. Zacisnęła mocno  
powieki, by ukryć łzy cisnące się jej do oczu, i mocno przygryzła  
dolną wargę. Za nic nie chciała płakać, ale ból był po prostu  
straszny.

Robin przyklęknął przed nią na jedno kolano, położył jej nogę  
na swym udzie i dokładnie obmacał kostkę. Na jego twarzy ma-  
lowały się smutek i skrucha.

— Och, moja droga. Tak mi przykro. Pewnie bardzo cię boli. Patience z determinacją przełknęła łyżę.

- Wszystko z mojej winy - dodał Robin.

Kasandra i wicehrabia pochylili się nad nią również, przejęci i współczujący.

- Musimy wracać - zdecydowała Kasandra. - Położymy cię do łóżka, Patience, i wezwiemy doktora. Robinie, czy to złamanie?

- Mam nadzieję, że tylko skręcenie.

Wicehrabia Wroxley miał najbardziej wymowny wyraz oczu, jaki zdarzyło się widzieć Patience. Spojrzała w nie przelotnie, gdy Robin dotknął najboleśniejszego miejsca. Wicehrabia zrozumiał, że ona nie udaje.

- Zaniosę panią do domu, panno Gibbons - rzekł cicho. - Bardzo mi przykro, naprawdę.

- Ja się tym zajmę - rzucił szorstko Robin. - Do Ucha! Wszystko przeze mnie. Ja poddałem myśl, żebyśmy poszli na spacer we czwórkę. Powinienem być pilnować, żeby Patience nic się nie stało.

Patience postanowiła w duchu, że nigdy więcej nie będzie nikogo oszukiwać, a już na pewno nie Robina.

- Nie, nie, zawiniłam tylko ja. Byłam nieostrożna. Rozglądałam się naokoło, zamiast patrzeć pod nogi. Nie musicie wszyscy ze mną wracać. Czuję się okropnie! To twój dzień, Kasandro, ty chciałaś pokazać wicehrabiemu najładniejsze miejsce w parku. Proszę, zrób to! Bardzo proszę!

Obydwoje protestowali, całkiem szczerze, była o tym przekonana. Robin natomiast, ku jego chlubie i ku jej wieczystej hańbie, nie zgodził się. Najwyraźniej znacznie bardziej obchodziło go, co się z nią stanie, niż pilnowanie tamtych dwojga.

- Mogę pójść sama - oznajmiła, kiedy już dla wszystkich stało się jasne, że robiłaby sobie wyrzuty, gdyby wrócili z nią do domu. - Nie powinieneś mnie nieść, Robinie, jestem za ciężka.

Spróbowała stanąć, ale potknęła się już przy pierwszym kroku. Byłaby upadła, gdyby Robin nie objął jej mocno w pasie. Wtuliła twarz w jego ramię i zaniósła się na szlochem. Nie z bólu - zasługiwała na ból - lecz z powodu tego, co zrobiła. Plan powiódł się znakomicie. Kasandra i wicehrabia poczuli znowu schodzić po zboczu. Robin nie miał pojęcia, że skręciła kostkę rozmyślnie.

On jest chyba najsilniejszym mężczyzną na świecie, pomyślała chwilę później, kiedy wziął ją na ręce i z łatwością wspiał się na wzgórze, jakby ważyła tyle co piórko. Objęła go za szyję

i wsparła czoło na jego ramieniu. Był doprawdy niezwykle męski. Mogłaby drzeć z podniecenia i zakłopotania wskutek jego bliskości, gdyby tylko nie czuła się tak okropnie. No i gdyby kostka nie rwała jej tak boleśnie, że zupełnie nie mogła myśleć o czym innym.

- Biedactwo - szepnął jej do ucha. - Moja biedna Patience.

- To wszystko z mojej winy. Robinie, jestem o wiele za ciężka dla ciebie.

- Cicho, cicho - rzekł z taką czułością, że miała ochotę jęknąć z rozpacz. - Cicho.

## ROZDZIAŁ 9

Trzeba było nalegać, żebyśmy wszyscy wrócili do domu razem z Patience, myślała Kasandra, gdy schodziła z wicehrabią ze wzgórza. Patience rozpaczałaby jednak w przekonaniu, że zepsuła im dzień. I przecież nic nie mogli dla niej zrobić. Robin potrafi sam zanieść ją do domu i sprowadzić doktora, żeby obejrzał skrzywoną kostkę. Ciotki Altea i Beatrycze zakrzętną się koło niej, jak należy, i poślą po Matyldę.

Przed wypadkiem - choć wcale go sobie nie życzyła - Kasandra szczerze pragnęła pozbyć się w jakiś sposób Patience i Robina. Teraz zaś czuła się niemal winna fatalnego incydentu. Biedna Patience!

- Muszę pani coś wyznać. - Wicehrabia Wroxley przystanął, ujął ją za rękę i spojrzał w jej twarz. - Boję się, że to ja jestem przyczyną wypadku pani kuzynki.

- Ależ skąd. Przecież znajdował się pan daleko od niej. - On chyba też chciał, żeby Robina i Patience tam nie było.

- Kiedy jadła pani śniadanie, wyszedłem na chwilę z panną Gibbons - wyjaśnił - i wtedy podsunąłem jej myśl, by upozorowała wypadek. - Znów spojrzał jej w oczy.

- A więc to było udawanie? - spytała zdumiona. - Patience wcale nie skrzywiła nogi?

- Niestety - rzekł ze smutkiem. - Chciała tak postąpić, ale pośliznęła się naprawdę. Źle postąpiłem, namawiając ją do oszustwa. Nie życzyłem sobie, żeby spotkało ją coś złego, lecz mimo wszystko właśnie tak się stało.

Weszli na zalesione zbocze wzgórza. Gałęzie tworzyły cienisty dach nad ich głowami. Paprocie rosły gęsto po obu stronach

ścieżki. Pachniało ziemią i liśćmi, słysząc było ptasi świergot i słaby szum wodospadu.

- Czuje się pan winien? Ja także, bo również pragnęłam czegoś takiego. Nie wypadku, rzecz jasna, ale... - Nie wyjaśniła, co ma na myśli. Nie musiała zresztą wyjaśniać.

Zrozumiała, że posunęła się daleko. Pojęła to już poprzedniego dnia, po powrocie z wdowiego domu, w nocy, kiedy próbowała zasnąć. Pojęła tego ranka, gdy przypomniała sobie, że mieli tu przyjść razem, sami, i że on miał ją znowu pocałować. Igrała z ogniem.

- Czy powinniśmy wrócić? - spytał.

Owszem, powinni wrócić. Tak byłoby bezpieczniej. W dodatku zasługiwali na karę w postaci wyrzeczenia się miłej przechadzki, którą planowali i na którą z przyjemnością czekali.

Pokręciła jednak przecząco głową.

Coś się zmieniło, myślała, gdy nadal schodzili w dół. Lekki ton, żartobliwe docinki, flirt gdzieś zniknęły. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że znalazła się sama z obcym mężczyzną z dala od domostw i ludzi. Było to niemądre.

Zanim jednak zdążyła pogрузić się w niepokojących rozważaniach, byli już na samym dole i spoza drzew objawił się im widok tak zachwycający, że zaparło jej dech w piersiach, chociaż widziała go już setki razy.

Głęboka sadzawka miała kształt łzy, a odbicia drzew i wzgórz zawsze nadawały wodzie intensywnie zieloną barwę. Paprocie obficie porastały brzegi i zwieszały się nad samą tonią. Wodospad spływał kaskadą z urwiska po drugiej stronie. Skały wszędzie porastał mech. Ze szczelin pomiędzy głazami wyrastały paprocie, a nawet nieduże drzewka.

Gdy się stanęło nad sadzawką, cały świat zdawał się nikać gdzieś bardzo daleko.

- Na Boga - odezwał się wicehrabia - toż to rajski ogród! - W jego głosie tliła się jednak iskierka humoru.

- Ale bez jabłoni.

Ujął Kasandrę za rękę i splótł jej palce ze swoimi. Było to bardziej intymne niż objęcie jej w pasie poprzedniego dnia. Nie flirtował z nią jednak. Patrzył na nią z głębokim szacunkiem, niemalże z lękiem.

- O tak - rzekł w końcu, spoglądając jej w oczy. - Teraz rozumiem, dlaczego jest to pani ulubione miejsce w parku. Wątpię, czy można znaleźć piękniejsze w całej Anglii.

- Albo i na całym świecie.

Zacisnął wargi i jakby sposepniał, lecz po chwili uśmiechnął się pogodnie.

- Z pewnością nigdzie na świecie. Nic nie może się równać z urodą Anglii.

- Często tu przychodziłam jako dziewczynka. Czasem gdy byłam smutna, a czasem - wesoła. Nie miało to znaczenia. Sadszawka łagodzi smutek i zwiększa radość.

- Czy kuzyni przychodzili tu z panią?

- Czasami. - Uśmiechnęła się. - Wspinaliśmy się wtedy na urwisko i pływaliśmy w sadszawce, chociaż jest głęboka. Dzieci nie powinny tego robić zupełnie same, bo to niebezpieczne, ale ja zazwyczaj pływałam właśnie sama. Tu bardzo dobrze być samotnym.

- A teraz zapragnęła pani przyprowadzić tu mnie?

- Jest pan moim gościem. Chciałam panu pokazać wszystko, co najpiękniejsze, milordzie.

- A więc przyprowadza tu pani wszystkich swoich gości?

Nigdy tego nie robiła. Aż do dzisiaj.

- Nie.

- Tylko niektórych?

- Żadnego - szepnęła. - Tylko pana.

- Dlaczego? - spytał bardzo cicho.

Jak mogła mu odpowiedzieć? Czyż dlatego że miał zamiar ją pocałować? Zrobił to przecież na wzgórzu za wdowim domem, nie potrzebowała więc przyprowadzać go aż tutaj. Ale jeśli rzeczywiście kierował nią podobny motyw? Może chciała znaleźć się z nim na jakiś czas w innym, zaczarowanym świecie, żeby mieć potem co wspominać? Żeby wrócić tu za tydzień, za rok, za dziesięć lat i wspominać właśnie tę chwilę?

- Nie wiem - odparła szczerze. Chciała wtajemniczyć go w to, co było dla niej najcenniejsze, najbardziej osobiste. Chciała... Coś się zdarzyło w ciągu ostatnich trzech dni od jej urodzin. Coś, czego nigdy nie pragnęła, nawet teraz, a przynajmniej nie o tej intensywności. A zdarzyło się tak szybko, że była całkiem oszłomiona, podniecona i przestraszona jednocześnie. Spojrzała na sadszawkę, próbując zebrać myśli.

- Wczoraj - odezwał się - powiedziałem, że pocałuję panią, kiedy tu przyjdziemy.

Ten pocałunek wstrząsnął jej światem. Cóż za pompatyczna i bzdurna myśl! Nie potrafiła jednak inaczej tego określić. Ode-rwała wzrok od sadszawki i spojrzała mu w oczy.

- Nie chciałbym wykorzystywać tego, że jest pani z dala od domu i bez przyzwoitki - rzekł, wodząc oczami po całej jej twa-



rzy- Odczuła to jak swego rodzaju pieczętę. - Pocałuję panią jedynie za jej zgodą. Czy mogę? - Znowu zajął jej w oczy.

Zdała sobie nagle sprawę ze swojej zatrważającej ignorancji. Wroxley to człowiek honoru, jak zdawały się świadczyć jego słowa, czy podstępny uwodziciel? Czyżby stryj i ciotki mieli rację co do niego? Nie, na pewno nie, uznała. Nic jej nie grozi. Czowała, że on jej nie skrzywdzi. I nade wszystko chciała znów być całowana. Tu, nad sadzawką, koło wodospadu. Przez niego.

Skinęła głową.

Pocałował ją tak jak poprzednio - lekko, ciepło, powoli, objawszy obiema dłońmi jej talię. Dzisiaj dotyk jego warg nie był już szokujący. Dzisiaj mogła nawet poczuć smak jego ust. Mogła też słyszeć szmer wody i czuć woń paproci. Przesunęła ręce z jego piersi na ramiona. Szerokie, mocne męskie ramiona.

To niedobrze, pomyślała, kiedy uniósł głowę i ponownie zajął jej w twarz - a jego niebieskie oczy były rozmarzone, z opuszczonymi nisko powiekami i bardzo piękne - że pozwala się całować mężczyźnie, z którym nie jest nawet zaręczona i nigdy nie będzie. Ale przecież nic złego z tego nie wyniknie. Tylko to, że nie mogła znieść myśli o rychłym bliskim wyjeździe.

Nagle poczuła, że rozwiązał kokardę jedwabnej wstążki na jej szyi. Uniósł dłoń, zdjął jej słomkowy kapelusz z głowy i pozwolił mu upaść na ziemię.

- Przeszkadzał mi ^ wyjaśnił ze śmiechem.

Jedną ręką objął jej kibić, a drugą ramiona. Przywarła do niego całym ciałem. Pojęła instynktownie, że stało się z nią coś nieodwracalnego. Odkryła własną kobiecość, przedtem jej nieznaną. Teraz, gdy już ją znała, nie chciała o niej nigdy zapomnieć. Nigel językiem okrążał jej wargi, potem musnął je od wewnątrz, wreszcie powoli, głęboko wsunął go do środka.

Usłyszała jęk, lecz nie była pewna, które z nich go wydało. Być może ona. Cofnął się. Spojrzała na niego oszołomiona i zdezorientowana.

- Na miły Bóg - rzekł - sprawiła pani, że całkiem się zapomniałem.

Ona też się zapomniała. Powiodła wokoło wzrokiem, póki nie dotarło do niej, na co patrzy: był to stary pień obrosnięty paprociami, który wielokrotnie służył jej za siedzisko. Podeszła do niego na uginających się nogach i usiadła. Spojrzała na sadzawkę, na wodospad, ponad jego kaskady, wreszcie ujrzała błękit nieba. Głęboko zaczerpnęła tchu.

Nigel stał nieruchomo, bez słowa. Była mu wdzięczna, że pozwolił jej ochłonać. Jakże naiwna się okazała. Oczekiwała jedynie powtórzenia wczorajszego pocałunku, wszystko więc było dla niej niemałym wstrząsem.

W końcu podszedł do pnia i siadł koło niej. Nie odrywał spojrzenia od wodospadu.

- Uraziłem panią? - spytał cicho.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie.

Bardzo lekko dotknął jej policzka i cofnął rękę.

- Moje intencje były uczciwe, milady.

Co znaczyły te słowa? Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Nie byłbym pani pocałował w ten sposób, gdyby nie poniosły mnie namiętności. Przepraszam za to. Nie pocałowałbym jednak pani wcale, gdybym nie chciał ofiarować pani swej ręki i serca. Czy zechce mi pani uczynić zaszczyt, biorąc mnie za męża?

Wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Musi pani wiedzieć - podjął po chwili - jakie uczucia względem pani żywię od pierwszej chwili, gdy panią ujrzałem. A nawet wcześniej, choć może dziwacznie zabrzmie, że pragnąłem pani jeszcze przed jej spotkaniem. Musi pani wiedzieć, że nie przyszedłbym tutaj z panią, gdybym nie zamierzał się oświadczyć.

Nie. Nie wiedziała. O niczym takim nie wiedziała. Był przyjacielem papy. Przybył tu ze zwykłej uprzejmości. Nawiązał z nią błahy flirt. Był wyrafinowanym londyńczykiem, kimś z lepszych sfer, wicehrabią, mężczyzną zamożnym. A ona była hrabianką, zamożną kobietą.

- Nie. - Pokręciła głową.

- Nie rozumie pani? - Ujął jej rękę, lecz ona cofnęła dłoń.

- Nie - powtórzyła jeszcze raz - nie poślubię pana. Nie chcę wychodzić za nikogo. - Ciężko dyszała, jakby całe powietrze uciekło nagle z doliny aż pod błękitne niebo.

- Zatem sprawiłem pani wielką przykrość - rzekł spokojnie. - Czy widok mój budzi w pani odrazę?

Zajrzała mu w oczy. Musiała się dowiedzieć.

- Czy chodzi o mój majątek? - spytała. - O moją posiadłość? Czy jest pan zwykłym łowcą posagów?

Długo nie odpowiadał, ale nie odwrócił od niej wzroku.

- Z tego, co wiem, milady - przemówił wreszcie - wnoszę, że majątek i posiadłość pozostaną własnością pani, a nie męża. Zdołałem też zauważyć, iż ostatnio posiadłość nie prosperowała tak,

jak powinna, albo też nie opłacano należycie jej potrzeb. Kedleston nieco podupadł. Mam własną fortunę i jako pani małżonek chętnie użyłbym jej do przywrócenia pani siedzibie świetności, jaką winna się odznaczać.

Nie wiedziała, czy się gniewał, czy nie. Ani w jego głosie, ani w spojrzeniu nie było nawet śladu żartobliwości. Ale przecież miała prawo zapytać, była pełnoletnia. Nikt nie musiał jej w tym wyręczać, chyba że zwróciłaby się do stryja Cyrusa. Nie chciała jednak, by stryj miał decydować o jej życiu. Mogła uczynić to samodzielnie.

Chciałjąwięc poślubić, tylko dlatego że... że wpadła mu w oko. Zakochał się w niej, tak samo jak ona w nim. Bo była w nim zakochana. Nagła myśl o spędzeniu z nim reszty życia, uczynienia go swym przyjacielem, swoim... swoim kochankiem pociągała ją przemożnie.

Jeszcze kilka dni temu świadomość, że jest wolna, budziła w niej entuzjazm. Wiedziała, że choć jej mąż nie stałby się właścicielem posiadłości, miałby władzę nad jej osobą wedle praw boskich i ludzkich. Byłaby mu winna posłuszeństwo. No i drwiła z samej idei romantycznej miłości! Czy powinna wyrzec się wszystkiego, w co wierzyła, co sobie wymarzyła, czym żyła od śmierci ojca? Czy okazała się taka głupia, tylko dlatego że się zakochała?

- Zaskoczyłem panią - rzekł wicehrabia. - I wzburzyłem. Proszę o wybaczenie. Chciałem tylko wyjawić pani moje intencje. Wydała mi się pani chętną i gotową na przyjęcie moich próśb. Czy może pani rzec „tak” albo przynajmniej dać mi jakąś nadzieję?

Jeśli powie „nie”, on odjedzie i nigdy więcej go nie zobaczy. Czy tego właśnie chciała? Czy wolność warta jest aż takiej ceny? Jeśli jednak powie „tak”, może pożałować tej odpowiedzi już jutro albo może i dziś.

- Potrzebuję czasu, milordzie. Zaskoczył mnie pan i jestem oszołomiona. Nie powiem „tak”, ale też nie mogę powiedzieć „nie”.

Uśmiechnął się blade.

- Nigdy nie znałem damy tak uczciwej. Jak wiele czasu pani potrzeba? Z niecierpliwością będę czekał odpowiedzi, lecz nie nalegam w obawie, że udzielona zbyt pospiesznie mogłaby brzmieć „nie”. Czy jutro nie będzie za wcześnie?

Mogłaby go jeszcze widzieć dziś wieczór i jutro rano. Nie, nie potrafi podjąć decyzji. Jeśli go zobaczy, górę weźmie uczucie do

niego. Ach, to jego czarujące, tęskne spojrzenie! Odwróciła oczy. Musiała się namyślić. Nie chciała, niczym jakaś pustogłowa pan-  
nica, kierować się namiętnością i uczuciami.

- Tydzień, milordzie. Tydzień z dala od pana. •

Milczał przez chwilę.

- Wróćmy do domu - rzekł wreszcie. - Za godzinę powinie-  
nem wyruszyć. Mam umówione spotkanie w Bath i muszę tam  
pojechać. Odczekam tydzień, począwszy od chwili, gdy panią  
opuszczę, nie dłużej.

- Dziękuję. - Znów na niego spojrzała i dostrzegła w jego  
oczach wesołe isierki. Nie mogła jednak rozstrzygnąć, co je  
wywołało. Czy było to rozbawienie? Czy pewność, jaka będzie  
jej odpowiedź? Autoironia? Samoobrona? Zrozumiała, jak mało  
o nim wie. W gruncie rzeczy prawie nic prócz tego, że był przy-  
jacielem papy, a teraz chciał zostać jej mężem.

Nie była to odpowiednia chwila, by go wypytywać. Miała zbyt  
wielki zamęt w głowie.

Wstała, otrzepała suknię, a on podał jej kapelusz. Gdy zawią-  
zała wstążki na szyi, ujął jej dłoń i podniósł do ust, a potem  
uchwycił mocno, by pomóc jej wspinać się po ścieżce. Tak jakby  
potrzebowała pomocy.

Z poczuciem winy zdała sobie sprawę, że odkąd znaleźli się  
nad sadzawką, ani razu nie pomyślała o Patience.

Wracali w milczeniu, wspinając się z trudem pod górę. Czuła,  
że oboje milczą rozmyślnie. Aż do przyszłego tygodnia nie mieli  
sobie nic do powiedzenia. I przez cały ten tydzień się nie zoba-  
czą. Zaniepokoiła ją, a nawet zatrwożyła świadomość, ile dla niej  
znaczy sama myśl o jego nieobecności. Trzy dni wcześniej jesz-  
cze go nie znała. Teraz, gdy on wyjedzie, zjawi się poczucie pustu-  
ki, które odbierze jej jasność myśli.

Gdyby go nie widziała, nie słyszała i nie czuła dotyku jego  
ręki, zapewne mogłaby podjąć rozsądną decyzję. Jakże jednak  
można dokonać rozsądnego wyboru między namiętnością a roz-  
sądkiem, skoro jedno przeczy drugiemu?

- Dostałeś niezłą nauczkę, co, Nigel? - zrzędził Will Stubbs,  
gdy powóz zjeżdżał po pochyłości drogi ku dolinie, wiosce i głów-  
nemu traktowi w oddali.

Nigel spodziewał się wymówek. Opuszczał Kedleston, bo nie  
poradził sobie z kobietą. Ale Will mógł zrzędzić, ile chciał. Mógł  
nawet walnąć pryncypała swą potężną pięścią. Wiedział jednak,  
że nie odwiedzie go tym od podjętej decyzji.

- Napisz jej to w liście, skoro zapominasz języka w gębie, kiedy na nią spojrzysz. Albo, jeszcze lepiej, pošlij do niej kóregoś z zakichanych kauzyperdów, niech on jej powie za ciebie. Toż nic jej nie jesteś winien, chłopie. Oświadczasz się, a ona ci każe czekać cały tydzień! Nieźle z tobą zagrała! Straciła swoją sposobność. Nie bądź mięczakiem, Nigel. Nie oświadczej się jej drugi raz!

Czy naprawdę okazał się mięczakiem? Zaskoczyła go, musiał to przyznać. Myślał, że wszystko mu idzie jak z płatka. Chciała znaleźć się z nim sam na sam, nawet po jego wyznaniu o umowie z kuzynką. Chciała, by ją pocałował, i przyjęła pocałunek z uniesieniem.

Nie wątpił, że przyjmie propozycję małżeństwa. Nawet gdy mu wyjawiała podejrzenia, którymi stryj i ciotki zamęcili jej w głowie, spodziewał się, że zdoła rozwiać jej wątpliwości.

Powóz gwałtownie skręcił, wyjeżdżając z parku na wiejską drogę. Nigel chwycił za rzemienną pętlę. Uśmieszek pojawił się na jego wargach.

Czemu nie narzucił jej swojej woli? Mógł tego dokonać. Słowami. Kolejnym pocałunkiem. Wyraźnie się przecież wahała. Zgodziła się na tak wiele. Mógł to osiągnąć prawie bez wysiłku. Czemu więc zrezygnował? W istocie nie miała wyboru. Żadnego wyboru. W ostateczności mógł jej powiedzieć prawdę. Pozna ją i tak, wcześniej czy później. Czy powstrzymywało go tchórzostwo? A może nie chciał ranić jej uczuć? Nie były mu wcale obojętne. Stąd przecież wziął się jego plan i całoroczne wyczekiwanie. Chodziło mu jednak o sprawiedliwość. Został oszukany. Zdołał się zemścić, ale nie chciał oszukiwać zamieszanej w to niewinnej osoby.

Troska o względy wobec niej nabrała w kilku ostatnich dniach bardziej osobistego charakteru. Była taka niewinna. No i... taka miła. Nie było w niej ani odrobiny podłości. Niczego, co kazałoby mu wierzyć, że zasługiwała na nieznaczne choćby cierpienie.

Może właśnie dlatego wyjeżdżał z Kedleston na cały tydzień.

Zacisnął powieki, gdy dotarło nagle do niego, że prawą stopą zatacza kręgi w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara. Czuł w niej ucisk, ból. Czuł też desperację, paniczny lęk, bezbrzeżną rozpacz. Nienawiść.

Zdołał się przemóc i noga zwiśla bezwładnie. Otworzył okno, żeby wpuścić nieco świeżego powietrza. Poczul na twarzy i pod chustką na szyi wilgotny, zimny powiew. Zaklął pod nosem.

- Boże wszechmogący - stęknął Will - nawet nie potrzebujesz zasnąć, żeby cię zmora nękała? Coś ty, do diaska, ze sobą zrobił?

- Byłem niemądrym młodzikiem - odparł Nigel, przymykając oczy. - Miałem dziewiętnaście lat i ruszyłem na podbój świata. Wystarczyłaby mi zażyła znajomość z Worthingiem, Will. Cieszyłbym się z nawiązania przyjaźni. Nie trzeba mi było niczego więcej. A on od samego początku dostrzegł we mnie śmiertelnego wroga i zadał sobie niemało trudu, żeby stać się moim śmiertelnym wrogiem. Wpadłem w pułapkę.

- Ale odpłaciłeś mu się - mruknął William. - Słodka to była zemsta. A byłaby jeszcze słodsza, gdybyś się nie zaczął roztkliwiać nad jego córuchną.

O tak, cieszył się zemstą, wyczekiwaną i przebiegle obmyślaną przez prawie osiem lat. W tym, co sobie zamyślił, więcej było prawości i sprawiedliwości, niż przypuszczał Will.

- Po co się z nią cackasz? - odezwał się Stubbs. - Po co wsadzać jej to, co wiesz, pod kieckę? Żeby się jej tam zaległo coś małego? Nieczystą ma krew, ot co, choć diablo z niej ładna sztuka i miło byłoby trochę na niej pojeździć. Poszukaj sobie lepiej jakiejś porządnej dziwki, Nigel, co wie, jak to zrobić prędko, a dobrze.

- Stul pysk, Will - warknął Nigel - jeśli cenisz sobie naszą przyjaźń. Skończy się ona całkowicie i nieodwołalnie, jeżeli jeszcze raz wyrazisz się w mojej obecności o hrabiance Worthing bez należytego uszanowania.

Nieczysta krew. Krew obydwójga połączyłaby się w ich dziecku. I coś by się wtedy oczyściło. Coś, co z początku było złe, zostałoby naprawione. Coś, o czym Will Stubbs nie wie i nigdy się nie dowie. Kiedy przyjdzie na świat ich dziecko, on wreszcie zna spokoju. Sprawiedliwości stanie się zadość.

Tydzień. Musiał czekać przez cały tydzień. A co potem?

- Boże w niebiesiech! - burknął William. - Byłeś tam, wyjechałeś i przegapiłeś sposobność, co, Nigel? Dzierlatka jeszcze nie straciła dla ciebie głowy, chętnie byś jej dosiadł. Tylko nie mów, że stary Stubbs cię nie przestrzegął.

- Dzięki, Will - rzekł Nigel z bezbrzeżnym znużeniem w głosie. - Nigdy tak nie powiem. Tylko że, jak zwykle, mylisz się w tej materii. Pewnie za długo musiałeś się obywać bez baby. Może to naprawisz, kiedy dojedziemy do Londynu.

- Do Londynu? - spytał Will z nadzieją. - Myślałem, że jedziemy do Bath!

- Do Londynu - uciał Nigel. - Na tydzień. Potem wracamy tutaj.
  - Niech to diabli! - zaklął William. - Ledwo sobie przypomnę, jak to się robi, a już będę musiał wracać!
  - Tutaj też są kobiety. Nie mógłbyś się z którąś ożenić? Na wsi ludzie przywiązują więcej wagi do moralności.
- William parsknął wyzywająco.

## ROZDZIAŁ 10

Państwo Havelock wrócili do Willow Hall dwa dni później, zadowoleni, że ich bratanica uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa, i przekonani, że za jakiś czas nabierze rozumu i wyjdzie za Robina. Choć nie stałoby się nic strasznego, gdyby to małżeństwo nie doszło do skutku, dumał pan Havelock, który sądził po cichu, że Kasandra winna poślubić kogoś bliższego jej pozycją niż jego pasierb. Pani Havelock zaś uważała, iż syn postąpiłby mądrzej, żeniąc się z osobą nieco poniżej jego stanu. Oboje więc z zadowoleniem uznali, że wszystko się dobrze ułoży przyszej wiosny, kiedy wyjadą do Londynu, gdzie Kasandra znajdzie w końcu męża, a Kedleston- nowego pana.

Robin uznał, że powinien okazywać wszelką pomoc kuzynkom. Kasandra potrzebowała jego wiedzy i porad, ucząc się, jak należy kierować gospodarstwem. Sądził wprawdzie, że ta niemądra zachcianka szybko jej przejdzie, lecz ciotki Beatrycze i Matyldę należało upewnić, że zaofiaruje ich upartej bratanicy i wsparcie, i rady.

A Patience? No cóż, Patience, należało odwiedzać i gawędzić z nią tak często, jak tylko można. Nigdy się nie skarżyła, że z jego powodu skręciła nogę, wręcz przeciwnie. On jednak winił siebie i rozpaczliwie pragnął dzielić jej ból. Doktor nakazał, żeby nie próbowała chodzić co najmniej przez tydzień. To Robin każdego ranka prznosił ją z łóżka na szezlong w bawialni, a z szezlonga na łóżko wieczorem.

- Zdaje się - rzekła mu Kasandra pewnego wieczoru, kiedy oboje wracali do Kedleston - że coraz bardziej ją lubisz.

- Patience? Przecież zawsze ją lubiłem, kuzynko.

Kasandra roześmiała się. Solidny, odpowiedzialny, pozbawiony wyobraźni Robin nie dostrzegał miłości tuż koło siebie! Miała jednak nadzieję, że w końcu ją zauważy. Traktował młodszą

kuzynkę z niecodzienną u niego serdecznością. Potrzebował kobiety, którą mógłby otoczyć opieką, Patience więc pasowała do niego idealnie. No i oczywiście uwielbiała go.

Kasandra miała mnóstwo zajęć od rana do wieczora. Prowadziła dom, co zresztą czyniła już od paru lat, odwiedzała sąsiadów, przyjmowała wizyty składane jej w rewanżu. Stanowiło to część zwykłej rutyny. Często posyłała po uboższych dzierżawców i wyrobników. Wzywała też do siebie kobiety, by dać im żywność. Czytywała starszym, bawiła się z dziećmi. Chętnie rozmawiała z mężczyznami, słuchając ich, ucząc się i planując prace. Każdego dnia spędzała godzinę z rządcą nad księgami rachunkowymi lub na farmach. Uczyła się tego, czego uczono by ją od dziecka, gdyby była chłopcem.

Uparła się, że zdobędzie tę wiedzę i zasłuży na taki sam szacunek, jakim cieszyli się właściciele ziemscy, których dobra graniczyły z ziemiami Kedleston. Postanowiła, że będzie niezależna i wolna.

Wolność. Myślała o niej często przez cały tydzień, nawet gdy chciała skupić się na bliższych sprawach. Dzięki przychylności fortuny zyskała możliwości nieznane innym kobietom. Byłoby głupie, gdyby zrezygnowała z wolności tak wcześnie, nim się nią zdążyła nacieszyć. W dodatku dla kogoś obcego. Teraz, gdy nie widywała go codziennie, zrozumiała, jak bardzo wicehrabia Wroxley był jej obcy. Nie wiedziała o nim prawie nic.

Postąpiła tak niemądrze, jak się spodziewano po kobiecie. Spotkała obcego, przystojnego mężczyznę, w dodatku eleganckiego, ujmującego i szarmanckiego, i zadurzyła się w nim bez żadnego rozsądnego powodu. Jediną rozumną rzeczą była zwłoka w odpowiedzi na jego małżeńską propozycję i wyprawienie go z Kedleston, tak by mogła oprzytomnieć. Żałowała, iż nie wie, gdzie się w Bath zatrzymał. Napisałaby wtedy do niego, aby nie przyjeżdżał więcej. Obawiała się ponownie stanąć z nim twarzą w twarz!

Nikomu nie powiedziała o oświadczeniach wicehrabiego. Każdy sądził, że nastąpiło jakieś nieporozumienie co do jego intencji albo że zniechęciła go do siebie i pojechał gdzie indziej na poszukiwanie żyznych pastwisk, jak się obrazowo wyraziła ciotka Beatrix. Wszyscy jej gratulowali, że nie padła ofiarą człowieka, który najwyraźniej nie miał nic więcej do zaoferowania poza urokiem, wytwornymi manierami i kosztownymi zapewne nawykami.

Była bliska zwierzenia się Patience, którą wyraźnie przygnębił nagły odjazd gościa i która czuła, że wina musiała leżeć po



stronie kuzynki. Kasandra jednak powiedziała tylko, że przyznał się jej do małego spisku ze skruceniem nogi i że ją pocałował. Słyszając to, Patience klasnęła w dłonie i oświadczyła, iż lord Wroxley z pewnością powróci.

- Pojechał naradzić się z ojcem i rodziną, możesz być pewna! O tak, poprosi ich o błogosławieństwo, a potem wuja Cyrusa o twoją rękę. Chociaż nie, wcale nie musi tego robić. Wystarczy, że poprosi ciebie. Och, Kasandro!

- Nie wyjdę za niego. Ani za nikogo innego - odparła stanowczo Kasandra.

Patience zaśmiała się i opadła na poduszki. Wyraz jej twarzy wyraźnie świadczył, że ani trochę nie wierzy, żeby wszystko było stracone.

Kasandra jednakowoż zamierzała powiedzieć „nie”. Bardzo stanowcze „nie”, bo może znów poczuje pokusę. Z początku będzie pewnie żałować, ale szybko się otrząśnie. Ich znajomość trwała przecież krótko, a w niej samej nie było nic takiego, co wzbudzałyby głębsze uczucia mężczyzny. Nie odznaczała się wybitną urodą i z pewnością brak jej było wyrafinowania, do którego bez wątpienia wicehrabia przywykł w Londynie. Nim minie kolejny tydzień, zapomni o niej. Może nawet wcale nie powróci. Po przybyciu do Bath, gdzie odnajdzie znajome osoby i właściwe mu towarzystwo, zrozumie, że o mały włos nie zrobił głupstwa.

Przez cały tydzień rozsądek brał w niej górę, choć nocami miała dziwne sny, a we dnie zdarzało się jej marzyć na jawie. Przekonywała jednak samą siebie, że to całkiem naturalne. Była wszak kobietą z krwi i kości. Miała pewne potrzeby jako ludzka istota i jako kobieta. Zdecydowała, że wybierze te pierwsze, a te drugie postara się trzymać na wodzy przynajmniej przez kilka lat. Rzecz jasna, nie wyrzeknie się ich na zawsze, teraz jednak jednak przedłoży rozum nad namiętności.

Na dzień przed upływem wyznaczonego terminu wybrała się razem z Robinem do wdowej rezydencji. Nie zabawiła tam długo. Miała coś przeczytać i przyrzekła sobie, że zrobi to wieczorem, następny dzień bowiem zapowiadał się burzliwie. Szczerze zresztą pragnęła, by jak najszybciej dobiegł końca, bo wtedy prędzej potrafi zapomnieć o nim. Robin z kolei postanowił dotrzymać towarzystwa Patience, gdyż ciotka Matylda wybrała się do wioski. Kasandra musiała więc wrócić sama.

Dzień był prawdziwie piękny. Chłonęła jego ciepło, od czasu do czasu odchylając w tył głowę, by słońce mogło wnikać pod

rondo kapelusza i ogrzać jej twarz. W taką pogodę trudno był skupić się na czymkolwiek. Im bardziej próbowała nie myśleć o jutrze, tym mniej myślała o wszystkim innym.

Przeszła koło lipowego lasu, podziwiając wysokie drzewa po obu stronach i szeroką, porośniętą trawą aleję między nimi. Nagle przystanęła z nierówno bijącym sercem, z chaosem w głowie. Stał niemal na samym krańcu lasu, bez ruchu, tak jakby zobaczył ją, zanim ona dostrzegła jego. Był odziany w modny strój o różnych odcieniach jasnej szarości. Włosy miał upudrowane. Nie nosił kapelusza i był bez laski; widocznie zostawił je w domu. Wyglądał niby księżę z bajki, pomyślała.

Wyglądał też dziwnie swojsko, jak ktoś dobrze jej znany i całe życie kochany. Zdała sobie sprawę z gwałtownym, irracjonalnym uniesieniem, że tydzień bez niego był przeraźliwie pusty, że jej życie stało się nie do zniesienia ubogie.

Ruszyła powoli ku niemu, rozpaczliwie próbując przywołać w pamięci wszystkie swe rozsądne myśli z minionego tygodnia. Gdy podeszła nieco bliżej, dostrzegła, że jego oczy są w niej utkwione i że igrają w nich radosne błyski. Co za bzdura! Znajdowała się za daleko, by dostrzec wyraz jego oczu.

Nie poruszył się, póki nie zastygła nieruchomo kilka metrów od niego. Nie rozłożył na jej widok ramion, wyciągnął tylko dłoń w geście oznaczającym zarazem rezygnację i powitanie.

Przebiegła resztę drogi. Ramiona same uniosły się jej w górę i oplótły jego szyję. Objął ją w talii i pocałował. Poczwała - bo myśleć nie potrafiła - że oto znalazła się w domu i że ogarnia ją szczęście, w którym jest równie wiele bólu, co radości.

Potem spojrzeli sobie w oczy, ale on nie odwzajemnił jej uśmiechu.

- Proszę o odpowiedź. Nie mogę dłużej żyć w niepewności. Na mą duszę, nie zdołałem czekać cały tydzień. Proszę powiedzieć albo tak, albo nie. Cokolwiek.

- Tak. - W jej głosie nie było wahania, a w sercu wątpliwości. Rozum nie brał w tym udziału. - Tak. Tak. Tak.

Roześmiali się jednocześnie, a on uniosł ją w górę, tak że jej stopy oderwały się od ziemi, i zakręcił nią wkoło. Świat nigdy nie był piękniejszy ani szczęście większe.

Były w niej jakby dwie różne osoby. Jedna - trzeźwa - w pełni zdawała sobie sprawę z tego, co się stało. Druga - niezważająca na nic, porwana namiętnością - znalazła swą jedyną miłość. Ta druga pragnęła odrzucić wszystko, co dotąd miało w jej życiu znaczenie, na rzecz uczucia. Ta pierwsza, rozumna kobieta, któ-

„a stała jakby z boku, wiedziała, że ofiara byłaby zbyt wielka, zwłaszcza iż miała się dokonać na rzecz kogoś niemal obcego. Ta druga, pełna uczucia, znała go od zawsze i miłowała całym sercem. Ta rozsądna odtrącała wzgardliwie wszelkie sentymentalne brednie i widziała tylko mężczyznę, którego w gruncie rzeczy wcale nie zna.

Tyle że namiętność wzięła nad nią górę.

- Nie przestałem o pani myśleć ani na chwilę. Nie mogłem spać, a jeśli nawet zasypiałem ze znużenia, śniło mi się, że powie pani „nie”. Że to musi być „nie”. Cóż bowiem mogę ofiarować komuś tak pięknemu i pogodnemu jak pani poza moim sercem?

- To wszystko, czego pragnę.

- A więc należy ono do pani. Na całe życie, a może jeszcze dłużej.

- Moje zaś - odparła - należy do pana. ~ Znów się roześmiała. - Jakże panu na imię, milordzie? Nawet tego nie wiem!

- Nigel.

- Nigel. - Wyrzekła to słowo na głos i radowała się nim po cichu. Nigel. Tak go nazywali tylko ci, którzy byli mu najbliżsi: rodzina, krewni, zaufani przyjaciele. Tak będzie go nazywać ona, kiedy zostaną małżeństwem. Nie był już dla niej wicehrabią Wroxleyem. Był Nigelem.

- Tak, Kasandro.

Wymówił jej imię jak każdy inny, ale w jego ustach brzmiało inaczej. Jak pieszczota.

- Pobierzemy się jutro rano - rzekł. - Otrzymałem specjalne zezwolenie. Nie byłem wcale w Bath. Pojechałem prosto do Londynu. Jeśli zdołałem stąd odjechać - mówiłem sobie - zdołam też dotrzymać obietnicy i czekać przez cały tydzień. Jeśli zdołam otrzymać zezwolenie, potrafię też przekonać siebie samego, że twoją odpowiedzią będzie „tak”.

- Jutro? - Opuściła ramiona, którymi obejmowała go za szyję. - Jutro? Och nie, to za wcześnie.

Dopiero teraz dotarło do niej znaczenie tego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich paru minut. Świadomość poczęła brać górę nad radością, że widzi go ponownie. Co? Mają się pobrać jutro? Potrzebowała czasu. Musiała to przemyśleć.

- Zbyt wcześnie? - spytał. - Kasandro, nawet za godzinę od tej pory nie byłoby za wcześnie. Musimy rozstać się na całą noc, nim nadejdzie jutro.

Poruszyła wargami, lecz zabrakło jej słów do wyrażenia chaotycznych myśli. Co ona zrobiła?!

- Znów cię przestraszyłem. - Rozluźnił uściski teraz przytrzymywał ją tylko dłońmi talii. - Co musisz teraz myśleć o mnie i o mojej porywczoci? Twego stryja i ciotki nie ma już w Kedleston, prawda? Pewnie chcesz ich zawezwać. Pewnie też chcesz prosić o parę dni zwłoki, żeby urządzić weselne przyjęcie i zaprosić sąsiadów. Pewnie pragniesz obmyślić strój ślubny. Wszystko to wymaga czasu. No i pewnie chciałybyś przystroić dom i kościół kwiatami.

- A twoja rodzina? - spytała. - Chyba będziesz chciał po nią posłać? Skąd przyjadą? Nie wiem nawet, gdzie się znajduje twój dom i posiadłość.

- Mam tylko siostrę - rzekł obojętnym tonem. - Daleko stąd. O wiele za daleko. Zająłoby to zbyt dużo czasu. Możesz poznać ją później.

Nie ma żadnej rodziny prócz siostry? I nawet jej nie chce zaprosić na ślub? Ani nikogo z przyjaciół?

- Chodź - rzekł, podając jej ramię. - Wejdźmy do domu. Tam powiemy wszystko lady Beatrycze. Jeśli napiszesz do stryja, można będzie wysłać list jeszcze dzisiaj. Otrzyma go jutro albo pojutrze.

Czuła, że wszystko zaczyna wymykać się jej z rąk. Przeleżała się.

- Proszę cię - powiedziała - poczekajmy. Tylko do jutra. Dzisiaj spodziewam się gości na obiedzie. Mają zagrać potem ze mną w karty. Zachowajmy wszystko w sekrecie. Tylko do jutra!

- A czemuż to, mój mały tchórze? - spytał. Oczywiście miał rozeźmiane. - Czy wróciłem za wcześnie? Jak to wytłumaczymy? Co sobie pomyśli twoja ciotka? A sąsiedzi?

- I Robin - dodała. - On wciąż jeszcze tu jest. Mogą sobie myśleć, co chcą, milordzie. Kedleston należy do mnie. Przed nikim nie muszę się tłumaczyć.

- Milordzie?

- Nigelu. - Uśmiechnęła się, czując, jak gwałtownie rośnie jej miłość do niego i zarazem niepokój. Rozsądek i namiętność toczyły ze sobą nieustanną walkę.

- A więc pozostanie to naszym wspólnym sekretem aż do jutra - zdecydował. - Twój sąsiedzi pomyślą, że jestem pożałowania godnym niedorajdą, niezdolnym skłonić cię do udzielenia ostatecznej odpowiedzi. Niech idą do diabła! Dotrzymam sekretu.

Zaśmiała się i nagle poczuła, że jest najzupełniej szczęśliwa, położyła rękę na jego mankiecie, a on nachylił się i ucałował ją, nim ruszyli ku Kedleston.

Do jutra zdoła jakoś zebrać rozproszone myśli. Do jutra zdąży posłać po stryja Cyrusa, da sobie radę z ciotkami i Robinem. Jutro zaś pomyśli, jak urządzić wesele. Wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Kochała go. Nigdy nie byłaby bez niego szczęśliwa. Mogła wybrać albo wolność i samotność, albo szczęście i więzy małżeńskie.

W istocie więc nie miała wyboru.

- Tak się cieszę, że przyjechałeś cały dzień wcześniej - rzekła i promiennie się uśmiechnęła. - Czekanie do jutra dłużyłoby mi się niemiłosiernie.

- Trwałoby za długo o całą wieczność - zgodził się, gdy wyszli z lipowego zagajnika na trawnik i objawił się im wspaniale kwitnący ogród.

Nie zdołam zasnąć, pomyślał Nigel, nawet jeśli się położę. Stał przy otwartym oknie sypialni, z rękami wspartymi na parapecie, patrząc na ogród skąpany w świetle księżycy.

Wrócił tam, gdzie powinien wrócić. Przemożnego uczucia, że zbliża się do domu, doświadczył już wtedy, gdy jego powóz wjechał na stromiznę drogi od strony wsi. Wcale nie chciał stąd wyjeżdżać, a przynajmniej nie na długo. Nie było powodu do wyjazdu. Arii potrzeby. Wszystko, czego kiedykolwiek w życiu pragnął, znajdowało się tutaj.

Wyglądało na to, że ma przed sobą długi okres spokoju.

Dokonał wszystkiego, co sobie zaplanował, chociaż zajęło mu to kilka dni dłużej, niż się spodziewał. Prócz tego Kasandra jeszcze się trochę opierała. Uważał to za zrozumiałe. Wszak kobieta, nawet zakochana, potrzebuje nieco więcej czasu na urządzenie własnego wesela niż połowa popołudnia i jeden wieczór. I oczywiście chciała, by na ślubie pojawili się krewni i przyjaciele, ci zaś mieszkali przynajmniej piętnaście kilometrów stąd, jeśli nie więcej. Okazywał cierpliwość przez cały długi rok, teraz jednak, gdy był prawie u celu, czas oczekiwania mu się dłużył niemiłosiernie.

Jej ciotka wyglądała na zgorszona. Barr-Hampton sprawiał wrażenie, jakby go chciał zamordować. Nie wiedzieli wprawdzie, czemu powrócił, musiało to jednak wzbudzić w nich podejrzenia. Dlaczego wrócił tak szybko? Gdyby nie to, że Kasandra miała wieczorem gości, Barr-Hampton z pewnością spytałby go

o intencje, jak uczynił jego ojczym tydzień wcześniej. Zresztą Havelock pewnie wkrótce przyjedzie. Wiadomość o jego powrocie bez wątpienia wysłano już do Willow Hall.

Dokonał więc wszystkiego, o czym marzył przez tyle lat. Pokochała go. Chciała za niego wyjść. Kiedy pozna prawdę, chyba się z nią pogodzi. A jeśli nie, będzie się musiała nauczyć z tym żyć. Nie chciał jej krzywdy.

Nawet Will Stubbs pogodził się z nieuniknionym. Gdy usłyszał nowinę, łypnął tylko groźnie jedynym okiem i wymamrotał pod nosem jakąś mroczną przepowiednię.

Kiedy się pobiorą, Nigel będzie mógł wreszcie skończyć z dawnym błędem. Za sprawą ich dziecka ład zostanie przywrócony. Może było to sentymentalne marzenie, ale marzenia bywają ważne.

Przez wiele lat były dla niego wszystkim, gdyż rzeczywistość okazała się nie do zniesienia.

O tak, hrabina Worthing musi go poślubić. Był już prawie u celu.

Nagle coś za oknem przykuło jego uwagę. Zaczął wpatrywać się intensywnie w trawnik i drzewa poza nim. Tak, nie mylił się. Coś się tam poruszało. A raczej ktoś. Kobieta w jasnym stroju, z ciemnymi rozpuszczonymi włosami. Musiała wyjść tylnymi drzwiami. Kierowała się ku drzewom. Szła powoli, bez pośpiechu.

Widocznie tak jak on nie potrafiła zasnąć, ale - mądrzejsza od niego - wolała wyjść na zewnątrz, zażyć ruchu i powietrza. Nie widział jej wyraźnie, lecz domyślał się, kim jest. Na pewno nie służącą. Może zapragnęła samotności, pomyślał. Może chciała przemyśleć wydarzenia ostatniego dnia. A może miała dosyć rozmyślań.

Noc była ciepła. Nie tracił czasu na włożenie surduta czy kamizelki. Zbiegł po schodach, wyszedł przez francuskie okno sali balowej, szybko przemierzył ogród i znalazł się na trawniku w sam czas, by dojrzeć, że weszła między drzewa. Nie zawędrowała daleko. Stała wsparta o jeden z pni, patrząc na księżyc i gwiazdy.

Nie wydawała się zaskoczona, kiedy stanął przed nią. Spojrzała na niego ze słabym uśmiechem, jakby się go spodziewała. Miała na sobie jedwabną suknię bez sznurówki i rogowych ob ręczy. Z rozpuszczonymi włosami wyglądała pięknie i pociągająco.

Mógł teraz wreszcie powiedzieć jej prawdę. Pewnie wysłuchałaby jej spokojnie, wciąż z tym samym słabym uśmiechem na

twarzy. Może jego obawy były przesadne? Może nie przygnębiłoby to jej aż tak bardzo.

Mógł też nie mówić nic i tylko rozwiąć jej wątpliwości, bo to bez wątpienia one przyprawiały ją o bezsenność. Mógł sprawić, by nabrała pewności. Całkowitej pewności.

- Jakie ciemne - rzekła cicho.

- Ciemno? Przecież księżyc świeci dosyć jasno.

- Myślałam o twoich włosach. - Rozsupłała przytrzymującą włosy kokardę na jego karku. Opadły mu falami na ramiona i okoliły twarz. Zanurzyła w nich palce i przybliżyła jego twarz ku swojej.

Zdecydował się błyskawicznie. Uwodzicielskie zabiegi były zbędne. Całował ją delikatnie, póki nie nabrał pewności, co mu ofiarowywała, czego może w swym niezdecydowaniu pragnęła. Potem rozwiązał jedwabną szarfę, którą była przepasana, i zsunął suknię z jej ramion wraz z bielizną. Ujął jej obnażone piersi w obie dłonie. Jęknęła cicho, gdy począł kciukami muskać brodawki. Zesztywniał w nagłym przypływie podniecenia, kiedy wygięła się w łuk i przylgnęła ciasno do niego, gorąca i pełna pragnienia.

Nie chciał brać jej od razu, choć jej namiętność zdawała się tego żądać. Nie chciał, żeby swoje pierwsze doświadczenia miłosne wspominała jako akt brutalny, chociaż mogłoby jej to przynieść zadowolenie. Nie postąpił z nią tak, jak oczekiwała. Miała przecież zostać jego żoną. Dzisiejsza noc mogła rozstrzygnąć o tym, jakie będzie ich całe przyszłe życie.

Przygotował ją do tego, co miało nastąpić - rękami, ustami, czułymi słowami, póki nie zaczęła omdlewać, gotowa sprostać szokowi pierwszego miłosnego aktu.

- Połóż się - szepnął. Położył się na niej całym ciałem. Wsunął nogi między jej uda, tak że mogła odczuć jego podniecenie na długą chwilę przedtem, zanim się z nią połączył.

- Naucz mnie kochać się, jak należy - szepnęła.

Uniósł się nieco, aby zdołała się cofnąć przed tym, co miało nastąpić, gdyby taka okazała się jej decyzja. Nie cofnęła się. Ukląkł więc nad nią, uniósł jej halki i rozpiął guziki swych spodni, by zyskać swobodę ruchów.. Potem ułożył się między jej udami i nakrył ją swoim ciałem, wspierając się na łokciach.

Patrzył na jej twarz. Oczy miała zamknięte i przygryzała dolną wargę. Gdy powoli, lecz zdecydowanie w nią wniknął, drgnęła z bólu. Zagłębił się w niej i poczekał, aż bolesne napięcie zniknie

z jej ciała i twarzy. Oddychał powoli, wysiłkiem woli panując nad sobą. Była wilgotna, gorąca, spięta.

Zaczął wykonywać mocne, głębokie pchnięcia. Jego początkowe, gwałtowne podniecenie znikło. Odprężyła się i leżała spokojnie, z rękami rozrzuconymi na trawie. Nie było w niej jednak nagłej zmiany uczuć. Doznawała nowych wrażeń, pomyślał nie bez pewnego rozbawienia. Chciał, żeby tej nocy tak właśnie było.

Poruszał się w niej kontrolowanym, regularnym rytmem, aż poczuł, że nie może dłużej powstrzymać momentu spełnienia. Trwał w niej nieruchomo, głęboko. Wreszcie odetchnął pełną piersią, gdy wytrysnęło nasienie.

Nie pozwolił jednak, by jego świadomość uległa osłabieniu wskutek doznania fizycznej satysfakcji. Ani na chwilę. Wycofał się z niej i położył obok, a potem objął ją obiema rękami i pocałował delikatnie w usta.

- Moje kochanie - wyszeptał - dziękuję.

- Nigel - rzekła cicho.

- Bolało cię?

- Tak. - Westchnęła. - Ale myślę, że to polubię.

Jej rozbijająca szczerość go zaskoczyła.

- Wkrótce będziesz wiedziała na pewno, że to lubisz. Nim upłynie kilka nocy. Rozumiesz chyba, że teraz już nie ma odwrotu, prawda?

- Ciesz się mnie to. Czuję się taka zagubiona, kiedy ciebie przy mnie nie ma.

- Zostanę z tobą, kochanie, na całe życia.

Znowu westchnęła.

- Sądzę, że to najbardziej lubię.

Taka ufna, taka niewinna, myślał, trzymając ją w objęciach, póki nie zapadła w sen.

Starał się, żeby jej pierwszy raz - na twardej ziemi - wypadł jak najlepiej. On też czuł wielką satysfakcję, choć przez ostatnie dwa lata starannie wybierał kochanki tylko spośród kobiet słynących ze zręczności w sztuce miłosnej.

Niewinność, ignorancja i brak doświadczenia okazały się nieoczekiwane bardzo pobudzające.

Był to jednak, tak czy inaczej, tylko seks. Mimo że chciał ją oszczędzać i że budziła w nim czułość. Jej niewinność szybko zniknie. Chciał jednak osłaniać ją, obronić przed otchłanią, która pochłonęła jego, gdy miał niespełna lat dwadzieścia.



lub hrabiny Worthing odbył się, jak ustalono wcześniej, pięć dni po powrocie wicehrabiego Wroxleya do Kedleston. Zaproszono rodzinę, sąsiadów i przyjaciół panny młodej. Prawie wszyscy przybyli na uroczystość. W tym zakątku hrabstwa Somerset podobne okazje nie trafiały się często. Nie zaproszono jednak nikogo z krewnych i przyjaciół pana młodego - nawet znajomych z Bath, u których zatrzymał się tydzień wcześniej - choć było na to mnóstwo czasu, jak zapewniała go Kasandra w desperackim niemal przekonaniu, że powinien przecież mieć przy sobie kogoś bliskiego w tym jakże ważnym dniu jego życia. On wszakże odparł, że będzie przecież ona, a tylko ona się dla niego liczy.

Spotkali się z gwałtownym sprzeciwem, jak tego oczekiwali, i wysłuchali wszelkich spodziewanych argumentów. Wszyscy perswadowali Kasandrze, że postępuje wyjątkowo niemądrze. Wszyscy z wyjątkiem lady Matyldy, która uważała, że to niebywale wręcz romantyczne. Pozostali jednak przekonywali, że powinna poczekać, póki stryj Cyrus, Robin lub jej doradca prawny - jeśli już się upiera, by działać niezależnie od woli krewnych - nie dowiedzą się czegoś więcej o wicehrabim Wroxleyu, o jego pozycji, majątku i koneksjach. Powinna też spisać przed ślubem intercyzę.

Odrzuciła wszystkie rady. Umowę przedślubną uznała za zbędną. Miała przecież własny majątek. Jeśli zaś chodzi o zbadanie jego tożsamości, to dowie się o niej więcej po ślubie. Często zadawała Nigelowi pytania dotyczące jego, rodziny, domu, wykształcenia, podróży. Nigdy nie odmawiał odpowiedzi. Nigdy też nie zbywał jej pytań półsłówkami ani nie próbował okrywać niczego tajemnicą. Nieufność budził w niej tylko fakt, iż niekiedy z pewnością pomijał istotną treść jej pytań lub udzielał interesujących, dowcipnych wyjaśnień, o które wcale nie prosiła.

Nie miało to jednak większego znaczenia. Czuła, że posiada o nim znacznie głębszą wiedzę niż ta, jakiej mogłyby jej dostarczyć błahe szczegóły z jego przeszłości. Był ciekawym, zabawnym, błyskotliwym towarzyszem. Musiał zdawać sobie sprawę z wrogości jej krewnych - wcale się z nią zresztą nie kryli - lecz jego zachowanie względem nich nigdy nie uchybiało grzeczności.

Najważniejsze zaś było to, że mu się oddała. Słowo dała mu w lipowym zagajniku tego wieczoru, kiedy powrócił, a ciało - tej

samej nocy. Chwilami wypadki owej nocy wydawały się jej nie-realne, nie tylko dlatego że w ogóle nastąpiły, lecz i dlatego że przeciw nim nie zaprotestowała ani nawet nie pomyślała o protestie. Były takie oczywiste, takie... nieuniknione.

Wiedziała, że skoro oddała mu się ciałem, mogła zająć w ciążę. Nie mogła więc uchylać się od wyjścia za niego, gdyby nawet chciała. Ta noc zniweczyła wszystkie jej wątpliwości, wszystkie wewnętrzne rozterki.

Nie odczuła rozkoszy ani nawet przyjemności. Doznała tylko bólu i zażenowania. Jednak pod względem emocji było to coś o wiele potężniejszego, niż mogła sobie wyobrazić. Nie zdawała sobie sprawy, co dzieje się między mężczyzną i kobietą uwikłanymi w intymność. Nie miała pojęcia, iż on może wnikać w nią tak głęboko i czynić to z tak bardzo męską siłą i wigorem, że nie zostanie w niej ani śladu prywatności i sekretu.

Tej nocy cała mu się oddała. Posiadłszy jej ciało, posiadał też na zawsze ją samą.

Nie potrzebowała umowy przedślubnej. Nie potrzebowała badać jego życia z czasów, kiedy go jeszcze nie znała. Miała o nim wiedzę zbyt głęboką, by podobne błahostki mogły mieć znaczenie. Jej miłość była zbyt głęboka.

Przygotowania do ślubu biegły swoim torem, ona zaś przygotowywała się do tego, by czynić na przekór oczywistym utrapieniom i złym przeczuciom wszystkich, którzy troszczyli się o nią aż do dnia jej dwudziestych pierwszych urodzin.

Jako mąż lady Worthing, Nigel musiał przenieść się po ślubie z przydzielonej mu wcześniej sypialni do pokoiów hrabiowskich, tuż obok pokoiów Kasandry. Włożył ślubny strój o wiele wcześniej, niż było trzeba, i udał się do kościoła na długo przedtem, niż musiał to uczynić. Każdemu wydawało się bowiem ważne, by nie widział panny młodej, nim staną razem u ołtarza.

William Stubbs, który nie chciał wyruszyć do kościoła za wcześnie, by tym samym nie wywoływać konsternacji wśród służby - zresztą wywoływał ją i tak, zarówno swoim wyglądem, jak i sposobem wystawiania się - postanowił przenieść niektóre z rzeczy swego pana do nowych pomieszczeń. Stał właśnie w garderobie hrabiowskiej i układał przybory do golenia na umywalce, gdy otwarły się sąsiednie drzwi wiodące do ubieralni Kasandry i stanęła w nich lady Worthing we własnej osobie.

Nie włożyła jeszcze ślubnej sukni. Narzuciła na siebie tylko białyjedwabny peniuar. Stopy miała bosc. Nieupudrowanewłó-

„y spływały jej luźno na plecy. W rękę trzymała czerwoną różę, przeszła przez garderobę i położyła dłoń na gałce drzwi prowadzących do sypialni hrabiego. Dopiero w tym momencie spostrzegła, że nie jest w pokoju sama. Odwróciła gwałtownie głowę i zamarła z przerażenia. Krzyknęła ze strachu.

- Kim pan jest? - spytała.

William przyzwyczajony był do tego, że wzbudza strach. Nawet uodpornione na wszystko ulicznice, z którymi się zadawał, by uczynić zadość cielesnej potrzebie, zazwyczaj szły z nim, bo bały się odmówić, a nie z chęci zarobienia paru groszy. Mimo to nie zwykł traktować ich po grubiańsku ani żądać od nich czegoś więcej niż szybkie, a energiczne, zgoła prymitywne świadczone usługi. Znalazło się jednak kilka takich, które wręcz sobie chwaliły, iż przychodził do nich drugi czy trzeci raz.

William Stubbs uśmiechnął się - a był to raczej grymas niż uśmiech, jak kiedyś rzekł mu z rozbawieniem Nigel - i pochylił głowę w geście zbliżonym do ukłonu.

- Jestem sługą jego lordowskiej mości, milady. William Stubbs, do usług.

- Ach, więc pan jest sługą lorda Wroxleya? - Spojrzała na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

Przyzwyczajony był również do spojrzeń osób, które z zaskoczeniem uświadamiały sobie jego pozycję.

- Ano tak, milady. - Powtórnie pochylił głowę. Tę dzierlatkę, jak sobie myślał, mógłby śmiało podnieść jedną ręką i nawet by tego nie poczuł; ważyła nie więcej niż piórko.

Uśmiechnęła się i zobaczył dołeczek na jej policzku.

- Panie Stubbs - rzekła - przestraszył mnie pan. Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. Miło mi pana poznać. Proszę się rozgościć w Kedleston. Mam nadzieję, że będzie tu panu dobrze.

- Piękne dzięki, milady. - Gdyby nawet wystawił twarz prosto na słońce, nie czułby się tak skąpany w świetle, jak dzięki uśmiechowi tej dzierlatki. Uśmiechnęła się do niego - starego Stubbsa - i miło go zaprosiła do tego pałacu!

Spojrzała na kwiat trzymany w rękę.

- Zazwyczaj - powiedziała - to mężczyźni obdarowują damy różami. Postanowiłam jednak, że tym razem ja postawię jedną w pokoju milorda, aby ją tam później znalazł. Jak pan sądzi, panie Stubbs, czy się ucieszy?

William Stubbs gapił się na nią z rozdziawionymi ustami. Wyraźnie czuł, że odrobina mózgu, jaka mu jeszcze pozostała, mięknie ze wzruszenia niby jajecznicą na patelni. Lady Worthing miała

oczy pełne miłości - dla Nigela, którego poślubi za kilka godzin. I jego, Stubbsa, pytała o zdanie!

- Wstawię ją do naczynia z wodą, niech ją tylko dostanę do ręki, milady - mruknął. - A jak nie będzie mu się podobała, to powiem, że jest chyba stuknięty!

- Stuknięty... - zdziwiła się. - Czy pan jest może z Londynu, panie Stubbs?

William kiwnął głową.

- Mówi pan londyńskim dialektem, prawda? - spytała i dodała z uśmiechem: - To urocza, niezwykle malownicza gwara! Czy zechce pan przynieść wody? To bardzo uprzejme z pana strony. Umieszczę różę o, tutaj, a pan niech jej zmieni później wodę, żeby zachowała świeżość.

I wróciła do sypialni tą samą drogą.

William Stubbs stał bez ruchu przez dłuższą chwilę po jej wyjściu i był najzupełniej pewien, że jego życie nigdy już nie będzie takie samo jak przedtem.

Po raz pierwszy znalazł się tuż koło tej drobnej osóбки, która miała dołeczek w policzku, promienny uśmiech i nazwała go panem Stubbssem. Serdecznie go powitała i powiedziała, że jego dialekt jest uroczy. Że jest jej miło, iż zaofiarował się napełnić naczynie wodą i wstawić tam czerwony kwiat - różę czy coś podobnego.

William Stubbs wcale się nagle nie zakochał. Byłoby to błędne twierdzenie. W jego sentymencie do przyszłej żony przyjaciela nie było nic romantycznego. Bardziej zgodne z prawdą okazałyby się słowa, że zapałał do niej głębokim i pełnym szacunku uwielbieniem.

Jeśli Nigel sprawi, że ona uroni choćby łezkę, choćby tylko jedną, to się staremu Stubbsowi potężnie narazi, oj, potężnie! - pomyślał, spiesznie wychodząc z garderoby, żeby spełnić swoją misję.

Kasandra brała ślub w białej, głęboko wydekoltowanej sukni, bogato wyszywanej srebrną nicią, w białej halce upiętej na szerokiej rogówce i w białym staniczku błyszczącym od srebrnego haftu. Upudrowane włosy przykrywał wykończony koronką czeppek, którego przetykane srebrem wstążki sięgały jej aż do pasa.

W stroju pana młodego przeważał kolor popielaty oraz srebro i biel. Wygląda to, jak pomyślała, podchodząc ku niemu, niby szczęśliwy omen wróżący zgodę i harmonię. Był istnym księciem z bajki. A ona czuła się jak królewna.

Nie uśmiechał się. Był bladym, nawet poważnym, i wpatrywał się w nią bez przerwy. Ona też się nie uśmiechała, z czego jednak zdała sobie sprawę, dopiero gdy stanęła już u jego boku. Wtedy uśmiechnęła się i w tym momencie w pełni zrozumiała, co za chwilę nastąpi.

Miała wziąć ślub z mężczyzną, którego kochała ponad wszystko i który całkowicie zmienił jej życie w ciągu dwóch krótkich tygodni. A resztę tego życia miał wypełnić serdecznością i miłością. Gdyby żywiła jeszcze jakieś wątpliwości - choć w istocie nie żywiła żadnych - wszystkie rozwiązałyby się pod wrażeniem tej pełnej znaczenia chwili.

- Moi drodzy... - zaczął wielebny Hythe.

Oto początek mojej wieczystej szczęśliwości, pomyślała.

Nigel rozmyślał o swoim domu i bliskich. Zerwał z nimi całkowicie dwa lata temu, kiedy zrozumiał, że oni zerwali z nim. Wyrzucił ich z pamięci i z serca. Nie zamierzał nawet z nimi walczyć. Byli dla niego martwi.

Miał nowy dom i nową rodzinę. Snuł pewne związane z nimi plany i, na Boga, udało mu się je urzeczywistnić. Niczego więcej nie potrzebował.

I ona też była jego. Albo prawie jego. Spojrzał na nią, gdy wchodziła do kościoła. Jako panna młoda wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. Chociaż blada i pełna przejęcia, uśmiechnęła się w końcu, a wtedy w głębi jej oczu dostrzegł pełnię szczęścia, miłość i ufność.

Raz jeszcze powrócił myślą do swoich bliskich i do zmarłego hrabiego Worthinga, jej ojca.

Teraz to się już nie liczyło. Bezpiecznie wkraczał do nowego świata, rozpoczynał nowe życie.

- Moi drodzy... - zaczął pastor.

Kiedy po ceremonii stanęli na stopniach wiejskiego kościoła, lady Matylda z rękami złożonymi na piersiach i oczami pełnymi łez powiedziała, że wyglądają jak księżę i księżniczka z baśni. Pani Havelock również stwierdziła z uśmiechem, iż od lat nie widziała tak pięknej pary nowożeńców. Nawet lady Beatrycze podejrzenie zwilgotniały oczy, gdy uściskała bratanicę i nadstawiła nowemu zięciowi policzek do pocałowania. Patience, wsparta na ramieniu Robina - choć jeszcze dzień przedtem zapewniała, że jej kostka zupełnie wydobrzała - śmiała się i płakała jednocześnie. Robin był poważny, lecz uprzedzająco grzeczny, podobnie jak pan Havelock.

William Stubbs, który stał z tyłu wraz z resztą niższej służby dopuszczonej do asystowania przy ślubie, skinął głową przyjacielowi, gdy Nigel spojrział w jego kierunku i pochwycił spojrzenie kompana. Nie próbował jednak zbliżyć się do młodej pary.

Nie zatrzymali się zbyt długo na kościelnych stopniach. Nigel poprowadził Kasandrę przez dziedziniec, wzdłuż szpaleru gości, którzy mieli udać się wraz z nimi na weselne przyjęcie. Na drodze koło kościoła ciżba wieśniaków głośno wiwatowała z okazji zaślubin ich hrabiny i sypała przed nią płatki róż.

Był to najpiękniejszy dzień jej życia.

Wracali otwartym powozem, w ciepłym blasku słońca. Kasandra uśmiechnęła się lekko do męża, on zaś odwzajemnił uśmiech i pocałował ją delikatnie. Z tyłu za nimi znów rozległy się wiwaty.

- Moja żono - szepnął Nigel.

- Mój mężu.

Roześmiali się oboje, a potem znów spojrzeli na siebie.

- Jesteś szczęśliwa? - spytał.

- Tak. - Skinęła głową. - A ty?

- Ja też.

Roześmiali się ponownie.

- Cóż za wykwintna konwersacja - zażartowała.

- Czasami nie potrzeba słów. Angielszczyzna, jak zresztą każdy inny język, nie potrafi wszystkiego wyrazić. Niekiedy lepiej zdać się na serce.

Właśnie teraz tak było. Ich szczęścia nie sposób było wyrazić. Pobrali się i będą żyli długo i szczęśliwie. Co za absurdalny, zdumiewający frazes. Nie była tak wyzuta z poczucia rzeczywistości ani do tego stopnia zaślepiona romantycznymi mrzonkami, aby wierzyć, że każdy dzień ich przyszłego życia wypełnią niczym niezamącone radość i szczęście. Ale do dzisiejszego dnia nie pasowały żadne słowa. Mimo wszystko zaczęła mówić.

- Zapamiętam ten dzień, tę chwilę na zawsze. Pamięć o nim będzie mnie wspomagać. Nigdy nie zapomnę, że... ach, miałeś rację. Nie ma na to słów.

- Dzień ślubu to nie tylko mnóstwo zachodu z weselnymi gośćmi, ale i z nocą poślubną, z pewnym zajęciem, które także nie wymaga słów.

Zaczerwieniła się.

- Dziś wieczór, daję ci słowo, zrozumiesz, że może to być bardzo miłe zajęcie - dodał jeszcze.

To było wstrząsające doznanie. Sama myśl, że powtórzy się to dzisiejszego wieczoru, działała na nią porażająco. W jakiś niewytłumaczalny sposób wydawało się jej teraz, kiedy wiedziała już, co nastąpi, czymś niepokojącym i krępującym. Ale też nieskończenie bardziej podniecającym. Czuła gwałtowne pulsowanie tam, gdzie wtargnął do jej ciała. Przygryzła dolną wargę.

- Służba czeka na nas z życzeniami - rzekł. - Na pewno ustawią się, jak nakazuje zwyczaj, w dwóch rzędach. Niektórzy będą stać przy drzwiach. Pocałuj mnie teraz, póki nikt nas jeszcze nie widzi i póki nie nadjadą inne powozy. Niech to będzie całkiem prywatny pocałunek, moja żono.

Z pewnością był właśnie taki. Rozchylił szeroko jej wargi swoimi i wsunął do środka język. Jego ciepły oddech wypełnił jej usta, tak że stali się niemal jednym ciałem. Wydała pomruk zadowolenia i ujęła jego twarz w obie dłonie.

Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek.

- Jak widzisz, nie ma się czego bać, choć w ciągu ostatnich pięciu dni twoje obawy mogły wzrosnąć. Tamtej nocy czułaś ból, byłaś przecież dziewicą. Dzisiejszego wieczoru nic cię nie będzie bolało. Spełni się tylko to, co obiecuje ten pocałunek.

Czytał w niej jak w książce.

- Nie boję się - odparła. - W końcu jestem twoją żoną, a ty moim mężem. Należymy do siebie. Nie ma między nami sekretów. Oddałam ci serce, rękę i ciało, a ty zrobiłeś to samo. Nigdy nic nie stanie między nami i nie zepsuje tego, co zaczęło się dwa tygodnie temu, a dzisiaj dokonało na dobre. Nie boję się. Jestem szczęśliwa. Najzupełniej szczęśliwa.

Nie odpowiedział, tylko patrzył jej w oczy. Przez chwilę w jego oczach mignęło coś dziwnego, jakby ostrożność lub może wyrachowanie. Wrażenie to znikło jednak, nim zaczęła się zastanawiać, co właściwie widziała. Uniósł jej dłoń do warg.

- Na moją duszę, poświęciłbym życie, byle tylko uchronić twoje szczęście.

Gdyby nie przybył do Kedleston, by jej powinszować w dniu urodzin, jakże inaczej wyglądałoby teraz jej życie. Byłby to zwyczajny dzień, jak wiele innych. Nie wiedziałaby o jego istnieniu ani o istnieniu tak głębokiej i tak wspaniałej miłości. On by z kolei nie wiedział, co może dla niego wyniknąć ze zwykłej kurtuazyjnej wizyty. Może podjął decyzję o przyjeździe pod wpływem chwilowego impulsu, nie mając akurat pilniejszych zobowiązań, które zatrzymałyby go w mieście. Nagłe, błaha

decyzje i wydarzenia mogą, jak widać, wpłynąć na bieg całego życia.

- Właśnie tego się spodziewałem. - Nigel wskazał przed siebie. Wjechali już na trawnik, skąd widać było dom. Cała służba ustawiła się w rzędach na tarasie.

Roześmiali się obydwójce. Przez najbliższych kilka godzin nie będą mieli ani chwili dla siebie. Był to jednak dzień ich ślubu i musieli świętować go w gronie krewnych i przyjaciół, wśród życzeń służby. Dopiero wyczekiwana noc przyniesie im prywatność.

William Stubbs siedział w wiejskiej oberży i pił piwo w towarzystwie jednego ze starszych ogrodników, w duchu zaś dumiał o przyszłości.

Nigel pewnie niezgorzej ułoży sobie życie. Dostał wszystko, czego chciał i na co, zdaniem Williama, zasługiwał. Gdyby nie zakochał się w tej małej panience młodej i gdyby się tej miłości kurczowo nie uchwycił, byłby kompletnym idiotą.

Rzecz jasna, rozstać się z nim nie będzie łatwo. Will czuł się zobowiązany względem Nigela, bo kiedyś o mało go nie zabił. Od dawna jednak wrogość ustąpiła miejsca szczerzej przyjaźni, a nawet uczuciu silniejszemu niż przyjaźni. Nigel był dla niego bardziej bratem niż którykolwiek z jego licznych rodzonych, przyrodnich i przyszywanych braci.

Co jednak mógł robić na wsi ktoś, kto wyrósł w zatłoczonej londyńskiej dzielnicy ruder? William zerknął na mizerną dziewczynę za szynkwasem. Miała wydatne wargi i każde oko innego koloru. Odwrócił od niej wzrok, ujął kufel i wysuszył go do dna, nim uniósł rękę, żeby zamówić następny.

Żadna z dziewcząt w Kedleston nie nadawała się dla niego. Był mężczyzną szykownym, sługą szlachetnie urodzonego pana. Ani myślał się kumać z dziewczyną od krów albo kimś podobnym. Nie chodziło też o to, by żałował grosza, i nietrudno było chyba zrozumieć, czego od nich chce. Zawsze jednak uważał, że co uczciwość, to uczciwość. Gdy już coś brał, lubił za to płać. Nawet dziwka musi z czegoś żyć.

Oberżystka, wdowa Dorkins, która sama podawała piwo, powinszowała Williamowi z okazji ślubu jego pana. Przy napełnianiu kufła mocno się pochyliła, pozwalając Stubbsowi podziwiać swój obfity biust.

Ogrodnik szturchnął Willa w żebra i aż mrugnął do niego.

Pani Dorkins przekonała się o potężnej sile Stubbsa już dwa dni wcześniej, gdy zaofiarował, że zanieś dwie baryły piwa



z wozu przed jej drzwiami na strych, i nie zgodził się na niczyją pomoc. Jednocześnie dowiedziała się, że jest sługą arystokratycznego dżentelmena, który miał się żenić z lady Worthing.

William upił łyk świeżo nalanego piwa. Po pani Dorkins mógł sobie obiecywać znacznie więcej. Nie była jednak typem kobiety, która dałaby się zaprowadzić w ciemny kąt, pozwoliła tam sobie zadrzeć kieckę i zadowolili ją w zamian za monetę o należytej wartości.

Pograżony w smętnych myślach upił kolejny łyk piwa. Jego matka z żadnym z licznych „mężów z wyboru”, w tym z jego ojcem, nie brała ślubu. A on nie zamierzał zrywać z rodzinną tradycją.

Ta przekłeta wieś jest czymś przeciwnym naturze, pomyślał niezbyt logicznie.

Weselne przyjęcie skończyło się późnym popołudniem. Większość gości odjechała i w domu zapanował niemal zupełny spokój. Odpowiednia pora, by mąż mógł wymknąć się razem z żoną na jakąś godzinę gdzie indziej. Nigel zabrał Kasandrę do ogrodu różanego. Usiedli na ławce pod wierzbą. Ujął dłoń żony i uniósł do ust. Był zadowolony z tego dnia. Osiągnął prawie wszystko.

Prawie.

„Należymy do siebie. Nie ma między nami sekretów... Nigdy nic nie stanie między nami i nie zepsuje tego, co zaczęło się dwa tygodnie temu, a dzisiaj dokonało się na dobre”.

Te słowa powracały w jego pamięci przez całe popołudnie. Jej niewiarygodna niewinność zaczynała być brzemieniem. Ciężka na jego sumieniu.

„...Nie ma między nami sekretów...”

- Znów sami. Nareszcie sami - rzekł, wciągając w płuca woń róż. - No i wciąż, na moją duszę, możesz rywalizować z różami.

„Jestem szczęśliwa. Najzupełniej szczęśliwa”. Również te słowa odczuł jako pewne brzemienie. Mógł dojrzeć potwierdzenie ich prawdziwości w jej oczach.

- Wciąż jest pan bezwstydnym pochlebcą, milordzie. Uwielbiam to.

W jej oczach dostrzegł radość. Ufność. Miłość. Ucałował jej dłoń.

- Myślę, że papa byłby dziś szczęśliwy - westchnęła.

Uniósł jej rękę do ust i splótł jej palce ze swoimi. Tego akurat dnia nie miał zbyt chętności myśleć o Worthingu, chyba że z triumfem. Chciałby tylko, by Worthing mógł o tym wiedzieć.

- Jego przyjaciel z jego córką - rzekła. - Ciekawa jestem, czy I kiedykolwiek marzył o takim dniu, czy się go spodziewał, czy go planował. Mówił ci o mnie. Czy myślisz, że pragnął zabawić się w swata? Czy przywiózłby cię tutaj, gdyby żył, i próbował nas pożenić? - Nie czekała na jego odpowiedź. Sądziła, że ją zna. , Że jest to odpowiedź zgodna z jej pełną szczęścia wizją. - Jakżeby się radował, gdyby wiedział, co się dziś stało!

- Rzadko go widywałeś w ostatnich latach. Czy nawet wtedy znaczył dla ciebie tak wiele?

- Był moim ojcem. Jako dziecko go uwielbiałam. Nie wiedziałam jednak, ile wciąż dla mnie znaczy, póki nie zaczęłaś o nim mówić. Nie zdawałam sobie sprawy, jaki był nieszczęśliwy, jak bardzo pragnął mnie chronić przed swoimi złymi nastrojami. Czy rozumiesz, że mi go zwróciłeś, przyjeżdżając tutaj? Już za samo to muszę cię kochać.

Chciał zmienić temat.

- Wspomnienia o nim stały mi się teraz bardzo drogie, a nie zagadkowe czy nawet gorzkie - ciągnęła. - Są mi jeszcze droższe, odkąd mi je zwróciłeś. Mój najukochańszy, jakże jestem szczęśliwa, że go znałeś i będziesz mógł o nim ze mną od czasu do czasu porozmawiać. Oboje go kochaliśmy.

Pocałował ją.

- Wiesz - mówiła dalej - aż do samych urodzin, a nawet dzień czy dwa później myślałam, że nigdy nie wyjdę za mąż. Byłam wolną jak mała która z kobiet i ceniłam to sobie. Chciałam sama kierować swoim życiem i posiadłością, a także dowieść wszystkim szydercom, że mogę dorównać mężczyźnie. Zaplanowałam sobie całe życie; moje szczęśliwe, wolne, niezależne życie. Ale wtedy ty przybyłeś do Kedleston. - Uśmiechnęła się do niego, ukazując dołeczek w policzku.

Pocałował wewnątrz jej dłoni i nadgarstek.

- Brzydko robisz. Wszystko popsujesz. A ja coś sobie postanowiłam - rzekła z błyskiem w oczach. - Jesteś mężczyzną i będziesz chciał brać udział w sprawach gospodarskich. Ubodłoby cię, gdybym na to nie pozwoliła. Wszyscy będą uważać, że winieneś zająć się posiadłością, bo jako mąż masz taki obowiązek. Ale ja zamierzam nadal się uczyć. Chcę wiedzieć, co się dzieje z majątkiem, który kiedyś przejdzie na twojego syna. - Zaczerwieniła się. - Możemy przecież robić to razem, Nigelu. Co o tym myślisz?

Co myślał? Myślał, że zostanie do głębi zraniona. Najpierw prawdą o Worthingu. Potem prawdą o Kedleston. Niełatwo jej

przyjdzie pogodzić się z tym, co musiał jej powiedzieć. Ale nie dziś. Jeszcze nie teraz.

– Sprawy majątku, decyzje, praca? - Machnął ręką. - Niechże je licho porwie. To dzień mojego ślubu. Zaprzatają mnie ważniejsze sprawy: przysięga małżeńska, dzwony kościelne i nieopisana piękność mojej żony. Przyprowadziłem ją do ogrodu różanego, żeby się do woli na nią napatrzeć i do woli ją całować. Nurtują mnie całkiem inne zamiary: co będę dziś wieczorem robić z moją żoną w łóżku, żeby wiedziała, a nie tylko myślała, że to lubi.

Roześmiała się i zarumieniła jednocześnie.

- Z początku będę to robił powoli, bardzo powoli. Mamy przed sobą całą noc. Zacznę cię dotykać w miejscach, które są stworzone do dawania ci przyjemności, lecz ty tego jeszcze nie wiesz. Dłoni. W końcu i ustami. Językiem. Zębami. Przekonasz się, że to lubisz. Powiesz mi o tym, zanim wniknę w twoje ciało i przekonam cię całą, do głębi, że mówisz prawdę.

Patrzył, jak uśmiech zamiera na jej ustach. Patrzył, jak z zaangażowaniem przełyka ślinę i przygryza dolną wargę.

- Och, Nigelu - odezwała się - jak mogłeś? Mówię „jak mogłeś”, bo teraz już wcale nie będziesz mógł. Jesteś mój i myślę, że to polubię, ale to bardzo nieładnie tak mówić. - Oczy się jej roziskrzyły.

- Nieładnie? Sądziś, że usłyszałaś coś nieładnego? Pozwól, że trochę poprawię twoją edukację. - Postanowił zabawiać ją dwuznacznikami, póki nie zacznie parskać śmiechem i czerwienić się na przemian, i póki nie powie mu, że była bardzo niemądra i że bardzo ją to bawi.

Zdołał zająć ją błahostkami; bardziej poważną rozmowę szczerze by wolał odłożyć na kilka następnych dni.

„Należymy do siebie. Nie ma między nami najmniejszych sekretów...”

Nigdy nic nie stanie między nami...

Jestem szczęśliwa. Najzupełniej szczęśliwa.

Czy rozumiesz, że mi go zwróciłeś, przyjeżdżając tutaj? Już za samo to muszę cię kochać.

Zaplanowałam sobie całe życie: moje szczęśliwe, wolne, niezależne życie. Ale wtedy ty przybyłeś do Kedleston”.

Tak, zrani ją to do głębi.

Is^asandra wyglądała przez okno sypialni, uśmiechając się do siebie. Jakaż była głupia! Jeszcze dwa tygodnie temu sądziła, że z całych sił pragnie wolności i niezależności. Jej plany nie obejmowały miłości ani małżeństwa. Nie wierzyła w romantyczną miłość.

Wtedy do Kedleston przybył wicehrabia Nigel Wroxley i sprawił, że cały jej świat wywrócił się do góry nogami. Widziała go, jak stoi w szkarłatnym salonie i odwraca się od okna, żeby na nią spojrzeć - przystojny, nieskazitelnie elegancki, tak pewny siebie, że aż odrobinę arogancki. Jak ktoś z innego świata.

Pojęła, że właśnie wtedy się w nim zakochała. Jak silne miały zasady, jak stanowczo chciała uwolnić się od cudzej, męskiej woli! Chociaż nie, Nigel nigdy nie próbował narzucać jej swojej woli.

Została jego żoną. Wsparła czoło o szybę i pogrzyżyła się w myślach o tej nowej rzeczywistości i o dniu, który dobiegał końca. Dzień jej ślubu. Dwa tygodnie wcześniej za najszczęśliwszy w swoim życiu uważała dzień urodzin. Nawet nie marzyła, że może nadejść dzień nieskończenie szczęśliwszy, w dodatku tak prędko.

A nie był to wcale koniec. Najważniejsze miało dopiero nastąpić, co więcej - niedługo. Niemądrze robi, denerwując się, zważywszy, co się stało w noc jego powrotu. Pojęła jednak, że w istocie nie czuje zdenerwowania, lecz podniecenie. Pożądanie. Dobrze wychowana panna młoda nie powinna czegoś takiego odczuwać względem męża. Należało być spokojną i uległą. Uśmiechnęła się z rozbawieniem.

Nigdy nie kryła własnych uczuć i nie chciała tego robić dzisiejszej nocy. Nie będzie udawać przesadnej skromności, której nie czuje. Nie będzie ukrywać, z jak wielką ochotą pozwoli mu robić te wprost niesłychane rzeczy, które jej przyrzekł w różnym ogrodzie. Zaśmiała się cicho i nawet teraz zaczerwieniła na samą myśl o nich. Zrobił wszystko, żeby ją zgorszyć, a powiodło mu się znakomicie, zuchwalcowi. Sprawił, że tęskni do tego wręcz boleśnie.

Nie musiała długo czekać. Przeszedł przez jej garderobę do sypialni i zastukał do drzwi. Miał na sobie długi szlafrok z brokatu. Włosy, już bez pudru, spływały mu na kark. Były długie, falujące i sięgały mu niemal do pasa. W ubraniu zawsze wyglą-

dał niezwykle elegancko i przystojnie. W nocnym stroju miał wygląd męski i był tak pociągający, że nogi niemal się pod nią ugięły.

- Już myślałem, że mój służący zrobił się nagle sentymentalny - rzekł. - Zapewnił mnie jednak, że róża pochodzi od ciebie.

Uśmiechnęła się. Czy ofiarowanie mężczyźnie róży jest czymś aż tak niemądrym?

- Czy to, że obie garderoby dzieli pewna odległość, ma obiecywać więcej rozkoszy? - spytał.

- To zaproszenie - odparła.

- Zaproszenie - powtórzył miękko, podchodząc do niej. - Dziękuję więc za nie, moja miła. Ucieszyło mnie serdecznie.

Skuliła się nieco. Zaczęło jej brakować tchu.

- Wygląd pana Stubbsa może przerazić. Gdzie go znalazłeś?

- Pod ręką, że tak powiem, kiedy akurat był mi potrzebny, choć daję słowo, że sam jeszcze wtedy o tym nie wiedziałem. Nie obawiaj się go, Kasandro. Nic złego ci nie zrobi. Poza tym ujęłaś go, zjawiając się w mojej garderobie z różą. Przykazał mi, żebym nie zapomniał ci za nią pięknie podziękować. Musisz mu jutro powiedzieć, że spełniłem jego żądanie.

Czyżby z niej żartował? Czy Stubbs naprawdę zrobił coś takiego?

Była w białym atłasowym szlafrocuku, włosy miała rozpuszczone, stopy bosc. Samo jego spojrzenie sprawiło, że zabrakło jej tchu. Zaniepokoiła ją myśl, czy jej stwardniałe sutki nie uwidoczniły się pod tkaniną. Żaden szczegół nie mógł umknąć jego doświadczonym oczom, a czuła, że musi być bardzo doświadczony. Nie dbała jednak o to. Nie dbała o przeszłość; liczyły się tylko teraźniejszość i przyszłość. Ona była jego teraźniejszością. Nie wątpiła w jego miłość.

- Wczoraj twoja piękność była urzekająca - rzekł. - Dzisiaj nie da się ująć w słowa. Za chwilę, gdy zdejmę z ciebie ten strój, nie znajdę nawet myśli potrzebnych do dania jej wyrazu. Odpowiem więc na nią tylko samym instynktem.

Oczy mu się śmiały, gdy próbowała ukryć zarówno zakłopotanie wywołane jego słowami, jak i własne podniecenie. Był dostatecznie bystry, by wywołać w niej i jedno, i drugie. Robił to z całą świadomością. Wiedziała o tym, a on wiedział, że ona wie. Podeszła ku niemu. Mógł mieć dużo większe doświadczenie od niej, lecz ona nie pozwoli, żeby manipulował jej uczuciami. Uśmiechnęła się do niego, rozchyliła szlafrok i bez wahania zsunęła go z ramion. Pozwoliła, by opadł aż na ziemię. Spojrzał na nią z rozbawieniem i zarazem z uznaniem. Zagryzł wargi i wciąż

wędrował wzrokiem po jej ciele, powoli, lecz nie pomijając niczego, podobnie jak chwilę wcześniej.

- Teraz kolej na ciebie - rzekła. Zdawało się jej, że bez odzienia Nigel musi wyglądać równie pięknie. Chciała go oglądać i dotykać.

On jednak uniósł tylko brwi.

- Nie w ten sposób. Przekonasz się, że to bardzo pobudzające, gdy jedno z nas jest rozebrane, a drugie nie.

- I mnie dziś przypało w udziale być rozebraną?

- Sama dokonałaś wyboru - upomniał ją. - Zanim cię jeszcze dotknąłem. Chyba się zgodzisz. A zrobiłaś to skwapliwie.

Może lepiej się z nim nie spierać, póki nie nabędzie więcej doświadczenia. Znowu przygryzła wargę.

- Połóż się - rzekł, dotykając jej policzka kostkami palców, z wyrazem czułości na twarzy. - Pozwól mi cię kochać, Kasandro. Niech będzie mi wolno udowodnić, że ogromnie to polubisz.

Zgasił świece, nim położył się koło niej. Zdjął szlafrok, pozostając w nocnej koszuli. Oplótł ją ramionami, przygarnął do siebie i pocałował. Wiedziała, że to polubi. Nie musiał jej niczego udowadniać. Nie mogła się doczekać tego, co miało nastąpić, nawet jeśli łączyłoby się to z bólem i przykrością.

- Powoli - szepnął jej do ucha. - Powoli, kochanie. Nie można tego zrobić w minutę. Lepiej już w pięć, a jeszcze lepiej w dziesięć, czy nawet dłużej. Cudownie w kwadrans. Jeśli w pół godziny, wszystko aż wiruje przed oczami. Nam to zajmie godzinę.

Drżała z niecierpliwości.

Zajął mu to mniej więcej godzinę - nie mierzyła upływu czasu. Nie umiała jednak dorównać jego samokontroli. Zgodnie z obietnicami, dotykał jej w zaskakujących miejscach i w taki sposób, że z trudem łapała oddech, pojękując z rozkoszy, która graniczyła z agonią. Była bezradna wobec jego doświadczenia. W żaden sposób nie potrafiła nazwać swoich uczuć ani wzbudzić w nim takich wrażeń, jakich on dostarczał jej. Z początku próbowała przeproszać za swoje reakcje, lecz on na to nie pozwolił.

- Świadomie pragnąłem ci to dać. Czy nie rozumiesz, że mnie zachwycasz, moje ty niewiniątko?

Wreszcie dotarła do niej świadomość, że czerpał fizyczną satysfakcję z tego, co dla niej robił, i z jej oczywistego uznania dla jego wysiłków.

- No, powiedz teraz - rzekł w końcu, z ustami tuż przy jej wargach, gdy drżała jeszcze po ustąpieniu niewyobrażalnego wprost

napięcia, po tym, jak leciutko potarł kciukiem jej najsłabsze miejsce. - Powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

- Tak mi dobrze. - Ledwie rozpoznała własny głos. Zdawało się jej\*<sup>ze</sup> szlocha. - Tak mi dobrze.

- A będzie ci jeszcze lepiej - wyszeptał jej do ucha. Położył się na niej i wcisnął między jej uda, które szeroko rozwarł. Wsunął ręce pod jej ciało, by przechylić je do tyłu i mocno przytrzymać, gdy wnikał w nią mocno i głęboko. Natychmiast ogarnęła ją nowa fala podniecenia i jęczała z rozkoszy aż do końca, którego jednak, jak się zorientowała, jeszcze nie osiągnęła.

Okazało się to inne, nie takie jak poprzednim razem. Było szybkie i gwałtowne. Przygniatał ją swoim ciężarem. Dyszeli ciężko z wysiłku. Wsunęła ręce za jego koszulę. Twarz wtuliła w jego ramię. Poruszała się wraz z nim w dzikim rytmie, póki nie ujął jej za nadgarstki i nie oderwał jej ramion od swoich pleców. Splótł jej palce z własnymi. Leżała spokojnie, jej rytm się załamał. Czuła siłę nadchodzącego szczytu.

Wydała głośny okrzyk, gdy poczuła przypływ gorąca i drzenie rozpoczynające się gdzieś w głębi, ogarniające powoli całe ciało.

Ogarnęła ją świadomość, że był to najszczęśliwszy moment, jaki kiedykolwiek przeżyła. Przez całą minutę, która już była przeszłością, tworzyli doskonałą jedność. Ukochani ukochana. Mąż i żona. Jedno ciało. Wreszcie zrozumiała, co znaczą te słowa.

Już nigdy - pomyślała, a było w tej myśli nieco smutku, choć nie zdawała sobie z tego sprawy - r już nigdy nie będzie chwili, która mogłaby dorównać tej. To była ich noc poślubna.

Nigel zapadł w sen, ona zaś leżała spokojnie pod ciężarem jego ciała. Chciała czuć, by radować się tą chwilą, lecz ogarnęła ją przemożna błoga senność. Sen, jak rozumiała, był częścią aktu, który go poprzedzał. Zatonęła w zapomnieniu.

Nagle przypomniała sobie coś - coś, czego nie zarejestrowała jej świadomość w odpowiednim czasie. Rysowało się to teraz całkiem wyraźnie w jej pamięci. Gdy obejmowała rękami jego plecy, palcami natrafiła na zgrubiałe, twarde szramy zamiast spodziewanej gładkości. Jakby odniósł kiedyś rany tak ciężkie, że ślady po nich nie zniknęły mimo zagojenia się obrażeń.

Długie, poprzeczne szramy.

Jakby go wychłostano. Bezlitośnie wychłostano.

Gdy się przebudził, poczuł zażenowanie, spostrzegłszy, że wciąż nakrywa ją swoim ciałem. Był o wiele za ciężki i zbyt masywny



dla niej. Kładąc się obok, rozbudził ją. Zamruczała coś sennie i obróciła się na bok, twarzą do niego. Wsparł jej głowę na zgiętym ramieniu. Drugą ręką objął jej pośladki. I

Ożenił się z nią, bo miał po temu kilka istotnych powodów. Osobistej skłonności wśród nich nie było.

Miło więc było odkryć, że żona jest sympatyczną towarzyszką życia i kochanką, chociaż brakuje jej doświadczenia. Radowała go perspektywa, że właśnie on pozwoli jej nabyć to doświadczenie.

Był rad, że po raz pierwszy posiadał ją jeszcze w dniu powrotu. Byłaby zbyt obolała, by zrobić to jeszcze raz, gdyby ten był jej pierwszym. Poczul podniecenie i skoncentrował się na tym odczuciu. Nie będzie jej budzić, zdecydował. Chciał ją wziąć jeszcze ciepłą od snu, odprężoną. Chciał zrobić to szybko, a potem znowu trzymać ją w objęciach, gdy powtórnie zapadać będzie w sen. M

- Nigel? - szepnęła.

- Mm...? - Otworzył jej usta swoimi, poczuł ciepło i wilgoć jej warg.

- Nigel - powtórzyła - co się stało z twoimi plecami?

Zaklął w duchu. Nie zdawał sobie sprawy, gdzie zawędrowały jej ręce, póki nie było za późno.

- Z moimi plecami? - spytał z udanym zdziwieniem.

- Tam... tam są szramy. Blizny. Co ci się stało?

- Ach, o to chodzi - przybrał niedbały ton. - Miałem srogiego ojca, kochanie. No i chodziłem do szkoły, gdzie surowo traktowano uczniów. A ja nie zawsze byłem posłuszny. Wielu chłopców chlubi się pręgami po chłości. Można tylko żywić nadzieję, że nasi synowie okażą się mniej niesforni.

Nie odpowiedziała mu, ale nie była już tak odprężona, jak przedtem.

- Przecież ojcowie i nauczyciele nie biją tak mocno, żeby blizny po razach przetrwały aż do wieku dorosłego - rzekła w końcu.

- Moje małe niewiniątko - odparł, całując ją, zadowolony, że nie miała braci. - Z córkami nikt tak srogo nie postępuje, są przecież o wiele delikatniejsze. Synom natomiast trzeba siłą wbijać do głów rozsądek, posłuszeństwo, dobre maniery, zasady moralne i arytmetykę. - Znów ją pocałował, szepcząc czułe słowa.

Odsunęła jednak głowę, kiedy już mu się zdawało, że zdołał zażegnać kryzys.



- Nigel - rzekła - zapal świece.  
\_ Po co? - spytał, choć domyślał się powodu.  
- Chcę obejrzeć twoje plecy.  
- Nie. - Zaśmiała się cicho. - Oszczędź moją skromność, bardzo cię proszę. Plecy zresztą nie są najpiękniejszą częścią mego ciała. Byłem bardzo nieposłusznym chłopcem.

Wyskoczyła z łóżka i schyliła się, żeby podnieść nocny strój. Patrzył, jak wciąga go przez głowę i wsuwa ręce w rękawy.

- Zapal świece. - W jej głosie nie było wesołości, tylko ton chłodnego rozkazu kogoś przywykłego do posłuchu.

Zapalił je więc. A ponieważ następne polecenie było nieuniknione, nie czekał na nie. Ściągnął nocną koszulę i rzucił ją na łóżko. Stał tyłem do niej i czekał wśród długiej ciszy, jaka potem nastąpiła.

Wiedział, jak wyglądają jego plecy. Często oglądał je w lustrze, choć tego nienawidził. Długo miał nadzieję, że blizny staną się mniej widoczne. Jednak nic się nie zmieniło. Były białawe i przecinały na krzyż jego plecy niezliczonymi, gruzłowatymi szramami. Chłosta nie pozostawia trwałych śladów, jeśli bije się kogoś przez koszulę i z przerwami. Blizny po razach zadawanych w sposób niejako formalny, kiedy jest się obnażonym i przykutym za nadgarstki do trójnożnego pręgierza, nie znikają nigdy.

- Co ci się stało? - spytała w końcu spokojnie i na pozór beznamyślnie.

- Przecież już powiedziałem. - Starał się nadać głosowi znużony ton. Nagle poczuł gwałtowne pulsowanie w skroniach. Tylko nie patrz w dół! - krzyknął w duchu, kiedy znienacka przypomniał sobie o czymś. Nie chciał, żeby spojrzała na kostkę jego prawej nogi.

- Nie. Nie powiedziałaś. To ślady po chłości, jaką czasami wymierza się żołnierzom i marynarzom. Czy byłeś w wojsku? Ale ty bybyś oficerem. A oficerów się nie chłoszcze.

Nie było sensu dłużej kłamać, choć go to kusiło. Nie chciał powiedzieć jej prawdy, kłamstwo nie zdałoby się jednak na nic.

- Nigdy nie byłem ani żołnierzem, ani marynarzem. Tak się złożyło i tyle, Kasandro. Nie ma znaczenia jak i gdzie. To przeszłość. Zapomniałem o niej.

- Owszem, ma znaczenie. I nie mogłeś zapomnieć, skoro masz na ciele takie straszne blizny.

- A jednak wszystko już poza mną. - Odwrócił się ku niej z uśmiechem. - Liczy się teraźniejszość. A jesteś nią ty.

Patrzyła na niego długo bez słowa, wreszcie rzekła:

- Nic o tobie nie wiem, prawda? Znam cię, ale nic o tobie nie wiem. A ty nie chcesz mi powiedzieć, jak się to stało. Dobrze widzę, że nie chcesz. Pragniesz zachować jakiś sekret. W twojej przeszłości musi być coś okropnego, o czym nigdy nie będę wiedziała.

- Zbyt drammatyzujesz, moja droga. Było, minęło. To nasza noc poślubna. Nie chcę jej psuć. Cóż to mówiłem wcześniej o dwojgu kochankach, z których jedno jest rozebrane, a drugie nie? Doprawdy, pobiłaś mnie moją własną bronią.

Nie udobruchał jej. Nie uśmiechnęła się, wręcz przeciwnie. W jej oczach zabłyśły łzy, dolna warga zadrżała.

- Nie życzę sobie żadnych sekretów między nami, ale też nie chciałabym cię zranić.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Odchylił głowę do tyłu, wdychając cicho.

- Było to dawno temu - odezwał się.

Gładziła go po plecach, ostrożnie, jakby w lęku, że rany mogą się otworzyć.

- Wszystko mi jedno. Boli mnie, że tak cierpiełaś. Boli mnie, że ktoś nienawidził cię aż tak bardzo, by się z tobą podobnie obejść.

Nie płakała. Wyczuł jednak, że pragnie położyć się tuż koło niego i ukryć twarz na jego piersi. Cierpieła, bo wiedziała, że w jego przeszłości kryje się ponury sekret. Przytulił ją i kołysał póki nie przechyliła głowy na bok i nie spojrzała na niego z uśmiechem.

- To nasza noc poślubna - szepnęła.

- Tak.

- Nic nie powinno jej zepsuć. I nie zepsuło, prawda?

- Nie, kochanie. - Zajrzał jej w oczy.

- Nie pozwolę jej zepsuć - rzekła. - To najwspanialszy dzień i najwspanialsza noc w moim życiu. I jeszcze się nie skończyła.

- Jeszcze nie. - Pogładził ją delikatnie po policzku.

- Zrób to ze mną jeszcze raz - powiedziała - jeśli możesz ścierpieć moją ignorancję. Nie wiem, co wtedy należy robić, prócz doznawania przyjemności. Ty masz mnóstwo wprawy. Ja muszę się dopiero nauczyć. Proszę, naucz mnie, jak dawać przyjemność, a nie tylko jej doznawać.

- Do licha, przecież i ja jej doznaję. Niczego innego nie trzeba.

- Nie wierzę ci ani przez chwilę. Dzisiaj muszę się jednak z tym pogodzić. Zrobmy to jeszcze raz.

Potrzebowała pociechy. Potrzebowała wsparcia. Potrzebowała serdeczności. Czuła się zagubiona, bo wiedziała, że poślubiła kogoś niemal obcego, choć dopiero co zapewniała go - siebie samą zresztą też - że go zna, mimo iż nic o nim nie wie. Zdjął z niej nocny strój i zgasił świece, kiedy się położyła. A gdy znalazł się przy niej, dał jej to, czego potrzebowała. Wszedł w nią bez wstępnych zabiegów i wykonywał wolne ruchy, biorąc ją stopniowo, wśród jej czułego pojękiwania, ciepłego zrozumienia i łagodnego szczytowania.

Zasnęła prawie natychmiast, lecz zdążyła jeszcze szepnąć mu do ucha:

- Jeden sekret. Pozwalam ci na ten jeden. Ale nie więcej. Nie po tym.

Biedne, naiwne niewiniątko. Myślała, że skoro stali się jednym ciałem, to już na zawsze będą dla siebie otwarci - jedno ciało, jeden umysł, jedno serce.

Wierzyła w romantyczną miłość. Kochała go i myślała, że on ją kocha. Nie znała jeszcze wszystkich sekretów jego ciała. Nie zauważyła jego prawej nogi. A było jeszcze tyle innych tajemnic.

Leżał z otwartymi oczami, wpatrzony w ciemność. Obowiązki małżeńskie zmęczyły go, lecz nie potrafił zasnąć. Dawno już zdążył poznać, czym jest bezsenność. Wiedział więc, że jest znacznie lepsza od koszmarów.

- Juzem ją dziś widział - rzekł William Stubbs, odkładając otwartą brzytwę i czekając, aż jego pan raczy zasiąść do gołenias. - Wściubiła nos przez drzwi jakieś pół godziny temu, żeby zobaczyć, czy cię tu nie ma.

- Wybrałem się o świcie na konną przejażdżkę - odparł Nigel. - Nie mogłem spać.

- Łobuzy zazwyczaj nie mogą - skomentował sługa. - Powiedziała: „Dzień dobry, panie Stubbs”, proszę ja ciebie. Tak się właśnie pięknie wyraziła, a potem jeszcze rzekła, że spodziewała się znaleźć jego lordowską mość w jego w pokoju, bo jak z łóżka wstała, to już go tam nie było. Pokraśniała niby różyczka, kiedy zrozumiała, co mówi. Poczynaj z nią ostrożnie, chłopie, żeby nie beczała.

- Na miły Bóg - rzekł Nigel wyniośle - nie mam zamiaru ustalać z tobą, czy to zrobię i jak to zrobię. Człowiek ma prawo do odrobiny prywatności, nawet wobec sługi. Czyżbyś zamierzał stać się obrońcą jaśnie pani, Will?

- Kiedy chcesz jej powiedzieć? - spytał William.

Nigel wydał westchnienie zza mydlanej piany pokrywającej dolną część jego twarzy.

- Widziała już moje plecy. Z początku mocno się przejęła, ale - nie do wiary - zrobiła potem dobrą minę do złej gry.

- No i...?

- No i nic. Nie powiem jej w ogóle, Will. Po co ma się dowiadywać teraz, kiedy za mnie wyszła? Nie potrzebuje wcale wiedzieć. A poza tym, gdybym jej powiedział, musiałbym także wyjawić, komu to zawdzięczam. A ja nie chcę, żeby o tym wiedziała.

- Boże w niebiesiach! - mruknął William. - Źle ci to wyszło, Nigel, ale choć raz stary Stubbs myśli tak samo. Ona nie potrzebuje wiedzieć. Obejdź się z nią łagodnie, kiedy już jej powiesz tamto drugie. Trzeba ci było wszystko powiedzieć wcześniej, zanim jej zawróciłeś w głowie. Takie ładne dzierlatki jak ona nie powinny sobie oczu wypłakiwać, kiedy się dowiedzą, jaki podły jest ten świat. Trzeba ją przed tym ustrzec i spodziewam się, że nie skrewisz. I lepiej siedź cicho, bo cię jeszcze brzytną zatnę przez nieuwagę.

Nigel siedział więc cicho. Cóż innego można robić, kiedy człowieka gryzie sumienie?

Jak zniszczyć cudzy świat w łagodny sposób?

Nagle zapragnął, żeby nie dowiedziała się nigdy. Pamiętał, jak się czuje człowiek podstępnie zdradzony. On zaś nie chciał tak postąpić z nikim.

## ROZDZIAŁO

Państwo Havelock powrócili do Willow Park w dzień po ślubie bratanicy. Pan Havelock zdawał sobie sprawę, że już nie sprawuje nad nią opieki, lecz mimo to nękał go niepokój, iż zbyt pośpiesznie zawarła niemądre małżeństwo. Panią Havelock zaś niezmiernie cieszyła możliwość powrotu do domu, do młodszego syna i do córek.

Robin odwiózł lady Beatrycze do wdowej rezydencji, gdzie miała spędzić kilka dni z siostrą i siostrzenicą. On również zamierzał pozostać tam dzień czy dwa przed powrotem do siebie. Mógł być potrzebny ciotkom, jak się wyraził, wyjaśniając powód zwłoki. Patience, której kostka jeszcze całkiem nie wydobrażała, należało przecież podtrzymywać przy spacerze po ogrodzie. Wszak skręciła nogę z jego winy.

Kasandra i Nigel przyglądali się z tarasu odjazdowi krewnych.

— No i zostaliśmy sami. - Kasandra uśmiechnęła się do męża, kiedy powóz Robina zniknął im z oczu. - Nikt się tu nie zjawi przez najbliższych parę dni, możesz być pewien. Wszyscy taktownie nas opuścili, żebyśmy mogli się sobą nacieszyć. Jak sądzisz, czy zdołamy? - Roześmiała się głośno.

- Na mą duszę - powiedział, składając jej ukłon i podając ramię - jeśli się dobrze zastanowię, znajdę może jeden czy dwa powody ku temu.

Objęła go bez skrępowania i obydwójce zgodnie, choć bez słów, skierowali się ku trawnikowi. Kasandra była szczęśliwa. Tego ranka czuła się bardziej zakochana niż przedtem, jeśli w ogóle istniała taka możliwość. A romantyczną euforię wzmagało głębokie zadowolenie, że mężczyzna u jej boku, ubrany, jak zawsze, z nieskazitelną elegancją - nawet włosy miał upudrowane - to także jej kochanek z ostatniej nocy. Już pierwsza noc, ta pod drzewem, które mogła dojrzeć z trawnika, dała jej niejakie zadowolenie, lecz do nocy ostatniej nie wiedziała - och, nie wiedziała jeszcze - czym to może być.

Ów euforyczny stan nie mógł trwać wiecznie. Była tego świadoma. Chciała jednak, żeby trwał jak najdłużej. Wszak łączyła ich miłość, która winna była trwać całe życie.

Nie zapomniała o jego plecach. Już samo ich dotykanie było doznaniem zatrważającym. A widok... Za nic nie chciała wracać do tego myśla. Musiano go wychłostać wprost po bestialsku. Jeśli wymierzono mu taką chłostę od jednego razu, dziwne, że ją w ogóle przeżył. A może bito go więcej niż jeden raz...? Dobry Boże, cóż to musiało być? A on nie chciał jej powiedzieć.

To, że legła między nimi jakaś tajemnica, nawet wywodząca się z odległej przeszłości, było skazą na jej szczęściu. Próbowwała zapomnieć. Wróciła myślami do ślubu, który brała wczoraj o tej samej porze, do weselnego przyjęcia i gości, do poczucia szczęścia, które powinni za wszelką cenę podtrzymywać.

- Wyglądasz na znużoną, kochanie - odezwał się. - Może zanadto zmęczyłem cię zeszłej nocy naszymi... hm... ćwiczeniami?

Zaśmiała się.

- Cóż to, szyderstwo? - Już trzymał w dłoni lornion, gotów przyłożyć binokle do oczu. - Dzisiejszego wieczoru muszę bardziej się starać. A może pozwolisz mi zrobić to raz czy drugiego jęszcze tego popołudnia? Z pewnością wiesz, co się mówi o nabywaniu wprawy.

Uśmiechnęła się do niego, czując gwałtowny przypływ fizycznego pragnienia na samą myśl o tym, co się zdarzy tej nocy, a może nawet tego popołudnia. Zdała sobie sprawę, że robił właśnie to, co i ona próbowała czynić: podtrzymywał ich uczucie. Nieustającą szczęśliwość. Będzie się z nią przekomarzał i flirtował na spacerze. A gdy dojdą do lipowego zagajnika, ku któremu się kierowali, pewnie ją pocałuje.

Dzień wydawał się bardzo po temu odpowiedni. Właśnie dzisiejszy. Może i jutrzejszy. Czas na przyziemną rzeczywistość nadejdzie dopiero pojutrze. Wciąż jednak nie mogła zapomnieć, z jakim przerażeniem uświadomiła sobie zeszłej nocy, że poślubiła kogoś obcego. Kogoś, o kim prawie nic nie wie.

- Nigelu - odezwała się, nie wiedząc, czy wystarczy jej jedno pytanie i jedna odpowiedź - gdzie jest twój dom?

Poczuła, że jego ramię na moment stężyło. Lecz sztywność ustąpiła tak szybko, iż mogła być wytworem jej wyobraźni. Nie odpowiedział jednak od razu.

- W hrabstwie Lincoln - rzekł wreszcie. - Tam kiedyś był mój dom. Nie odwiedzałem go od lat.

- Czy to znaczy, że nie masz tam żadnej posiadłości?

Wyraźnie się wahał. Dziwne. Pytanie było przecież bardzo proste.

- Nie - odparł w końcu.

- I nie masz żadnych krewnych, tylko siostrę? Starszą czy młodszą? Czy jest zamężna? Ma dzieci? Jak jej na imię?

- Barbara - odpowiedział. - Ma siedemnaście lat i jeszcze nie wyszła za mąż.

- Jeśli to twoja jedyna krewna, musiało ci być przykro ją opuszczać, kiedy wyjeżdżałeś, i jej chyba też, prawda? Chyba ci nie wybaczy, że ożeniłeś się, nie dając jej czasu, by mogła zdążyć na ślub. Zaproś ją tutaj, Nigelu. Napisz do niej jeszcze dzisiaj. Dopiero teraz dowiaduję się, że mam siostrę. Mogłaby zostać w Kedleston tak długo, jak zechce. Och, proszę, napisz do niej! Wracajmy zaraz do domu. - Ujęła go mocniej pod ramię, żeby przystanął.

- Rozmawiałem z nią dwa lata temu, Kasandro. - Zatrzymał się co prawda, lecz nic nie wskazywało, że zamierza wracać. - Jeden jedyny raz. Poszedłem się z nią zobaczyć do szkoły, gdzie odbywała nauki. Minęło wówczas prawie osiem lat od naszego ostatniego spotkania. Od tej pory nie widziałem jej więcej.

Zdumiała się. Ma młodszą siostrę, siedemnastoletnią dziewczynę, i nie widuje jej? Przebiegł ją dreszcz.

Nigel spojrział jej w twarz, uśmiechając się dziwnie samym kącikiem ust.

\_ Mam też brata - rzekł.

Spojrzała na niego z osłupieniem. Był człowiekiem utytułowanym, ale bez posiadłości. Miał brata, o którego istnieniu nie wiedziała aż do tej chwili, i młodszą siostrę, którą widział tylko raz w ciągu dziesięciu lat. Bestialsko go wychłostano, i to zapewne niejednokrotnie. Kim jest człowiek, którego poślubiła?

- Na imię mu Bruce. Do niego należy posiadłość Dunbar Abbey w hrabstwie Lincoln. Barbara mieszka razem z nim.

- Więc jest starszy od ciebie, prawda?

- Nie. - Znów się krzywo uśmiechnął. - Młodszy. Mnie, jak widzisz, dostał się tytuł, a jemu przypadły w udziale posiadłość i obowiązek opieki nad siostrą. Lepiej mnie więcej nie pytaj. Wystarczy ci chyba stwierdzenie, że nie jesteśmy zbyt zżytą rodziną.

Nie potrafiła się z tym pogodzić. Jak mógł od niej żądać czegoś podobnego? Szli razem, ramię przy ramieniu, ale już się nie obejmowali. Zmierzali ku lipowemu zagajnikowi.

- W jaki sposób twój brat mógł objąć posiadłość, skoro ty jesteś starszy?

- Dunbar nie jest majoratem.

- Kedleston też nie. Lecz takie posiadłości zawsze są dziedziczne.

- Nie zawsze - rzekł chłodno. - Choć istotnie, mój ojciec już nie żyje. Zostawił Dunbar mnie, ale potem nastąpiły... komplikacje. No nie, doprawdy wyglądasz o wiele za poważnie jak na pannę młodą ledwo dzień po ślubie. - Stanął przed nią i objął ją w talii. - Wiesz już teraz, że masz nowego brata i siostrę, których twój mąż, na nieszczęście, głęboko do siebie zraził. Czy ja sam ci nie wystarczę, moja droga? Czyżbym poniósł aż takie fiasko w ciągu dwudziestu czterech godzin?

Pokręciła przecząco głową. Ogarnęła ją nagle fala miłości do niego. Jacyś ludzie obeszlili się z nim okrutnie i niesprawiedliwie, co do tego nie miała wątpliwości. Chciała mu to wynagrodzić. Chciała, by jej miłość stała się dla niego osłoną na całą resztę życia. Żeby już nigdy więcej nie był nieszczęśliwy.

Wciąż jednak zastanawiała się, jak to się mogło stać, że rodzina sprzeniewierzyła się woli ojca i tradycji. Utracił Dunbar Abbey, swoją wcześniejszą własność.

Nie chciała o tym myśleć. Nie dziś. Może jutro. Pragnęła wrócić myślami do ślubu, nocy poślubnej i ich wzajemnej miłości. Objęła go za szyję i westchnęła z zadowoleniem, kiedy ją pocałował.

Chciał rozmawiać z nią w lekkim, żartobliwym, przyjacielskim tonie. Potrzebował właśnie takiego dnia - samotności we dwoje, delektowania się nową intymnością. Jej zaś należało się krótkie interludium pełne niczym niezmaconego szczęścia. Jej szczęście zaczynało być dla niego nowym brzemieniem, nową odpowiedzialnością.

Pocałował ją gorąco i głęboko, choć nie czuł przypływu namiętności. Może uda się, mimo wszystko, uratować ten dzień. Lecz po co? Jutro albo pojutrze musi to nastąpić.

Choć obejmował ją za szyję, odwróciła głowę ku niemu, obracając się na palcach. Powiedziała z zapałem:

- Przecież masz teraz nowy dom i posiadłość. Masz Kedleston.

Cały zeszczywniał. Czyżby Will Stubbs...

- Będziemy tu razem żyli - ciągnęła - będziemy tutaj szczęśliwi i wychowamy tu nasze dzieci. Kiedyś nasz syn - twój syn - odziedziczy Kedleston i zostanie lordem Worthing. Ale przedtem będziemy żyć tak, jakby majątek należał do nas obojga. Od tej chwili przestanę o nim myśleć jak o swojej wyłącznej własności. Ostatnimi tygodniami wiele trudu włożyłam w naukę kierowania majątkiem. Musisz mi w tym pomóc. Może nie wiesz dużo więcej ode mnie, skoro tak młodo - chyba miałeś jakieś dziewiętnaście lat - opuściłeś Dunbar Abbey. Na pewno jednak wiesz tyle co ja, a może więcej. Będziemy tu gospodarzyć razem. Dwór Kedleston stanie się i twój, i mój. Masz znowu dom.

Pocałował ją. Kusiło go to, bardzo kusiło, nawet jeśli chodziło tylko o dzisiaj.

Odstąpił krok w tył. Stał przy jednej z lip, wsparłszy się o jej pień ramieniem. Ogarnął wzrokiem wierzchołki drzew w dolinie i na przeciwległym wzgórzu. Nawet teraz nie był pewien, czy uda mu się odsunąć tę chwilę.

- Zmartwiłam cię? - usłyszał jej głos. - Czy wypadło mi to protekcyjnie? Bardzo żałuję, że ty nie masz nic, gdyż wszystko z tytułu prawa należy do mnie. Nie chcę, aby nierówność majątkowa nas podzieliła. Czy ty może... - zamilkła na chwilę. - Chyba nie zbiedniałeś? Nie ubierasz się jak ktoś ubogi i mówisz, że masz pieniądze. Nie można dopuścić, żeby poróżniły nas takie sprawy. Jesteś, oczywiście, człowiekiem dumnym, jak zresztą wszyscy mężczyźni. Co mam powiedzieć, żeby...

Odwrócił się ku niej. Jego oczy tak rozbłysły, że urwała.

- Nie mów nic - rzekł ostro. - Przestań czytać mi w myślach i odgadywać moje uczucia.



Gwałtowność wybuchu zaskoczyła nawet jego samego. Ale był już gotów sprostać nieuniknionemu. Czekał na tę chwilę ponad rok- Nawet teraz czuł wielkie zadowolenie, że może to wreszcie powiedzieć. Właśnie jej.

Patrzyła na niego bez słowa, oniemiała i pobladła.

- Do licha! - zachnął się. - Trudno mi to zrobić ze względu na ciebie.

- Uraziłam cię? Proszę, wybacz.

- Przed chwilą - uniósł dłoń - wspomniałaś, że Kedleston nie jest majoratem. Wiedziałem o tym, zanim mi powiedziałaś. Zmarły lord Worthing chciał przekazać ci go testamentem. Kiedy jednak testament odczytano, posiadłość nie należała już do niego. Utracił ją, grając w karty. Ze mną.

- Co takiego...? - Tylko tyle zdołała wyszeptać.

- Kedleston jest mój, Kasandro. Już ponad rok. Wygrałem go od hrabiego Worthinga w karty. Mam odpowiednie dokumenty.

- Przecież one zaginęły. - Wciąż mówiła szeptem. - Prawnik papy nie mógł ich odszukać. Ale powiedział mi, że to nie ma znaczenia.

- Nie zaginęły. Dano je mnie i wszystko zostało uprawomocnione przez adwokatów - jego i mojego. Rzecz jasna, nie przez tego, który zazwyczaj prowadził jego sprawy. Kedleston należy do mnie, ale jako moja żona jesteś nadal jego panią.

Słowa, które musiał wyrzec, wypowiedział tak szybko, tak łatwo. Wcale nie okazało się to trudne. Stał, lekko się uśmiechając, z rączką binokli w jednej dłoni, na wpół tylko świadomy, że opiera się o drzewo, by nie upaść, a nie dla zewnętrznego efektu. Nogi ugiwały się pod nim.

Patrzył z uśmiechem, jak jej świat wali się w gruzy. Przeklinał w duchu jej aż nazbyt pełną wyrazu twarz. Prawie jej nienawdził.

Kilkakrotnie poruszyła ustami, lecz bezdźwięcznie. Wargi miała blade jak pergamin. Nie odrywała wzroku od jego oczu, póki nagle nie odwróciła się do niego tyłem. Zamierzał podporządkować ją sobie, nagiąć do swojej woli. Czy to możliwe? Czy mogło być łatwe? Czy była aż tak podatna? W jakiś niewytłumaczalny sposób nie chciał jednak, by okazała się podatna, choć byłoby to dużo wygodniejsze.

Zdał sobie sprawę, że ją polubił. Zaczął ją podziwiać. A nawet przywiązał się do niej.

Nim jednak zdążył rozstrzygnąć, co powie lub zrobi, zebrała suknie i pobiegła ku domowi.

Stał, śledząc ją wzrokiem. Czy powinien pójść za nią? Próbować jej wszystko wytłumaczyć? Zmusić ją, żeby przemówiła do niego choć słowem? A może dać jej możliwość przetrwania tego, co powiedział, zanim ujrzy ją znowu?

Stał wsparty o lipę.

Starannie zaplanował tę partię - zajęło mu to osiem lat - i wszystko potoczyło się zgodnie z jego planami. Wygrał Kedleston od Worthinga. Wygrał. Wciąż jeszcze potrafił delektować się triumfem, jaki wtedy odniósł. Dokonał zemsty doskonałej.

Ale pozostawała córka. Jedyna córka, żyjąca w Kedleston, która niedługo po tej karcianej rozgrywce została dziedziczką czy raczej została nią pozornie. Worthing zmarł niespełna w dwa tygodnie po utracie domu i dwa tygodnie przed upływem terminu odroczenia, którego udzielił mu Nigel, by hrabia mógł powiadomić rodzinę i zabrać z domostwa rzeczy osobiste.

Pozostało mu tylko jedno wyjście, by uspokoić własne sumienie i zarazem zachować wygraną - a przecież nie chciał się jej wyrzekać. Musiał ożenić się z córką i pozwolić, by pozostała w Kedleston, już jako jego żona. Will Stubbs zawsze mu się jednak przeciwstawiał. Nigel nic nie jest winien rodzinie zmarłego lorda, perswadował. Nie ma sposobu, żeby uczciwie ułożyć się z dziewczyną. A jeśli chce się z nią żenić, to - zdaniem Willa - powinna najpierw poznać całą prawdę, a dopiero potem wyjść za niego albo i nie. Należało jej, by tak rzec, otworzyć oczy. Zaofiarowanie jej małżeństwa wydawało się czymś okrutniejszym niż zaniechanie wszelkich względów. Gdyby się z nią jednak nie ożenił, znalazłaby się, ogołociona ze wszystkiego, na łasce stryja.

W ten sposób uciszył swoje sumienie.

Zaśmiał się z cicha, ale bez wesołości.

Szybko pojął, że istnieje drugi bardzo dobry powód poślubienia jej, silniejszy nawet niż litość.

Zastanawiał się, czy kocha go na tyle mocno, by dało się uratować ich małżeństwo i uczynić wspólne życie przynajmniej znośnym. Czy Kedleston okaże się dostatecznie obszerny, by pomieścić ich dwoje, jeśli się wzajemnie znienawidzą?

On nie czuł do niej nienawiści. Ale niewiele mógł jej pomóc. Odsłonił przed nią nagą prawdę. Powiedział wszystko, co powinna była wiedzieć. Nie czuł się na siłach powiedzieć więcej. To już nie dotyczyło jej bezpośrednio.

Kochała ojca bardzo gorąco. Nieoczekiwanie stało się niezwykle ważne, by zachowała choć trochę złudzeń. Mogła go, rzecz

jasna, znenawidzić i zapewne już nienawidziła, ale to w końcu jej sprawa. On zawsze chciał potraktować ją łagodnie.

Nie zamierzał jej mówić nic więcej. Niech sobie o nim myśli, co chce.

Wiedział jednak, że musi pomówić z nią znowu i spróbować ją pocieszyć. Wolnym krokiem poszedł w ślad za Kasandrą do Kedleston. Do domu, który od ponad roku był jego własnością.

Zwolniła w połowie trawnika, bo poczuła kłucie w boku. Nadal jednak na wprost biegła, prawie bez tchu. Próbowwała nie myśleć. Jeśli się jej uda nie myśleć, to znaczy, że niczego nie usłyszała, że to nieprawda, że to zniknie, rozwieje się.

Nie należał do mnie, pomyślała, spojrzawszy na dom. Nigdy do mnie nie należał.

Skoro już musisz myśleć, myśl tylko o tym, rzekła sobie w duchu. Kedleston nie należał do niej. Nie należał też do ojca w chwili jego śmierci. Dom i posiadłość nie były majoratem. Lord Worthing mógł je sprzedać, kiedy tylko chciał. Albo też je utracić. Nie, nie chciała myśleć o tym dłużej.

W hallu niemal otarła się o lokaja. Nie uśmiechnęła się do niego, co zwykle robiła, ani go nie pozdrowiła. Nie był jej sługą. Reszta służby też nie. Wbiegła na schody, zmierzając do swego pokoju. Nie, nie był jej pokojem. Omal nie zderzyła się z Williamem Stubbem, który wychodził właśnie z garderoby swego pana, trzymając w ręce brzytwę. Kasandrą odskoczyła w tył. Wszystkie uczucia, jakich doznała w ciągu ostatniego kwadransa, przeobraziły się w obłądny strach.

- Proszę stąd wyjść! - krzyknęła. - Kim pan jest?!

William Stubbs z uśmiechem na twarzy i brzytwą w ręce mógł śmiertelnie wystraszyć nawet Goliata, wodza Filistynów. Przystał się jednak uśmiechać.

- No, no, moja mała lady - rzekł łagodnie. - Will Stubbs nie zrobi ci krzywdy. Przenigdy.

- Kim pan jest? - powtórzyła. - Przecież nie sługą. Na pewno nie sługą. Co pan z tym robi? - wskazała drżącym palcem brzytwę. Nie poznawała własnego głosu. Był urywany, drżący, brzmiał piskliwie.

William spojrział na brzytwę, jakby dopiero teraz ją zauważył.

- Trza ją porządnie naostrzyć, bo stępiała. Zawsze sam to robię. Znam się jak nikt inny na nożach i brzytwach. No, jestem jego człowiekiem, milady, a także i paninym sługą. Nikt nigdy pani nie ukrzywdzi, dopóki stary Will będzie w pobliżu. Nawet on. Niech no tylko spróbuje!

- Kim on jest? - spytała zduszonym szeptem.

Szpetny olbrzym spojrział na nią swoim jedynym okiem.

- To przez Nigela, co? Juzem raz mu mówił, żeby nie śmiał tak robić. Oj, pogadam ja sobie z nim, pogadam. Niech pani pójdzie do siebie i zamknie drzwi. Stary Stubbs powie służącej, żeby przyniosła pani dobrej herbatki.

Nigel? Czyżby Stubbs był ze swoim panem na ty? Powie mu, żeby nie śmiał czegoś robić? Pogada sobie z nim?

William Stubbs w roli troskliwego opiekuna był nie mniej przerażający niż William Stubbs z uśmiechem na twarzy i brzytwą w ręce. Zwłaszcza gdy nazywał Nigela po imieniu. Kasandra przemknęła koło niego, zmierzając ku pokojowi. Zdażyła dostrzec, że Will Stubbs odsuwa się pospiesznie, by otworzyć przed nią drzwi, i zamyka je za nią o wiele delikatniej, niż zdołałaby to zrobić służąca.

Musiała pomyśleć. Nie, właśnie należało nie myśleć. Nie teraz. Niczym muzyka dyskretnie towarzysząca partii kart, w jej głowie rozbrzmiewały słowa, że Kedleston nie należy do niej i nigdy nie należał. Gdzieś w głębi kryła się jeszcze gorsza myśl. Nie potrafiła się z nią zmierzyć. Nie teraz.

Nie miała jednak wyboru.

Spojrziała na drzwi, słysząc stukanie służebnej. Chętnie napiłaby się herbaty. Nie była to jednak pokojówka. Odwróciła się więc szybko w inną stronę i podeszła do okna. Nagle nieskazitelną elegancją męża - nawet teraz ubrany był jak spod igły - wydała się jej maską przesłaniającą prawdziwe oblicze tego człowieka. Nie wiedziała, jak ono wygląda.

W końcu był jej mężem.

- Kasandro - rzekł miękko.

- Jesteś karciarzem - powiedziała. Ach, właśnie ta myśl ją nękała. Nie dało się jej uniknąć. - Awanturnikiem i karciarzem. Grasz o wysokie stawki, ograbiasz ludzi z ich mienia i marzeń. Kobiety także. Obrabowałeś moje życie z marzeń. Jesteś kłamcą i oszustem. I moim mężem.

- Tak - rzekł po chwili głuchoj ciszy.

Utrata Kedleston była czymś strasznym. Wiedziała, że nigdy nie zdoła się z tym pogodzić. Ale istniała jeszcze gorsza strata. Ponownie utraciła ojca.

- Wszystko, co mi mówiłeś o papie, było kłamstwem. Nigdy się z nim nie przyjaźniłeś. Nigdy ci o mnie nie opowiadał.

- Tak.

- On też był karciarzem, ale mniej zręcznym od ciebie. Albo może on grał uczciwie, a ty szachrowałeś. Postawić Kedleston i całą moją przyszłość dla samej przyjemności gry!

Nie odpowiedział, choć oczekiwała, że zacznie się bronić. Chciała, by próbował obrony. Miałaby wtedy pretekst do ponownego ataku.

- Dziwi mnie, że czekałeś cały rok, a potem tu przyjechałeś, by mnie zwieść i poślubić. Ach nie, nie powinnam się dziwić. Już wiem. Miałam być dodatkowym trofeum, prawda? Perłą w koronie. Odziedziczyłam tytuł, znają mnie w okolicy. Okrzyknięto by cię okrutnikiem, gdybyś wypędził mnie z domu, który zawsze był siedzibą hrabiów Worthing. Więc ożeniłeś się z lady Worthing, która ma zostać twoją uniżoną gospodynią. No i masz zamiar spłodzić przyszłego lorda, bo tytułu wydrzeć mi nie możesz, mój panie. Kalkulujesz trzeźwo i umiesz dbać o swój interes. Może uczyniłeś mnie brzemienną. Ostatniej nocy albo tydzień temu. Jeśli tak, to twój triumf jest zupełny.

- Kasandro - rzekł - nie chcę, żebyś tak rozpaczała. Proszę, spojrzij na mnie, kochanie.

Uśmiechnęła się do trawnika i drzew, a potem obróciła w jego stronę.

- Możesz teraz napawać się własnym zwycięstwem. Nie musisz dłużej udawać. Kedleston jest twój, a ja jestem twoją żoną. A może nawet noszę w łonie twoje dziecko. Jeśli jeszcze nie, stanie się to, kiedy tylko zechcesz. Wcześniej czy później znajdę w ciążę, jak większość kobiet. Nie musisz mi dłużej nadskakiwać. Potrafiłeś to zręcznie robić, a ja, naiwna i niedoświadczona, nawet nie próbowałam obrony, chyba że była nią prośba o tygodniową zwłokę. Jakże musiałeś się zaśmiewać na myśl, że wysyłam cię na tydzień z twojego własnego domu! Teraz jestem twoją żoną. Mężowie nie potrzebują nadskakiwać żonom, bo one do nich należą. Jestem twoją własnością.

- A ty mnie nienawidzisz.

- Dziwisz się? - Uniosła dumnie głowę. - Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie? Myślę, że nie. Myślę, że jesteś zimny jak gład, że serce zlodowaciało ci na wskroś. Że tłoczy ono tylko twoją zimną krew do twoich żył.

- Wszystko rozegrało się między twoim ojcem a mną, Kasandro. Na Boga, żałowałam, że byłaś w tę sprawę wmieszana. Sprawiało mi to ból. Nie mogłem cię w inny sposób osłonić przed rezultatem... karcianej rozgrywki.

- Czyżby poślubienie mnie było tą próbą osłonięcia? Wybacz, że ci nie wyrażę wdzięczności. Czy wolno mi będzie zachować dla siebie cokolwiek? Dom jest twój. Musisz powiedzieć, czy przysługuje mi w nim jakaś prywatność. Pytam, bo nie znam odpowiedzi. Bo nie znam ciebie.

- To także twój dom - odparł spokojnie. - Jesteś moją żoną, Kasandro, a nie sługą czy niewolnicą. Twoje pokoje należą wyłącznie do ciebie. Przyjdę tu następnym razem tylko na twoje zaproszenie. Pozwolisz, że cię opuszczę?

- Tak. Tak, bardzo proszę.

Nie odszedł od razu. Bawił się przez jakiś czas rączką binokli, choć nie uniósł ich do oczu. Miał, jak pomyślała beznamiętnie, chłodny typ urody. Bardzo chłodny. Prawie zawsze nosił też stroje w różnych odcieniach szarości i bieli. Nawet włosy zwykle miał upudrowane na biało. Jakże była głupia, że nie dostrzegła wcześniej tego chłodu, jego głównej cechy.

- Pomówimy później - rzekł - kiedy przemyślisz to, co dziś wydaje się ci wstrząsające i niespodziewane. Nic się nie zmieni, jeśli o ciebie chodzi. Byłaś szczęśliwa, kiedy tu przybyłem, a także potem. A także wczorajszego dnia i dzisiaj rano. Wszystko jest prawie takie samo jak rok temu. Nadal możesz tu być szczęśliwa, tak jak byłaś zawsze.

Uśmiechnęła się blado.

- Jedna drobnostka stoi temu na przeszkodzie, mój panie. Wczoraj za ciebie wysłałam.

Patrzyła mu prosto w oczy, spodziewając się, że on pierwszy odwróci wzrok. Wreszcie złożył jej niski, elegancki ukłon, obrócił się i wyszedł bez słowa.

Długo nie mogła się poruszyć. Miała dziwne wrażenie, że tylko stanie w jednym miejscu może ją uchronić przed pęknięciem na tysiące kawałków.

W tym samym pokoju, na tym samym łóżku - nie mogła odebrać od niego oczu - leżeli razem zeszłej nocy. Nigdy się to już nie powtórzy, jeśli można było dać wiarę jego słowom. Bo nigdy nie zostanie tutaj zaproszony.

Nienawidziła go teraz tak mocno, jak go kochała jeszcze godzinę temu.

Ponowne stukanie do drzwi zwiastowało przybycie pokojówki z obiecaną herbatą. Szpetny służący, który tak strasznie wyglądał z otwartą brzytwą w rękę, dotrzymał więc słowa.

## ROZDZIAŁ 14

Nigel obudził się tuż przed świtem, zlany zimnym potem. Usiadł gwałtownie na łóżku.

Dziwił się, że w ogóle zasnął. Przeżył straszny dzień, zwłaszcza w porównaniu z poprzednim, z ostatnią nocą, a nawet z rankiem. Przekonywał siebie, że postąpił całkiem słusznie. Że ona, teraz, kiedy już wie, uroni kilka łez, lecz po łagodnych upomnieniach szybko się podźwignie, pogodzona z nowym porządkiem rzeczy. W końcu kochała go głęboko.

Lecz właśnie to spowodowało katastrofę. Gdyby jej uczucia nie były tak głębokie, łatwiej zdołałaby sobie poradzić z tym, co jej powiedział. Miłość i nienawiść nie są przeciwieństwami. Pozostają w chwiejnej równowadze, czasami trudno je nawet odróżnić, a pierwsza łatwo przeradza się w drugą.

Kochała go bezgranicznie aż do poprzedniego ranka. Teraz nienawidziła go równie mocno.

Nie wyszła ze swojego pokoju przez całą resztę dnia. Kiedy wezwał jej pokojówkę i spytał, czy zaniecono Kasandrze jakiś posiłek, dziewczyna odparła, że owszem, na polecenie pana Stubbsa. Nigel był zaskoczony, lecz nic nie powiedział.

Will Stubbs, indagowany w tej materii osobiście, burknął, że porachuje swemu panu kości, jeśli ten spróbuje wtargnąć do pokoju żony, zanim ona będzie gotowa go przyjąć.

- Jeżeli będzie gotowa, Nigel - dodał - bo nie spodziewam się tego, skoroś jej rano złamał serce. Takie małe panie nie lubią, kiedy się im głupie figlasy stroi. Mamy je przecie chronić przed wszelakim plugastwem.

Will nie uważał za stosowne wyjaśnić, skąd czerpie wiedzę o charakterze płci pięknej, a Nigel wcale go nie pytał.

Przesłał Kasandrze wieczorem krótki list do pokoju, lecz otrzymał przewidywaną odpowiedź, którą przekazano mu ustnie.

- Jaśnie pani mówi „nie”, milordzie - rzekła jej pokojówka, bardzo grzecznie, ale posyłając mu spojrzenie, które mogłoby zabić.

Nie przypuszczał, że zgodzi się go przyjąć, a i nie pragnął tego zbyt. Pragnął tylko kochać się z nią. Musieliby jednak odbyć jeszcze jedną rozmowę. Miał nadzieję, że przynajmniej zamieni kilka słów przed udaniem się osobno do swoich łóżek.

Jej odpowiedź brzmiała „nie”.

Chciał dotrzymać danego jej przyrzeczenia, nawet gdyby miała nigdy nie wyjść ze swoich pokojów. Nigdy tam nie pójdzie bez zaproszenia. Nie potrzebował ostrzeżeń Willa.

Nie groziło jej wyzucie z wszelkiej własności. Dom nadal pozostawał jej domem, choć nie była teraz jego właścicielką. Jego

starannie obmyślane plany zostały uwieńczone sukcesem. Nie miał powodu do narzekań. Nie musiał również martwić się zbytnio o Kasandrę. Zrobił dla niej wszystko, co mógł. Jeżeli nigdy już nie zechce go widzieć, było to godne ubolewania. Miał jednak wszystko, czego chciał, włącznie z nią.

Mimo rozsądnych myśli nie potrafił zasnąć. Położył się późno i długo przewracał z boku na bok. Wyszedł na przechadzkę, znowu się położył i znowu przewracał z boku na bok. Najwyraźniej wreszcie zasnął, bo teraz zbudził się zlany zimnym potem, bez tchu.

Śnił mu się jeden ze znanych od dawna koszmarów. Chciał uciec przed niebezpieczeństwem, lecz poruszał się żółwim krokiem, jakby powietrze wokół niego zgęstniało. Coś, co mu zagrażało, podążało tuż za nim, niczym niepowstrzymywane.

Koszmar, jak zawsze, był wyrazisty i plastyczny. Pokój pełen uśmiechniętych wrogów. Pułapka, potrzask! Ściany i sufit zdawały się gwałtownie przybliżać, a razem z nimi ludzie. Czuł niemożność ucieczki, brak tchu.

Brak tchu.

Walczył o oddech, zaciskając kurczowo dłonie na kołdrze. Przez kilka chwil nie mógł uwierzyć, że zbudził się w przestronnej, dobrze wietrzonej sypialni.

Boże w niebiesiech! Gdyby tylko zdołał uwolnić się od koszmarów! Jakby siedem lat piekła nie stanowiło wystarczającej kary za jego błąd. A tym błędem okazała się młodość. Był porywczym, łatwowiernym młodzikiem, święcie przekonany, że uda mu się wszystko dostroić do swoich marzeń.

Jakże się radował, że hrabia Worthing bawi w Londynie, gdzie on sam przybył na podbój tego miasta. Myślał - z niewiarygodną, rozbijającą prostodusznością - iż Worthing też będzie zachwycony jego obecnością w stolicy, gdy już mu wyjawiał, kim w istocie jest.

A Worthing postanowił go zniszczyć i powiodło mu się to z zaskakującą łatwością, choć nie we wszystkim. Bo to przecież Nigel spał teraz w sypialni zmarłego hrabiego i jemu się dostał hrabiowski majątek. Jak również córka.

Tak, ona też była jego własnością.

W pewnym sensie dokonał totalnej zemsty, kiedy poślubił ją niespełna dwa dni temu. Mógł teraz odpocząć, wiedząc, że powiodło mu się we wszystkim prócz jednego, a tego jednego nie dało się zdobyć. Było to raczej marzenie niż cel. Nie ma dowodów, że...



Przytąpał się na myśleniu o Kasandrze, leżącej samotnie w pobliskiej sypialni. Może też nie śpi? Ostatnia noc - tak niedawna, chociaż odległa o całą wieczność - była jej nocą poślubną. Jego zresztą też.

Nie chciał jej ranić.

Tego jednak nie udało się uniknąć. Mógł postąpić o wiele gorzej. Mógł zażądać wyzucia jej z własności natychmiast po śmierci Worthinga.

Nie chciał, by los Kasandry ciążył na jego sumieniu. Jak go nazwała? Awanturnikiem i karciarzem... kłamcą i oszustem...

Odrzucił kołdrę i wstał z łóżka. Wiedział, że już nie zaśnie. Postanowił wybrać się na przejażdżkę. A potem zacząć nowe życie. Czekają go mnóstwo pracy.

Może Kasandra da się obłąskawić. Wczoraj o tej porze leżała naga w jego ramionach.

Kasandra obudziła się o świcie z uczuciem przygnębienia, które przygniatało ją niby realny, fizyczny ciężar.

Choć wciąż senna, uświadomiła sobie, co ją przytłacza. Do bólu, jaki odczuwała, dołączył strach.

Myślała, że jest rozsądna, dorosła i mądra. Szczęśliwa i bezpieczna. A poślubiła mężczyznę, o którym nic nie wiedziała, którego znała niespełna dwa tygodnie. Wyszła za niego, bo był przystojny, elegancki, czarujący i niezwykle doświadczony w sztuce uwodzenia.

Na przekór radom krewnych - którzy ją kochali - rzuciła się ślepo w katastrofę. Poślubiła karciarza, szachraja, kłamcę, człowieka, który zniszczył jej ojca dla samej przyjemności gry. Mało tego, żyła z nim. Zrobiło się jej niedobrze na samo wspomnienie. Mogła przecież zająć z nim w ciążę.

Była przed nim bezpieczna tylko w tym pokoju oraz w garderobie i bawialni. Pod warunkiem że on okaże się człowiekiem honoru. Zaśmiała się z goryczą. Pozwolił jej spędzić samotnie noc i przyrzekł, że bez pozwolenia nie wejdzie do jej pokoju.

Jeśli więc spędzi tutaj resztę życia, uda się jej nie widywać go wcale.

Uderzyła ją absurdalność tej myśli. Nie mogła przecież tkwić kilkadziesiąt lat w tych trzech małych pokojach. Zresztą nie chciałyby. Nie zamierzała się przed nim ukrywać. Bp może okazać mu wzgardę tylko wtedy, gdy stanie z nim twarzą w twarz.

A tego ranka ponad wszystko chciała okazać mu wzgardę.

Zawahała się, stanąwszy przy drzwiach, które wiodły do jego garderoby. Nie, nie będzie pukać i czekać na odpowiedź. Zapukała i od razu otworzyła drzwi.

Nie było go tam. Był tylko jego służący, który czyścił szczotką kurtkę do konnej jazdy. Uśmiechnął się.

- Dzień dobry, milady - odezwał się.

- Dzień dobry, panie Stubbs. - Nie odwzajemniła uśmiechu. JI Gdzie jest wicehrabia Wroxley?

- Wybrał się gdzieś z rządcą. Nie trzeba się o nic martwić, milady. Już Nigel zadba o paniny dom, co teraz jest i jego. Cały rok doczekać się nie mógł. On panią ochroni.

Ta impertynencja niemal odebrała jej mowę. Nie był, rzecz jasna, prawdziwym służącym. Zrozumiała to ostatniej nocy.

- Pan jest jego strażnikiem przybocznym? - spytała, choć nie było to wcale pytanie. - Nie wiem, jak wielu mężczyzn, a może i kobiet służyło mu przed panem. Jeśli jednak stale mu pan towarzyszy, to chyba musiał wcześniej robić mnóstwo złych rzeczy, jeszcze gorszych niż ta z moim ojcem. Mam nadzieję, że dobrze panu płaci.

- Nigel nigdy cię nie ukrzywdzi, moja mała pani - usłyszała w odpowiedzi. - Trzeba mu było wyjawić całą prawdę przed ślubem. Ale z niego taki uparty sukinsyn. Ożenił się, bo nie chciał paninej krzywdy. Nigdy nie chciał, a jakby popróbował, to już ja mu odpowiem, jak się patrzy, a on dobrze wie, co to znaczy. Nigdy pani nie ukrzywdzimy, milady.

- Dziękuję, panie Stubbs - rzekła zimno. - Jeśli w przyszłości będzie mi potrzebna pańska opinia, zapytam o nią. - Była dumna, że głos się jej nie łamie. Mimo uspokajających słów ten człowiek wciąż budził w niej strach. Czy bił Nigela? Widziała, że otwarta brzytwa, którą wczoraj wymachiwał, leży na umywalce niemal w zasięgu jego ręki. Nie chciała jednak okazywać strachu, tylko wzgardę. I wicehrabiemu Wroxleyowi, i wszystkim, którzy mieli z nim coś wspólnego.

William Stubbs wpatrywał się w nią jedynym zdrowym okiem.

- Pojmuję, o co chodzi, moja mała pani. Pojmuję lepiej, niżli się zdaje.

- Proszę powiadomić jaśnie pana, że życzę sobie mówić z nim w bibliotece, o drugiej po południu. Rozumie pan?

- Rozumiem, proszę jaśnie pani. - Gdyby chodziło o kogoś innego, przysięgłaby, że w jego głosie zabrzmiała czułość.

Uniosła głowę i wyszła szybkim krokiem z pokoju męża. Wróciła do swojego, gdzie służąca nalewała właśnie ciepłej wody do umywalki.

Miała nadzieję, że nigdy więcej nie pomyśli o Nigelu jak o swoim mężu.

Nigel spędził kilka godzin z panem Coburgiem na objęździe farm. Pytał o stan finansowy majątku, który należał teraz do niego, o czym zresztą nie powiedział rządcy. Chciał utrzymać Coburga w mniemaniu, że wszystko robi w imieniu żony.

Nie chciał jej upokarzać, wyjawiając prawdę zbyt wcześnie. Nie mógł zapomnieć, z jakim entuzjazmem mówiła o chęci samodzielnego zarządzania majątkiem, choć wielkodusznie włączyła w to i męża, by nie urazić jego uczuć.

Ciekaw był, czy Kasandra wyjdzie ze swoich pokojów lub zgodzi się go dzisiaj przyjąć. O ileż wygodniejsze wiodłoby życie, gdyby pogodziła się z rzeczywistością. Może napisze do niej kolejną kartkę.

Nie było potrzeby. Will Stubbs uprzedził te zamiary, jak zwykle nie czekając, aż go poproszą.

- Ta dzierlatka chce cię zaraz widzieć w bibliotece, Nigel - oznajmił, ujrawszy Wroxleya. - Dwie godziny temu powiedziała, że o drugiej.

- Mówiłeś z nią? - zdziwił się Nigel. Nie spytał jednak, jak wyglądała.

- Uparciuch z niej, widać po podbródku - mówił Will. - Z jaką zimną miną go uniosła, choć w środku cała się trzęsa i ledwie mogła słowo wydusić. „Proszę mu powiedzieć, że chcę z nim mówić, panie Stubbs”. I jeszcze: „Gdy będę chciała usłyszeć pańskie zdanie, to zapytam. Zrozumiano?” A dobrze wie, że mógłbym jej jedną ręką wszystkie kości pogruchotać, chucherku. Z oczu jej to patrzyło. Już ona sobie z tobą poradzi, nie bój się! Lepiej, żebyś tańcował, jak ci zagra. - Stubbs zarechotał głośno, a był to przerażający dźwięk dla każdego, kto wcześniej nie słyshał jego śmiechu.

Nigel bezzwłocznie zszedł na dół, nie przebrawszy się nawet. Poszedł tańczyć, jak mu zagrają. Stała w bibliotece, plecami do drzwi, wspierając dłonie na blacie biurka. Nie usiadła w fotelu naprzeciwko, jakby zdając sobie sprawę, że dziś nie ma do tego prawa. Stała tak jak ktoś, kto przyszedł tu tylko z pewnym interesem do załatwienia. Nie odwróciła się, kiedy wszedł.

- Dzień dobry, Kasandro - pozdrowił ją, gdy lokaj zamknął za nim drzwi. Nie chciał jej urazić zbyt serdecznym tonem.

Odwróciła się na pięcie i spojrzała mu prosto w oczy. Natychmiast zrozumiał, co miał na myśli Will, mówiąc o jej podbródku.

Pojął też, że nie ma do czynienia z pokorną interesantką, ze słabą kobietą, którą można pocieszać i ugłaskiwać. Patrzyła na niego z taką odrazą i pogardą, że nieomal uderzył plecami w drzwi, cofając się gwałtownie o krok.

- Nie widzę w nim co prawda nic dobrego - odparła - lecz dziękuję za życzliwość. Podejdz tutaj.

Zbliżył się do niej z wyciągniętą ręką.

- Usiądźmy przy kominku i porozmawiajmy - rzekł. - Powinniśmy porozmawiać. - Postarała się, jak spostrzegł, starannie ubrać tego ranka. Nawet włosy pod czepeczkiem miała upudrowane.

- Usiądę tutaj. Dziękuję. - Wybrała proste krzesło z oparciem po jej stronie biurka. - Proszę, zajmij należne ci miejsce, milordzie. - Wskazała wygodny fotel z poręczami naprzeciwko.

Wiedział, że ta rozmowa nie będzie łatwa. Ostentacyjnie dawała mu do zrozumienia, że teraz on jest panem, a ona osobą podporządkowaną. Posłusznie usiadł w fotelu.

- Mówiłeś, że coś zaszło między moim ojcem a tobą. Czy było to coś osobistego, czy chodzi tylko o partię kart, przy której nie dopisało mu szczęście? Znałeś go przedtem? Zdaje się, że byliście sobie wrodzy. Czy rozmyślnie pozbawiłeś go wszystkiego, co miał i z czego utrzymywał siebie i mnie?

Patrzył na nią zza biurka, zastanawiając się nad odpowiedzią. Kusiło go, żeby jej powiedzieć. Nigdy jednak nie chciał obierać podobnej metody i wciąż jeszcze uważał, że czyni słusznie. Poza tym nie pojęłaby należycie wszystkiego, podobnie zresztą jak i on sam. Mógłby zrozumieć Worthinga, gdyby hrabia nie chciał nawiązywać z nim znajomości. On jednak uciekł się do podłej zemsty. Nie, Kasandra nie potrafi ujrzeć swego ojca w takim świetle. Nie uwierzy prawdzie, nawet jeżeli ją usłyszy. Nikt zresztą nie uwierzył, prócz Willa Stubbsa. Nawet jego własna rodzina.

- Znałem już wtedy nieźle twojego ojca - zaczął. - Graliśmy o wysokie stawki, Kasandro. Mężczyźni często robią niesłychane rzeczy, kiedy im trunek zaszumi w głowach. Potrafią nawet postawić w zakład własną posiadłość. Twój ojciec tak postąpił, no i przegrał. Mnie fortuna przyniosła zwycięstwo.

- Jeśli byłeś pijany, można ci wybaczyć, że zgodziłeś się grać o podobną stawkę. Ale następnego dnia musiałeś przecież wytrzeźwieć. Czemu po prostu nie zwróciłeś mu wygranej?

- Wybacz, ale nie rozumiesz, czym się kierują mężczyźni. Nie mógłbym nawet marzyć o zwróceniu mu jej, a on - o przyjęciu

z powrotem. Poczuli się odarty z czci, zhańbiony taką propozycją-

- A swoją lekkomyślnością nie? Czy ty go nienawidziłeś, milordzie?

Zauważył, że nie mówi mu już po imieniu. Drobiazg, bez znaczenia. Uniósł brwi.

- Ale przecież nie nienawidzę ciebie. A byłem pozbawiony twojej obecności przez całą zesłą noc. Czy to nie dostateczna kara?

Czuł jednak, że jego słowa chybiły celu. Lekki, żartobliwy ton robił na niej wrażenie, gdy jeszcze sądziła, że Nigel był przyjacielem ojca, a także jej. Teraz skrzywiła się z pogardą, a podbródek uniosła jeszcze wyżej.

- Radzę spytać kogo innego. Jak bardzo niebezpieczny jest ten człowiek, którego nie mam ochoty nazywać służącym? To twój strażnik przyboczny, prawda? Czy już kogoś zabił?

Nigel uśmiechnął się nieznacznie.

- Owszem, myślę, że mógł. Tobie jednak nic z jego strony nie grozi. Kobiety traktuje z niezwykłą łagodnością, a wobec ciebie będzie jeszcze łagodniejszy. Jesteś przecież moją żoną.

- Żądam zaryglowania drzwi między garderobami.

Znów się lekko uśmiechnął.

- Żeby trzymać Willa Stubbsa na bezpieczną odległość? Czy może mnie?

- Was obu.

- A zatem stanie się tak już dzisiaj, milady. Nigdy nie spróbuję nawet wejść w te drzwi, zamknięte z obawy przede mną. Dałem słowo, że nie zjawię się w twoich pokojach bez zaproszenia.

- W takim razie wczoraj oglądałeś je po raz ostatni.

- Niech i tak będzie. - Skłonił się dwornie. Jego żona była kobietą godną podziwu. Cierpiała okrutnie, gdyż utraciła i dom, i miłość. Odkryła, że wpadła w pułapkę, zawierając małżeństwo z niewłaściwym człowiekiem. Rozwiązała się też jej odzyskana niedawno wiara w ojca. Mimo to wpatrywała się w niego uparcie, wciąż z tą samą zimną pogardą.

Wziął za żonę kobietę z charakterem. Nie była bezbroną, pogodną istotą, za jaką ją wcześniej uważał.

- Chcę wiedzieć, ile mi przysługuje swobody - rzekła wreszcie - i jaka rola przypadnie mi w udziale. Czy będę mogła przychodzić i wychodzić, kiedy mi się spodoba, czy też muszę cię prosić o pozwolenie, jeśli zechcę opuścić dom na jakiś czas? Czy wolno mi go prowadzić, jak robiłam przez ostatnich kilka lat? Jeżeli nie

poczęłam jeszcze z tobą dziecka, czy będziesz ode mnie żądał spełniania małżeńskich obowiązków, chcąc spłodzić syna? Jeśli tak, to kiedy, gdzie i jak często? Muszę o tym wszystkim wiedzieć jeszcze dziś, żeby nie narażać się każdego dnia na niemile niespodzianki. Nie zamierzam cię poniżać przy ludziach i żądam, żebyś ty również nie poniżał mnie okazywaniem swoich prawdziwych uczuć. A kiedy już znajdziemy się bez towarzystwa, chciałabym, żebyś zostawiał mnie jak najczęściej samą. Nie potrafię bowiem udawać uczuć, których nie żywię. Proszę o wskazania.

Zagłębił się w fotelu, wsparty łokciami o poręczę, z palcami przy ustach. Zdał sobie sprawę, że Kasandra podoba mu się jeszcze bardziej niż zwykle.

- Jesteś moją żoną i nie zamierzam cię traktować jak sługi. To twój dom, możesz w nim nadal żyć i postępować tak samo jak dotąd. Czy przy ludziach, czy też bez nich będę cię zawsze traktował z szacunkiem. Posiadłość jest w niezłym stanie. Prócz tego mam znaczną fortunę - wygraną w karty, rzecz jasna. W najbliższych dniach będziemy się częściej spotykać. Spróbujemy się zastanowić, jak najlepiej spożytkować te pieniądze. Część należy przeznaczyć na potrzeby dzierżawców i farmerów, część zaś na dom. Zdecydujemy o tym wspólnie.

- Kedleston należy do ciebie - rzekła pogardliwie - a ja jestem tylko twoją żoną, twoją własnością. Zwykłą kobietą niezdolną do rozstrzygania tak poważnych kwestii.

- Twoje rozgoryczenie sprawia mi wielką przykrość - odparł spokojnym tonem. - Nie do twarzy ci z drażliwością, moja droga. Powiedziałem, że będziemy decydować wspólnie. To moje nieodwołalne postanowienie. Pamiętasz chyba, że ledwie dwa dni temu ślubowałaś mi posłuszeństwo. Będziemy wspólnie rozstrzygać wszelkie ważne kwestie dotyczące majątku i domu.

Nie odpowiedziała, lecz nadal nie spuszczała z niego oczu. Wreszcie odezwała się:

- Co się stało z twoimi plecami? Kto cię wychłostał? Czy ma to coś wspólnego z moim ojcem?

Namyślał się przez chwilę, nim odpowiedział.

- Lepiej skończyć z tym tematem raz na zawsze. Nie żądam ode mnie wyjaśnień, Kasandro. Zresztą ciebie to nie dotyczy. |

- Wątpię. Powinieneś być szybciej zaprzeczyć, gdyby tak w istocie było. A więc łączy się to jakoś z ojcem. Odkrył pewnie coś, co ciebie dotyczyło, i wydał cię sprawiedliwości. Cieszę się, że miał odwagę tak postąpić, chociaż odcierpiał za to, bo zemściłeś się na nim strasznie. Oszukałeś go podczas gry, prawda? Iodarłeś

ze wszystkiego. Poślubiłam podłego człowieka, czy tak? Nie oczekuję zresztą odpowiedzi akurat na to pytanie.

Wstał, okrzyknął biurko i wyciągnął do niej dłoń.

- Odprowadzę cię do twoich pokoi lub gdziekolwiek zechcesz. Nie będę ci dziś dłużej narzucał swojej obecności.

- Dziękuję - odparła zimno - mogę wstać sama, milordzie.

Podniosła się z krzesła i bez pośpiechu opuściła pokój wyprostowana, z podniesioną głową.

Popatrzył w ślad za nią z uznaniem. Spodobała mu się niezmiernie. Wcześniej sądził, że jest kruchą, wiotką jak promyczek istoty. Gdy jednak usiłuje się schwycić światło, nie sposób tego dokonać.

Kasandra nie była krucha. Podźwignie się. Ale może znienawidzić go na zawsze. W tej myśli tkwiło wyzwanie niepozobawione, dziwna rzecz, ożywczego bodźca.

## ROZDZIAŁ 15

Kasandra biegła ścieżką wiodącą do wdowiego domu. Opuściła Kedleston natychmiast po rozmowie w bibliotece. Nie zaczęła nawet na lunch. Spytała przecież męża, czy może chodzić, gdzie chce i kiedy chce, a on potwierdził. Świadomość, iż nie musi pytać o zgodę za każdym razem, sprawiała jej ulgę.

Dzień był chłodny, ciężkie burzowe chmury wisiły nisko nad ziemią, lecz ona nie czuła zimna. Szła spieszenie, jakby spodziewała się, że on pójdzie za nią i zabroni jej swobodnie wychodzić z domu czy odwiedzać krewnych. Zmusiła się, żeby zwolnić kroku. Nie powinna zjawiać się we wdowiej rezydencji zdyszana i rozczochrana. Próbowwała się uśmiechnąć, lecz uznała, że wyglądałoby to raczej na grymas.

Miała nadzieję, że Robin jeszcze nie wyjechał. Zamierzał spędzić we wdowiej rezydencji tylko dzień lub dwa, nie sądziła jednak, by odjechał bez zawiadomienia jej o tym. Chyba że tak jak inni postanowił taktownie trzymać się z dala od Kedleston, pozwalając nowożeńcom cieszyć się sobą nawzajem.

Wszyscy siedzieli w jadalni przy lunchu: ciotki Matylda i Beatrycze, Patience i Robin. I wszyscy wstali na jej widok.

- Nie przeszkadzajcie sobie z mojego powodu - rzekła, zdejmując kapelusz i podając go służącej. - Napiłabym się herbaty, jeśli można. Usycham z pragnienia. Nie, nie będę jadła, właśnie

skończyłam lunch z Nigelem i zostawiłam go przy pracy. Co za okropny z niego człowiek! Koniecznie chce zostać panem domu i zająć się posiadłością zamiast mnie. Stryj Cyrus byłby zachwycony. Ja zresztą też jestem, choć muszę udawać, że mnie to martwi. Robinie, proszę cię, usiądź wreszcie!

Mówiła zbyt głośno i za szybko, niemal histerycznie, ale nikt nie zauważył, że coś jest nie w porządku.

- Wiedziałam, że to znacznie wartościowszy człowiek, niż się zdawało - orzekła lady Matylda. - Ludzie, którzy są wcieleniem uroku, bywają też na ogół rozumni i solidni.

- Siądźże, Kasandro - powiedziała lady Beatrycze. - Czy nie widzisz, że Robin będzie ciągle stał, jeśli tego nie zrobisz? Spodziewałam się, że Wroxley będzie rozsądniejszy i nie puści cię bez służącej.

Kasandra się roześmiała.

- Uciekłam, kiedy nie patrzył. Wiesz przecież, ciotko Beatrycze, że nie cierpię wlec ze sobą tabunu służby na spacerze albo na przejażdżce. Założę się, że Nigel będzie zły, kiedy spostrzeże, iż wyszłam sama. Ale jakoś sobie z nim poradzę.

- Być może lepiej potrafi zatroszczyć się o majątek, niż robił to Worthing - odezwała się znów lady Beatrycze. - Ten młodzieniec wie, czego chce, Kasandro, i dopnie swego. Nie sądzę, żeby pobłażał nieposłusznej żonie.

- Ależ ciotko Beatrycze! - Kasandra znów się roześmiała i pochyliła nad stołem z błyszczącymi oczami. - Nigel mnie kocha. Mężczyzna, który kocha, musi być o wiele bardziej pobłażliwy.

- Wyglądasz na taką... taką szczęśliwą, Kasandro - powiedziała Patience i poczerwieniała. W jej głosie czuło się nutkę zazdrości. Zmieniła nagle temat: - Robin wraca do domu jutro rano.

Kasandra spojrzała na niego wesoło.

- Jak sądzę, miałeś zamiar dać po cichu drapaką, nie mówiąc mi ani słowa. Wstydziłbyś się, doprawdy. Zjawiłam się więc w samą porę, żeby ci powiedzieć „do widzenia”. Skończyłeś już lunch? - zerwała się z krzesła. - Chodźmy przejść się po parku. Potrzebuję twojej rady: jak okiełznać męża, który chce okiełznać mnie? - Zaśmiała się pogodnie.

- Jeśli tak właśnie czyni Wroxley, kuzynko - rzekł z powagą Robin - to zasłużył sobie na mój szacunek. A tobie radzę, żebyś pogodziła się z nieuniknionym i postępowała jak dama, którą przecież jesteś.

- Ależ to istna męska zмова - rzekła z fałszywą wesołością. - Chodź zatem ze mną na spacer i spróbuj mnie przekonać, że



dobrze robię, bawiąc się tu w najlepsze, podczas gdy mój biedny Nigel tkwi w Kedleston niczym w więzieniu i przegląda księgi rachunkowe.

Nie rozumiała, czemu po prostu nie wyrzuciła z siebie całej prawdy, gdy tylko drzwi jadalni zamknęły się za nimi. Cóż, i tak szybko ją poznają. Wkrótce się dowiedzą, że Kedleston nie należy do niej, tylko do wicehrabiego Wroxleya. Niewiele czasu zajmie im poznanie reszty, włącznie z przyczyną ochłodzenia jej uczuć wobec człowieka, którego za wszelką cenę chciała poślubić jeszcze dwa dni temu.

Czuła potrzebę zwierzenia się komuś. Nie mogła wybrać na powiernicę pokojówki, ciotek czy nawet Patience. Nie mogła oczekiwać pomocy z ich strony. Wszystkie były przecież kobietami, równie bezradnymi jak ona. Stryj Cyrus mieszkał piętnaście kilometrów stąd i byłoby niestosowne żądać jego powrotu tak szybko, zwłaszcza że spędził w Kedleston tyle czasu zeszłego roku. Miał własny dom i rodzinę, o którą musiał zadbać. Truchlała zresztą na samą myśl o wyjawieniu mu prawdy.

Jej wybór musiał więc w oczywisty sposób paść na Robina, spokojnego, solidnego, odpowiedzialnego. Zawsze uważała go raczej za brata niż kuzyna. Czy teraz przyjąłaby jego oświadczenia? Doszła do wniosku, że nie. Małżeństwo z nim byłoby nieudane.

Uczepiła się jednak Robina jako jedynej ostoi. Ujęła go pod ramię, gdy wyszli i skierowali się w dół ku sadowi.

- Nie powinnaś tyle spacerować w tak chłodny dzień ~ rzekł. - Przeziębisz się. Nie rozumiem, dlaczego Wroxley bardziej o ciebie nie dba.

- Robinie, proszę cię, nie gderaj.

- Jak sądzę - ciągnął - nawet mu nie powiedziałaś, dokąd się wybierasz. Pewnie będzie cię szukał i rozgniewa się, nie bez racji. Jesteś teraz mężatką, Kasandro, i musisz dać sobie spokój z upieraniem się przy niezależności. To zaczyna być niepokojące. Nie będę jednak niczego wytykał Wroxleyowi. Tak cię zaślepił jego urok, że nie rozumiesz...

- Robinie - powtórzyła - przestań gderać. Proszę cię, przestań.

- No dobrze - zaczął i nagle spojrzął na nią zdumiony. - Do licha, Kasandro, przecież ty płaczesz. Co, u diabła... Co ten łajdak ci zrobił? Zbił cię?

Spojrzała mu w twarz. Nie płakała. Jej udręka była zbyt wielka, żeby płakać.

- Robinie - rzekła - on został właścicielem Kedleston! Wygrał go od papy w karty na kilka dni przed jego śmiercią. Wszystko

zostało uprawomocnione. Ma dokumenty. A Kedleston nie jest majoratem. Zapomniałam o tym, bo zawsze przechodził na spadkobiercę. Ale majoratem nie jest. A papa postawił go w zakład i przegrał. Teraz ma go wicehrabia Wroxley.

Robin patrzy na mnie tak, jak zapewne ja na wicehrabiego, kiedy mi to wczoraj powiedział, pomyślała.

- Jest karciarzem - podjęła znowu - i kłamcą, i szachrajem, i kimś jeszcze gorszym, jak mi się zdaje. Między nim a papą coś zaszło... coś, za co się zemścił. Myślę, że papa przyłapał go na jakimś przestępstwie. Robinie, on ma na plecach blizny po chłóście. Mnóstwo białawych pręg. Mówi, że bił go ojciec i nauczyciele, ale to chyba nie może być prawda. Och, Robinie, kogo ja poślubiłam?

Nie chciała, żeby to zabrzmiało aż tak przerażająco. Miała po prostu zamiar powiedzieć mu prawdę, bo chciała go o coś prosić.

Robin rozłożył ręce gwałtownym gestem. Dłonie miał zaciśnięte w pięści.

- Dlaczego on cię poślubił? - wykrztusił niemal szeptem.

- Jestem przecież lady Worthing i córką papy. Pomyśl, co za doskonała zemsta. Pomyśl, jaki odniósł triumf.

- Czy... czy on cię bije?

- Nie. Nic podobnego - zaprzeczyła. - Robinie, pomożesz mi? Wiem, że właściwie nie mam prawa o to prosić, skoro byłeś tak uprzejmy oświadczyć mi się ledwie dwa tygodnie temu. Nie mogę jednak zwrócić się do stryja Cyrusa. Pomożesz mi?

Był zdruzgotany. Widząc to, poczuła wzruszenie. Czy naprawdę tak wiele dla niego znaczyła? Mógł przecież odżegnać się od wszystkiego po tym, jak mu dała kosza.

- Nie wiem, czy powinienem, Kasandro. Jest twoim mężem. Wyszłaś za niego. On... on ma do ciebie pewne prawa.

- Prosiłam, by mi powiedział, skąd te blizny, ale nie chciał. Twierdzi, że to przeszłość i lepiej do niej nie wracać. Kim on jest? O co się pokłócili z papą? Co się właściwie wydarzyło? I czy zdo był Kedleston w uczciwej grze, czy szachrował? Bo jeśli tak...

- A czy można mu będzie udowodnić oszustwo? - rzekł Robin ochrypłym głosem. - Nie robiłbym sobie wielkich nadziei na twoim miejscu.

- Robinie, pomóż mi. - Objęła oburącz jego ramię. - Że też ośmielam się prosić cię o coś podobnego! Musiałbyś pojechać do Londynu i tam się rozpytać. Od dawna jesteś z dala od domu i wiem, że nie cierpisz Londynu. Masz słuszość. Poślubiłam go i muszę ponieść konsekwencje mojego wyboru. Myślę jednak,

że nie będzie traktował mnie okrutnie. Zgodził się nie wchodzić do moich pokojów. Wolno mi wybrać się, gdzie tylko chcę. On ma - och, Robinie! - on ma strażnika przybocznego, który mówi o sobie, że jest jego służącym. Wygląda tak, że można się przestraszyć. Okropny olbrzym! Nie sądzę, żeby w całej Anglii istniał ktoś o bardziej przerażającym wyglądzie. Kiedy spytałam Ni... wicehrabiego Wroxleya, czy ten Stubbs kogoś zabił, zaczął się śmiać i powiedział, że to bardzo prawdopodobne.

Robin uściśnął jej ręce uspokajającym gestem.

- Pojadę do Londynu - rzekł. - Jutro. Nawet nie wstąpię przedtem do domu. Do licha, muszę poznać prawdę. Jeśli oszukiwał przy grze i udowodniono mu to, jeśli w jego przeszłości było coś, co wzbudziło podejrzenia wuja, może wtedy... Jak Boga kocham, kuzynko, niewiele znam się na prawie, ale z pewnością znajdzie się jakiś sposób, żeby cię uwolnić od tego małżeństwa. Czy ty już z nim... - urwał nagle i poczerwieniał.

- Tak - odparła, zgadnąwszy, o co chciał spytać. - Tak. Powiedział mi o wszystkim dopiero wczoraj, rozumiesz?

- Nie przypuszczam zresztą, żeby to coś ułatwiło - uznał. - Nie jestem też pewien, czy odkrycie, że twój mąż jest nikczemnikiem, może być powodem do rozwodu lub unieważnienia małżeństwa. Lepiej nie spodziewać się za wiele, Kasandro. Dowiem się jednak prawdy, przez wzgląd na ciebie. Przrzekam.

- Och, Robinie. - Znów stała z czołem przytulonym do jego ramienia, a on ją objął, chcąc dodać jej otuchy. - Naprawdę zrobisz to dla mnie? Szkoda, że zawsze kochałam cię tylko jak brata! Może gdyby... ale nie, na pewno lepiej ci będzie beze mnie! - Uniosła twarz i uśmiechnęła się do niego. - Chciałabym, żebyś naprawdę był moim bratem. Byłbyś najwspanialszym bratem, jakiego kiedykolwiek mogłaby mieć kobieta. - Stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

Spojrzał poza nią i uśmiechnął się.

- O, Patience! - zawołał i wyciągnął ku niej wolne ramię. - Czy będziesz sobie oczy wypłakiwać z powodu mojego odjazdu? Tam do licha, powinienem więc częściej odjeżdżać i przyjeżdżać - rzekł ze śmiechem.

Patience była jednak dziwnie blada i nie podeszła tak blisko, by mogła ująć go za rękę.

- Przepraszam - powiedziała - nie chciałam wam przeszkadzać.

Kasandra zrozumiała, o co jej chodziło. Postąpiła doprawdy samolubnie, zabierając Robinowi tyle czasu. To przecież ostatni

dzień jego pobytu we wdowiej rezydencji. Patience musi się serce krajać z żalu!

Zaśmiała się więc wesoło i rzekła:

- Robin cały czas tylko zrzedził. On pochwała to, że Nigel upiera się robić za mnie wszystko, czego - jak sądzą mężczyźni - kobiety czynić nie umieją. Muszę się chyba przyzwyczaić do myśli, że jestem bezradną kobietą, i pozwolić mężowi na kierowanie zarówno posiadłością, jak i mną. Jakież to męczące! Właśnie przepraszałam Robina i żegnałam się z nim. A teraz pędzę do Nigela. Zostawiłam go samego na całą godzinę... nie, na dłużej. Ciekawa jestem, czy brakuje mu mnie tak samo, jak mnie jego. Muszę wracać do domu i się przekonać.

- Powinienem cię odprowadzić, Kasandro - rzekł Robin.

- Chętnie się zgadzam, przez wzgląd na Patience. Ja nie potrzebuję, by mi ktoś towarzyszył w drodze do domu, ale Patience tak, bo idzie ze mną do Kedleston.

Patience przygryzła wargę, poczerwieniała i zamyśliła się. Zrozumie, że to moja pokuta, pomyślała Kasandra. Będą więc mieli dla siebie jeszcze pół godziny. A jeśli Patience ma choć szczyptę rozumu, na pewno pojmie, że nawet więcej niż pół godziny. Choć może się to nie udać, gdyby zabrakło jej odwagi. A Robin ma zbyt silne poczucie własności.

Jakże pragnęła ich szczęścia. Byli najdroższymi jej osobami. Nie zatrzymała się jednak dłużej nad tą myślą.

Minęły trzy tygodnie. Kasandrze wydawało się dziwne, że życie nadal toczy się swoim torem i wszystko wygląda na pozór normalnie. Może przyczyniał się do tego fakt, iż dom był pełen służby, a okolica - sąsiadów, nie mówiąc już o dwóch ciotkach i kuzynce we wdowim domu.

Należało przecież utrzymywać pozory.

Hrabinę Worthing uważano w sąsiedztwie za szczęśliwą młodą oblubienicę, szczerze zakochaną w swoim przystojnym mężu. Co prawda zawsze była pogodna i urocza, lecz teraz zdawała się uśmiechać bez przerwy, a jej oczy nieustannie błyszczały.

Wicehrabiego Wroxleya uważano zaś za mężczyznę oddanego bez reszty żonie. Sąsiedzi bardzo go polubili i zachwyciło ich, że świata nie widzi poza Kasandra. Patrzył na nią z taką czułością, iż wielu mu zazdrościło, nie znając podobnych uczuć z doświadczenia. Nikt więc nie myślał o nim źle, gdy zaczęły krążyć wieści, że teraz on kieruje posiadłością Kedleston. Sądzone nawet, iż dobrze o nim świadczy, że nie dał się przytłoczyć fortunie żony.

To prawdziwy mężczyzna, mówiły z uznaniem kobiety. I jaki przystojny, dodawały co śmielsze z nich, kiedy żadne męskie ucho tego nie słyszało. Doskonale radzi sobie z żoną, twierdzili z aprobatą mężczyźni.

Nawet lady Beatrycze uległa jego urokowi, może dlatego że Nigel okazał się dość mądry, by jej zanadto nie nadszkakiwać. W rozmowach z nią okazywał zdrowy rozsądek i w rezultacie wkrótce po powrocie do Kedleston całkowicie zmieniała swą poprzednią o nim opinię. Nie, wcale się nie okazał płytkim fircykiem. Pochwalała jego narady z Coburgiem oraz to, że przez całą godzinę krążył po ziemiach należących do majątku i uczył się, ile tylko mógł, zanim spróbował zarządzać nim samodzielnie.

Lady Matylda oczywiście polubiła Wroxleya niemal od samego początku. Wdziękiem nadal ją urzekał, w dodatku zawsze był na jej usługi, podczas gdy brat mieszkał o piętnaście kilometrów dalej, a siostrzeniec - o osiemnaście.

Patience wprost go uwielbiała.

- Czy jest pani pewna, że kostka już całkiem wydobrzała? - spytał, towarzysząc jej na spacerze do lipowego zagajnika. Służąca szła o parę kroków za nimi. - Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby było inaczej.

- Jest równie zdrowa jak przedtem - zapewniła go z uśmiechem. - A skręciłam ją przez własną głupotę, nie z pana winy. Jednak dobrze się stało, bo poszedł pan wtedy nad sadzawkę z Kasandrą, teraz zaś jesteście małżeństwem.

- Muszę pani wyrazić wdzięczność - odparł, ujmując jej dłoń i całując dwornie. - Była to najbardziej romantyczna wycieczka, w jakiej brałem udział, a jej czarującym rezultatem okazały się oświadczenia.

- Och, naprawdę? - spojrzała na niego rozpromieniona. - Ale przecież wyjechał pan tego samego dnia! Poczułam się wtedy taka rozczarowana!

- Moja ukochana kazała mi się wtedy oddalić, nie mając pewności, czy chce dzielić ze mną życie. Na szczęście później zdecydowała, że chce.

Patience oczarowały jego zwierzenia.

- Jakże mnie to cieszy! Doprawdy, ogromnie. Ale jak ona w ogóle mogła się wahać?

- Istotnie, jak mogła? - podchwycił ochoczo. - A jak wyglądają pani sprawy? Czy pewien dżentelmen jest rad, że mieszka aż o osiemnaście kilometrów od wdowiego domu?

Patience oblała się rumieńcem i przygryzła wargę.

- Niektórzy dżentelmeni - rzekł - są doprawdy pozbawieni oczu, a zamiast serca mają chyba pompę. Najwyraźniej potrzebują, by pobudzić ich spostrzegawczość solidnym szturchańcem.

Patience rozbroiła ta świadoma próba rozbawienia jej.

- Robin widzi we mnie tylko młodszą kuzynkę, milordzie.

- Pewni ludzie - mruknął, obracając binokle w palcach - mogliby uświadomić panu Barr-Hamptonowi, że czas nieodwracalnie biegnie naprzód, a młodsze kuzynki w równie nieodwracalny sposób dorastają i przeistaczają się w piękne młode damy, które już nie są niczymi kuzynkami.

Rozstali się w najlepszej komitywie, niby para spiskowców, i

Patience dała wyraz swemu szczęściu, gdy razem z Kasandrą zrywały w ogrodzie różanym kwiaty dla lady Matyldy.

- Och, Kasandro, wszystko ułożyło się jak w bajce. Lord Wroxley jest taki przystojny, przyjacielski i tak bardzo ci oddany! A jeszcze miesiąc temu wcale go nie znałaś. Jakżeby się cieszył wuj, gdyby mógł o tym wiedzieć!

Kasandrą roześmiała się tylko. Nie mogła powiedzieć Patience, jak wygląda prawda. Zaczynała nawet żałować, że wyjawiała wszystko Robinowi i poprosiła go o pomoc. Jej małżeństwo z Nigelem będzie zapewne musiało trwać do końca życia. Nie chciała więc, by inni dowiedzieli się, jak katastrofalne głupstwo popełniła.

- Robin bardzo serdecznie się tobą zajmował, kiedy skręciłaś nogę - rzekła zmieniając temat. - I najwyraźniej ociągał się z powrotem do domu. Nigdy przedtem nie zatrzymywał się tak długo we wdowiej rezydencji.

- Wciąż jednak jest dla mnie tylko bratem i nikim więcej. - Patience westchnęła.

Kasandrą skrzywiła się.

- Ktoś musi mu więc otworzyć wreszcie oczy - rzekła, nieświadomie powtarzając słowa męża.

- Ależ on ma oczy otwarte - stwierdziła ze smutkiem Patience. - Tylko że nie na mnie nimi patrzy. Boję się, Kasandro, że złamałaś mu serce.

- Ach, skądże. - Kasandrą usiadła na ławce, trzymając w ręce osiem róż na długich łodyżkach. - Mówisz o naszym spotkaniu w sadzie? Zapewniam cię, że między nami nic wtedy nie było. Nie powinnaś tak myśleć.

- A jednak nawet mnie nie uściskał przy odjeździe. Był zasejony i bardzo czymś przejęty. Mama też to dostrzegła.

- Bo odjeżdżał od ciebie, a nie chciał okazywać niestosownego dla mężczyzny wzruszenia.

- Kasandro, nie przekonuj mnie, że jest nadzieja, skoro jej nie ma. - Patience spojrzała na kuzynkę ze spokojną godnością. - Nie jestem dzieckiem, które można pocieszyć obietnicami, lecz kobietą, choć tylko osiemnastoletnią. Robin to mężczyzna nie dla mnie. Nie sposób go zdobyć żadnymi sztuczkami czy siłą. Nie powinnam do niego wzdychać i usychać z tęsknoty za nim. Pewnie poślubię w końcu kogoś innego i zadowolę się posiadaniem własnego domu, męża i rodziny.

Kasandra zwiesiła głowę. Gdybyż ona mogła coś takiego powiedzieć!

- Ale zawsze będę go kochać - ciągnęła Patience. - Zawsze, choć odtąd nigdy już nikomu o tym nie powiem. Przepadło, trudno. Nadal jednak żyję, świat wciąż jest piękny, a róże cudownie pachną. - Uśmiechnęła się tak pogodnie, że Kasandrze przyszło na myśl jej własne odbicie w lustrze jeszcze kilka tygodni temu.

Patience miała jednak rację. Życie szło naprzód, świat był piękny, róże ciągle pachniały.

Spoglądała na męża z nieświadomą fascynacją, a przebywała w jego towarzystwie, odkąd ciotka Beatrycze wróciła do Kedleston. Dwór roił się od gości, a zaproszeń z sąsiedztwa też nie brakowało. Elegancję i wykwintne maniery Nigela postrzegała te<sup>^</sup>raz jako maskę, za którą ukrywał prawdziwe oblicze. Oblicze kogoś obcego. Mimo to pociągał ją nawet wbrew jej woli.

Traktował ją z wyszukaną uprzejmością, nawet gdy nie musiał odgrywać w towarzystwie roli męża ślepo oddanego żonie. Dwa razy ją spytał, czy nie zechce dzielić z nim sypialni, i dwa razy spotkał się z odmową. Podporządkował się jej decyzji bez komentarzy i bez jawnego zniecierpliwienia. Dotrzymał obietnicy, że razem będą podejmować decyzje co do zmian dotyczących domostwa i farm. Nie oczekiwał też wymuszonej zgody na jego posunięcia. Pytał ją o zdanie i czekał, aż mu odpowie. Jeśli się z nią nie zgadzał, mówił to wyraźnie i nalegał, by naradzili się wspólnie. Czasami w tych naradach brała górę ona, czasem on.

Salon i jadalnia były według niego pierwszymi pomieszczeniami dworu, które należało odnowić; ona uważała jednak, że trzeba zacząć od biblioteki i szkarłatnego salonu. Wybrali nową kolorystykę i rodzaj obić, choć jego zdanie w tym względzie było inne niż jej. Na farmach zaczęto prace nad drenowaniem, ale na mniejszą skalę, niż zamierzał. Resztę pieniędzy musieli przeznaczyć na pokrycie dachów w domach farmerów - był to projekt szczególnie bliski jej sercu.

Jako partnerzy w interesach - mąż kładł nacisk na takie właśnie określenie - współpracowali całkiem zgodnie. Wbrew woli budził w niej coraz większe uznanie dzięki swojej energii i chęci pracowania dłużej, niż okazywało się konieczne. On zaś coraz większym uznaniem poczynął darzyć jej dobry gust i współczucie dla ludzi zatrudnionych przy gospodarstwie.

Może źle go z początku osądziła? Myśl ta powracała do niej w miarę upływu czasu, mimo że odpędzała ją od siebie jako objaw słabości charakteru. Mało w końcu wiedziała o brutalnym świecie mężczyzn. Przypuszczała, że fortunę można zdobyć lub stracić w jeden dzień przy stolikach do gry w różnych karciańskich spelunkach Londynu. Może jednak nie wszyscy posiadacze takich fortun byli łajdakami?

Nigel obserwował żonę nieustannie w ciągu tych kilku tygodni, głęboko zaintrygowany jej urodą, gracją i poczuciem godności. Tamtego ranka, widząc, jak Kasandra biegnie ku wdowiej rezydencji, spodziewał się, że zechce prosić bliskich o wsparcie w prowadzonej z nim walce, że zechce skryć się za osłoną ich słusznego oburzenia. Spodziewał się, że poprosi o pomoc sąsiadów i przyjaciół. Spodziewał się też, że utraci swój podziw dla niej, który zrodził się tak niedawno.

Ale najwyraźniej nic nikomu nie powiedziała.

Pod względem osobistym stali się sobie zupełnie obcy. Nie okazywała jednak w jawny sposób, że jest nieszczęśliwa. Mógłby pójść o zakład, że nawet jej ciotki są przekonane, iż Kasandra jest w nim zakochana po uszy i spędza upojny miesiąc miodowy.

Miał nadzieję, że ona zdoła pogodzić się z rzeczywistością i że zapanuje między nimi bliższa, bardziej zgodna zażyłość. Że będzie mógł spokojnie cieszyć się majątkiem i życiem. Drogo je przecież okupił.

Pragnął, by mieli dziecko, najlepiej syna, chociaż cieszyłby się również z córki. Córka mogła odziedziczyć po niej tytuł. Zresztą po nim także.

Gdyby mieli dziecko, wszystkie jego plany zakończyłyby się sukcesem. Nie, chodziło o coś ważniejszego niż plany: o marzenia.

Nie chciał jej teraz do niczego zmuszać. Miał jednak nadzieję, iż z czasem otrzyma od niej zaproszenie, na które czekał, i obdarzy ją dzieckiem.

Żywił nadzieję, że niekiedy spełniają się nie tylko starannie obmyślane plany, lecz i marzenia.



Był gorący, słoneczny lipcowy dzień i Kasandra uznała, że nie sposób dostrzegać samych ujemnych stron egzystencji. Życie w Kedleston na ogół toczyło się jak zwykle - spokojne, wygodne, w miły sposób łączące codzienne obowiązki z przyjemnościami towarzyskimi.

Zdarzało się jej nawet myśleć - co zakrawało na zdradę - że stało się jakby lepsze niż przedtem. Oczywiście nadal stawiała czoło wyzwaniu w postaci obcego mężczyzny - przystojnego, czarującego, niezwykle atrakcyjnego mężczyzny, który przypadkiem był też jej mężem. Ostatniego wieczoru ponowił swoje pytanie, kiedy wracali powozem z partii kart u pana Wintermere...

Znowu odpowiedziała „nie”, czuła jednak przerażającą, a przemożną pokusę, by rzec „tak”.

Noc poślubna wydawała się jej teraz raczej snem niż koszmarem.

Gdybym tylko nie musiała go tak często widywać, myślała. Dzisiaj nie widziała go od śniadania. Bawił gdzieś z panem Coburgiem, czyniąc przygotowania do kopania kanałów nawadniających. Może wróci niezadługo. Może pójdzie jej szukać w ogrodzie różanym, w parku lub w którymś z używanych na co dzień pokojów dworu i usiądzie, by z nią porozmawiać, jak często robił, albo podsunie pomysł spaceru.

Czuła, że jej obronna postawa słabnie wraz z upływem każdego kolejnego dnia. Nie była już pewna, co właściwie chce usłyszeć od Robina, jeśli do niej napisze lub przybędzie we własnej osobie. Nie była pewna, czy w ogóle chce coś usłyszeć. Może nie zdołał wykryć niczego. Partie kart podobne do tej, jaką rozegrali jej mąż i ojciec, były zapewne zdarzeniami dość pospolitymi.

Czuła, że żyje jakby w zawieszeniu. Czasami chciała, by utrzymało się ono na stałe.

Zarazem jednak pragnęła pozostać nieugięta. Przecież on bezlitośnie odarł jej ojca z całego mienia! Papa zmarł na serce zaledwie dwa tygodnie później. Nie wątpiła, że spowodowała to utrata Kedleston. A utratę spowodował wicehrabia Wroxley... zwłaszcza jeśli oszukiwał w grze. Czyniło to z niego mordercę.

A ona uległa namowom człowieka, który najpierw oszukał, potem zaś zamordował ojca. Wreszcie okłamał ją samą i ożenił się z nią.

Och, była zdecydowana pozostać nieugięta.

Nie poszła więc do ogrodu różanego, do domu ani do parku, gdzie można ją było spostrzec z daleka. Ciotka Beatrycze wybrała się z wizytą do wdowiego domu, na pogawędkę z Matyldą i Patience. Kasandra uchyliła się od pójścia razem z nią. Udała się nad sadzawkę.

Właśnie tam zawsze szukała schronienia i przeżywała w odosobnieniu sekretne radości lub koїła równie sekretne smutki. Doskonałe piękno tego zakątka oraz równie doskonała ustronność polany znakomicie sprzyjały obydwu celom.

Przypomniała sobie, że mu o tym mówiła. Stanęła w miejscu, gdzie stała zaledwie miesiąc temu. Spojrzała na wodę, która tego dnia miała ton wyjątkowo głębokiej zieleni. Spojrzała na wodospad, na jego migoczące w słońcu strugi wody. Słuchała jego szumu i wspominała.

Wspominała pocałunek, czuła pieśszcoty Nigela, jego zapach. Chciała przyjść z nim właśnie tu, by mieli wspólne wspomnienia związane z tym zakątkiem.

Stało się, jak pragnęła. A teraz wspomnienia sprawiały jej ból.

Usiadła na pniu i położyła dłoń w miejscu, na którym on wsparł stopę.

Poprosiła wtedy o czas do namysłu. Dała się bez reszty ponieść uczuciom, gorącemu pragnieniu, by zatrzymać to wszystko na zawsze. Poprosiła jednak o czas do namysłu. Myślała, że jest niezwykle mądra, ostrożna i rozsądna.

Nie dostrzegła, co kryło się pod maską. Nie wiedziała nawet, że on nosi maskę.

Jakże łatwo mogłabym pokochać go znowu, myślała, zamknawszy oczy. Może jej naiwność była czymś wybaczalnym, w końcu chodziło o pierwszą miłość, a on okazał się wytrawnym uwodzicielem. Nie wątpiła w to. Udało mu się omamić wszystkich okolicznych sąsiadów, którzy wciąż jeszcze pozostawali pod jego urokiem. Z wyjątkiem jej rodziny. Na samym początku, oczywiście. Nigdy sobie nie wybaczy ponownego zadurzenia się w nim, skoro już to wszystko wie.

Co jednak wiedziała?

Nic. A on nie chciał jej niczego powiedzieć. Dlaczego? Czemuż nie wymyślił jakichś kłamstw, skoro nie był gotów powiedzieć jej prawdy? Czemu nic jej nie mówił?

Dlaczego musiała wierzyć w najgorsze?

W co jednak innego miała wierzyć?

Dzień był upalny. Z początku kusiło ją, żeby zdjąć z siebie całe odzienie i popływać w sadzawce. Przypomniała sobie jednak, jak

pewnego dnia Robin natarł jej uszu, kiedy przyszedł tu i zobaczył, że pływa sama. Kazał jej wówczas przysiąc na honor, że już nigdy nie postąpi tak nieroztropnie. Znała jednak inny sposób na ochłodę. Prawie o nim zapomniała. Nie robiła tego od lat. Spojrzała na wodospad i na skalisty próg, z którego spływała woda. Skały po drugiej stronie kaskady były suche i całkiem sposobne do wspinaczki, choć z dołu wydawały się niebezpieczne.

Nie zabroniono im nigdy wspinania się na nie, być może dlatego, że nikt o tym nie wiedział. Uczynili tak kilka razy jako dzieci, dla czystej przyjemności i zabawy, oraz po to by - wśliznąwszy się za ścianę wody - skryć się w cieniu przed słońcem i ochłodzić w mgiełce wiszącej nad wodospadem.

Zzula buty i nakryła je zdjętym z głowy kapeluszem. Dzieciść minut później siedziała już na skalnej półce, zgrzana i zziębnięta, lecz zachwycona widokiem polany oglądanym z góry i chłodnymi kropelkami wody, które spadały jej na twarz i ramiona.

Musi być silna. Musi przynajmniej poczekać, póki Robin nie napisze, co udało mu się wyjaśnić. Może nie kryje się za tym nic haniebnego prócz nierozważnie podjętej gry w karty. Chciałaby, żeby tak właśnie było. Zdała sobie sprawę, że gorąco tego pragnie. A może Robin odkrył coś tak okropnego, że będzie to podstawą do separacji albo przynajmniej do wniesienia skargi i odebrania swojej własności?

Może znów stanie się wolną kobietą. Może zyska kolejną szansę. Tej już nie wolno jej zmarnować.

Sama nie wiedziała, czego pragnie bardziej. Siedziała na szerokim występie skalnym, na wpół ukryta za wodospadem, już prawie godzinę, kiedy pojawił się na polanie. Wyglądał bardzo męsko w stroju do konnej jazdy, w którym wyszedł z Coburgiem tego ranka. Włosy, związane z tyłu czarną wstążką, lecz bez wreczka, miał nieupudrowane. Kasandra patrzyła na niego, siedząc bez słowa.

Stanął w tym miejscu, gdzie się pocałowali i gdzie ona sama stała godzinę temu. Rozejrzał się wokoło. Spostrzegł jej kapelusz i buty koło pnia. Znów powiódł wzrokiem dookoła. Spojrzał nawet w górę, lecz wiedziała, że z dołu jej nie widać.

- Kasandro! - zawołał.

Nie odpowiedziała mu. Objęła kolana ciasno rękami.

- Kasandro! - zawołał głośniej.

W jego głosie dźwięczał strach. Widziała, jak spogląda na nieruchomą wodę sadzawki, i zrozumiała, o czym myśli. Mogła zawołać do niego z góry. Nie chciała jednak stawać z nim twarzą w twarz właśnie tutaj. Nigdy. Przygryzła wargę.

- Kasandro!

Jego głos rozlegał się jeszcze echem na całej polanie, gdy już zrzucił z siebie surdut, kamizelkę i buty. Nabrała tchu, by się odezwać, ale skoczył do sadzawki, nim zdołała ujawnić mu swoją kryjówkę.

Zanurkował trzykrotnie, za każdym razem pozostając pod wodą tak długo, że truchlała ze strachu. Gdy się wynurzył za trzecim razem, mogła usłyszeć, jak chciwie łapie oddech. Gryzła palce, przerażona jego popłochem i swoim własnym, okrutnym zachowaniem, które było tego przyczyną.

Jedna jej część myślała, że to znakomita kara. Druga radowała się tym widokiem.

- Tu jestem - odezwała się niezbyt głośno, lecz on ją usłyszał. Rozejrzał się wokoło, stojąc w wodzie i przecierając oczy. - Tu jestem!

Obróciła się twarzą do skały, by zejść ostrożnie na dół. Schodzenie zawsze wydawało się jej mniej niebezpieczne niż wspinaczka. Nie patrzyła w dół. Pomyślała, że jest już prawie na miejscu, kiedy postawił na ziemi. Chwyił ją tak mocno, że głowa zaczęła się jej chwiać. Uchwyciła się go kurczowo, w panicznym strachu. Jego koszula była zimna i mokra.

- Niech cię diabli! - usłyszała wreszcie, kiedy do jej uszu zaczęły w końcu docierać słowa. - Niech cię wszyscy diabli! Zrobiłaś sobie niezłą zabawę! Niech cię diabli porwą, Kasandro! - Głos miał tak szorstki i brutalny, że nie mogła go poznać.

Wtedy jej głowa uderzyła o jego pierś i już tam pozostała, mocno przytrzymywana z tyłu. Słyszała jego ciężki, urywany oddech i czuła napięcie mięśni.

- Niech cię diabli! - odezwał się znowu.

Jej złośliwe rozradowanie się ulotniło. Stała bez ruchu, czekając na akt przemocy. Była zupełnie bezbronna wobec jego siły. Przekonała się o tym, kiedy nią potrząsnął. Przerazające ostrzeżenie.

Jednakże po trwającej minutę lub dłużej ciszy, podczas której czuła tylko słabnięcie własnej zawziętości, rozluźnił uścisk i odwrócił się od niej w milczeniu. Ujrzała, jak podchodzi znów do sadzawki i ponownie nurkuje.

Zdała sobie teraz sprawę ze strachu, który niemal ją paraliżował. Ze zgrozy, jaką w niej wzbudziła jego gwałtowna reakcja

na myśl, że mogła popełnić samobójstwo, by uwolnić się od niego. I z czegoś jeszcze, czego jednak ani nie potrafiła, ani nie chciała roztrząsać.

Ale strach nie był przemożny. Gdyby był, uciekłyby stąd jak najprędzej. Mogła przecież chwycić buty i przebiec spory kawałek, nim Nigel zdołałby wyjść z sadzawki, włożyć obuwie i naciągnąć surduta na mokrą odzież. Mogła czmychnąć do domu, do własnych pokoi, gdzie nie miał wstępu, nim udałoby mu się ją złapać.

Nie próbowała jednak ucieczki. Po chwili bezruchu sięgnęła do tasemek gorsetu i zaczęła je rozsznurowywać. Suknia i halki były za ciężkie, żeby w nich pływać. Rozebrała się do koszuli.

Nigel zanurkował i powoli płynął żabką. Usiłował nie myśleć o niczym innym poza wodą chłodzącą mu ciało. Próbował się odprężyć, uspokoić. Nawet gdy wychylił się na powierzchnię, nie spojrzął na brzeg. Miał nadzieję, że uciekła.

Był już bliski tego, by pozbawić ją przytomności albo posiąść siłą. O mało nie dokonał gwałtu - on, który za wszelką cenę chciał unikać przemocy, nawet gdy był do niej zdolny. On, który zawsze uważał opanowanie za swój największy atut. A byłby ją skrzywdził.

Płynął, rozgarniając wodę silnymi ruchami, w stronę wodospadu. Może uderzenie strumienia wody pozbawi go świadomości, jeśli okaże się dosyć mocne.

W tym miejscu kryła się, pragnąc samotności. Powiedziała mu przecież, że tak robiła. Wiedział, że nie powinien być tu po nią przychodzić. Wszak przyrzekł jej swobodę ruchów i pewną dozę prywatności. Gdy jednak Will Stubbs powiedział mu, że poszła w tym właśnie kierunku, uległ pokusie. Przez kilka tygodni usiłował zachowywać spokój. Miał nadzieję, że jego cierpliwość weźmie górę nad jej uporem i że w końcu będą mogli znośnie ułożyć sobie życie.

Uległ jednak pokusie. Polana u stóp wzgórza, sadzawka i wodospad były naprawdę pięknym zakątkiem. Nie tylko pięknym, ale i wyjątkowo romantycznym. Pocałował ją w tym miejscu i oświadczył się jej. Chyba właśnie tam dzisiaj poszła, żeby wspominać. Może zastanie ją w łagodniejszym nastroju. Może pogawędzą, dojdą do porozumienia bardziej zadowolającego niż obecny układ.

Kassandra miała romantyczne usposobienie, czego jawne dowody dawała jeszcze przed ślubem. Może, jeśli spotka się z nią

ponownie nad sadzawką, uda mu się wyciągnąć korzyść z jej skłonności do snucia wspomnień.

A więc poszedł tam. I zastał opustoszałą polanę. Tylko z jej kapeluszem i butami.

Podpłynął pod wodospad, nabierając gwałtownie tchu i potrząsając głową, żeby lepiej widzieć. Myślał, że utopiła się, że dopełniła samobójstwo. Wzdrygnął się, czując wreszcie krople wody na głowie. O mało nie oszalał.

W ten sposób zniszczyłby nie tylko niewinność. Zniszczyłby życie.

Życie Kasandry.

A potem ujrzał, jak Kasandra skacze do wody głową w dół, w cienkiej koszuli.

Nie uciekła więc. Przeciwnie, zanurkowała w sadzawce razem z nim. Mógł być to przewidzieć. Kasandra była odważna. A pojmował, że potrzebowała dużo odwagi, by tutaj zostać. Czują przed nim strach, całkiem zresztą usprawiedliwiony. Sam nie wiedział, jak mu się udało odwrócić od niej i wskoczyć do wody, ratując się przed wybuchem ślepej przemocy. Wspomnienie własnej wściekłości zawstydzalo go.

Była dobrą pływaczką. Wysforowała się przed niego, płynąc wdzięcznym kraulem. Nagle dotarło do niego całe piękno otoczenia - głęboka woda, porośnięte paprociami brzegi, zielona, omszona polana zamknięta z trzech stron urwiskami skalnymi i wzgórzami, a z czwartej - wodospadem. Ujrzał błękit nieba, blask słońca, uczuł kontrast ciepłego, rozgrzanego powietrza i chłodnej wody. Niewidoczne ptaki śpiewały wesoło. Słyszał ich świergot, głośniejszy niż szum wodospadu.

O tak, to rzeczywiście najpiękniejsze miejsce na ziemi. Coś wewnątrz niego uspokoiło się nareszcie. Zanurkował i znów płynął żabką, z otwartymi oczami. Wynurzył się tuż przy niej. Przesstraszyła się i przestała płynąć. Uśmiechnął się do niej. Odważymnia uśmiech.

Była to jedna z tych cennych chwil, które pojawiają się nie wiadomo skąd, bez żadnej zapowiedzi.

Zrozumiał, że od wielu lat brakowało mu w życiu prostych przyjemności.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Oboje poruszali się w wodzie, dotykając nogami dna, kiedy ją pocałował. Poczł jej ciepłe ciało tuż przy swoim. Usta też miała ciepłe. Oddała mu pocałunek z rękami na jego ramionach.

Puścił ją. Płynęli wspólnie bez słowa, nie patrząc na siebie, powoli, niemal leniwie.

To nie jest realne miejsce, pomyślał nagle. Wstąpili jakby w inny wymiar, może niebiański, gdzie nie musieli o niczym myśleć, z niczego się usprawiedliwiać. Znajdowali się poza przestrzenią i poza czasem. Mogli po prostu być i nic więcej.

Wyszli na brzeg i stali ramię przy ramieniu, ociekając wodą. Wreszcie spojrzeli na siebie. To, co musiało nastąpić, nie było bynajmniej nieuniknione. Przyrzekł jej przecież, że...

Ale to, co czuł przez ostatnich dziesięć minut - albo może przez wieczność - okazało się zbyt potężne. Poznał po jej spojrzeniu, że ona czuje to samo co on i podobnie się przed tym wzdraga.

- Tak - rzekła spieszenie, podnosząc dłoń i dotykając czubkami palców jego piersi. A że nie zrozumiał od razu znaczenia tego jednego jedyne słowa, powtórzyła je jeszcze raz: - Tak.

Mogła tego żałować i pewnie pożałuje. Może też jego będzie za to winić. Nie potrafił jednak w tej chwili myśleć rozsądnie. Wcale nie potrafił myśleć. Tak samo jak ona.

Rozpostarł na ziemi swój surdut wraz z kamizelką i ściągnął wilgotne ubranie. Ona zaś zdjęła przez głowę koszulę. Jej piękność w tym najpiękniejszym z zakątków sprawiła, że wprost oniebiał. Wydawała się częścią natury, niby rusałka. Mokra włosy sływały jej gładką falą na plecy.

Przytulili się do siebie w milczeniu, stojąc na rozestłanym pod nimi odzieniu. Pocałowali się gorąco i głęboko, rozwartymi ustami. Ich języki stykały się, okrążały, obejmowały wzajemnie. Pragnął jej gorąco, cały płonął tym pragnieniem.

Ziemia była twarda, ale jemu nie trzeba było miękkości, podobnie jak jej. Wiedział jednak, że jeśli on znajdzie się na górze, przytłoczy ją swoją namiętnością. Grunt był zbyt twardy.

- Chodź - rzekł, zsuwając się na suchą odzież. Położył się na plecach. - Dosiądź mnie okrakiem. Tak będzie lepiej. Daję ci słowo, lepiej. - Przyciągnął ją do siebie, pocałował, a potem uniósł nad sobą i pieścił jej piersi. Ssał stwardniałe brodawki, ona zaś dyszała ciężko i jęczała z pożądania.

Potem spojrzął jej w twarz; ona spojrzała na niego. Jej oczy przepełniały pożądanie. Widniała w nich także świadomość tego, kim był, tego, co wspólnie robili, tego, że się na to zgodziła.

Uchwycił mocno jej biodra i powoli w nią wchodził. Zmarszczyła na chwilę czoło, lecz nie odwracała od niego wzroku. A później zamknęła oczy.

- Poruszaj się na mnie - rzekł nagłym szeptem - poruszaj się z całej siły.

Robiła to z niesłychaną pasją, z rękami wspartymi na jego ramionach. Nie mógł jednak leżeć pod nią biernie. Unosił ją wciąż w górę, dotrzymując kroku jej rytmowi, dysząc z bólu i z rozkoszy.

Nie był pewien, które z nich krzyknęło pierwsze. Być może obydwoje równocześnie. Zadygotała, gdy całe jego napięcie kulminowało w akcie spełnienia. Objął ją i pociągnął w dół, by się na nim położyła. Rozluźnił jej nogi, każdą z osobna, wyprostowując je, by odpoczęły, i układając po obu stronach swoich. Przytuliła głowę do jego piersi i legła na nim, odprężona i ciepła.

Spojrzał w błękit nad swoją głową i zrozumiał, że niebo - przynajmniej w tym życiu - nie było ani czasem, ani miejscem, którego można osiągnąć i objąć w posiadanie. Zjawiało się w ulotnych momentach i znów znikało, pozostawiając po sobie tęsknotę i żal na krawędzi łez.

Na samej krawędzi łez.

Przez kilka minut zmarły już od dawna chłopiec, którym niegdyś był, powrócił do życia, wypełnił jego ciało, myśli i uczucia. Chłopiec zdolny do miłości, czułości, oddania.

Niewinny chłopiec, którego należało znów ukryć głęboko, by nie zraniono go ponownie w sposób przekraczający granice wytrzymałości.

Przez kilka minut kochał ją i pozwolił jej kochać jego.

Zamknął oczy.

Nastąpiło to, co miało się stać.

To było wszystko, co miało się stać.

Żadne z nich nie wyrzekło ani słowa, odkąd powiedział, jakże już dawno temu - przypomniawszy sobie z niejakim zażenowaniem - żeby go dosiadała. Najpierw kochali się wprost szaleńczo, a potem zapadli w sen, wyczerpani i nasyceni. Po obudzeniu się stwierdziła z zaskoczeniem, że wciąż jeszcze są złączeni. Uniósł ją nad sobą i obrócił, żeby położyć się przy niej.

Leżała przez jakiś czas z zamkniętymi oczami, kiedy delikatnie odgarnęła włosy z jej twarzy. Nie rozwarła powiek. Nie chciała spoglądać w jego oczy. Nie chciała wiedzieć, co w nich ujrzy - triumf, rozbawienie, miłość? Gdyby to zrobiła, czułaby się zobowiązana do powiedzenia choć słowa albo przynajmniej do myślenia. A wcale nie chciała myśleć. Nie miała ochoty zdać



sobie sprawy, że przedłożyła pożądanie nad sumienie. Z pewnością także doznawała gwałtownego pragnienia, by leżeć z nim nago, żeby czuć wszędzie jego dotyk, czuć, jak ta twarda część jego ciała zagłębia się w nią, gwałtownie w nią wnika.

Nie chciała myśleć. Nie chciała wyobrazić sobie, że tym, co ujrzy w jego oczach, mogłaby się okazać czułość. Nie chciała jego czułości.

Przestał w końcu jej dotykać. Jego ciało nie było już tak gorące, kiedy jeszcze wzdrygała się otworzyć oczy. Teraz zobaczyła, że wstał i stoi nad brzegiem sadzawki, plecami do niej. Jest wspaniale zbudowany, pomyślała z niechęcią, przypatrując się jego proporcjonalnej sylwetce. Białawe blizny przecinały na krzyż jego plecy od barków aż po pośladki. Na chwilę zrobiło się jej słabo, gdy wyobraziła sobie świst bicia, ociekające krwią rany, jego jęk. Szybko odwróciła wzrok. Nie chciała sobie tego wyobrazić. Przemoc zawsze ją przerażała. A choć nie kochała go już tak jak podczas nocy poślubnej - tego popołudnia nie była to miłość, tylko pożądanie - wciąż mimo wszystko nie chciała go ranić.

Jej spojrzenie zatrzymało się na jego prawej kostce. Tam również widniała głęboka, sinoczerwona szrama szeroka na kilka centymetrów, obejmująca niemal idealnym półkolem całą nogę. Wzdrygnęła się. Co to takiego?

Otworzyła usta i zaczerpnęła tchu, lecz o nic nie zapytała. Z pewnością by nie odpowiedział. A i ona nie była pewna, czy chce znać odpowiedź. Znowu poczuła zawrót głowy i znowu spojrzała na szramę. Powiodła wzrokiem po jego nodze aż do pleców.

Poczuła nagle strach.

Zerwała się na nogi i szybko sięgnęła po wilgotną koszulę. Ręce się jej trzęsły. Musiał słyszeć, co robiła, ale się nie odwrócił. Włożyła buty i chwyciła kapelusz. Wciąż stał bez ruchu na brzegu sadzawki. Nie patrzył na nią, lecz w stronę wodospadu.

Niemal biegiem ruszyła ku domowi. Wspinała się pospiesznie po skalistej ścieżce, z rzadka tylko zatrzymując się dla nabrania tchu. Obejrzała się za siebie, kiedy doszła do szczytu, lecz jego nigdzie już nie było widać.

Kim on jest? - zastanawiała się, biegnąc przez trawnik.

Kim jest człowiek, którego poślubiła?

## ROZDZIAŁ 17

No, toś ją i znalazł - rzekł William Stubbs. Cmoknął kilka razy na widok wilgotnych spodni swego pana, które właśnie wylądowały pod jego nogami. Skrzywił się z niezadowoleniem, kiedy ujrzał zabrudzony mchem surdut i kamizelkę przewieszane nie dbale przez poręcz krzesła. - Każdy sługa, co o ciebie dba, Nigel, wart jest, żeby mu całą pierś orderami poobwieszać, wszystko jedno, jak długo ci służy. Muszę się nieźle namordować, żebyś znów wyglądał, jak na dżentelmena przystało.

- Poszedłem popływać - odpowiedział Nigel.

- Tyś sobie poszedł pojeździć, chłopie - burknął William, czyszcząc surdut szczotką. - I nie tylko na koniu razem z twoim Coburgiem. Spodziewam się, żeś ją wpierw grzecznie poprosił i poczekał, póki się nie zgodzi, zanim żeś jej dosiadł. Staroego Stubbsa nie nabierzesz. Jasne jak słońce, żeś tego nie robił od nocy po ślubie, a nie myśl sobie, że ja i jej służąca oczu nie mamy. Właśnie że mamy. Ale ja dżentelki nie winię. Ej, nie przymusiłeś ty jej czasem, Nigel? Bo jeżeli tak, to cię tu zaraz w pysk strzelę.

- Widzę, że z własnej woli pilnujesz jaśnie pani niczym pies podwórzowy - odparł Nigel znudzonym tonem i sięgnął po czystą koszulę, nie czekając na pomoc Williama. - Zanim ją włożę, chcę ci udzielić odpowiedzi z pierwszej ręki, Will. Jeśli jeszcze raz powiesz coś podobnego, to ja ciebie w pysk strzelę, mówiąc dosadnie.

- Wszystko mi jedno - mruknął Will. - Tylko czy ona jest szczęśliwa, Nigel? Chyba nie pozwoli ci zapomnieć, jaki to fawor jej uczyniłeś na całą resztę życia. Spodziewam się, że będzie z tobą szczęśliwa, choć na to nie zasługujesz. Kawał chłopca z ciebie, nie ma co, choć trochę żeśmy ci tłuszczy z kości wtedy zeskrobali. Aleśmy byli chudzi jak szczapy po powrocie stamtąd, no nie? Pamiętasz staroego Leddbettera? Sama skóra i kości.

- Był zbyt uparty, żeby umrzeć - odparł Nigel. - Robię sobie pewne nadzieje, Will, ale jeśli się spodziewasz, że będę z tobą dyskutował o stanie mojego małżeństwa, to się gorzko rozczarujesz. Co ty sobie myślisz? Pamiętasz, jak się zaklinałeś, że gdy tylko zdołasz wrócić do Londynu, to się z niego nogą nie ruszysz? Przeszło dwa lata temu. Czy teraz, kiedy widzisz, jak mi się powiodło, chciałbyś się tam znaleźć z powrotem?

- Co, chcesz się mnie pozbyć? - spytał Stubbs.

– Bynajmniej - zapewnił go Nigel. - Ale z ciebie niespokojny duch, Will. Nie uszło mojej uwagi, że ostatnimi tygodniami prawie co wieczór znikasz we wsi. Jednego razu nawet nie wróciłeś, pozbawiając mnie swoich bezcennych usług.

- A jakże, chłopie, pamiętam. Pomogłem wtedy pani Dorkins przenieść parę baryłek.

- Pani Dorkins? - Nigel zmarszczył czoło, a potem wybuchnął śmiechem. - Czyżbyś kręcił się koło jakiejś damy, Will?

- To oberżystka - wyjaśnił William. - I wdowa. Takiej pyskatej, piersiastej i dupiatej baby nie widziałem od czasu, kiedy straciłem dziewictwo, jak mi szło na trzynasty rok. Ale tamta to dziwka była, brachu.

- Pomagałeś więc wdowie nosić baryłki! - Nigel znów się roześmiał. - A niech to, ty chadzasz w konkury! Zachciało ci się zostać wiejskim szynkarzem?

- Wzięła mnie za włóczęgę albo i za zbója. - William klasnął językiem o policzek. - Potraktowała mnie jak najgorszą łazję! Zanim zrozumiała, że u ciebie służę, rąbnęła mnie w łeb kuflem, co go w ręce trzymała, i w krzyk, że mnie trzeba złapać i obwieścić, bo jestem łgarz i łazęga. No ale ja potrafię obracać ozorem nie gorzej od niej, a może nawet i lepiej. Wtedy wyszło szydło z worka, że niby ze mnie twój sługa.

- A to dopiero. Cóż za czułe zaloty! Czy naprawdę zamierzasz zostać oberżystą? Czyżbym miał stracić najlepszego sługę, jakiego kiedykolwiek miałem, i najbardziej impertynenckiego, jakiego ktokolwiek miał?

- Ma ci ona czym dogodzić nawet najbardziej napalonemu gościowi - mruknął William. Trzymał surduta w wyciągniętej ręce i przypatrywał się uważnie, czy nie zostały na nim jakieś plamy mimo zawziętego czyszczenia. - Nie żebym od razu chciał włożyć jej pod kieckę. Ale kiedy zobaczyła, jaki ze mnie mocny chłop, to tak na mnie spojrzała, jakbym był kawałem mięsa albo jedną z tych nowych machin, co mogą odwalić robotę za dziesięciu ludzi. No i wtedy, nie powiem, zaczęła koło mnie chodzić na paluszkach. „Pan Stubbs to, pan Stubbs tamto”. Myśli pewnie, że Will Stubbs będzie tańcować, jak ona mu zagra, i pozwoli z siebie zrobić drugiego pana Dorkinsa, choć było ich może więcej niżli jeden. Zajeździłaby na śmierć każdego zwyczajnego chłopca, jak nie jęzorem, to tym, co ma pod spódnicą.

- Cieszmy się zatem, że jesteśmy niezwyčajni, Will. Czy poznała twoje listy uwierzytelniające?

- Moje co?...

- No, twoją przeszłość - wyjaśnił Nigel.  
- Nie jej zakichany interes. Przynajmniej póki nie będę chciał zrobić z niej pierwszej pani Stubbs! A ja nie chcę.

Nigel zaśmiał się.

- Jesteśmy obaj na najlepszej drodze do tego, żeby się ustakować i zaznać rodzinnego ciepła. Niewiele brakuje, byśmy żyli sobie długo i szczęśliwie aż do śmierci. Czy mogłeś coś takiego przypuścić, kiedyśmy się po raz pierwszy ze sobą spotkali?

- Już raz myślałem, że będę szczęśliwy aż do samej śmierci, gdy cię tylko zdołam zobaczyć brudnego, głodnego, skamlącego o litość i wołającego mamusi tym twoim cacanym, pańskim głosikiem - odrzekł William pogodnie, szcztokując zaciekle kamizelkę. - Na rany boskie, myślałem sobie, że to będzie szczyt szczęścia, jak cię ujrzę dokumentnie zgnojonego i jak do tego własną rączkę przyłożę. Nie sądziłem, żebym musiał długo czekać.

- A ja kiedyś widziałem szczyt szczęścia właśnie w tym, żeby ujrzeć i na twojej gębie, Will, i na innych - ale zwłaszcza na twojej - przeświadczenie, że to niemożliwe.

- Stary Stubbs jest uparty jak kozioł - mruknął William, podnosząc wzrok znad czyszczonej odzieży i zaglądając swemu panu w oczy. - Wiele czasu mi zabrało, nim to przyznałem, chłopie. Im mocniej się trzymałeś, tym bardziej ja się siliłem, żeby to zobaczyć - i żeby to zrobić. A ty wszystkim dałeś w kuper, Nigel, nawet najgorszym z nas. Nie miałeś tam przyjaciół, tylko samych wrogów, a ja byłem najgorszy z nich. Nie wiem, chłopie, jakeś to zrobił.

- No cóż, Will, ty też nie dałeś sobie w kaszę dmuchać, choć miałeś mnie w charakterze nieustającego utrapienia tuż przy sobie. I w końcu zyskałem przyjaciela. Nie byle jakiego. Najlepszego, najwierniejszego przyjaciela. A przedtem - najgorszego wroga.

William wymierzył w niego palec w oskarżycielskim geście.

- Co ty mi będziesz gadał o szczęśliwym życiu, Nigel? Tej małej dzierlatce stała się krzywda. Czy ty myślisz, że jak jej raz solidnie dosiadłeś, to ona raz-dwa zapomni, jakeś się z nią przedtem obszedł? Trzeba czegoś więcej, żeby lepiej zaczęła na ciebie patrzeć, niż tylko nieźle ją przelecieć. Choć nie wątpię, żeś w tej robocie zręczny i narzędzie też masz jak się patrzy.

- Serdeczne dzięki - rzekł sucho Nigel. - Nawet nie sądziłem, że trzeba mi tu czegoś więcej niż zręczności i narzędzia. Stałeś się prawdziwym znawcą kobiecej wrażliwości.

\_ Ten nijaki szlachcic wrócił - mruknął William.

Nigel uniósł brwi.

\_ Havelock?

\_ Nie, młodszy. Ten, co ma podwójne nazwisko, bo taki z niego wymoczek, że nikt by nie wiedział, jak się zowie, gdyby miał tylko jedno.

- Barr-Hampton? On tu jest?

\_ W tamtym drugim domu.

Nigel uśmiechnął się.

- Co, naprawdę przyjechał? Na Jowisza! Pewna młoda dama bardzo się ucieszy, Will. Daję ci słowo, że jej się on wcale nie wydaje nijaki.

- Przysłał twojej dzierlatce Ust. A już się jej wcześniej oświadczał, dobrze przecie wiesz, i to z błogosławieństwem całej rodziny. Lepiej miej na niego oko, Nigel.

- O tak, oni są bardzo zżyłą rodziną. Oczywiście, oświadczył się jej - tylko że dostał kosza. Zamiast niego poślubiła mnie. Chyba cię pamięć nie zawodzi?

- Wtedy jeszcze myślała, żeś ty jest niby te bożki z kamienia na postumentach - odparował WiUiam. - Ten nijaki szlachcic bardziej jej teraz do gustu przypadnie, kiedy już wie, jak ją z mańki zażyłeś. Lepiej miej na niego oko, chłopie, bo już do niego poleciała.

Nigel powtórnie uniósł pytająco brwi.

- Wróciła cała czerwona po tym, jakieś sobie z nią użył - burknął WiUiam. - A chwilę potem służąca przyniosła jej Ust i ona pędem poleciała do tamtego domu.

- Nic w tym dziwnego. - Nigel wstał. - Barr-Hampton jest kuzynkiem jaśnie pani. Prawie jej bratem. Nic więc dziwnego, że poszła się z nim zobaczyć.

W duchu jednak zastanawiał się, dlaczego tak szybko pobiegła do wdowej rezydencji. Czyż na Barr-Hamptona nie oczekiwały lady Matylda i Patience? Czy Kasandra musiała zobaczyć się z kuzynem właśnie teraz?

Może w liście pisał o swych zaręczynach z Patience? Podobna wiadomość wyjaśniałaby pośpiech Kasandry. A może napisał tylko tyle, że wrócił do wdowego domu? Czy to mógł być powód, by wybrała się spieszenie w tak daleką drogę?

Gdy już ochłonął po spotkaniu nad sadzawką, zaczęły mu świtać nadzieje na przyszłość. Całkiem jednoznacznie wyraziła przecie zgodę. Nie zadał jej nawet pytania, a dostał nieoczekiwaną odpowiedź. Pragnęła tego tak samo jak on i sprawiło jej to rozkosz.

Pragnęła go więc. A jej rozkosz była gwarancją, że pragnienie nie wygaśnie. Dobry początek drogi do spokoju, zadowolenia - i poczęcia dziecka.

Nie dbał o przestrogi Willa. Nie spodziewał się co prawda, że zawsze już *będą* żyli szczęśliwie. Miał jednak nadzieję, iż małżeństwo da się uratować.

Teraz czuł niepokój.

Czy pobiegła do wdowiego domu, żeby się ze wszystkiego zwierzyć Barr-Hamptonowi? Czy podczas ostatnich tygodni czuła się osamotniona mimo bliskości ciotek i kuzynki? Czy to, co zrobili dzisiaj popołudnia, wzbudziło w niej wstręt i strach? Czy list od Barr-Hamptona nadszedł właśnie wtedy, kiedy była w najgorszym nastroju?

Dziwne, ale chyba nikomu nie powiedziała całej prawdy. Choć prawda, oczywiście, wyjdzie na jaw. W końcu wyznał ją wczoraj w sekrecie rządcy Kedleston. Kasandra nie chciała jednak, żeby ktokolwiek ją znał. Widocznie nie życzyła sobie litości krewnych albo ich wyrzutów, że za szybko przyjęła jego oświadczenia, i to w niej przeważyło nad pragnieniem współczucia.

W przeciwnym razie stałaby się zależna od Havelocka.

A może już się zwierzyła Barr-Hamptonowi ze swoich zmartwień i niedoli? Może ich dzisiejsze kochanie się nad sadzawką nie było sygnałem nadziei, lecz ostateczną porażką?

Nigel zdecydował, że zlekceważy podszepty intuicji i nie pójdzie w ślad za żoną do wdowiej rezydencji. Został w domu.

Robin Barr-Hampton nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pragnie powrócić do Kedleston, póki w słoneczne lipcowe popołudnie nie wysiadł z powozu przed wdową rezydencją. Przez całą drogę dręczyła go myśl o tym, co musi nastąpić. Wolałby pojechać prosto do swojego domu i tam w gorliwej pracy szukać zapomnienia po burzliwych kolejach ostatnich miesięcy.

Ktoś stał w ogrodzie przy domu. Patience. Wyglądała po prostu prześlicznie. Jej widok, prawdziwa esencja uroku i zdrowej natury wsi angielskiej, podziałał jak balsam na oczy człowieka, który nie z własnej woli musiał spędzić w znienawidzonym mieście całe trzy tygodnie. Patience, z koszykiem ciętych kwiatów w jednej ręce i nożycami w drugiej, była w prostej sukni bez falban i obręczy, w starym, niczym nieozdobionym słomkowym kapeluszu nałożonym na zwyczajny czepeczek. Pełna trzpiotowatego wdzięku, jakże inna niż rozpustne, obwieszone klejnotami i wymalowane piękności z londyńskiej socjety.

Robin, znękaną podróżą i pracowitymi dniami, które ją poprzedziły, poczuł, że oto naprawdę powrócił do domu.

Patience spostrzegła go. Z początku stanęła bez ruchu i tylko na niego patrzyła. Potem zrobiła kilka szybkich kroków i zatrzymała się znowu. Wreszcie upuściła i nożyce, i koszyk, zebrała spódnice, a potem rzuciła się pędem ku niemu niby łobuzica, jak ją niezbyt grzecznie nazywał czasami w ostatnich latach. Tyle że ani trochę nie przypominała łobuzicy. Wyglądała jak urocze, zachwycające wcielenie swojskości.

Na jej twarzy, jak spostrzegł, gdy się zbliżyła, malowały się zaskoczenie, ciekawość i radość, że go widzi.

Robin, nieoczekiwanie dla siebie samego, otworzył przed nią ramiona. Wpadła w nie gwałtownie, a on uniósł ją w górę i mocno uściskał. Przemknęła mu przez głowę dziwaczna myśl, by na zawsze zachować przy sobie tę odrobinę swojskości.

Postawił ją na ziemi i ucałował serdecznie w policzek, nim przypomniał sobie, że dobre maniery nie pozwalają dżentelmenowi przy pozdrawianiu kobiet, nawet kuzynek, a już tym bardziej przyszywanych, na żaden kontakt fizyczny prócz podania ręki.

Patience oblała się rumieńcem.

- Robinie, skąd się tu wzięłaś? - W oczach zamigotał jej osobliwy błysk, a głos miała zdyszany.

- Niech to licho - rzekł, poluźniając fular - jakże miło cię widzieć, Patience. Gdzie ciotka Matylda?

Patience zarumieniła się jeszcze mocniej. Zagryzła wargi.

- Czemu chcesz mówić z mamą? Dlaczego tak szybko wróciłaś?

- Cóż to? Nie cieszysz się, że mnie widzisz, kuzyneczko?

- Ależ tak - odparła roześmiana. - Zawsze chętnie cię widzę, Robinie. Ale dlaczego wróciłaś?

- Muszę się zobaczyć z Kasandrą. Nie ma jej tutaj?

Nie odpowiedziała mu od razu. Patrzył z niepokojem, jak zmienia się wyraz jej oczu. Blask gasł w nich stopniowo i znów stała się tylko jego ukochaną kuzynką Patience. Dopiero po chwili dotarła do niego myśl, że wygląda bardziej jak kobieta niż dziewczynka. Prawie... prawie pięknie.

- Niestety nie. I mamy też nie ma. Poszła z wizytą do ciotki Beatrycze. Proszę, wejść do domu, tam panuje miły chłód. Strasznie dziś gorąco. Czemu koniecznie chcesz widzieć Kasandrę?

- Muszę ją powiadomić, że przyjechałem. Daj mi pióro i papier, kuzyneczko.

- Pamiętaj, że jest teraz zamężna - rzekła cicho.

Do diaska! Jakżebym mógł o tym zapomnieć! - pomyślał z irytacją i lękiem, które dręczyły go cały dzień. Wroxley mieszka z nią przecież w Kedleston. Jest jej mężem.

- Który z twoich służących najszybciej biega? - spytał. - Użyj mi go, Patience. Muszę się widzieć z Kasandra możliwie szybko. Bez Wroxleya. Wolałbym, żeby nie wiedział o moim przyjeździe.

Patience pobladła i zacisnęła mocno usta, lecz zaprowadziła go do małego sekretarzyka w pokoju dziennym i wskazała przybory do pisania leżące obok.

- Wolałabym, żebyś wcale nie wracał - rzekła. - Myślałam, że przyjechałeś tu z innego powodu. Jaka byłam niemądra!

Wyszła z pokoju, zanim zdążył odpowiedzieć; pewnie chciała wezwać służącego, żeby wręczyć mu potem Ust.

Muszę jakoś usprawiedliwić przed Patience i ciotkami mój powrót, pomyślał, siadając przy biurku. Patience najwyraźniej nie znała prawdziwego powodu. Widocznie Kasandra jej nie wtajemniczyła. Nie wiedział, czy dalsze utrzymywanie tajemnicy jest pożądane albo w ogóle możliwe. Musiał to omówić z Kasandra.

Żeby tylko była w domu. I to sama.

Żeby tylko przyszła tu jak najprędzej.

Zanurzył gęsie pióro w kałamarzu.

- No i co? - Kasandra wpatrywała się z lękiem i niepokojem w twarz Robina. Wyszli razem do parku, gdzie mogli spokojnie porozmawiać. Spacerował właśnie z Patience, kiedy zbiegła ze wzgórza. Patience nie czekała na przybycie kuzynki i pospiesznie skryła się w domu.

Kasandra pragnęła, żeby Robin przywiózł jej dobre wieści albo nie przywoził żadnych. Co za szkoda, że przyjechał akurat dzisiaj, myślała po drodze. Nie chciała usłyszeć złych wiadomości.

A gdy zobaczyła, że Robin ma twarz ściągniętą i odwraca od niej wzrok, pojęła, iż muszą być złe.

- No i co? - powtórzyła.

- Niedobrze, Kasandro - rzekł zgnębiony. - Od czego zacząć?

- Od najgorszego - odparła natychmiast. - Co odkryłeś najgorszego?

Zbladł i opuścił powieki.

- On jest skazańcem, przestępcą - powiedział bezbarwnym głosem, jakby jedynie powtarzał coś zasłyszanego, jakby nie chciał o tym myśleć, tylko mechanicznie przekazywał cudze sło-



wa. - Zesłano go na siedem lat do kolonii karnych w Ameryce. Wrócił stamtąd dwa lata temu.

Dziwne, ale nie przejęła się wcale. Nie okazała zaskoczenia. Już to przecież wiedziała. Ślady po chłości widoczne na plecach jawnie o tym świadczyły. A także szrama na kostce po łańcuchu, którym był przykuty. Odkryła ją właśnie dzisiejszego dnia. Jej męża skazano za jakieś przestępstwo, przykuto do wioseł i przewieziono do kolonii w Ameryce na siedem lat ciężkich robót, srogiej dyscypliny i surowych kar. Przeżył jednak i powrócił.

Żeby się zemścić.

- Za co go skazano?

- Za kradzież i oszustwo podczas gry w karty. Okradł pewnego dżentelmena, który przyglądał się grze, lecz sam w niej nie brał udziału. Skradzione rzeczy znaleziono u niego w pokoju, nim zdążył z nimi uciec, podobnie jak znaczone karty, którymi się posłużył. Miał szczęście, że uniknął szubienicy. Choć z uwagi na ciebie trudno tu mówić o szczęściu.

Kasandra przymknęła oczy.

- Kogo oszukał podczas gry? - spytała szeptem.

Znała odpowiedź. Milczenie Robina tylko ją potwierdziło. Jego słowa okazały się zbędne, lecz mimo to raziły ją jak piorun.

- Lorda Worthinga. Twojego ojca, Kasandro.

Usłyszała własny jęk i nagłe ujrzała twarz Nigela wynurzającą się tuż przy niej z sadzawki. Przestraszył ją wtedy, a potem rozśmieszył. A jeszcze później uszczęśliwił. Sprawił, że pragnęła go z całej duszy. Nie mogła zaprzeczyć. Ledwie parę godzin temu.

- A w zeszłym roku? Kiedy znów grał z papą w karty?

- Nie zdołałem znaleźć dowodu, że oszukiwał, choć się starałem. Założyłbym się jednak, że szachrował. Żaden ze świadków tamtej wcześniejszej partii kart, rzecz jasna z wyjątkiem twojego ojca, nie asystował przy drugiej. A jeśli nawet ktoś zauważył oszustwo Wroxleya, to nie piśnie słowa. Było tam bowiem razem z nim jakieś pół tuzina różnych łapserdaków - nie dżentelmików, sama rozumiesz. Zdaje mi się, że nikt nic nam nie powie właśnie z uwagi na nich, Kasandro.

- Założę się, że był wśród nich pan Stubbs - rzekła zimno.

- Kto taki?

- Ach nic, nieważne - zbagatelizowała.

Więc nie mam już posiadłości, przemknęło jej przez myśl. Ani wolności. Czuła przy sobie jego ciało, twarde i sprężyste. Była powolna temu ciału i swojemu pożądaniu jeszcze tak niedawno. Czuła go, czuła w sobie jego nasienie.

- Gdybyśmy zdobyli dowody, że szachrował - rzekł Robin - 2 pewnością tym razem by go powieszono.

Wzdrygnęła się.

- Wróć tam - ciągnął Robin - i rozmówię się ze wszystkimi świadkami. W końcu znajdę kogoś, kto nie będzie się bał tych Dbwiesiów i powie prawdę władzom. Chcę cię znów ujrzeć wolną. Chcę ci zwrócić Kedleston. Ale też boję się o ciebie.

Przełknęła ślinę.

- Pojedź ze mną do Willow Park - poprosił. - Teraz, dzisiaj. Z moim ojczymem będziesz bezpieczna.

- Jestem jego żoną, Robinie. Jego własnością. Może przyjechać i zabrać mnie stamtąd.. Nikt mu w tym nie przeszkodzi.

- Najpierw musiałyby mnie zabić - rzekł z głębokim przekonaniem.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Zrobiłeś, o co cię prosiłam. Z całego serca ci dziękuję. Wiem, że nie było to łatwe. Nie chcę jednak niczego więcej. To już nie dotyczy stryja Cyrusa, tylko mnie. Wroxley jest moim mężem. Muszę sama się z tym uporać.

- Co takiego? Jesteś tylko kobietą. Potrzebujesz wsparcia i męża.

- Już jednego mam. - Zaśmiała się, ale bez wesołości. - Idź do Patience, Robinie. Powiedz jej, że przywiozłeś jakiś prywatny list, który mogłeś oddać tylko mnie. Na przykład życzenia z okazji ślubu. Wymyśl coś. Udawaj, że się cieszysz, iż przyjechałeś tylko na dzień czy dwa. Przyjdź dziś wieczorem na zabawę. Zatańcz z Patience, to ją ucieszy. No i nie mów nikomu ani słowa. W końcu on jest moim mężem. Nie wszyscy muszą wiedzieć, że poślubiłam złodzieja, oszusta i galernika, który spędził siedem lat na zesłaniu. - Poczwała zawrót głowy, lecz starała się, by Robin tego nie zauważył. Nie chciała, żeby się nad nią litował.

- Boję się o ciebie.

- Niepotrzebnie. On nic mi nie zrobi. Jestem jego dumą, perłą w koronie. Ale jeszcze nie odniósł pełnego triumfu. Dopiero kiedy urodzę mu syna, przyszłego hrabiego Wroxleya. A w tym celu muszę być żywa i zdrowa. Nie musisz więc lękać się o moje bezpieczeństwo.

Spojrzał na nią z nieszczyśliwą miną.

- Idź! - Popchnęła go lekko w stronę domu. - Znajdź Patience. Przeproś ją w moim imieniu. Powiedz jej, że nie mogę zostawić mego ukochanego Nigela samego ani na chwilę dłużej. Uwierz ci. Ona go uwielbia. Prawie tak samo jak ciebie. No, idź już!

Robin odszedł.

Kasandra czuła się dziwnie spokojna i zobojętniała. Lękała się powrotu Robina. Powiedział jej jednak tylko to, co wiedziała już od dawna.

Jakże Nigel musiał się z niej w duchu natrzasać, kiedy już do-  
stał to, czego chciał.

Wtedy go pragnęła, teraz czuła tylko nienawiść.

Zanadto go nienawidziła, żeby się bać.

Odwróciła się i poczęła wspinać się na wzgórze, ku lipowemu zagajnikowi.

## ROZDZIAŁ 18

Nigel myślał z podziwem, że jego żona nigdy jeszcze nie wyglądała pięknie. Właśnie wyruszyli na zabawę w reprezentacyjnych pokojach oberży. Chociaż był to tylko prowincjonalny wieczór z tańcami, a nie wielki bal, jak w dniu jej urodzin, Kasandra włożyła wspaniałą suknię o barwie bladego błękitu. Włosy miała starannie ufryzowane i upudrowane na biało, a koło ust przykleiła sobie czarną muszkę.

Siedział naprzeciw niej w powozie, starając się nie pognieść jej sukni ani własnego, wyszywanego srebrem wieczorowego stroju. Obiad zjedli wcześniej u lady Beatrycze. Od czasu spotkania nad sadzawką nie mieli sposobności do rozmowy w cztery oczy.

Spojrzała na niego z ożywieniem. Poczł niepokój.

- Czy po powrocie znów znikniesz w swoich pokojach? - spytał. - Nie mogłem cię nigdzie znaleźć.

- Poszłam się zdrzemnąć - odparła.

Oho, kłamstwo. Zupełnie nie w stylu Kasandry, która zawsze mówiła prawdę.

- Musiałaś być zmęczona. Wspinanie się nad wodospad, pływanie, a potem znów droga pod górę do domu.

- Tak.

- A w środku godzina miłosnych zmagañ.

- Tak. - Rozłożyła wachlarz, zasłaniając nim uśmiech. - Och, niewiele teraz chłodniej niż po południu. W pokojach oberży będzie duszno. Zresztą wszystko mi jedno. Mam ogromną ochotę potać się. Nie robiłam tego od dnia urodzin.

Wciąż się zastanawiał, dlaczego Barr-Hampton wrócił. Z powodu Patience? Wątpliwe. Nie miał w sobie ani odrobiny romantyzmu.

- Więc zatańczymy razem - odezwał się. - Pierwszy taniec i przynajmniej jeden z następnych.

Czemu pobiegła do wdowiego domu, gdy tylko dowiedziała się, że wrócił? Dlaczego nie chciała mu powiedzieć, że tam poszła? Czemu tak skwapliwie podchwyciła kłamstwo, które jej podsunął, zamiast otwarcie przyznać, że udała się do ciotki?

- Jesteśmy małżeństwem, milordzie. - Uśmiechnęła się do niego pogodnie. - Pary małżeńskie nie tańczą ze sobą, nie ma takiego zwyczaju.

- Bo każdej nocy mogą to robić w bardziej prywatnej atmosferze, we własnym łóżku?

Przestała poruszać wachlarzem i spojrzała na niego wstrząśnięta.

- Chociaż ty i ja wcale tego nie robimy - ciągnął miękko. - A może to, co zaszło dzisiejszego popołudnia, winniem uznać za zaproszenie mnie do twego łóżka, byśmy mogli podjąć na nowo te tańce?

- Nie - odparła szybko, lecz stanowczo. - To był błąd.

- Miły błąd, milady. A więc na zabawie zatańczymy co najmniej dwukrotnie.

- Tak, milordzie - rzekła w sposób, który uznał za świadomą uległość. Uśmiechnęła się wręcz promiennie.

Odmieniłem ją, pomyślał, gdy powóz zatrzymał się na podjeździe, a on czekał, aż otworzą się drzwi i spuszczą schodki. Niewiele więcej niż miesiąc temu w Kasandrze, zaskakująco otwartej i wręcz rozbijającą naiwnej, nie było ani trochę sztuczności.

Tego wieczoru wyglądała na jeszcze szczęśliwszą niż zwykle. Uśmiechała się do wszystkich naokoło, z dłońią w jego ręce, gdy prowadził ją ku oberży. Grupka wieśniaków stała w należytej odległości, z respektem podziwiając zabawę. Kasandra wyglądała jak świeżo poślubiona dama w drodze na bal, pełna miłości i rozradowania.

Tylko on rozumiał, że to jedynie maska, że jej urocza naiwność, którą tak czarowała rodzinę, sąsiadów i konkurentów w wieczór urodzinowy, znikła. Znikła na zawsze. Przez niego.

Ciekaw był, czy jeszcze kiedyś zobaczy ją prawdziwie szczęśliwą.

I zastanawiał się, czemu pojawiło się w nim nagle poczucie winy. W końcu okazał jej znacznie więcej dobroci niż okrucieństwa. A utrata niewinności nieuchronnie wiąże się z wejściem w dorosłe życie.

Sięgnął do kieszeni po garść monet. Rzucił je i patrzył, jak dzieci padają na kolana, by podnieść ten skarb. Jego żona się roześmiała.

Stangreci i służący okolicznej szlachty bawili się niemal tak dobrze, jak wysoko urodzeni panowie. Wiejskie zabawy były ich ulubionymi rozrywkami, bo wolno im było wówczas przebywać w szynku, podczas gdy ich państwo tańczyli i biesiadowali w o wiele bardziej reprezentacyjnych salach na gorze.

William Stubbs nie przybył do oberży powozem z Kedleston, ale niedługo po rozpoczęciu zabawy zjawił się tam, jak zresztą nieraz czynił i wcześniej. Lubił wesołe towarzystwo i swoją kwartę piwa. Prócz tego po raz pierwszy w życiu wpadł w oko godnej szacunku, niebrzydkiej niewieście z lepszej niż on sfery. Spodziewał się, że oberżystka dostarczy mu więcej cielesnych uciech niż wszystkie londyńskie ladacznice, z którymi zazwyczaj się zadawał, kiedy go przyparła potrzeba. W dodatku dama ta oferowała mu też więcej niż godziwe utrzymanie. Jeszcze wprawdzie nie wyraziła tego słownie, lecz Will wyraźnie wyczuwał, że na to się zanosí.

Nie był tylko pewien, ile mu przyjdzie za ten tłusty kasek zapłacić.

Spostrzegł stangreta Robina Barr-Hamptona. Kolor jego nosa wyraźnie zdradzał, że trzymana przez niego szklanica piwa nie była pierwszą ani nawet drugą, jaką wychylił tego wieczoru. William siadł przy nim i klepnął go po ramieniu. Mógł sobie pozwolić na taką poufałość, gdyż jako osobisty służący stał na drabinie społecznej znacznie wyżej od stangreta. William służył dżentelmenowi, z czego był niezmiernie dumny.

- Jeszcze jedną kwartę dla mojego druha! - zawołał do pani Dorkins, przekrzykując gwar rozmów i śmiechy wokoło. - I jedną dla mnie.

Mizerna, ospowata dziewczyna, która zawsze patrzyła na niego z niesłychanym lękiem, w chwilę później podała napitek. Rozlała trochę piwa na stół, lecz zrobiła pospieszny unik, nim ktokolwiek zdążył dać jej szturchańca.

- Hej, chłopie, miło mi znów widzieć twoją szpetną gębę! Gdzieżeś się podziewał?

Wszystko poszło jak z płatka. Nie trzeba było żadnych przebiegłych sztuczek. William wysłuchał z żywym zainteresowaniem opowieści podchmielonego sługi o podróży do Londynu, o ludziach i o miejscach, jakie odwiedzał tam jego pan.

Postawił mu kolejny kufel piwa. Najwyraźniej zanosilo się na coś niedobrego. A zatem Nigel wpadł. No, trudno. Najgorsze, że małą lady czeka nowe cierpienie, kiedy się wszystkiego dowie. William dostrzegł już, że przestała wyglądać na szczęśliwą i niewinną. Młode damy w rodzaju dzierlatki Nigela nie powinny nawet wiedzieć, że istnieje coś takiego jak galery i zesłanie. A już z pewnością nie powinny się nagle dowiadywać, że poślubiły katorżnika. Choćby niewinnie skazanego.

William spojrział na dziewczynę napełniającą kufle przy sąsiednim stole. Tym razem nie zdążyła umknąć. Jeden z podpitych stangretów objął ją w pół, a wolną rękę wsadził za stanik. Jego towarzysz wsunął łapę pod jej spódnice, odsłaniając chude nogi posługaczki. Reszta zebranych ryknęła donośnym śmiechem. William zacisnął usta. Spojrział na znękaną twarz dziewczyny i jej pozbawione wyrazu oczy. Bez wątpienia niejednokrotnie narażona była na zaczepki, a nawet na coś gorszego. Takie ryzyko ponoszą wszystkie dziewczęta na służbie.

- Nie sądzę, żeby to było po jej myśli. - William przybrał ton, jakiego niegdyś zwykł używać wobec zgrai łotrów na zesłaniu. Niezbyt donośny, ale niemożliwy do zlekceważenia. - No co, może ci się to podoba? - spytał.

Spojrziała na niego nieprzytomna ze strachu.

- Jeśli chcesz ją pomacać - mężczyzna z ręką za stanikiem był na tyle niemądry, żeby mu odpysknać, choć drugi cichaczem wyciągał już rękę spod spódnicy - to poczekaj swojej kolejki, sukkinsynu jeden!

William powoli wstał od stołu.

- Mam tylko jedno ślepie, chłopcze - rzekł, chociaż „chłopiec” był od niego dobre dziesięć lat starszy - ale za to dwoje nie najgorszych uszu. Lepiej zaraz mi powiedz, że one niczego nie słyszały, i lepiej zabierz swoje łapsko, coś je wetknął, gdzie nie trzeba, bo inaczej nochal zaraz ci się na bok przekrzywi i juchę puści na twoją koszulę.

Stangret nie był aż tak pijany, by nie zrozumieć, iż popełnił poważny błąd. Pojął to, jeszcze zanim William skończył swoją przemowę.

- O rety - rzekł, kładąc rękę z powrotem na stole - niektórzy nie znają się na żartach. Wybacz, przyjacielu, jeżeli do nich się zaliczasz. - Wzruszył ramionami, usiłując przybrać wyniosłą minę.

Wszystko dobrze by się skończyło - William zamierzał już ponownie usiąść - gdyby pani Dorkins nie skarciła małej posłu-

gaczki, wymierzając jej siarczasty policzek i wyzywając ją od leniwych zdzir. Za tym epitetem posypały się jeszcze mniej uprzejme przydomki. Dziewczyna straciła równowagę, uderzyła twarzą o kant stołu i osunęła się bez czucia na ziemię. Kilku klientów oberży z aprobatą walnęło pięściami w stół.

- Dobra robota, pani Dorkins! - wrzasnął jeden z nich.

- Trzeba takie owakie krótko trzymać! - zawtórował mu drugi. - To je nauczył!

Pani Dorkins nie było jednak do śmiechu. Skinęła na Williama.

- Panie Stubbs, niech pan będzie tak łaskaw zanieść tę leniwą zdzirę do jej pokoju i zamknąć ją tam. Jutro się z nią porachuję, gdy się ocknie, a ja będę miała trochę czasu. Zatrudniam w mojej oberży tylko przyzwoite służące!

William wstał, posłuszny damie swego serca, i ostrożnie wziął dziewczynę na ręce. Jęknęła, ale nie otworzyła oczu. Zaniósł ją drogą wskazaną przez panią Dorkins na mały stryszek. Przez dziury w dachu mógł dojrzeć niebo. Na podłodze leżał tylko goły, brudny siennik przykryty nędzną namiastką kołdry. Położył na nim służebną, zdjął jej bawełniany czepek i delikatnie obmacał uderzone miejsce. Dziewczyna ponownie jęknęła i tym razem otworzyła oczy.

Przez chwilę patrzyła na niego nieprzytomnie. Potem znów zajęczała żałośnie.

- No, no - rzekł - toż ja ci nic nie zrobię. Nikt ci już nic złego nie zrobi.

Ona jednak zasłoniła się rękami, podkuczyła nogi i zaczęła przeraźliwie kwilić.

William Stubbs wyrósł w londyńskich dzielnicach nędzy. Dobrze wiedział, czym jest przemoc i poniewierka. Przez większą część życia sam był gwałtownikiem, lecz nigdy nie skrzywdził kobiety. Wycofał się ze stryszku, nie zamykając jednak drzwi na klucz. Zszedł na dół i tylnymi drzwiami opuścił oberżę w poszukiwaniu powozu z Kedleston. Po pięciu minutach znów był na poddaszu z pledem przewieszonym przez jedną rękę i dwiema poduszkami w drugiej. Później wszystko Nigelowi wytłumaczy.

Na jego widok dziewczyna zaczęła zawodzić.

- Nie płacz - rzekł łagodnie, podkładając jej poduszki pod głowę i okrywając ją pledem. - Will Stubbs przenigdy cię nie ukrzywdzi, a taka owaka pani Dorkins też. Jak ci na imię?

- Sal - szepnęła. - Och, proszę, jak pan chce, zrobię to i nie wezmę pieniędzy. Tylko proszę jej nie mówić. I niech mnie pan nie bije. Zrobię, co pan zechce. Trzeba tylko powiedzieć.

- Robiłaś to już przedtem? - spytał. Nie wątpił, że tak, że wiele razy i z wieloma, ale nigdy z własnej woli.

- A jakże, panie. I zrobię, niech pan tylko powie kiedy. Ale niech mnie pan nie bije.

- Przyłóż głowę do poduszki, Sal - odparł - i wyśpij się należycie. Ani cię nie zbiję, ani tego drugiego nie będę z tobą robił. Nikt cię więcej nie będzie bił ani ci ubliżał. Żaden z chłopów na dole nawet nie spróbuje robić z tobą tego drugiego, chyba że sama zechcesz, a przedtem o tym powiesz. Will Stubbs weźmie cię pod opiekę.

Poruszyła głową na poduszkach i spojrzała na niego. Dziki strach ustąpił miejsca zwykłemu załęknienu.

- Nie chce pan tego ze mną robić? - spytała z zaskoczeniem.

Spojrzał na jej wątłe ciało, bladą, ospowatą twarz, obwisłe kosmyki brudnych włosów, wystraszone oczy. Zdarzało mu się sygnąć nawet z jeszcze mniej pociągającymi ulicznicami.

- Przestań się bać, Sal - rzekł - i wyśpij się dobrze. Taka dziewczyna jak ty powinna sobie znaleźć chłopaka jak się patrzy i żyć z nim szczęśliwie. Stary, szkaradny Will Stubbs nigdy cię nie ukrzywdzi.

Zrobiła mu niespodziankę, nim zamknęła oczy. Uśmiechnęła się do niego.

Kiedyś, dawno temu, musiała być - podobnie jak wiele kobiet, wśród których się wychował - uroczą małą dziewczynką z ładnymi, orzechowymi oczami. Bardzo dawno temu.

Na wsi nie żyje się ani trochę lepiej, zdrowiej i godzniej niż w mieście, pomyślał.

Już nie chciał zostać wiejskim oberżystą.

Przyjaciele i sąsiedzi hrabiny Worthing, widząc, jak tańczy tego wieczoru, osądzili, że po trzech tygodniach małżeństwa nie opuścił jej jeszcze nastrój radosnego uniesienia. Wręcz przeciwnie. Błyszczała dowcipem, śmiała się, bez przerwy rozmawiała. Ciągłe też spoglądała na męża, nawet gdy z nim nie tańczyła - a za tańczyła trzy razy z kolei.

Nie zmalala też po tych trzech tygodniach fascynacja wicehrabiego Wroxleya. Jego skryte pod przymkniętymi powiekami oczy śledziły żonę przez cały wieczór, chociaż rozmawiał uprzejmie z sąsiadami, a nawet kilka razy zatańczył z ich żonami i córkami.

Kasandra była świadoma wrażenia, jakie robili obydwójce, a chciała je wywołać najzupełniej rozmyślnie. Nie życzyła so-



bie, by sąsiedzi wiedzieli, iż Kedleston należał do Wroxleya, jeszcze zanim wicehrabia ją poślubił. Nie chciała też, żeby się dowiedzieli o...

Był to osobliwy, jakby nierealny wieczór: familiarność otoczenia i pogodny nastrój całkowicie przeczyły uczuciu grozy, które nie opuszczało jej ani na chwilę.

Oszukał ojca. Okradł zarówno papę, jak i jego przyjaciół. Złapano go, osądzono i skazano. Skuto go razem z innymi przestępcami i wsadzono na jeden z tych okropnych, nieludzkich statków-więzień - słyszała kiedyś, że tylko najsilniejsi zdolni są przeżyć taką podróż - i wysłano do kolonii karnej w Ameryce. Tam musiał wykonywać ciężkie roboty, z kajdanami na nogach. Tam go bestialsko wychłostano, i to wiele razy. Czy był więc zatwardziałym, zdeprawowanym buntownikiem? Przeżył i wrócił do Anglii, by dokończyć to, co wcześniej rozpoczął. Pozbawił papę wszystkiego, lecz tym razem otoczył się awanturnikami, by odstraszyć potencjalnych świadków od wyjawienia prawdy.

A potem, udając szanowanego dżentelmena, przybył do Kedleston, żeby ją omamić i poślubić. Jako niedoświadczona dziewczyna wpadła w pułapkę, niczego nie podejrzewając. Oddała mu się jeszcze przed ślubem. Dziwne, że nie wyśmiał jej od razu tamtej nocy i nie kazał się natychmiast wynosić, ledwie zdołał naciągnąć spodnie.

Zamiast tego poślubił ją i skazał tym samym na dożywotnie uwięzienie. Jego własne trwało tylko siedem lat.

Nie zatańczyła z Robinem, choć ją o to prosił, lecz przez dłuższą chwilę rozmawiała z nim, z Patience i ciotką Matyldą. Udawała bardzo zaskoczoną - Nigel stał wówczas tuż obok niej - nieoczekiwanym powrotem kuzyna.

- Czemu zatrzymałeś się we wdowim domu, a nie w Kedleston? - spytała żartobliwie, zerkając porozumiewawczo na Patience.

Kuzynka rzuciła jej jednak pełne rozżalenia spojrzenie. Kassandra poczuła wyrzuty sumienia. Postanowiła, że wcześniej czy później trzeba ją będzie wtajemniczyć we wszystko. Zawsze się przecież przyjaźniły. A prawda - cała prawda - musi w końcu wyjść na jaw.

Lady Matylda uśmiechnęła się do Nigela niemal kokieterycznie.

- Biedny Robin - rzekła - czułby się teraz w Kedleston osobą zbędną. Musiałby cały czas asystować lady Beatrycze.

- Mam nadzieję - zwrócił się do Robina Nigel - że w pańskim majątku wszystko idzie jak należy. Pewnie miło panu wpaść choćby na krótko do domu?

- Owszem - głos Robina brzmiał oschle - chętnie bym się tam zatrzymał, lecz w Willow Park bawi akurat mój ojczym, a ja czuję się zobowiązany względem ciotki Matyldy i Patience. Zobaczyłem więc z drogi, żeby zyskać pewność, czy u nich wszystko w porządku.

- Prawdziwy wzór bratanka i kuzyna - rzekł Nigel, składając Patience elegancki ukłon i obdarzając ją najbardziej uroczym ze swoich uśmiechów. - Czy mogę panią prosić o najbliższy taniec?

- Ja go sobie zamówiłem - wtrącił pospiesznie Robin.

- Ależ nie - zaprzeczyła Patience. - Przecież już z tobą tańczyłam pierwszy!

Robin, w przeciwieństwie do mnie, nie potrafi udawać, pomyślała Kasandra. Był ponury jak chmura gradowa, gdy jego młodszą kuzynkę zaprosił do tańca ktoś, kogo zesłano na siedem lat do kolonii za kradzież.

- Do diaska - mruknął - lepiej niech on się trzyma z dala od Patience!

Kasandra złożyła wachlarz, uśmiechnęła się ujmująco i zaczęła gawędzić z ciotką Matyldą.

Wieczór bardzo się dłużył, musiała bowiem ukrywać przerażającą prawdę pod pozorami sztucznej wesołości. Nieustannie też nurtowało ją wspomnienie popołudnia nad sadzawką i myśl, iż nawet teraz nie może oderwać oczu od jego eleganckiej sylwetki. Nadal nieodparcie ją pociągał. Musiała co chwilę sobie przypominać, że pod modnym, znakomicie skrojonym stroju wieczorowym kryją się plecy poznaczone bliznami od bicia, szrama po żelaznej obręczy na kostce i obłudne, kłamliwe, podstępne serce.

Gdy wreszcie znalazła się w powozie, wsparła się na poduszkach i zamknęła oczy. Pozwoliła sobie tego wieczoru na jeszcze jedno oszustwo, udając śpiącą.

- A więc, moja droga - usłyszała łagodny głos męża, gdy tylko zatrzaśnięto drzwiczki - musimy postanowić, jak będziemy zachowywać się teraz, kiedy już wiesz o wszystkim.

Otworzyła pospiesznie oczy. Zdziwiła się, że widzi go całkiem wyraźnie mimo mroku. Światło księżycy i blask gwiazd czyniły noc niemal równie jasną jak dzień.

- Sierzmię twojej sprawy zadał sobie niemało trudu. Powinnaś być z niego dumna.

Pożałowała, że nie rozmówiła się z mężem wcześniej, zaraz po powrocie do domu.

— Zawsze byłam dumna z Robina - odparła sucho. - A teraz bardziej niż kiedykolwiek. Mógł przecież pojechać od razu do siebie, bo nie cierpi Londynu. Postanowił jednak odłożyć powrót do domu i spędzić w mieście wiele czasu tylko ze względu na mnie.

- Żałujesz, że za niego nie wyszłaś?

- Zasługuje na coś lepszego.

Zauważyła, że się do niej uśmiecha.

- No i nie zdołałby ci dogodzić - rzekł.

Zacisnęła wargi tak mocno, że utworzyły wąską linię. Przypomniała sobie, jak łatwo osiągnęła zaspokojenie tego popołudnia, siedząc na nim niby na koniu.

- Myślę - odezwała się - że to mój ojciec wniósł skargę na ciebie dziewięć lat temu. - Miał wtedy najwyżej dziewiętnaście, dwadzieścia lat, pomyślała o mężu.

- Oczywiście. - Nadal się uśmiechał.

- Jakie to niemądre - ciągnęła - oszukiwać przy grze, a także kraść pieniądze i klejnoty tego samego wieczoru i w tym samym miejscu.

- Bardzo niemądre - zgodził się.

- No i pozostawiać dowody przestępstwa we własnym pokoju, żeby je tam znaleźli oskarżyciele.

- Ach, to najgłupsze ze wszystkiego. Byłem jednak wtedy bardzo młody i bardzo głupi, moja droga.

- A potem zesłano cię do Ameryki i poprzysiągłeś zemstę memu ojcu.

- O tak. Właśnie myśl o niej podtrzymywała mnie na duchu. Chciałem go zniszczyć, tak jak on zniszczył mnie.

- I przypieczętować swój triumf ożenkiem ze mną. - Starła się, by w jej głosie nie zabrzmiała gorycz.

- Wspaniały triumf, tak. Cóż to za satysfakcja, gdy się wie, że ci, którzy dziewięć lat temu zdradzili mnie i nie chcieli znać przed dwoma laty, teraz muszą się pogodzić z tym, że jestem właścicielem Kedleston i mężem hrabiny Worthing. Nie uważasz, że bardzo skutecznie utarłem im nosa?

Spojrzała na niego surowo. Miała nadzieję, że on widzi ją równie wyraźnie, jak ona jego. Twarz męża to wynurzała się z mroku, to znów tonęła w nim ponownie, bo powóz jechał między szpalerami drzew okalającymi trakt. Chciała, żeby dostrzegł jej wzgardę.

- Byłeś przecież wicehrabią, nie podlegałeś więc pospolitemu wymiarowi sprawiedliwości.

- Udało im się zataić moją prawdziwą tożsamość - odparł - aż do chwili, kiedy zniknąłem z angielskiej ziemi. Nikt nie chce słuchać zwykłego skazańca, gdy ten się upiera, że jest utytułowanym członkiem warstwy szlacheckiej. Nawet jeśli jego sposób wystawiania się wyraźnie zdradza, że to dżentelmen lub przynajmniej ktoś aspirujący do takiego miana.

- Czy tak właśnie z tobą było? - spytała. Wcale nie chcę znać odpowiedzi, pomyślała jeszcze w chwili, gdy wymawiała te słowa. Nie chciała sprawiać mu zadowolenia swoją ciekawością. A poza tym wiedziała już wszystko, co trzeba.

Uśmiechnął się tylko.

- W jaki sposób nakłoniłeś ojca, żeby znowu z tobą zagrał? Musiał cię przecież rozpoznać.

- Przez tych siedem lat posiadałem w pewnej mierze sztukę przekonywania.

Wzdrygnęła się. Jej ojca zmuszono do podjęcia gry i wydarto mu Kedleston dzięki oszustwu.

- Dokonałeś zatem tego, czego nie udało ci się dokonać dziewięć lat wcześniej. Oszustwem zdobyłeś posiadłość i fortunę. Ś

- I arystokratyczną żonę, moja droga. Pamiętaj o tym. Tyle że nigdy nie oszukiwałem w grze ani niczego nie ukradłem.

- Zapewne. - Spojrzała mu w oczy z głęboką pogardą. - Przestępcy zwykle utrzymują, że są niewinni i że nie popełnili zbrodni, za które ich skazano.

- Święta prawda, milady. Przez siedem lat nie spotkałem tam nikogo, kto nie byłby niewinny jak nowo narodzone dziecko. - Zaśmiał się z cicha. - A jednak wszyscy, zakuci w kajdany, pokutowaliśmy tam za zbrodnie niepopołnione.

Odwróciła się, chcąc wyrzeć przez okno. Ogarnęła ją fala nudności. Może przebudzi się z tego koszmaru, jeśli zdoła szeroko otworzyć oczy? Może znajdzie się ponownie w dniu urodzin, w chwili gdy nie przybył jeszcze żaden gość?

- Po powrocie pójdziemy do biblioteki - rzekł. - Musimy omówić pewne sprawy.

- Jestem zmęczona. Chcę się położyć.

- Jesteś moją żoną - powiedział miłym, miękkim głosem - i ślubowałaś mi posłuszeństwo, milady.

Zaczerpnęła powoli tchu i spojrzała ku niemu.

- Pójdziemy do biblioteki - powtórzył. Nadal się uśmiechał.

William Stubbs wywołał Nigela z oberży jeszcze podczas zabawy, żeby potwierdzić to, co obaj podejrzewali już wcześniej. Barr-Hampton pojechał do Londynu z pewną misją i porozmawiał z kilkorgiem właściwych ludzi. A może zresztą niewłaściwych, zależnie od punktu widzenia.

Nigel przypuszczał, że Kasandra dowie się o tym wcześniej czy później. Lepiej więc, żeby stało się to wcześniej.

Nie wyjawiał jej całej prawdy, a ona nie zwróciła uwagi na jego zapewnienie o niewinności. Zresztą i tak by mu nie uwierzyła. Nikt przecież nie wierzył. Nawet w jego własnej rodzinie. A ona była córką swojego ojca.

Pogodził się z niesprawiedliwym osądem, lecz od wzgardy, niedowierzania i nienawiści stwardniało mu serce. Czasami myślał, że zamiast niego ma w piersi kawał lodu. Tyle że lód może stopnieć, a kamień nie.

Nie uwierzyłaby mu. Nawet nie próbował jej przekonywać. Tego wieczoru należało jednak to i ówo powiedzieć wyraźnie. Postanowił nie czekać do rana, choć mieliby wówczas całą noc na przemyślenie sytuacji, w której się znaleźli.

- Usiądź, proszę - rzekł do żony, gdy drzwi biblioteki zamknęły się za nimi. Służbie powiedział wcześniej, że nie będzie jej już potrzebował.

- Wolę stać - odparła, podchodząc do okna. Podbródek miała uniesiony do góry, twarz bladą i ściągniętą.

Podziwiał jej odwagę. Tego popołudnia zrozumiała, kogo w istocie poślubiła, i musiało to być dla niej odkrycie co najmniej przerażające. Nie okazywała tego, a nawet gotowa była stawić czoło wyzwaniu. Lecz przyprowadził ją tu tylko po to, by uporządkować pewne sprawy.

- Proszę, usiądź - rzekł spokojniejszym tonem.

Wahała się przez chwilę. Wreszcie podeszła do krzesła przy kominku i usiadła na nim, sztywno wyprostowana. Spojrzała na męża.

- W naszym życiu są pewne rzeczy, Kasandro - zaczął - których żadne z nas już nie zmieni, nie można bowiem cofnąć czasu ani o jeden dzień, żeby to uczynić. Poróżniłem się niegdyś z twoim ojcem i udało mu się odnieść nade mną niemałe zwycięstwo, choć do mnie należało ostatnie słowo. Kedleston jest mój. Ty zaś zostałeś moją żoną. Poślubiłaś człowieka, któremu

przypadło w udziale to ostatnie słowo. Człowieka skazanego niegdyś na zesłanie za przestępstwo i ukaranego tak okrutnie, że ślady po tej karze nie znikną aż do jego śmierci. Tak wygląda rzeczywistość.

- Owszem - przytaknęła - ale do rzeczywistości należy również to, że masz żonę, która będzie cię nienawidzić i tobą pogardzać, milordzie.

- Nasze małżeństwo musi trwać, Kasandro, niezależnie od twoich uczuć względem mnie. W ostatnich tygodniach dowiedliśmy, że dobrze współpracujemy jako wspólnicy w interesach i że w obecności innych osób możemy zachowywać się wobec siebie przyzwoicie, a nawet bardziej niż przyzwoicie. Okazało się też - podczas naszej nocy poślubnej, a także dzisiejszego popołudnia - że dobrze się nam też wiedzie w bardziej osobistych sprawach.

- To było tylko pożądanie. - Kasandra się zaczerwieniła.

- Jest ono w końcu naturalne w małżeństwie. I zdrowe. Przyjmuje dwojgu ludziom fizyczne zadowolenie. Pozwala też spłodzić dzieci.

Nie odpowiedziała, tylko uniosła podbródek jeszcze wyżej i spojrzała mężowi w oczy.

- Od tej nocy będziemy dzielić łożę - rzekł.

Na jej wargach pojawił się pogardliwy uśmiezek.

- I pomyśleć, iż spodziewałam się po tobie honorowego zachowania w tym względzie. Przysiękłeś, że nie zbliżysz się do mnie bez przyzwolenia. Byłam na tyle niemądra, by udzielić go dzisiejszego popołudnia. Teraz już bym tego nie zrobiła. Nie ma to jednak znaczenia, prawda? Pan rozkazuje i trzeba go słuchać.

Przypomniał sobie roześmianą, szczęśliwą młodą kobietę, która zaprosiła go na bal i ofiarowała mu nocleg. Zmieniłem ją, pomyślał, patrząc na jej zgorzkniałą, pełną pogardy twarz.

- Przysiękłem uszanować prywatność twoich pokojów, milady. I dotrzymam przyrzeczenia. Nie obiecywałem jednak niczego względem prywatności czysto cielesnej natury. Twoje ciało należy do mnie, a moje do ciebie. Wyegzekwujmy wzajemnie nasze prawa w moim łożku.

- Zamierzam pozostać w moich pokojach przez resztę życia. Czy mogę teraz oddać się do własnej garderoby i tam przygotować się na przyjęcie męża? Pozwolisz mi wyjść?

- Tak - odparł. Uniosła brwi ze zdziwieniem, więc dodał: - Wiedz, że się mnie boisz, Kasandro. Boisz się tego, co mógłbym zrobić, gdybyś nie wyszła.

- Czemu miałabym się ciebie bać? - roześmiała się wzgardliwie.

- Z powodu blizn na moim ciele, które będą ci nieustannie przypominać, z jakiego powodu powstały. Przypominać o tym, że przeżyłem mimo nieludzkiego traktowania i wielokrotnie ponawianej przemocy. Podejrzewasz bowiem, iż chłostano mnie, bo sam byłem zatwardziałym złoczyńcą uciekającym się do przemocy. Sądzisz, że podobne doświadczenia zabiły we mnie wszelkie ludzkie uczucia i że pozwolą mi one przywołać do porządku krnąbrną żonę.

Dojrzał w jej oczach strach, który - jak wiedział - ukrywała podczas wieczornej zabawy. Trwało to jednak tylko chwilę. Kassandra raz jeszcze okazała, iż jest kobietą odważną i silną.

- W jaki sposób zdołałeś przeżyć? - spytała.

- Byłem zbyt uparty, żeby umrzeć. Miałem też pewne zadanie do wypełnienia po powrocie i myśl o tym dodawała mi sił.

Wciąż patrzyła mu w oczy, a w jej spojrzeniu nie było już strachu.

Podszedł do niej i wyciągnął rękę.

- Chodź.

Nie podała mu dłoni.

- Nie pójdę, tylko dlatego że ty mi rozkazujesz - powiedziała. - Nie chcę, żebyś mnie bił czy w jakiś inny sposób przywoływał do porządku. Wolałabym, żebyś nie trzymał mnie w uległości strachem.

Ach, więc domyśliła się, że tylko ją straszy. Nie miał teraz wyboru, mógł tylko zawlec ją wbrew jej woli do własnych pokojów. Nie chciał jednak brać jej przemocą.

- Pójdę z tobą - rzekła - bo w tym, co mówisz, było sporo racji. Wzdragam się na myśl, kogo właściwie poślubiłam. Uczyniłam to jednak z własnej woli, głucha na przestrogi rodziny, zwiędzona twoim urokiem, nie wiedząc prawie niczego o tobie. Nie mam dokąd pójść, a zresztą wątpię, czy pozwoliłbyś mi na to, gdybym nawet miała gdzie odejść. Będę zatem twoją żoną, milordzie, pod każdym możliwym względem, i matką twoich dzieci. Ale nie dlatego że ty mi tak nakazujesz, lecz z własnego wyboru. - Ujęła jego rękę i wstała z krzesła.

Pochylił się i dotknął wargami grzbietu jej dłoni. Gdy podniosła głowę, dostrzegł łyzy w jej oczach. Nie chciał myśleć o bolesnej rzeczywistości, która była ich przyczyną.

Kasandrze wydało się, że spała ledwie kilka minut. Ale wyraźne oznaki świtu i chór ptaków za oknem świadczyły o tym, że spała co najmniej kilka godzin.

Łóżko Nigela było wygodniejsze niż jej i przesiąknięte mieszaniną zapachów wody kolońskiej i mydła do golenia, a także jego własnej woni.

Myślała o tym, jak zdradziecko jej ciało odpowiedziało na jego miłosne zabiegi. Spodziewała się, że posiadzie ją gwałtownie, z pasją. Mogłaby wówczas zachować się jak posłuszna żona robiąca dobrą minę do złej gry.

Ale on pieścił ją bardzo delikatnie, a gdy w nią wszedł, poruszał się bez pośpiechu, utrzymując niezakłócony niczym rytm. Podziwiała perfekcję, z jaką panował nad własnym ciałem.

Ona nie potrafiła tak kontrolować swoich odruchów. Jej opór stopniał wobec delikatności i cudownej błogości. Zatraciła się w tej błogości i nawet nie zdawała sobie sprawy, że pojękuje przy każdym oddechu.

Spojrzała na męża i w jednej chwili zrozumiała, dlaczego się obudziła. Nigel rzucał się we śnie, rzęził i jęczał, nękany koszmarem. Dotknęła jego ramienia; było mokre od potu i całe napięte.

Krzyknęła przerażona, gdy jego zeszywniałe, twarde ciało zważyło się na nią, a ręce ścisnęły jej szyję niczym żelazna obręcz. Leżała pod nim bez tchu, otępieła ze strachu. Wreszcie powoli, stopniowo, zaczął się odprężyć. Zsunął się z niej nagle, wstał i podszedł do okna, trzymając się oburącz za głowę. Dokładnie widziała jego poznaczone bliznami plecy i szramę na kostce.

- Precz! - zawołał głosem tak chrapliwym, że ledwo potrafiła go rozpoznać. - Idź stąd!

Usiadła na łóżku. Serce łomotało jej głośno. Czuła szum w uszach, pulsowanie w skroniach i uścisk ją w gardle.

- Precz! - krzyknął ponownie, jeszcze bardziej chrapliwym głosem.

- To tylko sen! - zawołała. - Koszmarny sen, nic więcej!

- Mogłem cię zabić. Nigdy, przenigdy nie próbuj mnie wtedy dotykać, Kasandro. Często mi się to zdarza. Nigdy mnie nie dotykaj, to może być niebezpieczne. Teraz idź, zostaw mnie samego.

Spojrzała na drzwi do swego pokoju. Czuła, że jeśli teraz go opuści, Nigel zmieni swoje wieczorne postanowienie i nie będzie nakłaniał jej do współżycia. Miałaby wówczas dużo więcej



swobody. A skoro dręczą go koszmary, znaczy to tylko tyle, iż istnieje jakaś sprawiedliwość na świecie.

- Nie - zdecydowała - nie pójdę.

Zwrócił ku niej twarz, którą maska złości zmieniała do niepoznaki.

- Z moimi poleceniami się nie dyskutuje. Zwłaszcza z takimi, które mają na uwadze twoje bezpieczeństwo. Zostaw mnie teraz.

- Nie - powtórzyła i przełknęła ślinę w nadziei, że głos przestanie jej drżeć. - Co ci się wtedy śni? Powiedz mi, a na pewno poczujesz ulgę.

Zaśmiał się ochryple.

- Czy sądzisz, że choćby najłagodniejsze z tych wspomnień nadaje się dla twoich uszu? W końcu jesteś kobietą! Ba, nawet damą. No i moją żoną!

- To tylko wspomnienia, to przeszłość. Nie sposób zmienić przeszłości, ale nie można pozwolić, by zyskała przewagę nad terażniejszością. Liczą się tylko terażniejszość i przyszłość, która rozpościera się przed nami niczym niezapisana księga. "Wraca./ do łóżka.

Dziwiło ją, że próbuje go pocieszać. Powinna raczej się cieszyć, że on wciąż jeszcze cierpi i być może nigdy nie przestanie. Zasługiwał na to.

- Jeśli ty nie chcesz mnie zostawić, ja zostawię ciebie - rzekł. - Wybiorę się na konną przejażdżkę. Już świta.

- Wracaj do łóżka - powtórzyła i wyciągnęła ku niemu ramiona.

Widziała jego wahanie, pragnienie, by przyjąć nikłe nawet współczucie.

- Proszę, wróć - szepnęła. Poddała się. Wiedziała o tym. Wiedziała też jednak, że musi dzielić z nim życie aż do śmierci. Mimo woli przypomniała sobie, z jak wielkiej miłości za niego wyszła.

Zamknął oczy i wzdrygnął się gwałtownie.

- Jesteś niemądra. Przyrzeknij mi, że nigdy już mnie nie dotkniesz podczas takiego snu.

- Przyrzekam.

Podszedł, a ona objęła go i przytuliła. Przez długą chwilę siedziała bez ruchu, z policzkiem wspartym na czubku jego głowy, i głaskała jego długie, gęste włosy.

- Liczy się to, co jest teraz - rzekła łagodnie. - Przeszłość minęła. Moja i twoja. Skończyła się raz na zawsze. Została tylko terażniejszość. I przyszłość.

- Cóż ja mam z tobą począć, Kasandro? - spytał.

Nie odpowiedziała. Po kilku minutach zasnął. Patrzyła na niego i zastanawiała się, jak może kochać mężczyznę, który ją podle oszukał i dokonał na jej ojcu zemsty tak okrutnej, że właściwie go zabił.

„Nigdy nie oszukiwałem w grze ani nie ukradłem niczego” - przypomniała sobie jego słowa.

Lepiej byłoby nie wierzyć mu i po prostu pogodzić się z rzeczywistością, nauczyć się z nią żyć.

Chciała jednak wiedzieć więcej. Musiała wiedzieć więcej.

Nigel wyszedł i zanosilo się na to, że nie będzie go kilka godzin. Najpierw miał towarzyszyć lady Beatrycze w drodze do wsi, galopując konno obok jej powozu, a potem jechać znacznie dalej, do domu jednego z dzierżawców, żeby omówić z nim plany drenowania.

Kasandra odczekała prawie pół godziny, chcąc się upewnić, że mąż nie wróci po jakiś zapomniany drobiazg, nim wezwała jego służącego.

William Stubbs stanął tuż przy drzwiach. Sprawiał wrażenie onieśmiałego i niepewnego siebie.

- Dzień dobry, panie Stubbs - powitała go Kasandra.

Pochylił przed nią głowę.

- Dzień dobry, milady - odrzekł i spytał zaniepokojony: - Czy Nigel wyszedł i zapomniał powiedzieć...

- Jaśnie pan mówił mi, dokąd się udaje. Dziękuję panu. - Wstała od sekretarzyka, przy którym właśnie pisała list, i podeszła do Willa. Już się go nie bała, mimo jego przerażającego wyglądu. - Czy był pan więźniem razem z moim mężem?

Spojrzał na nią nieufnie.

- Co on o mnie nagadał?

- Nie rozmawiałam o tym z lordem Wroxleyem. Pytam pana. Czy byliście razem na zesłaniu, panie Stubbs?

- Ano tak - przyznał. - Razem nas skuli. Byliśmy, żeby tak rzec, bliskimi towarzyszami przez siedem lat.

- I zawsze w przyjaźni?

Wykrzywił wargi w grymasie, który, jak przypuszczała, miał być uśmiechem.

- No, nie zawsze, milady. Rok albo i dłużej tośmy byli wrogami na śmierć i życie.

- Czemu?

- Proszę tylko, spojrzeć, milady - rozłożył potężne łapska - na mnie, a potem na niego. Niezgorszego figla nam spłatali, sku-

wając nas do pary. A on gadał, że ze mnie człek... ech, jakie to było słowo, co je wiecznie od niego słyszałem... człek nieo...

- Nieokrzesany? - odpowiedziała mu Kasandra.

- O, to, to. - William znów wykrzywił twarz w czymś, co miało być uśmiechem. - Miałem go za paniczyka, co raz-dwa na ziemię poleci, jak go tylko palcem ruszę. Ale sobie pomyślał, że za łatwo mi z nim pójdzie, żeby to była dobra zabawa.

- No i nie była?

- Myśmy go wszyscy mieli za paniczyka, nawet dozorca. Najbardziej oni. Próbowaliśmy dać mu bobu, ale żaden nie potrafił. Wreszcie rozkuli nas, znaczy się mnie i jego, a ja mu miałem ochotę tak przyłożyć, żeby skamlał o litość. A on mnie ani tknął, tylko w nos mi się śmiał. Słowo daję, milady. Jeszcze się śmiał, kiedy takem mu przywalił, że był o włos od śmierci. A kiedy się ocknął i chciałem mu dać trochę wody, to mi kubek z ręki wyrwał i w twarz nią bluznął. Mogłem go, jak nic, drugi raz trzasnąć, ale już wiedział, że to ktoś jak się patrzy, taki, co się na nim można wzorować. Wszyscyśmy wiedzieli, ale nie dozorca. No i popróbowali go zgnoić.

- Czy pan też ma blizny na plecach?

- Trochę, ale nie aż tyle. Nie dość im było oćwiczyć go, kiedy pracował, jak z nami robili. Wiedzieli, że to dżentelmen, człek kapkę od nich lepszy. No i wtedy dalejże pyskować, że zrobił coś, czego wcale nie zrobił. A potem go przywiązali do pręgierza na trzech nogach i kazali się nam przypatrywać, jak, za pani przeproszeniem, pasy z niego drą. Źle robię, że to mówię, milady. Już on by mi w uszy nakładł, jakby się dowiedział! Nie dali mu rady, ani pisań. I riie skamlał, żeby się nad nim zmiłowali. Tylko się im w twarz zaśmiał, kiedy skończyli i na nowo nas skuli, jego i mnie. śmiał się, póki mógł.

- Panie Stubbs - jej głos przeszedł w szept - czy on był winien?

- Pewnie, że... - Stubbs urwał nagle. - Czy czegoś pani naga- dał, milady? Jego trzeba pytać. Ano, coś tam było między nim a paninym tatką, ale nie wiem co, bo jeszcze go wtenczas nie znałem. Dopiero odkąd nas skuli.

- Dziękuję panu. Dziękuję za to, że zechciał pan ze mną porozmawiać.

Pokiwał łagodnie głową.

- Kocha go pani. Ale nie trzeba się tak martwić. On pani nie ukrzywdzi ani nic złego nigdy nie robi. Stary Stubbs zawsze by panią obronił, ale on lepiej zgo potrafi.

Zesztywniała, słysząc te słowa.

- Bardzo dziękuję, panie Stubbs. To byłoby wszystko.

Nie wyszedł natychmiast z pokoju, jak się spodziewała. Popatrzył na nią niepewnie jedynym zdrowym okiem i przekrzywił głowę na bok.

- Chciałbym o coś prosić, milady, jeśli łaska.

- O co?

- Jedną biedną dziewczynę bardzo źle traktują tam, gdzie jest zatrudniona. Prawie zdycha z głodu i z zimna, a jej pani ją tłucze, choć dziewczucha stara się, jak może. A ci, których obsługuje, tak nią poniewierają, że lepiej nie mówić, milady.

Kasandra spojrzała na niego oczami okrągłymi ze zdumienia.

- Tutaj? - spytała. - Tu, niedaleko Kedleston, tak się ktoś obchodzi z kobietą?

- Podaje piwo w oberży - wyjaśnił William. - Pogadałem już z panią Dorkins, milady, znaczy się z oberżystką. Ale jej jednym uchem wleci, a drugim wyleci. A chłopcy, jak sobie popiją, dobierają się do dziewczyny. Nieźle by jej dopiekli, gdyby stary Will im nosa nie utarł. Chciałbym, żeby ona...

Oczy Kasandry rozbłysły.

- Pani Dorkins niedługo będzie oberżystką, jeśli okaże się, że źle traktuje pracownicę i pozwala klientom nadużywać swobody wobec jej dziewcząt. Czy mówi pan o Sally? Kazałam ją tam zatrudnić, by nie musiała mieszkać razem z ojcem. Bo jej ojciec... - Kasandra zaczerwieniła się po uszy i umilkła.

- Rozumiem - rzekł łagodnie William Stubbs. - Ciekaw byłem tylko, czy pani nie mogłaby przyjąć na posługi jednej dziewczyny więcej, niż koniecznie trzeba, milady. Ochmistrzyni powiedziała mi rano, że miejsca nie ma.

- Pomówię z nią niezwłocznie - obiecała. - Sally znajdzie się w Kedleston jeszcze przed wieczorem.

William znów przekrzywił głowę.

- Zaczna z pani kobita, milady, pocziwa i niewinna. Mówiłem Nigelowi, żeby panią należycie traktował i chronił przed złym światem. Ale pani, milady, już coś niecoś o złym świecie wie i próbuje chronić słabszych od siebie. Szczęściarz z tego Nigela.

Kasandra była zbyt zaskoczona, żeby udzielić mu należytej reprimendy za podobne impertynencje. Spytała tylko:

- Panie Stubbs, czemu troszczy się pan o Sally?

Przez chwilę znów budził w niej lęk. Wydał się jej niebezpiecznym, złym człowiekiem, choć jedyną tego oznaką było zacisnięcie pięści.

- Uczciwe pytanie - przyznał po chwili. - Miałem kiedyś siostrę. Umarła i z poniewierki, i z choroby, ledwie czternastoletnia. Nie mogłem temu zaradzić. Był ze mnie wtenczas ośmioletni szkrab. Ale Sally potrafię pomóc. Obiecałem jej, że ją ochronię, i zrobię to.

Kasandra uśmiechnęła się do niego. Trudno było uwierzyć, że odbyła podobną rozmowę z osobliwym służącym męża, przestępcą i zesłańcem. Jeszcze trudniej było zrozumieć, że mu uwierzyła.

- Sally niedługo będzie całkiem bezpieczna. Dziękuję, panie Stubbs. To wszystko.

Wyszedł, złożyłszy jej kolejny niezgrabny ukłon.

Doprawdy, świat jest pełen zła, pomyślała. Niespełna rok temu cieszyła się, że udało się jej uchronić Sally przed okropnym losem. Zawsze sądziła, że pani Dorkins jest pracodawczynią wymagającą, lecz uczciwą. Jeśli jednak Stubbs miał słuszność - a nie wątpiła o tym - ta kobieta pozwalała swoim klientom na molestowanie Sally. Wzdrygnęła się ze wstrętem.

Nawet stróżom i przedstawicielom prawa nie można było ufać. Nigela bestialsko wychłostano, tylko dlatego że jego maniery dżentelmena rozjuszyły dozorców.

A William Stubbs wyraźnie sugerował, że jej mąż nie jest winien tego, o co go oskarżono.

Nie wiedział, rzecz jasna, dużo więcej od niej. Sam przecież przyznał, że nie znał wcześniej Nigela.

„Nigdy nie oszukiwałem w grze ani niczego nie ukradłem”.

Nie mogła zapomnieć tych słów, chociaż nie zdołał jej przekonać o ich prawdziwości.

A jeśli jest niewinny...

Co się w takim razie zdarzyło? Co się zdarzyło, zanim go aresztowano i zesłano? Co się zdarzyło po jego powrocie z kolonii?

Muszę wiedzieć więcej, uznała. Wypytywanie Nigela nie miało jednak sensu. Musiała dojść do prawdy w inny sposób.

Na razie należało jednak ratować Sally. Kasandra sięgnęła po sznur od dzwonka, żeby wezwać ochmistrzynię.

## ROZDZIAŁ 20

Nigel nigdy nie spodziewał się czegoś tak banalnego, jak długie, szczęśliwe życie. Marzył tylko o spokoju, bezpieczeństwie i zadowoleniu, i udało mu się to osiągnąć.

Czegoś mu jednak brakowało.

Pozornie wszystko udało się znakomicie. Ulepszenia na farmach, jakie uzgodnili z Kasandrą, zostały wprowadzone. Odnawianie dworu rozpoczęto jeszcze przed nadejściem zimy. Sąsiedzi okazali się życzliwi, lubili ich odwiedzać i przyjmowali rewizyty. Lady Beatrycze zawsze miała coś ciekawego do powiedzenia. Lady Matylda szczerze ich lubiła. Patience była czarująca, zrównoważona, a Robin Barr-Hampton na dobre powrócił do swych włości.

Will Stubbs nie zamierzał czmychnąć cichaczem do Londynu, chociaż jego zaloty do pani Dorkins utknęły w martwym punkcie. Wdowa zamierzała sprzedać oberżę i przenieść się do pobliskiej wsi, by tam prowadzić dom zamożnemu bratu - tak przynajmniej twierdziła, pragnąc zachować pozory godności. W Kedleston pojawiła się nieoczekiwanie nowa pomywaczka.

Nigel nie bez rozbawienia śledził przeistaczanie się Willa Stubbsa z nieokrzesanego, groźnego draba w statecznego mężczyznę. Najwyraźniej zawsze pragnął spokoju i stabilizacji, lecz okoliczności życiowe nie pozwoliły, by ujawnił swe cnoty.

W londyńskich dzielnicach nędzy mógł bowiem przeżyć tylko ktoś bezlitosny i niecofający się przed niczym. Teraz jednak Will był przyjacielem wielmożnego pana, oddanym sługą, obrońcą pokrzywdzonej, sponiewieranej służebnej, a w dalszej perspektywie - szynkarzem. Zamierzał samodzielnie prowadzić oberżę.

A Kasandrą?

Wydawało się, że kipi energią i jest niemal tak samo szczęśliwa jak w dniu swych dwudziestych pierwszych urodzin. Prowadziła dom z biegłością doświadczonej gospodyni. Służbę traktowała uprzejmie i wyrozumiale, sąsiadów przyjaźnie i z wdziękiem, ciotki i kuzynkę ze szczerym oddaniem. Gdy Nigel naradzał się z nią w sprawie majątku, z miejsca rozstrzygała odpowiednią kwestię rozsądnie i ze zrozumieniem. Pragnęła, jak w końcu pojął, kontynuować narzuconą samej sobie edukację. Chciała dowiedzieć się wszystkiego o zarządzaniu posiadłością, która już do niej nie należała.

Nie zapraszała go do swoich pokojów, ale każdej nocy przychodziła do niego i z chęcią brała udział w tym, co wspólnie tam robili. Nigdy też nie protestowała, nawet biernie, przeciw temu, by brał ją drugi czy trzeci raz tej samej nocy. Niejednokrotnie jej obecność pomagała mu uporać się z koszmarami. Wyrobił w sobie nawyk budzenia się, nim zdołały na dobre wciągnąć go w mroczną głąbieć.

Dawała mu energię, ciepło, pociechę. I nigdy nie pytała go o przeszłość. Czasami miał ochotę powiedzieć jej wszystko. Gdyby znów zaczęła go wypytywać, zapewne zrobiłby to. A może nie. I tak by mu nie uwierzyła. Kochała ojca, gdyby więc wyjawiał jej prawdę i nazwał go kłamcą, mogłoby to zagrozić ich związkowi.

Lepiej było dać temu spokój. Zapomnieć i nie wracać do przeszłości.

Jego plany się powiodły: osiągnął spokój, bezpieczeństwo, zadowolenie i mógł się nimi cieszyć do końca życia. Pozornie wszystko udało się znakomicie.

Czegoś jednak brakowało.

Kassandra czuła, że postąpiła samolubnie, wysyłając Robina z powrotem do Londynu. Wiedziała, że niepotrzebnie się oskarża. Gdyby nawet powiedziała „nie”, i tak by pojechał. Ale powiedziała „tak”. Rozpaczliwie pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej.

Teraz, po kilku tygodniach, nie czuła już tak przemożnego pragnienia. Wciąż chciała wiedzieć, lecz była przekonana, iż wcześniej czy później Nigel i tak jej wszystko powie. A zdecydowała się działać za jego plecami, co zakrawało na nielojalność.

Tak, nielojalność.

Kochała go. Powinna gardzić sobą za to, że pokochała mężczyznę, który zniszczył ojcu i jej życie. Który spędził siedem lat w kolonii karnej, knując zemstę. Kogoś, kto oszukał ją, zwiódł i nie chciał wyjawić swoich sekretów.

Ale miłość, jak się przekonała, nie ma wiele wspólnego z rozsądkiem.

Gdyby Nigel nie wyjawiał jej prawdy, kochałaby go tak samo jak w dniu ślubu. Albo jeszcze bardziej. Starał się przecież poważnie traktować obowiązki dotyczące posiadłości i respektował obowiązki towarzyskie, które ktoś nienawykły do życia na wsi mógłby uważać za nudne. Był bardzo lubiany. Nawet ciotka Beatrycze nabrała o nim lepszego mniemania i mówiła teraz Kassandra, iż to młodzieniec z głową na karku, choć zbyt wiele uwagi poświęca swemu wyglądowi.

Gdyby mogła zapomnieć o jego przeszłości i zignorować otaczającą go tajemniczość, może znalazłaby szczęście. Okazał się ciekawym towarzyszem życia i wspaniałym kochankiem. A jego strój i maniery, choć nieco zbyt wykwintne jak na tutejsze zwyczaje, były przecież niezwykle pociągające. Już na sam jego widok

serce zaczynało jej bić szybciej. Już sam dźwięk jego głosu sprawiał, że zapierało jej dech w piersiach.

Czasami gardziła sobą. Czyż miała tak mało charakteru, że byle zręczny łajdak mógł ją omotać? A może raczej okazała się na tyle trzeźwa, by zrozumieć, że życie trwa długo, ludzie zaś z wiekiem dojrzewają i czasami zmieniają się nie do poznania? Był w końcu jej mężem, stanie się ojcem jej dzieci. Czuła bowiem, że znajdzie się w odmiennym stanie, nim upłynie dwadzieścia miesięcy ich małżeństwa.

Bezustannie wypatrywała na drodze powozu Robina, choć nie była pewna, czy zajechałby prosto do Kedleston, czy raczej do wdowiego domu.

Wreszcie się zjawił. Przyszedł do Kedleston z Patience, akurat gdy Kasandra z ciotką Beatrycze zabawiały rozmową przybyłe z wizytą damy. Nigel również był w salonie i czarował wszystkich obecnych, co zawsze przychodziło mu z łatwością. Ze zdumieniem spojrzął na Robina, kiedy ten wszedł do salonu za Patience. Robin uśmiechał się, lecz nie wyglądał na rozbawionego. Patience zaś nie kryła radości.

- Och, Robinie! - Kasandra przebiegła przez pokój i uściśnęła kuzynowi rękę, podczas gdy Nigel ucałował dłoń Patience i posadził dziewczynę obok lady Beatrycze. - Wspaniale znowu cię widzieć. Zupełnie jakbyś mieszkał w bliskim sąsiedztwie. Widziałeś się już z matką i stryjem Cyrusem? Jakże się miewają?

- Jeszcze się z nimi nie widziałem, Kasandro - odrzekł poważnym tonem. - Przyjechałem najpierw do wdowiego domu. Chciałem zobaczyć, jak się wiedzie ciotce Matyldzie i Patience.

Przywitał pozostałe damy, zgodził się wypić filiżankę herbaty, a potem uprzejmie rozmawiał o pogodzie i zdrowiu starych znajomych.

- Na moją duszę, to godne podziwu - odezwał się Nigel, obracając w palcach uchwyt binokli i patrząc przeciągle na Patience - ileż oddania może okazać daleki kuzyn. Przepraszam - przyrodni kuzyn, rzecz jasna.

Patience poczerwieniała i zaczęła się wpatrywać w swoją filiżankę.

Po kilkunastu minutach część gości pożegnała się i Kasandra mogła wreszcie wyjść z Robinem na spacer do ogrodu. Dwie pozostałe damy gawędziły nadal z Nigelem i lady Beatrycze.

- No i co? - spytała. Miała przygnębiające wrażenie, że sytuacja się powtarza. Identyczne pytanie zadała Robinowi ostatnio,



gdy pędem przybiegła do wdowiego domu. Obyż tym razem nie przywiózł równie złych wieści.

- Przykro mi, Kasandro - rzekł. - Nie mam dla ciebie dobrych wiadomości.

Serce podeszło jej do gardła. Przymknęła oczy. Co teraz począć? Rzucić w twarz Nigelowi, że oszustwem pozbawił ojca majątku? Odwołać się do wymiaru sprawiedliwości, by odzyskać swoją własność? Ale to oznaczałoby kolejny proces; Czy Nigela znów uznają za winnego i skazą na zesłanie? Czy oszustwo równa się kradzieży? Czy jest przestępstwem zagrożonym karą śmierci? Czy można powiesić kogoś, kto ma tytuł wicehrabiego?

Nie chciała znać odpowiedzi na te pytania. Bała się ich.

- Czy on cię źle traktował, Kasandro? - spytał Robin. - Może cię bił? Jeśli nie, chyba nie będzie można ci pomóc. A ja tak bardzo chcę coś dla ciebie zrobić!

Dopiero po chwili dotarła do niej treść jego słów.

- Nie możesz mi pomóc? Co to znaczy? Nie ma sposobu, żeby zwrócić się do władz?

- Obawiam się, że nie. - Pokiwał głową ze smutkiem, jakby chciał ją przeprosić.

- Co właściwie odkryłeś? - zapytała.

- Nic. Nic poza tym, co wiedziałem już wcześniej. Nikt nie chce przyznać, że Wroxley oszukiwał w tej drugiej rozgrywce. Jeden ze świadków - baronet, Kasandro, człowiek godny szacunku - tak się zirytował, iż drugi raz pytam go o to samo, że w końcu postanowił napisać do ciebie list. - Sięgnął do kieszeni surduta. - A ten prawnik, Croft, potwierdził, że transfer własności nastąpił zgodnie z prawem. Kedleston należy do Wroxleya. Wuj wszystko podpisał.

- A więc Nigel nie oszukiwał? - Kasandra puściła ramię kuzyna i znieruchomiała. - A więc to była uczciwa gra? Po prostu papa przyjął nierozważny zakład i przegrał? - Przygryzła dolną wargę. Nie dostrzegała już Robina, który stał ledwie metr od niej.

- Tak mi przykro, Kasandro - rzekł cicho. - Proszę, nie płacz. Nie wyobrażasz sobie, jak ja się czuję. Zupełnie jakbym cię opuścił w nieszczęściu. Wciąż nie wiem, czemu wuj zgodził się ponownie zasiąść do gry z Wroxleyem. Grali tylko oni dwaj, ale w pokoju pełnym ludzi. To była jedna z prywatnych rezydencji.

Nie zamierzała zaprzętać sobie głowy tą kwestią. Nie teraz. A więc to była uczciwa gra. Papa przegrał, a Nigel wygrał. Oczywiście zdołał w jakiś sposób namówić papę, żeby znów z nim zagrał, wyłącznie z chęci zemsty. Zrobił to jednak, nie uciekając

się do oszustwa. Równie dobrze mógł wygrać papa. Zastanowiła się, co właściwie miało być jego wygraną.

- Bardzo mi przykro, Kasandro. - W głosie Robina dźwięczało szczere współczucie. - Wyzwałbym tego łotra na pojedynek, gdybym tylko miał do tego prawo. Ale cóż, nie mam. On zaś ma prawo zrobić z tobą, co zechce. Oby tylko dobrze cię traktował. Oby cię nie bił.

Kasandra wyjęła z kieszonki przy talii chusteczkę i otarła łzy.

- Nigdy mnie nawet nie tknął, Robinie, i nigdy tego nie zrobi. Traktuje mnie dobrze. A płaczę z radości. Tak się bałam, że przywiesz wieści, które mnie zmuszą do wystąpienia przeciw niemu. Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnęłam, byś przywiózł właśnie takie nowiny, jakie mi oznajmiłeś.

- To ty go kochasz, Kasandro? Wiedząc, kim jest?

- Jest moim mężem.

Robin gwałtownie zaczerpnął powietrza i westchnął głośno.

- Dziewięć lat temu dopuścił się oszustwa i kradzieży. Został za to skazany i siedem lat spędził pośród złoczyńców. Taka kara czyni ludzi brutalnymi, a nie zmienia ich na lepsze. Potem w jakiś sposób zmusił wuja do ponownej gry. I choć nie ma na to dowodów, wciąż uważam, że jednak oszukiwał.

- Nie obchodzi mnie, co się stało dziewięć lat temu. Ale bardzo mnie obchodzi następnych siedem lat, bo on do dziś za nie pokutuje. Nękają go koszmary. Nie wiem, jak namówił papę do kolejnej gry, ale chcę wierzyć, że tym razem grał uczciwie. I wcale nie jest brutalny. Ani on, ani pan Stubbs.

- Jaki Stubbs?

- Nieważne. - Wytarła nos i schowała chusteczkę. Nagle przypomniała sobie o czymś. - Mówiłeś, że masz dla mnie list?

Wyciągnął go z kieszeni i podał Kasandrze.

- Ciotka Matylda prosiła, żebym został jeszcze trzy dni - rzekł. - Potem wracam do domu. Chciałbym, aby to, co mówisz o Wroxleyu, było prawdą. Chciałbym wierzyć, że się poprawił. Niewiele zdołam ci pomóc, jeśli jest inaczej. Gdybyś mnie jednak potrzebowała...

Uśmiechnęła się i wspiąwszy się na palce, ucałowała go w policzek.

- Nie będę cię potrzebować. Nie będę już dłużej dla ciebie brzemieniem, kochany kuzynie. Przestań obarczać się troską o losy swoich bliskich. Pomyśl o własnym szczęściu. Mam nadzieję, że wkrótce się ożenisz i zaznasz ciepła domowego ogniska.

- Ależ ja nawet nie myślę o małżeństwie.

- Czy nie ma osoby, która kazałaby ci zmienić zdanie?

Roześmiał się.

- A któż by to mógł być? Nigdzie nie zdołałem zagrzać miejsca na dłużej. Upłynie jeszcze ładnych parę lat, nim zacznę myśleć o sobie jak o kandydacie do ożenku.

Biedna Patience! - pomyślała Kasandra. Wiedziała jednak, że gdyby spróbowała zabawić się w swatkę, przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku. Milczała więc.

- Zostawiam cię teraz, żebyś mogła spokojnie przeczytać list - rzekł Robin. - Już czas, bym odprowadził do domu Patience. Przystęj wiosny wyjedzie do Londynu. Skorzysta na tym, wyrosła na ładną pannę. Zauważyłaś, prawda? Mam nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto doceni jej łagodność i czułe serce. Płakała, kiedy wyjeżdżałem dwa tygodnie temu, płakała też, gdy dziś wróciłem. Jakaż ona wrażliwa!

- Jest do ciebie bardzo przywiązana.

Skinął głową.

- A, jeszcze coś - zmarszczył brwi. - O mało nie zapomniałem. Croft twierdzi, że musi się z tobą widzieć, i to jak najszybciej - Spytał mnie, kiedy zmarł wuj, i bardzo się zaniepokoił, gdy odpowiedziałem, że przed ponad rokiem. Kiedy powiedziałem, iż nie wybierasz się do Londynu, uznał, że w takim razie on musi zjawić się w Kedleston. Nie chciał wyjaśnić, o co chodzi. Pewnie wkrótce przyjedzie i sam ci wszystko powie. Zapewnił jednak, że transfer własności ziemskiej był legalny. Nie robiłbym więc sobie zbyt wielu nadziei na twoim miejscu. - Spojrzał na nią badawczo. - Chyba i ty nie spodziewasz się wiele?

- Nie.

Skinął głową i poszedł w stronę domu. Została sama z listem i mnóstwem pytań.

Dlaczego prawnik ojca - w dodatku ten, który zwykle prowadził jego interesy - pragnie z nią mówić tak pilnie, że pofatyguje się do hrabstwa Somerset aż z Londynu? Czy nie wystarczyłby zwykły list? Mógł go jej przecież przesłać przez Robina.

Złamała pieczęć i rozłożyła kartę pergaminu.

*Sir Isaac Snow pragnie powiadomić wicehrabinę Wroxley, hrabinę Worthing, że asystował przy partii kart, w której zmarły hrabia Worth grał z wicehrabią Wraxieyem o swój majątek i przegrał. Sir Isaac był jednym z sześciu mężczyzn, których hrabia wybrał, by jako przyjaciele poręczyli za uczciwość jego gry. Wicehrabia Wroxley miał tyle samo ludzi po swojej stronie, aczkolwiek sir Isaac nie może zapewnić, czy wszyscy byli dżentelmenami.*

Może natomiast zaręczyć, iż gra od początku do końca była uczciwa. Sir Isaac zna się co nieco na kartach i na wszelkich sztuczkiach, dzięki którym można zyskać nieuczciwą przewagę. Przyniósł karty własnoręcznie, był też ostatnim człowiekiem, który obejrzał je przed rozpoczęciem gry. Zapewnia więc, że nie doszło do żadnego oszustwa. Stawką, jak się wcześniej umówiono, był Kedleston Worthinga przeciw obietnicy Wroxleya, iż w razie przegranej opuści Brytanię dwa dni po grze i nigdy już nie będzie się nawet porozumiewał z żadnym mieszkańcem wysp.

Wicehrabia Wroxley wygrał uczciwie. Wygraną przejął zgodnie z prawem dwa dni później. Sir Isaac wraz ze zmarłym hrabią Worthingiem poświadczyli transakcję.

Sir Isaac ma nadzieję, iż list jego zadowoli hrabinę względem wyjaśnienia okoliczności, które przywiodły jej ojca i męża do fatalnej rywalizacji. Ma też nadzieję, że nie będzie go więcej niepokoił wizytami wielce natarczywy pan Barr-Hampton, i pozostaje oddanym sługą-

Kasandra złożyła list i przycisnęła go do ust. A więc żadnego oszustwa nie było. Ojciec wybrał sir Isaaca na jednego z sześciu świadków, gdyż ten świetnie zna wszystkie karciane sztuczki. Gdyby istniała najmniejsza choćby możliwość machinacji, natychmiast by to zauważył. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Nigel nie oszukiwał.

Pozostawała sprawa wydarzeń sprzed dziewięciu lat. Dowody były przytłaczające. Znaczone karty i skradzioną własność znaleziono w pokojach Nigela. Skazano go więc i zesłano. Ale za drugim razem nie oszukiwał ani nie kradł.

„Nigdy nie oszukiwałem w grze ani niczego nie ukradłem” - przypomniała sobie jego słowa.

Czy zdawał sobie sprawę, iż ona wie, że skradzione rzeczy odkryto w jego mieszkaniu? Podobny dowód nie mógł być fałszywy. A jednak musiał być...

Usłyszała czyjeś kroki.

Stał na końcu ścieżki, przy tej samej ogrodowej terasie co ona. Jak zwykle elegancki i tajemniczy. Patrzył na nią spod przykniętych powiek, ale spojrzenie to, jak wiedziała, wcale nie oznaczało znużenia. Łączył rezerwę z przenikliwością. Cały był zagadką, paradoksem.

Czasami myślała, że zna go bardzo dobrze. W końcu był jej mężem.

Niekiedy zaś miała pewność, że nie zna go wcale, że jest wręcz przerażająco obcy.

Wsunęła list do kieszonki przy talii, obok wilgotnej chusteczki do nosa.

Robin odprowadził Patience do domu, a lady Beatrycze żegnała ostatnich gości. Nigel wyszedł szukać Kasandry. Stała samotnie pośrodku ogrodu, za salą balową. Gdy go dostrzegła, ukryła coś w fałdach sukni. Podszedł do niej.

- Zdaje mi się, że Barr-Hampton wreszcie zaczyna zalecać się do Patience - rzekł. - Chyba dla niej tu wrócił. Jak myślisz?

- Tak, pewnie tak - odparła.

Spojrzał jej w oczy.

- Dlaczego wrócił? - spytał.

- Czuje się odpowiedzialny za ciotkę Matyldę i za Patience.

- Kasandro. - Dotknął kciukiem jej warg. - Dlaczego on wrócił?

- Nie oszukiwałeś - szepnęła i zamknęła oczy. - Dostałam list od jednego ze świadków. Nie oszukiwałeś. - Popatrzyła na niego. - Jak go zdołałeś namówić, żeby znów z tobą zagrał, i to o taką stawkę?

Nabrał tchu, nim odpowiedział.

- Alternatywa, wobec której go postawiłem, była dla niego bardzo nieatrakcyjna.

- Nieatrakcyjna. - Spojrzała na niego półprzymkniętymi oczami. - Groziłeś mu?

Chciał uczynić z Worthingiem dokładnie to samo, co Worthing zrobił kiedyś z nim. Napędził mu też nielicznego strachu obecnością bandy obwiesiów, którymi się otoczył dzięki staraniom Willa Stubbsa. Czy pozwoliłby sobie na groźby, gdyby Worthing nie zechciał odwołać swego blefu? Nie był pewien, lecz myślał, że jednak by to zrobił. Wspomnienie tego, co przeszedł, wciąż było żywe. Nadal czasem utykał, mimo że nie miał już na nogach kajdan ani łańcucha.

- Przyjął moje wyzwanie.

- Czy naprawdę wyjechałbyś na zawsze w razie przegranej?

- Tak. Ale nie miałem zamiaru przegrywać, Kasandro. Zawsze okazywałem niezwykłą zręczność w grze. Odczekałem prawie rok po powrocie z kolonii, nim rzuciłem mu to wyzwanie. Chciałem znów nabrać zręczności. W ciągu roku wygrałem istną fortunę.

- Czy rzuciłeś wyzwanie także tym innym ludziom, których okradłeś dziewięć lat temu?

- Tylko Worthingowi. Tylko twemu ojcu.

- Dlaczego? - Patrzyła mu nieustępliwie w oczy.

Nie mogę jej dłużej oszczędzać, pomyślał. Nie ma sensu ukrywać prawdy.

- Nigdy w życiu nie oszukiwałem przy grze ani nie kradłem. Ktoś podrzucił do mojego pokoju znaczony karty i kosztowności, które różni ludzie wygrali tego samego wieczoru, gdy grałem z twoim ojcem i wygrałem od niego znaczną sumę. Czy sądzisz, że zostawiłbym dowody przestępstwa w miejscu, które musiano przeszukać jako pierwsze? Jednak nikt podczas mego procesu nie chciał dostrzec logiki tego argumentu. To był spisek, Kasandro.

Na jej twarzy, dotąd spokojnej, niemal chłodnej, widniała teraz rozpacz. Założył ręce za plecy i patrzył na nią spod przymrużonych powiek.

- Czemu sądziłeś, że to papa jest winien?

- Bo tylko on mnie oskarżył. I udawał, że mnie nie zna. I pozostał głuchy na moje błagania o pomoc, kiedy mnie pojmano i zawleczono do więzienia. A był moim przyjacielem - tak przynajmniej sądziłem. Zastawił na mnie pułapkę.

- Ale dlaczego? Przecież byłeś wtedy chłopcem, Nigelu! Mógłbyś być jego synem. Dlaczego miałby postąpić z tobą tak podle? Powiedz mi!

Właśnie tego nigdy nie zrozumiał. Nie potrafił doszukać się motywu na tyle potężnego, by mógł pociągnąć za sobą podobną zdradę.

- Zapewne dlatego że wygrałem od niego ponad dwa tysiące funtów.

- Czyż oskarżyłby cię fałszywie z powodu dwóch tysięcy funtów? Nie. Papa by tego nie zrobił. Papa... on był moim ojcem. Ja go kochałam.

- Możesz uwierzyć ojcu albo mnie - rzekł przez zaciśnięte gardło. - To twoje pytania i zabiegi sprawiły, że stoisz przed nieuniknionym wyborem. Powinnaś zostawić przeszłość w spokoju i zająć się czymś, co byłoby pożyteczne w terażniejszości. Nie obszedłem się z tobą okrutnie, a dzięki małżeństwu możesz nadal pozostawać w domu i wieść życie, do jakiego przywykłaś. Z własnej winy uwikłałaś się w ten koszmar.

- Owszem - powiedziała, unosząc podbródek. - A ty ułatwiłeś mi wybór, milordzie. Kochałam mego ojca, ciebie zaś nie kocham. Powinnam ufać własnemu sercu. I tak właśnie uczynię. Nie wierzę, by papa mógł tak się z tobą obejść.

- Rozumiem, milady. - Złożył jej obojętny ukłon i samotnie wrócił na taras.

Przywykł być sam, zawsze sam, z odrętwiałym, zimnym jak lód sercem. Po koszmarze procesu i wyroku - gorszym niż koszmar senny, bo wiedział, że nie można się z niego przebudzić - po przerażającym odkryciu, iż nie ma przyjaciół, sojuszników ani nawet obrońców w tym nowym życiu, na które go skazano, nawet obrońców w postaci strażników, próbował tylko przeżyć i pozostać przy zdrowych zmysłach dzięki jednemu sposobowi, jaki zdołał wymyślić. Nie był na tyle silny fizycznie, by powalić w walce współwięźniów czy dozorców. Starał się więc wyrobić w sobie poczucie mentalnej i emocjonalnej wyższości, śmiejąc się - w dosłownym sensie - z tego, co mogli mu uczynić najgorszego. Postawa taka pogarszała jego położenie, lecz warto było dla niej narazić się na dodatkowe kopniaki i chłostę. Albowiem jego zamiar się powiódł, choć dopiero po pewnym czasie.

Pozostał jednak samotny, mimo iż skuty z innymi ludzkimi istotami i wystawiony na ich spojrzenia. Nawet przyjaźń Willa - choć cenna - nie zmieniła tego.

Tylko Kasandrze udało się przebić przez ten pancierz osamotnienia i znaleźć drogę do jego serca. Nie bronił się przed tym, bo aż dotąd nie zdawał sobie sprawy, co się z nim stało. Zbudował w sobie mur przeciw przemocy i nienawiści. Nigdy jednak nie uzbroił się przeciw serdeczności i współczuciu.

Gdy okazała mu jedno i drugie, wpadł w zupełnie nową pułapkę.

Dała wiarę ojcu, nie jemu. Kochała ojca, nie jego. Przedłożyła zmarłego ojca nad żywego męża.

Czuł, jakby się rozpadał na tysiące kawałków. Musiał znaleźć jakieś miejsce, w którym mógłby je znów poskładać w całość.

Szedł, aż stanął przed frontowymi drzwiami. Minął je jednak, przemierzył ogród różany i pobiegł w dół, przeskakując z kamienia na kamień. Gdy dotarł na polanę, rozebrał się i nagi zanurzył w sadzawce.

## ROZDZIAŁ 21

Kasandra wierzyła Nigelowi, ale wierzyła też ojcu. Nie mógł przecież zrobić czegoś takiego, a jeśli zrobił, to nie bez ważnych powodów. Niemożliwe, by okrutnie i podstępnie obszedł się z nowo poznanym przyjacielem - człowiekiem tak młodym, że mógłby

być jego synem - tylko z powodu dwóch tysięcy funtów. Ojciec wydawał wprawdzie niemało, ale był bardzo bogaty. Utrata dwóch tysięcy funtów nie uczyniłaby z niego bankruta.

Chciała, by Nigel pomógł jej rozwikłać ten problem. On jednak niczego nie wyjaśnił i po prostu kazał jej wybierać. Podjęła decyzję bez zastanowienia i tym samym głęboko zraniła męża.

Odszedł bez słowa i nie pojawił się nawet na obiedzie, który zjadła tylko z ciotką Beatrycze. Wrócił wieczorem, ale zamknął się w bibliotece, zamiast przyjść do salonu. Czekwała, aż zaprosi ją do swej sypialni.

Ani jej nie zaprosił, ani też nie zażądał, by przyszła.

Następnego dnia, choć z pozoru zachowywał się jak zwykle i żaden obserwator z zewnątrz nie zauważyłby różnicy, był zimny jak marmur. Albo jak granit. Jak coś najtwardszego i zarazem najchłodniejszego. Dziwna rzecz: wydał się Kasandrze jeszcze bardziej przystojny, elegancki, bardziej czarujący. Jednakże jakaś część o zasadniczym znaczeniu, część, która była wręcz nim samym, znikła bez śladu. Rozwiąła się w pustce lub skryła gdzieś w głębi.

Wykreślił ją ze swego życia. Łatwo mu to poszło. Nie był tak niemądry jak ona. Nie mylił przyjaznych stosunków i seksualnej przyjemności z głębszym uczuciem zwanym miłością. Lepiej by zrobiła, odwołując się do przekonania, żywionego jeszcze niedawno: że nie ma czegoś takiego jak romantyczna miłość.

Wszak jej uczucia względem niego, z wyjątkiem kilku dni przed i po ślubie, trudno było uznać za romantyczne. Nie zasługiwały na tę nazwę.

Utraciła go. Utraciła również ojca.

Wolałaby teraz, by ciekawość nie skłoniła jej do nadania biegu wypadkom. O wiele lepiej byłoby zgodzić się na terażniejszość, obojętne jąką, i zostawić przeszłość w spokoju.

Czy jednak na pewno?

Pan Herbert Croft przybył do Kedleston następnego dnia późnym rankiem. Kasandra i Nigel rozmawiali właśnie o rozpoczętej już naprawie domostw wyrobników. Prawnik niespodziewanie wszedł do pokoju poprzedzany przez kamerdynera, który zaanonsował jego przybycie.

- Pan Croft? - Nigel odpowiedział na ukłon przybyłego. - Och, co za miła niespodzianka.

Był, jak się zdawało Kasandrze, arogancki i obojętny, lecz zarazem niezwykle czujny.



- Panie Croft - rzekła - miło mi pana poznać. Jak rozumiem, był pan prawnikiem mojego ojca?

- Owszem, miałem ten zaszczyt, milady. Chciałbym pomówić z panią na osobności o pewnej ważnej sprawie.

Nigel uśmiechnął się z ledwie dostrzegalną ironią i uniósł lornion do oczu.

- Zaprowadzę jaśnie panią do szkarłatnego salonu i wezwę jej służącą - oznajmił. - Tam będzie pan mógł rozmawiać z nią w cztery oczy ile dusza zapagnie, panie Croft. Czy zechce pan dotrzymać nam towarzystwa przy obiedzie i pozostać w Kedleston przynajmniej do jutra?

- Serdecznie zapraszam. - Kasandra uśmiechnęła się do gościa.

- Chciałbym później zasięgnąć pańskiej rady, jeśli można... na osobności - rzekł Nigel i wyciągnął rękę, by ująć dłoń żony.

Kasandra głowiła się przez ostatnie dwa dni, jaka to ważna sprawa każe prawnikowi ojca przyjeżdżać do niej aż z Londynu. Czyżby nastąpiła jakaś nieprawidłowość przy przeniesieniu prawa własności Kedleston na Nigela? Robin zapewniała ją jednak, że wszystko załatwiono zgodnie z prawem. Ale o co innego mogło chodzić?

- Słucham pana - powiedziała, gdy zostali sami - nie licząc służebnej, która dyskretnie siedziała w najciemniejszym kącie pokoju. - Co mogę dla pana zrobić?

Croft odchrząknął.

- Wypełniam osobliwe polecenie, milady, w dodatku z opóźnieniem, za co najpokorniej przepraszam. Główny kancelista, który pracował u mnie i mego ojca przez lat niemal czterdzieści, zmarł nagle sześć miesięcy temu, jego następcą nie potrafi jeszcze należycie wspomagać mojej pamięci w kwestiach, którymi nie zajmuję się na co dzień.

Kasandra zmarszczyła brwi na znak, że oczekuje dalszych wyjaśnień.

- Winienem być odbyć tę rozmowę dokładnie w rok po śmierci nieodżałowanego hrabiego Worthinga, pani ojca - ciągnął Croft. - Wiem, że dwumiesięczna zwłoka z mojej strony jest czymś niewybaczalnym, proszę jednak mnie zrozumieć, milady - dodał niezbyt logicznie.

- Oczywiście. Mój ojciec zostawił coś panu, prawda? Coś, czego nie mógł powierzyć zwykłemu prawnikowi?

- Nie, wcale nie jego lordowska mość. - Croft sięgnął do przepastnej kieszeni nie najlepiej leżącego na nim surduta i wyjął

plaski pakiet. - A także nie mnie. Zostawił to dziadek jasnie pani hrabiny. Nie, myślę się - dziadek jego lordowskiej mości. Zatem pani pradziadek, milady.

Kasandra znów zmarszczyła brwi, lecz po chwili głośno się roześmiała.

- Czy mam przez to rozumieć, że mój pradziadek zostawił ten pakiet pana dziadkowi z poleceniem, żeby trafił do moich rąk w rok po śmierci mego ojca? To dość dziwna historia.

- Nie jest tak prosta, milady - sapnął pan Croft, wyjmując wielką chustkę do nosa z tej samej kieszeni, z której przedtem wydobył pakiet, i ocierając nią spocone czoło. - Choć zgadzam się z panią, że historia wygląda dość niezwykle, nie mnie o tym sądzić. Mam jedynie przekazać pewne wskazówki.

Kasandra czekała na dalszy ciąg.

- Hrabia Worthing, pani pradziadek - rzekł prawnik, chowając chustkę - powierzył memu dziadkowi trzy takie same paczuszki, milady. Pierwszą miał dostać jego syn, a pani dziadek, w rok po jego śmierci. My zaś mieliśmy pouczyć jego lordowską mość, iż może on postąpić zgodnie z wiadomością, jaką znajdzie w środku, albo tego poniechać, zależnie od sumienia. Musiał jednakże wiedzieć, iż zniszczenie pakietu nie rozwiąże kwestii, istniały bowiem trzy takie same pakunki, które winny były, zgodnie z poleceniami pani pradziadka, trafić do jego syna w rok po jego śmierci, a potem do syna tegoż syna. To znaczy do pani, milady, skoro nie narodził się syn, lecz córka, dziedziczka tytułu.

Jakiż dziwny pomysł miał mój pradziadek, pomyślała Kasandra, zerkając na pakiet. Prawnik wciąż jeszcze trzymał go w ręce.

- Ten pakiet miał trafić do każdego z kolejnych hrabiów w ciągu trzech generacji - rzekł. - Pani, milady, jest ostatnią osobą, która go dostaje. Muszę teraz powiedzieć, iż może pani działać zgodnie z jego treścią lub tego zaniechać, wedle własnego sumienia. Do pani należy ostateczna decyzja. Jeśli zniszczy pani ten pakiet, ukryta w nim wiadomość przepadnie na zawsze.

Kasandrę przebiegł dreszcz.

- Czy zna pan tę wiadomość, panie Croft?

- Nie, milady. Mam jedynie postąpić zgodnie z pani zaleceniem. Pani ojciec i jego ojciec nie dali żadnego. Zabawię jednak w tej okolicy cały tydzień. Wynająłem pokój w wiejskiej oberży, choć zaproszenie jego wicehrabiowskiej mości wielce mnie zaszczyliło.

Wstał i podał jej pakiet.

Wydało się jej, że paczuszka ją parzy. Co za dziwne wrażenie. To pewnie dlatego że najpierw długo leżała w kieszeni, a potem prawnik trzymał ją w ręce. Musiała się więc nieco zagrzać.

Kasandra aż płonęła z ciekawości. Ciekawość jednak źle się przysłużyła w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, a wcale nie chciała dodatkowych komplikacji. Co jednak przerażającego mogło się kryć w paczuszce sporządzonej przez nieznanego jej pradziadka? Przez chwilę nie pamiętała nawet, o kogo właściwie chodzi. Wreszcie sobie przypomniała! To przecież jeden z braci bliźniaków, tych o dwa pokolenia starszych od jej ojca i stryja Cyrusa.

Była ostatnią osobą, która miała otrzymać pakiet. Jeśli zdecyduje się go zniszczyć, coś przepadnie na zawsze. Mogła tak uczynić albo nie, według swego sumienia.

W pierwszym odruchu miała ochotę wybiec z pokoju i spalić pakiet. Nie chciała wiedzieć. Cokolwiek się tam kryło, nie chciała wiedzieć.

Ale ciekawość zwyciężyła!

- Dziękuję, panie Croft - rzekła Kasandra, wstając. - Służąca zaprowadzi pana do pokoju gościnnego i powie, o której się u nas jada.

Poszła z paczuszką do ogrodu różanego. Wiał chłodny wietrzyk, ale wysoki żywopłot dawał dobrą osłonę przed zimnem. Siadła więc przy nim, tyłem do wiatru.

Mimo to wstrząsały nią dreszcze.

- Czy rozmówił się pan z moją żoną ku obopólnemu zadowoleniu? - spytał Nigel, dając znak służebnej, że może się oddalić, i prowadząc gościa ku bibliotece.

- Jak najbardziej, milordzie - odparł prawnik. I jak to z prawnikami bywa, nie dodał do tych słów żadnej zbędnej informacji.

Barr-Hampton mógł się zwrócić do Crofta, by upewnić siebie samego - i Kasandrę - że wszystko zostało załatwione, jak należy. Nigel zastanawiał się, czy prawnik przyjechał do Kedleston za namową Robina. Cóż takiego jednak mógł mu powiedzieć, że Croft zgodził się przyjechać osobiście?

Jego przybycie zaskoczyło Nigela. Zwłaszcza że sam myślał o Crofcie półtora dnia wcześniej i zamierzał nawet wybrać się do Londynu, by zasięgnąć jego rady. Tymczasem Croft zjawił się w Kedleston we własnej osobie.

- Jak przypuszczam - rzekł Nigel, gdy lokaj zamknął za nimi drzwi biblioteki - krewny mojej żony, pan Barr-Hampton, odbył z panem w zeszłym miesiącu niejedną rozmowę?

Prawnik wyraźnie zeszywniał.

- Z całym szacunkiem, milordzie, nie zwykłem roztrząsać spraw moich klientów wobec osób trzecich.

Ach, cóż za przykład uczciwości zawodowej. Nigel zawsze to podejrzewał. Uniósł brwi i począł bawić się uchwytem binokli.

- Na moją duszę, ma pan rację. Może więc zechce pan ze mną porozmawiać o sprawach Kedleston? Posiadłość nie jest majoratem, choć pozostawała główną siedzibą hrabiów Worthing przez siedem stuleci. Teraz należy do mnie. Czy jest to niepodważalna prawda?

- Bez najmniejszej wątpliwości, milordzie - zapewnił go Croft, przyjmując szklaneczkę porto z rąk gospodarza i siadając na podsuniełym przez niego krześle. - Pański prawnik i ja sporządziliśmy stosowne dokumenta i podpisaliśmy je w odpowiednim czasie. Chlubię się tym, że nie popełniam omyłek w podobnej materii. Posiadłość jest pańska.

- Ale to nie majorat - rzekł miękko Nigel.

- Z całą pewnością - zgodził się pan Croft.

- Musimy więc - ciągnął Nigel - o tym pomówić.

Pismo było staroświeckie i niełatwe do odcyfrowania, dało się jednak odczytać.

*Ciąży mi na sumieniu - pisał hrabia Worthing, jej pradziadek - coś, co -jakem sam siebie chciał przekonać - sprawą sumienia może nie jest. Ufożyłem się ze sobą, że mia(em) prawo zgodzić się na to, co zawdzięczałem memu ojcu, mojej Jami Cii i wszystkim yodfegfym mi ludziom. Sumienia jednakowoż tak łatwo uciszyć się nie da. A zatem także i was, j>otomkowie moi, pytam: Czy mam słuszność? To, co się stało, można jeszcze odwrócić. Przez trzyjkiokofenia świadectwo to na ty Ce jeszcze będzie świeże, by się nim można posłużyć, jeśli Ci zajdzie konieczność zmiany. Każdy z was trzech niechaj rozstrzygnie, czy byłem w błędzie, i niechaj postąpi, albo i niepostąpi, w myśl tego, co mupodszepnie sumienie. Jeśli wszyscy trzej osądzicie rzecz całą tak samo jak ja, sprawa będzie zamknięta. Jeśli to, co uczyniłem, nie okaże się błędem, niechże pamięć o tym przepadnie. Ty, potomku w trzecimpokofeniu, mój prawnuku, możesz zniszczyć ten mój Cist i to, co jest w drugiej, mniejszej paczce. Jedyne ty masz przed sobą paczkę prawdziwą. Mój syn i wnuk dostają tytko kopie. Jako że wszystko spocznie na twoich barkach, mój prawnuku, żywię nadzieję, iż są one sifne.*

Kasandra, zaintrygowana, niemal zapomniała, że czyta coś, co dotyczy jej osobiście. Silniejszy podmuch wiatru sprawił jednak, iż zadrzała. Powinna była zabrać ze sobą szal.

Wciąż jeszcze mogła zniszczyć list. Co za głupia myśl! Czytała dalej.

*Urodzifem się bliźnięciem, fedwieyófgodzininyóźniej od brata, meqo star-  
szego brata, jak każdy wtenczas wierzył Jego to chowano na dziedzica. Bufo  
yomiedzy nami bliskość, jak zawsze miedzy bliźniami braćmi, a(e i odmien-  
ność. Graham, z natury wichrzycielski, yorywczy i buntowniczy, wyruszuf  
w dfugayodróź kształcącą, mając (at dwadzieścia. Prędko doszfy do ojca wi-  
ści o jego szafeńczych czynach i rozpuście. Wreszcie wiadome się stafo, iż oż-  
nif się nieroztropnie i wraca z żoną do domu.*

*Wtedy to odniosfem raneyodczasjazdy konnej, a chirurg, który mnie opa-  
trywaf, odkryfna mymyrawym biodrze znamię gwiazdziste, jakie miafstarsz  
z braci - on bowiem odbierafyoródyrzed laty. Potwierdził to nayiśmie, tak  
samo jak dawny ochmistrz z Kedfeston, również obecny yrzy rozwiązaniu.  
Odnafeziono iyofozną, ta zaś zeznafa, iż oba świadectwa mówiayrawdę.  
Adwokat syisafjej zeznanie, byfa bowiem nieuczona iyodyisafa się na nim  
krzyżykiem.*

*Byfem zatem starszym synem i dziedzicem. Po roku zostafem szóstym hra-  
bią Worthing. Brat mójyowrócifyomstowafwiefce z tejrzyrczyny. Wywę-  
drowafgdzieśyotem wraz z żoną i więcej o nim nie sfyszafem.*

*Piszę teraz to, co najciężej mi yrzychodzi yrzefać nay ayier, yotomkowie  
moi. Może nie należafo tego czynić iyrawdę zachować dfa siebie, znam ją  
bowiem jako jedyny z żyjących. Chciafbym jednakowoż, aby to, co uczyni-  
fem, yotwierdzifa rodzina nayrzestrzeni cafych yokofeń. Wszystko to byfo  
kfamstwem. Ojciec mójrzedfożyfstafość mego charakteru nad niepowsięciąq  
(iwość brata, nim jeszcze ożenek Grahamaychnafgo do ufożeniayfanu, jaki  
dfugo byf dfańyokusq. Namówiono mnie, bym się zgadzif, a troje świadków  
bez truduyrzekupiono.*

*Ożenifem się godziwie i wierzę, iż byfem dobrym mężem, dobrym ojcem,  
dobrym gospodarzem iyanem, jako czfekyrawy i umiarkowany. Byfem też  
oddanym sfugą bożym, a fudziom swoimyrzewodzifem uczciwie.*

*Czyż uczynifem słusznie? Rozum mówi mi, że tak. Sumienie"mówi, że tak,  
fecz może ja rzekfem to memu sumieniu? Jedna tylko osoba nie dafa się na-  
mówićaniyrzekuyić. Starsza naszayiafunka, co żyje w niedalekim sąsiedz-  
twie, yrzybyfa tu zarazyo śmierci ojca mego, yrzynosząc niebieskajedwabną  
wstążkę z napisem „Graham". Sama ją zawiązafajak mówifa, na napiętku  
wcześniej urodzonego z bliźniqt, a nasza matka wyisafa na niej niecoyóź-  
niejjego imię. Zachowafem wstążkę, wielceyoruszony, obiecując bfqdwkró-  
ce naprawić. Wstążka ta spoczywa wyakunku towarzyszącym memu listo-  
wi. W dwóchpierwszych, o czymyrzypominamyo raz wtóry, są tylko kopie,  
a nie wstążkayrawdziwa.*

*Czy jestem hrabią Worthing? Czy ty nim jesteś? Sam musisz rozsądzić. Lis-  
i wstążka będą nie byle jakim świadectwem, jeśli zechcesz rzecz całą uczynić  
jawną. Wybór zostawiam tobie. Zdaję się na twoje sumienie.*

*Poniżej widniała pieczęć rodowa, a przy niej podpis.*

Kasandra pozwoliła listowi osunąć się na podołek. Nie otworzyła mniejszej paczuszki. Rozejrzała się wokoło, spojrzała na żywopłot i drzewa w oddali. Posłanie zza grobu, pomyślała. Najdziwniejsze w świecie posłanie.

Z początku nie potrafiła ogarnąć myślą pełnego znaczenia listu. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nie jest hrabiną Worthing. Tytuł przysługiwał dalekiemu kuzynowi - jeśli w ogóle istniał - o którym nic nie wiedziała. Skradziono go prawowitemu dziedzicowi przed laty.

Dziwna rzecz, nawet się uśmiechnęła. Za ledwie dwa miesiące temu myślała, że jest hrabiną Worthing oraz właścicielką majątku, i uważała się za wybrankę losu. Nagle odebrano jej Kedleston, a teraz i tytuł. W istocie była nikim. Zawsze była nikim.

Tylko ona znała prawdę, jako jedyna z żyjących. Była też ostatnią osobą, jaka otrzymała list z wyznaniem przodka. Jeśli go zniszczy, nikt się o niczym nie dowie. Pozostanie nadal lady Worthing. A jej syn w odpowiednim czasie będzie hrabią. Nieświadomie sięgnęła ręką ku łonu.

Przynajmniej Kedleston był bezpieczny. Ojciec stracił go przecież znacznie wcześniej. Tylko że...

Tylko że ojciec nie mógł go stracić, bo majątek nie był nigdy jego własnością.

Skoro tytuł winien był przypaść komu innemu, to Kedleston też. Ani tytuł, ani posiadłość nie należały do niej. Do Nigela też nie.

Chyba że... chyba że jej prapradziadek zastrzegł w testamencie, iż posiadłość przechodzi na pradziadka. Nie była przecież majoratem. Nikogo to jednak nie obchodziło przez całe wieki, póki nie zdał sobie z tego sprawy jej ojciec i nie posłużył się majątkiem jako stawką w grze. Według wszelkiego prawdopodobieństwa testament postanawiał, że Kedleston będzie własnością nowego hrabiego.

Gdyby ujawniła treść listu, zamiast go niszczyć, straciłaby tytuł, a Nigel - Kedleston. Nie mieliby wówczas nic.

Ciotka Beatrycze utraciłaby dom, tak jak ciotka Matylda i Patience.

Kasandra czuła, że strach podchodzi jej do gardła.

Jakaż była niemądra! Przecież list napisano dawno temu, a dotyczył wydarzeń jeszcze dawniejszych, sprzed lat bez mała osiemdziesięciu. Każdy prawnik, któremu go pokaże, wyśmieje ją. Nikt nie weźmie go serio. Nawet jeśli pierwotne oszustwo brano błędnie za prawdę, każdy się zgodzi, że upłynęło zbyt dużo czasu, by cokolwiek dało się zmienić.

To po prostu przerażająca historia, którą może opowie kiedyś wnukom dla zabawy.

Pewien człowiek wydziedziczył syna, posługując się kłamstwem i przekupstwem, a drugi syn, który na tym skorzystał, współuczestniczył w oszustwie. Ona zaś pochodziła w prostej linii od nich i tak samo czerpała korzyść z fałszu. Mogła ją w dodatku nadal czerpać, gdyby uczyniła taki właśnie wybór.

Postąpiłaby głupio, wybierając inne rozwiązanie. Już o wiele za późno, by naprawić dawny błąd. W końcu nie był to jej błąd. Nie miała z nim nic wspólnego.

Co ten testament postanawiał względem Kedleston?

Czuła w głowie przeraźliwy chaos. Musiała koniecznie z kimś pomówić. Nie miała jednak z kim. Tu chodziło tylko o nią, wyłącznie o nią.

No cóż, przecież, jak stwierdziła z gorzką ironią, pragnęła samodzielności. Chciała sama decydować o sobie. Chciała wziąć na siebie odpowiedzialność przypadającą w udziale tylko mężczyznom.

- Czyżby jakieś złe wieści, milady? - Za jej plecami rozległ się głos Nigela, uprzejmy i lodowaty zarazem, a tak nieoczekiwany, że w przerażeniu zgmiotła stary list.

- Bynajmniej. Co tutaj robisz?

Uniósł brwi.

- Ależ milady, po prostu spacerowałem. Po moim własnym ogrodzie różanym. Czy dobrze się czujesz?

Czuła się okropnie. To nie był jego ogród różany. Ani jej. Nie mieli nic. Zerwała się i popędziła przed siebie, zatrzymując się dopiero koło łukowatej bramy. Tam, zgięta wpół, zaczęła haniebnie i obrzydliwie wymiotować pod żywopłotem.

Nagle zdała sobie sprawę, że Nigel położył jej na czole chłodną dłoń.

- Do licha, Kasandro, to naprawdę musiały być złe wieści. Czy mogę ci pomóc, moja droga? Powiedz mi, co się stało.

- Nie! - rzekła ostro i sięgnęła po chustkę, lecz jego własna, znacznie większa, znalazła się nagle w jej dłoni, zanim zdołała odszukać swoją. - Nie otrzymałam żadnych złych wieści. A właściwie dlaczego miałyby się okazać złe? - Przytknęła chustkę do ust i zamknęła oczy.

- Spodziewasz się dziecka? - spytał cicho.

- Tak. - Czuła, że mówi z rozdrażnieniem. - Owszem, jestem w ciąży. W małżeństwach często się to zdarza.

Zaledwie przed dwoma dniami marzyła, że powie mu o ciąży, gdy będą spokojnie leżeli w ciepłym łóżku albo gdy usiądą razem

nad sadzawką. Nie przypuszczała, że będzie musiała dzielić się z nim tą nowiną w tak przerażającej chwili.

Ich dziecko nic nie odziedziczy. Zupełnie nic.

Otworzyła oczy, lecz nagle wszystko w nich pociemniało. Zemdlała. Kiedy odzyskała przytomność, w głowie miała całkowity zamęt. Poczowała, że Nigel trzymają ją mocno w ramionach i wnosi po schodach do domu. Przytuliła twarz do jego piersi.

- Mój Ust! - jęknęła. Nikt nie powinien go zobaczyć. Nigel nie może go przeczytać.

- Leży bezpiecznie w mojej kieszeni, razem z tą drugą paczką.

- Daj mi je.

Zatrzymał się przed drzwiami jej pokoju. Nie otworzył ich jednak: pewnie przypomniał sobie o przyrzeczeniu. Wniósł ją do swojej sypialni i położył ostrożnie na łóżku.

- Daj mi je! - zażądała przerażona, siadając na pościeli.

Podał jej list wraz z paczuszką.

- Nie, milady - rzekł lodowatym tonem. - Nie przeczytałem go. Nawet jednego słowa. Nie mam zamiaru szperać w twoich sekretach, jak ty szperałaś w moich. Wezwę służącą, żeby się tobą zajęła.

- Nigelu - odezwała się, gdy był już prawie za drzwiami.

Spojrzał na nią zaskoczony, lecz nie potrafiła wykrztusić ani słowa więcej.

- Powinnaś bardziej dbać o swoje zdrowie w najbliższych miesiącach. Kedleston potrzebuje dziedzica. Ród także. - I wyszedł z pokoju.

Opadła na poduszki i zamknęła oczy. Przedtem wyobrażała sobie, z jaką radością mu powie, że jest w odmiennym stanie.

Ożenił się z nią, żył z nią, a teraz miała wypełnić główne zadanie jako jego żona.

Nic innego się nie liczyło.

Nic innego. Chyba że...

O tak, zamierzała zniszczyć ten list. To bzdura. Zupełna bzdura. Miała zamiar go zniszczyć i pozostać szczęśliwa przez całą resztę życia. Śmiała się i płakała jednocześnie, kiedy zjawiała się służąca, przerażona i onieśmielona tym, że musi wejść do sypialni swego pana.



XVobin pokłócił się z Patience. Nigdy przedtem nie zdarzyło się im nic podobnego. Ona zawsze była uosobieniem słodyczy, spokoju i uległości, a on zawsze traktował ją życzliwie i wyrozumiale.

W dniu jego zamierzonego odjazdu wracali rankiem do wdowiej rezydencji. Robin złożył właśnie pożegnalną wizytę w Kedleston. Patience szła obok, poważna i milcząca, jak zresztą zawsze od czasu jego powrotu z Londynu.

- Doprawdy - przerwał w końcu ciszę - nie dziwię się twojemu nastrojowi. Kasandra zawarła fatalne małżeństwo i jest głęboko nieszczęśliwa, a ja nie mogę jej pomóc.

Od tego zaczęła się kłótnia. Patience bowiem nie okazała współczucia, którego się po niej spodziewał.

- Szczerze się cieszę, że wyjeżdżasz ~ rzekła drżącym głosem. - Powinieneś wreszcie pojechać i więcej nie wracać, bo to byłoby niehonorowe.

- Co takiego? - Spojrzał z osłupieniem na rondo jej słomkowego kapelusza.

- Moim zdaniem Kasandra zawarła wspaniałe małżeństwo. Lord Wroxley to uroczy człowiek i świata poza nią nie widzi. Ona go prostu uwielbia! Każdy go zresztą uwielbia. Prócz ciebie, oczywiście!

- Dlaczego „oczywiście”? - spytał z irytacją.

- Bo sam chciałeś się z nią ożenić - rzuciła - a ona dała ci kosa! I zamiast ciebie poślubiła lorda Wroxleya. Powinieneś być wynieść się stąd zaraz po ślubie, jak wuj Cyrus i twoja mama. A ty zostałeś i ciągle wracasz! To nieładnie!

- Do diaska! Uważasz, że się na nią boczę, bo mnie odrzuciła?

- Nie spodziewałam się po tobie podobnego postępowania. Myślałam, że masz więcej dumy i poczucia godności.

Robin przystanął i uniósł trójgraniasty kapelusz, żeby się podrapać w głowę. Nie mógł powiedzieć nikomu prawdy o Wroxleyu, Kasandra mu zabroniła.

- Oświadczyłem się jej, bo potrzebowała wsparcia. A także dlatego, że ojczym, mama i ciotki martwili się o nią. Ani mi w głowie jakieś dąsy, Patience. Kasandra nic dla mnie nie znaczy. Po prostu jest moją kuzynką.

- Tylko że wcale nią nie jest. - Patience mówiła ze złością, co zupełnie nie było w jej zwyczaju. - A ja też nie! Wcale nie jesteśmy

twoimi kuzynkami. Nic dla ciebie nie znaczymy i ty dla nas tak samo. A nawet mniej niż nic!

Zdumiał się. Patience hardo uniosła głowę, posyłając mu wyzywające spojrzenie, zaczerwieniona z gniewu.

- Zostaw ją w spokoju - prychnęła, nim zdołał znaleźć stosowną odpowiedź na jej zadziwiającą reprimendę. - Zostaw ją! Niech sobie szczęśliwie żyje z lordem Wroxleyem. Idź precz i nie wracaj!

Robin był bardzo głęboko dotknięty. Miał przyrodniego brata i dwie przyrodnie siostry. Uważał swoje przyrodnie kuzynki za prawdziwe, zawsze traktował Kasandrę i Patience jak bliskie krewne. Prawie jak siostry. A teraz usłyszał, że jest dla nich nikim.

- Nic o tym nie wiesz, Patience. Czy nie spostrzegłaś, jaka błada jest teraz Kasandra?

- Oczywiście. I wiem dlaczego. Powiedziała mi. Jest w odmiennym stanie. I jest szczęśliwa. Lord Wroxley także. Czy nie zauważyłeś, jak szybko się zerwał, żeby nalać ciotce Beatrycze jeszcze jedną filiżankę herbaty? Nie chciał, żeby Kasandra musiała wstawać. To ty nic nie wiesz, bo nie chcesz widzieć tego, co masz przed oczami!

Robin co prawda współczuł Kasandrze, ale przede wszystkim dokuczała mu urażona miłość własna. Zaczął go stopniowo ogarniać gniew. Robił, dla kuzynek co mógł, i oto jak mu odpłacono! Kasandra zlekceważyła jego poświęcenie i odrzuciła ofertę małżeńską dla pospolitego przestępcy, a Patience nie chce go znać i mówi mu w oczy, że nic dla niej nie znaczy!

- Może ucieszy cię wiadomość, że za pół godziny już mnie tu nie będzie - rzekł z największą godnością, na jaką mógł się zdobyć. - I już nie wrócę. Życzę ci szczęścia, Patience. Przyszłej wiosny na pewno znajdziesz w Londynie odpowiedniego męża. Mam nadzieję, że on będzie coś dla ciebie znaczył. Dobrze, że ze mną jest inaczej, bo pewnie się już nie spotkamy.

- Miło mi to słyszeć - odparła Patience tonem, który świadczył o czymś wręcz przeciwnym.

Po tej potyczce słownej szli do wdowiego domu w zupełnej ciszy i rozstali się zaraz po wejściu w jego progi. Robin poszedł po służącego i bagaże, które trzeba było wnieść do podstawionego powozu, chciał także pożegnać się z ciotką Matyldą. Patience zaś oglądała świeżo rozkwitłe kwiaty na odległej grządce i pilnie się oddawała temu zajęciu, póki nie ucichły wszelkie odgłosy krzątający.

Nie obejrzała się nawet i nie popatrzyła za powozem. Robin zresztą nie zauważył tego, bo nie wyrztał przez okno.

Odjeżdżał pełen złości i upokorzenia. Rozejrzał się za czymś, co mógłby zgnieść, połamać albo cisnąć na ziemię. Niczego takiego nie miał jednak pod ręką.

Nigdy nie był człowiekiem porywczym i nie wiedział, jak rozładować gwałtowny napad gniewu. Nie zrobił więc nic poza tym, że zdjął kapelusz i kilkakrotnie uderzył nim o kolana, jakby chciał go otrzepać z kurzu.

Jechał do domu. Nareszcie. Tęsknił do niego, jak mu się здаwało, już niemal całą wieczność. Nie był stworzony do życia w mieście, nie lubił wiru rozrywek. Chciał tylko mieć własny dom, własne farmy, konie i bydło.

No i własną rodzinę.

Rodzinę, której jak dotąd nie założył.

Żona. Dzieci. Zimowe wieczory w domowym zaciszu, przy kominu, w przytulnym saloniku, a w ręce książka, z której czyta żonie na głos. Żona zaś pochyla się nad haftem. Dzieci leżą w łóżeczkach albo siedzą wokół stołu.

Westchnął.

Żona siedząca naprzeciw niego uniosła głowę i uśmiechnęła się wdzięcznie, ujmująco, całkiem jak Patience.

Patience, jego siostra. Nie, kuzynka. Nie, ani siostra, ani kuzynka. Była dla niego nikim. On był nikim dla niej.

Lecz podczas obu jego wizyt we wdowim domu nie rozstawali się ani na chwilę. Gdy przyjeżdżał, widział ją rozradowaną i poczuł się wtedy tak uszczęśliwiony, jakby naprawdę wrócił do siebie. Za pierwszym razem podbiegła ku niemu, a on otworzył ramiona, w które wpadła.

Cóż za oszałamiająca chwila! Choć również nieco kłopotliwa. Przypomniał ją sobie z pewnym zażenowaniem. Ale był to jeden z najpiękniejszych momentów w jego życiu. Może nawet najpiękniejszy ze wszystkich!

Wziął ją wtedy w objęcia i przytulił do serca. Tam było właściwe miejsce dla Patience.

Podbiegła ku niemu i wyglądała na tak rozradowaną, że ledwo mógł ją poznać. A potem, kiedy powiedział, że natychmiast musi się widzieć z Kasandrą, posmutniała nagle i, zdaje się, powiedziała, iż powinien był przyjechać z innego powodu. A dzisiajszego ranka złościła się i była przygnębiona. Kazała mu jechać precz i nigdy nie wracać, bo myślała, że on kocha Kasandrę. Krzyknęła, że jest dla niej nikim - ze łzami w oczach! Nie przyszła

powiedzieć mu „do widzenia”, choć widział, jak stoi nad grządką z kwiatami. Musiała przecież słyszeć turkot odjeżdżającego powozu, ale nie okazała żadnego zainteresowania.

Czyżby był ślepcem?

Czyżby był durniem?

Tak, jednym i drugim!

Pochylił się i zastukał energicznie w przednią ściankę powozu, żeby woźnica zawrócił.

Stała nadal nad grządką, jakby nie ruszyła się stamtąd ani na krok. Na tę samą rabatkę cisnęła kiedyś koszyk z kwiatami i kapelusz, biegnąc ku niemu. Tym razem nie biegła. Nawet nie podniosła głowy, by spojrzeć, choć musiała słyszeć nadjeżdżający pojazd. Trudno było nie usłyszeć, że wiejską drogą zbliża się wielki, używany do podróży powóz zaprzężony w czwórkę koni.

Wyglądała jednak na głuchą jak pień i ślepą niczym kret.

Podszedł ku niej, zatrzymując się przy samej grządce. Rozgarniała palcami płatki kwiatu, jakby zamierzała poprawić dzieło natury. Stał i patrzył na nią przez dobre pół minuty. Nigdy nie umiał zręcznie się wysławiać.

- Cieszę się, że nie jestem twoim rodzonym kuzynem - rzekł wreszcie. - Ani twoim bratem.

Najwyraźniej jednak nie powiedział nic takiego, co zmusiłoby ją do natychmiastowej odpowiedzi. Spróbował więc jeszcze raz.

- Nigdy nie kochałem Kasandry inaczej niż siostry czy kuzynki. Oświadczyłem się jej, bo chciałem ją wesprzeć. Cieszę się, że mnie nie chciała. Mam szczerą nadzieję, że będzie szczęśliwa z Wroxleyem.

Patience obskubywała płatki i patrzyła, jak opadają na ziemię.

- Jesteś córką barona i masz nie najgorszy posag. Ciotka Matylda spodziewa się, że dobrze wyjdiesz za mąż, wiem o tym.

Pogładziła delikatnie kwiat, jakby przepraszając go za to, że wyładowała na nim swoją złość.

- Mam skromne mienie i niedużą posiadłość - ciągnął. - No i jestem dość pospolitym człowiekiem.

- Wcale nie - szepnęła, patrząc nadal na kwiat.

- Ty mnie nie chcesz, Patience?

Wreszcie skierowała wzrok na niego. Oczy miała mokre od łez, a policzki i wargi nabrzmiałe. Musiała przedtem gorzko płakać, ale wydała mu się niewiarygodnie wprost śliczna.

- Skąd wiesz? Pytałeś mnie może?

- A więc chcesz! Chcesz mnie! - Robin czuł, że jest rozpaczliwie niezręczny. Jakże inni radzą sobie w takiej sytuacji? A jak on sam prosił o rękę Kasandrę? Przypomniały mu się nagle jego ówczesne słowa i osądził, że to nie jest odpowiednia metoda.

- Czy mam zrozumieć, że mi się oświadczasz? - spytała Patience.

Skinął głową.

- A czemu? - pytała dalej. - Bo widziałeś, jak przez ciebie płaczę, i zrobiło ci się mnie żal?

W jej oczach dojrzał bezmierną głębię zwątpienia, tęsknoty, cierpienia, nadziei. Łatwo byłoby w niej zatonać.

- Dlatego że nie mogę wrócić do domu bez ciebie. Dlatego że bez ciebie nie ma dla mnie żadnego domu. Do licha, Patience, wiesz, że nigdy nie umiałem gładko przemawiać. Ale ja cię kocham. Kocham i już. Czy tak jest lepiej? To głupie słowa, one nic nie znaczą. Nie sposób nimi wyrazić...

Na szczęście nie musiał się już dłużej męczyć wyjaśnianiem niewspółmierności słów do uczuć. Patience rzuciła się ku niemu jak strzała, gubiąc po drodze kapelusz i jednocześnie strącając mu z głowy jego własny. Oplotła mu szyję ramionami i mocno się przytuliła.

- Może jednak lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś przyszłą wiosną pojechała do Londynu i poznała innych mężczyzn - rzekł, trzymając ją w objęciach i pozwalając jej zrozumieć, że sam nie wie, co plecie. - W końcu nikogo innego nigdy nie widywałaś, prawda? A kiedy ich poznasz, przekonasz się, jaki ze mnie zwyczajny człowiek.

Uniosła ku niemu twarz, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, rozpromieniona, radosna.

- Możesz sobie mówić, co chcesz, ale jesteś mój i nie puszcze cię już, ostrzegam! Powinieneś mnie teraz pocałować. W same usta. Tak długo o tym marzyłam. Wprost nie mogę uwierzyć, że to prawda!

Robin pocałował ją więc w same usta. A po dłuższej chwili, kiedy uniosł głowę, poczuł się ogromnie zakłopotany, że pozwolił sobie wobec niej na taką śmiałość, nim zamienił choć słowo z jej matką czy z ojczymem.

Patience jednak uśmiechnęła się do niego i tym razem to ona pocałowała go w usta.

Zdażył jeszcze pomyśleć, że rozmowy z ciotką Matyldą i ojczymem mogą poczekać, i to długo. Potem w ogóle nie mógł już myśleć. O niczym.

Przez dwa dni po wizycie pana Crofta Kasandra czuła się wprost okropnie. Prawie nie mogła jeść, a jeśli nawet coś zjadła, nie mogła utrzymać jedzenia w żołądku. Prawie nie mogła spać, a jeśli nawet zasnęła, nękały ją osobliwe, zagmatwane sny. Wszyscy już wiedzieli, że spodziewa się dziecka. Jakże mogliby nie wiedzieć przy takich symptomach.

W gruncie rzeczy nie była chora. Irytowała się tylko i traciła panowanie nad sobą. To zbesztła pokojówkę przynoszącą jej zwykle gorącą wodę do gotowalni, gdy okazała się nie dość ciepła, to znów skrzyzczała osobistą służącą za uczesanie, które się jej nie spodobało. Ofuknęła lokaja, bo zbyt wolno otworzył przed nią drzwi do jadalni, i docięła drugiemu, miał bowiem pecha uronić kropelkę wina tuż koło jej kieliszka.

A przecież do tej pory zawsze była dla służby miła i wyrozumiała.

Nie wiedziała, co począć. Tak długo biła się potajemnie z myślami, że nieustannie bolała ją głowa. I za każdym razem dochodziła do innego wniosku - w dodatku zawsze z innego powodu.

Chciała ujawnić treść listu, po prostu dlatego że tak nakazywała zwykła przyzwoitość.

Chciała zachować ją w tajemnicy, bo upłynęło już zbyt wiele czasu.

Chciała poprosić stryja Cyrusa o przyjazd do Kedleston i zwierzyć mu się ze wszystkiego, zdając się na jego decyzję.

Chciała się dowiedzieć dyskretnie, czy żyją jacyś potomkowie owego brata pradziadka, drugiego z pary bliźniaków, i uzależnić ostateczną decyzję od wyników tego cichego śledztwa.

Chciała zniszczyć list i paczuszkę bez dalszych ceregieli i nie myśleć już o nich więcej.

Chciała się dowiedzieć, czy jej pradziadek figuruje w testamencie jako dziedzic Kedleston. Gdyby tak było, mogła zachować tytuł jako jego prawowita następczyni. Gdyby zaś nie, zniszczyłyby list.

Chciała... chciała po prostu zwariować!

Z przeraźliwą jasnością uświadomiła sobie jedno. Wiedziała teraz, dlaczego ojciec tak bardzo się zmienił. Jej matka zmarła niedługo po śmierci dziadka. Zawsze przypuszczała, że to żal po stracie żony i ciężar nowych obowiązków odmieniły go nie do poznania. Może miały pewien wpływ, lecz nie nazbyt istotny. Powodem musiał być list i decyzja, jaką należało podjąć.

Ojciec postanowił zignorować prawdę. To samo uczynił jej dziadek, kolejny mężczyzna w rodzinie, który służył z napadów złego humoru, choć nie zawsze miał gwałtowne usposobienie.

Obaj podjęli pewną decyzję i obaj cierpieli później z tego powodu. Nękało ich nieczyste sumienie. Ojciec spędzał z nią niewiele czasu i nigdy nie zawiózł jej do Londynu, co winien był zrobić, by znalazła odpowiedniego męża. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy, wiedząc, że kolejną decyzję będzie musiała podjąć ona\* po jego śmierci.

I dziadek, i ojciec wiedzieli, że postąpili nieuczciwie. Nie potrafili jednak zrezygnować z życia, do jakiego przywykli. Nie okazali się dość silni, by stanąć oko w oko z taką alternatywą, woleli milczeć.

Pragnęła zwierzyć się Nigelowi, ale on pozostawał chłodny i wyniosły. Troszczył się wprawdzie o jej zdrowie, lecz zachowywał się zarazem tak powściągliwie, że przypominał statwę z marmuru. Gdyby mu wszystko wyznała, zmusiłby ją do zniszczenia paczki. Z pewnością okazałby się oportunistą, mężczyzną bez czci.

Podobnie jak ona była kobietą bez czci.

Znów zaczęły go dręczyć koszmary. Tak przynajmniej sądziła, gdyż późną nocą usłyszała, jak wychodzi z pokoju, mija jej sypialnię i kieruje się ku schodom. Patrzyła przez okno, jak przemierza trawnik i skręca ku podjazdowi. Wrócił dopiero po godzinie. Po opuszczonych ramionach poznała, że jest wprawdzie zmęczony, lecz woli to znużenie od sennych koszmarów.

Stała z czołem przyciśniętym do szyby, z przymkniętymi oczami. Ona też była znużona. Wyczerpaną. Znękana do szpiku kości. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś życie wyda jej się radosne i wspianiałe.

Potrzebowała kogoś. Potrzebowała... jego. A on potrzebował jej. Jakie to niemądre, że żyją osobno.

Dobrze wiedziała, że jest po temu wiele powodów. Nie, tylko jeden przemożny powód. Ale przecież oczekiwali narodzin dziecka. I nękało ich sumienie, i samotność.

Nie stał przy oknie, gdy weszła do jego sypialni. Leżał na łóżku, z oczami przysłoniętymi ręką. Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

Ona też nie rzekła ani słowa. Położyła się przy nim. Odsunął się, by zrobić jej miejsce, lecz jego ramię nadal leżało bez ruchu na poduszce. Przywarła do niego i wtedy poczuła, że ją objął.

Nie rozmawiali i nie kochali się. Nie wiedziała, które z nich zasnęło pierwsze.

Rankiem podjęła decyzję. Wiedziała, że tym razem nie zmieni zdania. Zamierzała ubrać się, zjeść śniadanie - umierała wprost

z głodu - i wezwać pana Crofta do szkarłatnego salonu. Na szczęście wciąż bawił w Kedleston, oberżę bowiem chwilowo zamknęto. Wiedziała, co mu powie i co każe mu zrobić.

Leżała w łóżku sama. Musiała spać bardzo głęboko, skoro nie usłyszała, jak Nigel wstaje. Wiedziała - spała tak smacznie, tylko dlatego że on spał obok i że ją obejmował.

Życie może być radosne. Nigel jest silny i odporny, dowiódł tego w ciągu ostatnich dziewięciu lat. Ona też okaże siłę. Kocha go bowiem. Spłodzili razem dziecko. Po jakimś czasie, wcześniej czy później, Nigel też ją pokocha. Zamierzała do tego doprowadzić.

Nie dbała już o przeszłość. Trzeba było walczyć o przyszłość, postanowiła podjąć taką walkę. Dziwna rzecz, ale wyzwanie ją uradowało. Spojrzała za okno. Niebo było jasnoblękitne, bezchmurne. Zapowiadał się piękny dzień.

Nigel siedział w oberży z Williamem Stubbsem i Coburgiem. Rządca wymówił się jednak pilniejszymi obowiązkami i wyszedł.

- Myślisz, że powiedzie ci się jako wiejskiemu szynkarzowi? - spytał Nigel przyjaciela.

- Nie będzie to takie trudne, choć rozmaite wielce szacowne osoby gadają mi o księgach, o rachunkach i innych takich głupstwach. Guzik one mają wspólnego z podawaniem ludziskom piwa i półmisków z mięsiwem i ze słaniem im łóżek. Dam sobie radę, Nigel, jak amen w pacierzu. - William zatarł potężne dłonie. - A tę mamonę, coś mi ją pożyczył, oddam do ostatniego pensa.

- Uważaj ją za dar.

- Oj, oj. - William poczuł się głęboko urażony. - Toż nigdy od ciebie nic nie brałem, chłopie, prócz tego, co zarobiłem, i nie myśl sobie, że teraz wezmę. Co do pensa, powiedziałem!

- Nie będzie ci żal Londynu? Dawnego życia? Będziesz tu szczęśliwy?

William wybuchnął głośnym śmiechem. - Mogłem się obejść bez Londynu przez siedem lat, to i przez resztę żywota dam radę. Tu jestem bezpieczny, chłopie. Podoba mi się tutaj. A tobie? Bo chyba niezadługo dorobisz się smyka?

- Wyjeżdżam - rzucił Nigel obojętnym tonem.

- Co ty gadasz? - Stubbs zmarszczył brwi.

- Dobrze słyszałeś. To był błąd, Willu. Wszystko było błędem. Powinienem być zadowolony się tym, że dałem mu niezłego łup-



nia. Albo zostawić go, żeby się trząsał ze strachu, że wrócę i będę wiedział, gdzie go szukać. Chciałem dołożyć jemu, nie dbając o to, że jeszcze jedną osobę wplączę w moją zemstę.

- Masz nierówno pod sufitem - obruszył się Will. - Już za późno, żebyś sobie robił wyrzuty. Przypiąłeś się do dzierlatki, dogodziłeś jej, jak należy, i zrobiłeś jej bębna. Jak ją teraz rzucisz, chłopie, to tylko ze złamanym nochalem, bez zębów i z siekanią zamiast gęby. Twój stary kompan z zesłania, Will Stubbs, już o to zadba!

- Jak wolisz - rzekł Nigel zimno. - Będę musiał zarobić na utrzymanie dziecka.

- Utrzymanie? - William spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Toż te twoje ziemie przyniosą ci dosyć grosza, żebyś wyżywił smyka, swoją dzierlatkę, no i tę całą armię służby, co dla was haruje.

Nigel spojrzał na niego spode łba.

- Nigdy nie miałem praw do tej ziemi, Will. Niczego, co można by nazwać legalnym prawem własności. Wygrałem Kedleston od Worthinga, ale nie przyniosło mi to satysfakcji. Więcej zła niż jemu wyrządziłem jego córce, najzupełniej niewinnej.

- Co ty znowu knujesz? - mruknął William podejrzliwie. - Jakie masz zamiary?

Uśmiech Nigela mógł zmrozić rozmówcę.

- Na mą duszę, Will, nie jestem popędliwy, ale zrobisz lepiej, pilnując własnych interesów i nie wtykając nosa w moje.

- Nie próbuj ukrzywdzić dzierlatki. - Głos Williama brzmiał groźnie. - Jużes raz tak uczynił, a teraz chcesz znowu? Akurat ona potrzebuje, żebyś ty w Londynie w karty rznął, niby że chcesz wyżywić dzieciaka. Ty jej lepiej do łóżka wleż i więcej bębnow zmajstruj. Nie bądźże takim uparciuchem, sukinsynu jeden. Słyszysz, co ci mówię?

Nigel spojrzał na niego pogardliwie spod w półprzymkniętych powiek.

- Idź do diabła, przyjacielu - burknął.

Wyszedł z obojętności, zamykając za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ 23

Sally, najnowszą i najniższą rangą służebną wśród podkuchennych z Kedleston, uważano powszechnie za osobę z piętrem hańby.

Powiadano, że to dziewczyna niezbyt obyczajna i że właśnie dlatego nie umiała utrzymać całkiem godziwego miejsca w oberży. Z jakiegoś jednak zagadkowego powodu stała się ulubionym celem dobroczynnych starań jaśnie pani i osiągnęła szczyt życiowego powodzenia, zyskując zatrudnienie w Kedleston.

Powierzono jej najcięższe posługi i najprzykrzejsze obowiązki, a że wykonywała je sumiennie i bez szemrania, zraziła sobie wkrótce część wyższej służby we dworze. Nikt co prawda nie śmiał dać jej szturchańca, gdyż podobny akt przemocy natychmiast pociągnąłby za sobą zwolnienie, lecz niektórzy z upodobaniem ostrzyli sobie na niej język raz albo i dwa razy dziennie.

Kilku młodszych służących powzięło zamiar przydybania jej w jakimś cichym kątku na parę chwil. Mówiono, iż w oberży nie kazała się wcale prosić i nie protestowała głośno, gdy dostawała mniej pieniędzy, niż jej wcześniej obiecano.

William Stubbs nie spuszczał z niej oka. Nie była ładna, nie miała też obfitych kształtów, lecz chodziła teraz czysto i porządnie odziana. Trzymała się z dala od Willa i spuszczała wzrok, kiedy na nią patrzył. Zawsze jednak kłaniała mu się z taką rewerencją, jakby był królem we własnej osobie. Z niejakim rozbawieniem przypominał sobie wtedy, że jest wszak służącym samej lordowskiej mości, stoi więc nieskończenie wyżej od skromnej pomocy kuchennej.

Resztę dnia po odejściu Nigela spędził, sposobiąc się do ponownego otwarcia oberży - odtąd już jego własnej - ożywiony myślami o nowym życiu, o jakim nie śmiał nawet marzyć niecałe trzy lata wcześniej. Martwił się także o przyjaciela. Kiedyś nie zamierzał bynajmniej troszczyć się o przerażonego, oszołomionego paniczyka, którego skuto razem z nim na galernicznym statku. Zniechęcił Nigela od pierwszej chwili z całą zawziętością, na jaką go było stać, i bawił się, a także zabawiał współwięźniów wynajdywaniem coraz to nowych i coraz to okrutniejszych sposobów dokuczenia swemu wrogowi. Nauczył się jednak czegoś od niego, choć sam nie wiedział kiedy. W końcu pojął jednak, jaką mocą może tchnąć pełna spokoju godność, siła charakteru i wstręt do gwałtu. Zaczął podziwiać silniejszego wroga, a wreszcie szczerze go polubił. Martwił się więc o niego.

Martwił się, Nigel bowiem otoczył swoją prawdziwą naturę twardą skorupą, a teraz ta osłona zaczęła pękać. William bał się, że kiedy pęknie na dobre - nie skutkiem jakiegoś gwałtownego wstrząsu, lecz czegoś dużo groźniejszego - Nigel może się załamać. W końcu nawet siła charakteru ma swoje granice.

Nie sposób jednak pomóc Nigelowi, jeśli on sam tego nie chciał. Był z niego, jak z rozpaczą nazwał przyjaciela William, najbardziej uparty sukinsyn, jakiego kiedykolwiek znał. Nawet gdyby go stłukł na kwaśne jabłko, nic by to nie pomogło. Nigel tylko zaśmiałyby mu się w nos i jeszcze głębiej schował w swoją skorupę.

Ktoś inny przyjąłby jednak jego pomoc z wdzięcznością i William wiedział, co to za osoba. Gdy wczesnym wieczorem wracał do siebie, spotkał Sal idącą ku stajniom, gdzie widocznie wysłano ją z kuchni z jakimś poleceniem. Dźwigała wypełnione po brzegi wiadro, o wiele dla niej za ciężkie. William przyspieszył kroku, chcąc wziąć od niej to brzemię, lecz w tejże chwili jeden z młodszych stajennych, przygarbiony, chudy, krostowaty chłopak, wyłonił się z cienia, wyrwał jej wiadro, odstawił na ziemię i mocno ją objął, usiłując jednocześnie pocałować. Trwało to ledwie parę sekund. Sal próbowała się uwolnić i rozpaczliwie trzepotała rękami, lecz on jej nie puszczał.

William podszedł do nich powoli, ale wielkimi krokami. Jedną potężną dłońią złapał stajennego za spodnie na tyłku, a drugą za kołnierz koszuli. Oderwał go od Sal, uniósł w powietrze i postawił na ziemi w odległości ręki.

- Musisz się, chłopcze, nauczyć - rzekł uprzejmie - że jak dziewucha mówi „nie”, to wcale nie znaczy „tak” albo chociaż „może”, ale „nie” i nic więcej.

Chłopak przestraszył się wprawdzie, lecz nie był mazgajem ani tchórzem.

- Toż ja ją chciałem tylko pocałować, panie Stubbs - próbował się spierać, pocierając obolałe krzyże.

- A za chwilę byś ją macał, potem wtykał jej gdzieś, co nie trzeba, po minucie już byś skończył swój interes i zapinał z powrotem portki. Idź, chłopcze, gdzie masz iść, i przestań mi oczy mydlić, a Will Stubbs nie spuści ci lania, o jakie się prosisz. I trzymaj się od niej z dala.

- A jakże, panie Stubbs. Nigdy więcej, panie Stubbs. - Chłopak odetchnął z ulgą, lecz chciał na odchodnym pokazać, że nie da sobie w kaszę dmuchać. - Oj, proszę o wybaczenie, panie Stubbs, jam nie wiedział, że to pańska kiecka. - I czmychnął.

To samo zrobiła Sally. Rzuciła się na oślep przed siebie, lecz biegła w przeciwnym kierunku niż dom, gdzie miałyby zapewnione bezpieczeństwo. Znikała już między drzewami, gdy William, po jakimś wahaniu, podążył za nią. Nietrudno mu było iść jej śladem, mimo że nie znał dobrze okolicy. Gałązki trzeszczały

pod jej trwożliwymi krokami, aż wreszcie zapadła cisza i słychać było tylko urywany szloch kogoś zdyszanego i do cna wystraszonego.

William przystanął w pewnej odległości od jej kryjówki. Przywarła całym ciałem do drzewa, z oczami pełnymi panicznego lęku.

- No, no, Sal - rzekł dobrotliwie. - Nie zbliżę się do ciebie ani cię nie będę macał, ani żadnej innej krzywdy nie zrobię. Przyszedłem tylko po to, żebyś się nie bała lasu, mroku ani wszystkiego innego. Will tutaj jest i czuwa nad tobą. Nic ci się złego nie stanie.

- Panie Stubbs - odezwała się po chwili - z całych sił się starałam, żeby zawsze być obyczajną dziewczyną. Ale tylko grzęzłam w tym i grzęzłam coraz głębiej. Myślę, że lepiej będzie, jak ze sobą skończę. Wszystkim wtedy będzie lepiej. I mnie też.

Brwi Williama niemal złączyły się w jedną linię, tak mocno je zmarszczył.

- Co ty wygadujesz? - rzekł głosem, przed którym nieraz drżeli najgorsi obwiesie Londynu. - Żebyś mi się więcej nie ważyła pleść czegoś podobnego! Z ciebie jest porządna dziewczyna, Sal. To, że cię tarnosiło i nagabywało różne tałałajstwo, co nie wie, jak się z niewiastą obchodzić, nie znaczy wcale, że zesłaś na złą drogę. A są tacy, co bardzo by się martwili, jakbyś sobie co złego zrobiła. Jaśnie pani by się martwiła. Will Stubbs także. I ty sama też. Co cię naszło? Jakże może być komuś lepiej, skoro leży cały drętwy dwa metry pod ziemią i już nie żyje?

- Panie Stubbs - rzekła, utkwivszy w nim oczy - to pan by się wtedy martwił?

- A jakże. Jakbyś się zabiła, Sal, to stary Stubbs strasznie by się tym gryzł.

- A czemuż to? Z pana przecie taki wielki i ważny człek.

- Gdzie tam. - William zaśmiał się z cicha. - Nie potrzebujesz sobie głowy łamać. O, do licha, ty się cała trzęsiesz. Co, boisz się wyjść zza drzewa? Tak bywa czasem, jak się coś bardzo złego stanie, ale już niezadługo pomyślisz, że jest po wszystkim i znów będzie dobrze, choć teraz ci się zdaje, żeś rozum straciła.

Wstrząsał nią urywany, pełen rozpaczny szloch.

- Zostanę tu z tobą - rzekł miękko - póki nie powiesz, że już więcej nie trzeba, Sal. Tylko się uspokój, dziewczyno. Nic ci nie zrobię. Nigdy cię nie ukrzywdzę.

- Proszę - szepnęła przez łyzy - niech pan tu do mnie przyjdzie.

Przygarną jej wątle, chuderlawe ciało do swego, kiedy jeszcze łkała, a potem zakołysała nim łagodnie, gdy płacz ustał.

- Z całych sił się starałam - wymamrotała w końcu, z twarzą wtuloną w jego surdut.

- Porządna z ciebie dziewczyna, Sal.

- Panie Stubbs - uniosła pobladłą, zalaną łzami, ospowatą twarz i zajrzała w jego ciemne, pełne współczucia oczy. - Panie Stubbs, chciałby pan to ze mną zrobić?

William poczuł się nieco urażony, może dlatego że szczerą odpowiedź brzmiałaby „tak”.

- Ja cię tylko chciałem pocieszyć, Sal - rzekł - a nie co innego.

- Raz pan mówił, że nie powinnam pozwolić, żeby ktoś to zrobił, póki sama nie zechcę i mu nie powiem. No to teraz mówię, że owszem.

William spojrzał na nią ze smutkiem.

- Nie robi się tego z samej wdzięczności, Sal. A zresztą ty mi przecie nic nie zawdzięczasz.

- Panie Stubbs. - W jej oczach znów pojawiły się łzy. - Ja się chcę oczyścić z tego plugastwa. Niech mi pan pomoże i zrobi tak, jak mówię.

Smutek Williama się pogłębił.

- Zły ze mnie człek, Sal. Od małego krzywdziłem ludzi, szkodę im robiłem i brałem, co nie było moje. Aż wreszcie mnie capnęli, zakuli w kajdany i wysłali za morze, gdzie musiałem w łańcuchach tyrać przez calutkich siedem lat. Na zsyłce byłem, dziewczyno. Nie nadam się ja dla ciebie.

- Z pana jest ktoś najwspanialszy, panie Stubbs, najwspanialszy na całym świecie. Święty z pana człowiek.

- Toż szpetny jestem jak potępieniec.

- A ja znów piękna jak ta księżniczka. - Pierwszy raz zdarzyło się jej powiedzieć coś zabawnego. - Proszę, niech pan to ze mną zrobi, jeśli pan chce. Niech mnie pan z tego plugastwa oczyści.

- Oj, dziewczyno - stęknął i pochylił się, chcąc dotknąć wargami jej szyi. - Ja nawet nie wiem, jak się z kimś delikatnie obejść.

- Wie pan, wie. - Poczuł dotyk jej palców na głowie. - Nie znam kogoś delikatniejszego, panie Stubbs. Zawsze się pan ze mną tak obchodził. Nie dbam, jaki pan kiedyś był. Ja wiem, jaki pan jest dziś.

William był pod pewnymi względami wielce niedoświadczony. Nie wiedział, co mu teraz wypada robić. Ogromne dłonie

drżały mu, kiedy ją ostrożnie gładził. Zaciśnął zęby, nie chcąc z miejsca folgować instynktowi. Pragnął ją naprawdę oczyścić. Chciał odpokutować za całe zło, jakie wyrządzili jej inni mężczyźni.

Prawie nie zauważył, że już ją położył na mchu. A kiedy się na niej kładł, czynił starania, żeby nie przygnieść jej bez reszty swoim ogromnym ciałem. Rozsunął jej cienkie nogi. Rozłożyła je szeroko, tak by nie musiał się wysilać, i uniosła kolana, żeby objąć jego masywne łądźwie. Bał się jednak, iż okaże się dla niej za duży.

- Jeszcze ci krzywdę zrobię, Sal - rzekł głosem podobnym raczej do jęku. - Za wielki jestem dla ciebie, dziewczyno. - Taką była kruszyną, a tak strasznie się z nią obszedł rodzony ojciec i całe mnóstwo innych mężczyzn po nim.

- Nie, wcale nie - rzekła spokojnie. Niedługo miała się przecież oczyścić ze wszystkiego. - Niech się pan nie boi, panie Stubbs. Śmiało. Ja tego chcę.

Stęknął boleśnie, kiedy w nią wchodził, a Sal gwałtownie zacerpnęła tchu. Przeklinał potem w duchu samego siebie za to, że dał się ponieść cielesnej żądzy, bo go tak uprzejmie zaprosiła. Nie słyszał nawet, że szlocha. Był dla niej o wiele za duży, sprawiło to jednak, że zapragnął jej ze wprost niewyobrażalną siłą.

Zdecydował, iż będzie to robić bardzo powoli i ostrożnie. Chciał jej oszczędzić w ten sposób przykrych doznań. Chciał tak postąpić dla jej dobra, lecz niezupełnie mógł. Z zaciśniętymi zębami i starając się podporządkować sobie własne ciało, zapewnił jednak Sal parę chwil bezgranicznej rozkoszy. Krzyknęła dokładnie w tej samej chwili, gdy nastąpił wytrysk.

William wciąż jeszcze na wpół szlochał, gdy było już po wszystkim i mógł się położyć koło niej. Nadal obejmowała go wątlými ramionami.

- Bardzo żałuję, Sal. Nie chciałem ci zrobić krzywdy. I nigdy już nie zrobię, dziewczyno.

Ona jednak uniosła głowę i niespodziewanie ucałowała go w usta.

- Dziękuję - szepnęła. - Teraz czuję się całkiem czysta. Czuję się cudownie. Strasznie pan to delikatnie robił. Pan jest najpiękniejszym mężczyzną na całym świecie, panie Stubbs.

Przygnębienie Williama ustąpiło miejsca rozbawieniu.

- No, zapomnij teraz na zawsze, coś niedawno mówiła, Sal. Nigdy więcej nie gadaj, żeś nieobyczajna i że się chcesz zabić. Teraz już z ciebie porządna dziewczyna, ładna dziewczyna i nie-

zadługo jakiś chwacki chłopak zabierze cię gdzieś daleko, gdzie będziecie żyć długo i szczęśliwie.

- Kiedy ja nikomu innemu nie pozwolę tego ze mną robić, panie Stubbs. Przenigdy. Tylko panu i nikomu innemu. Niech pan do mnie przyjdzie, jak pan tylko będzie chciał. Ja to zrobię tylko dla pana. Ja będę szczęśliwa, kiedy pan przyjdzie. Ale jak pan nie przyjdzie, też będę szczęśliwa, bo obszedł się pan ze mną tak dobrze, że się czułam naprawdę piękna i godziwa. To będą moje najszczęśliwsze chwile. - Mała, ładna dziewczynka, którą niegdyś była, znów wyjrzała z uśmiechem z jej oczu. A te oczy pełne były teraz szczęścia, ufności i uwielbienia.

- Dziewczyno - rzekł William łagodnie, chociaż czuł nieznośny ucisk w okolicach żołądka - toż ze mnie jest jeden wielki chodzący grzech.

- Nie, bo ja też pana oczyściłam, panie Stubbs. Bo ja pana kocham z całego serca. Może pan do mnie zawsze przyjdź. A ja zawsze będę czekać, żeby panu wygodzić.

- Oj, Sal, Sal. - Przytulił ją mocno, lecz w porę przypomniał sobie o swojej sile i rozluźnił uścisk. - Wiesz ty może coś o księgach, rachunkach, cyfrach i podobnych utrapieniach? Umiesz czytać?

- Ajakże - powiedziała z dumą. - Rachować też potrafię, bardzo prędko. Pani Dorkins zawsze mnie wzywała do pomocy, kiedy sobie rady nie dawała z dodawaniem.

- No to może przydasz mi się w oberży? Miała być moja, ale taki owaki Coburg ciągle gada, że muszę się na cyfrach znać. Przyjdiesz pomóc mi w rachowaniu, Sal?

- Och tak. - Uśmiechnęła się uszczęśliwiona. - I będę podawać do stołu, i sprzątać pokoje, i zmywać statki, i szorować podłogę, panie Stubbs! Tylko żeby nikt inny mnie nie tykał. Naprawdę wolno mi będzie z powrotem tam przyjdź?

- Muszę pogadać z Nigelem - rzekł, lecz zaraz się poprawił: - znaczy się z jego lordowską mością. I wiem, co jeszcze zrobię. Pójdziemy razem do kościoła i załatwimy to, jak należy, Sal. Tu jest wieś, a na wsi należy żyć obyczajnie. Niezadługo możemy tę oberżę dostać na własność i nie będziemy już wtedy byle kim, tylko majątymi ludźmi. Jeśli mnie naprawdę kochasz i z nikiem innym tego nie chcesz robić, to musisz zostać moją ślubną żoną. Nie chcę, dziewczyno, żeby cię moją dziwką przezywali. Mają do ciebie mówić grzecznie „pani Stubbs”, nie inaczej, a jak nie będą chcieli, to już ja im pokażę!

Objęła go za szyję tak mocno, że niemal się dusił, i z całej siły ucałowała go w podbródek. Płakała bezgłośnie.

- No, no, Sal - poklepał ją po plecach - nie będzie nam razem źle. Przenigdy cię nie uderzę, skoro będziesz moją prawnie poślubioną żoną, i zawsze będę się ostrożnie z tobą obchodził, zważając, żem taki wielgachny. A szorowanie podłóg i zmywanie statków zostaw służącym. Ty musisz dla mnie rachować, chyba że będziesz dawać piersi dzieciakom. Nie będzie nam źle. No, obetrzyj oczy i uśmiechnij się do mnie.

Uśmiechnęła się nadzwyczaj radośnie, nim jeszcze osuszyła oczy.

- Och, panie Stubbs - rzekła z żarliwą szczerością - mnie tam będzie jak w niebie.

- Lepiej mów mi „Will”.

- O tak, panie Stubbs!

Nigel wezwał Kasandrę do siebie następnego dnia rano. Polecił jej, by wzięła kapelusz, bo pójda na przechadzkę.

Nie odwiedziła jego sypialni ostatniej nocy. W gruncie rzeczy był z tego rad, chociaż długo leżał, czekając na nią, a w pewnej chwili nawet wszedł do garderoby i o mało nie zapukał do jej drzwi. Gdyby przyszła, musieliby się kochać, a on nie zamierzał teraz komplikować sobie życia.

Kiedy pojawiła się w hallu, zauważył, że ma bladą, ściągniętą twarz i wygląda mizernie.

- Dzień dobry, milady - skłonił się przed nią. - Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby pójść na spacer?

- Owszem, milordzie.

- Zjadłaś śniadanie?

- Tak, dziękuję,

- Zdołałaś utrzymać je w żołądku?

- Tak.

- Chodźmy więc. Mam ci coś do powiedzenia.

Nie zaczął rozmowy od razu. Wspięli się na wzgórze za domem, skąd roztaczał się widok na okoliczne pola, aż po widniejące w oddali wody Kanału Bristolskiego.

Jak złowrogą siłą okazałem się w jej życiu, pomyślał, przyglądając się smukłej dłoni na mankiecie jego surduta. Była tak szczęśliwa w dniu urodzin. Odziedziczyła tytuł i posiadłość - przynajmniej tak wtedy sądziła - a wraz z pełnoletnością zyskała niezależność. Zamierzała pozostać niezamężna i udowodnić wszystkim, że kobieta może kierować własnym życiem i posiadłością, nie odwołując się do męskiego wsparcia.

Dwa tygodnie później zabrał jej posiadłość, zabrał wolność, a wreszcie zagarnął ją samą. Cierpiała, bo spodziewała się dziecka. Odebrał jej radość. Zabrał jej marzenia.



A wszystko dlatego że przez całe życie marzył, by móc nazwać Kedleston swoim domem. Pragnął zemścić się na człowieku, który haniebnie go oszukał.

Dokonał zemsty, lecz zarazem skrzywdził Kasandrę. Niczemu niewinną.

- Nie mogę zaznać spokoju, milady - zaczął. Układał sobie tę przemowę przez całą bezsenłą noc. Nie powinna wiedzieć, jakie męki przechodził. Nikt nie powinien tego wiedzieć. Stał się prawdziwym specjalistą od ukrywania cierpienia. - Czuję, że życie w Kedleston staje się nużące.

Jej usta zacisnęły się, tworząc wąską linię. Nic jednak nie powiedziała.

- Małeńskie pożycie mnie nudzi - rzekł.

- Myślę, milordzie, że pobyt na wsi i małżeństwo często nudzi mężczyzn nawykłych do bardziej ożywionego trybu życia. Nie czuję się zaskoczona.

- Jutro wracam do Londynu.

Pochyliła głowę tak gwałtownie, że mógł teraz dojrzeć spod kapelusza tylko jej usta.

- Chciałabym prosić, milordzie - mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał - by wolno mi było pozostać w Kedleston.

- Ależ milady - starał się nadać swemu głosowi ton niesłychanego zdumienia - nie miałem najmniejszego zamiaru zabierać cię ze sobą.

Ręka na jego mankiecie drgnęła nagle, lecz potem znieruchomiała.

- Dziękuję. Kiedy mogę oczekiwać twego powrotu?

- Możesz wcale na mnie nie czekać.

Spojrzała w końcu na niego. Na jej twarzy pojawił się grymas niesmaku.

- A byłam gotowa ci zaufać. Jakże sobą teraz za to gardzę.

Patrzył na nią spod wpróprzymkniętych powiek.

- Ale nie zaufałaś, milady, możesz więc nadal zachować dobre mniemanie o sobie. Wiesz teraz, że należało wierzyć ojcu, Twój mąż okazał się łajdakiem.

- Tego nie powiedziałam. Po prostu jesteś człowiekiem słabego charakteru i pozwoliłeś nienawiści osłabić go jeszcze bardziej.

- Dziękuję za tak wnikliwą analizę mojego charakteru, milady. Od dzisiejszego dnia nie będziesz dłużej musiała znosić mego uciążliwego towarzystwa. Po narodzinach dziecka będę przysyłał co miesiąc pieniądze na jego utrzymanie.

Uniosła brwi.

- Człowiek honoru winien obstawać przy tym, by łożyć na utrzymanie swojego dziecka - wyjaśnił.

- Człowiek honoru? - Jej głos był lodowaty. - Twoje ziemie, milordzie, dostarczą chyba odpowiednich środków na utrzymanie mego dziecka, chyba że zamierzasz je roztrwonić na jakieś ekscesy.

- Nie zamierzam, na Boga. Prócz Kedleston nie mam żadnej posiadłości. Moją odebrano mi, odkąd popadłem w niełaskę, a wolałem nie podważać wątpliwych zabiegów prawnych, które to umożliwiły. Tę drugą zaś odsprzedałem.

- Co takiego?! - Zatrzymała się nagle i zbladła tak bardzo, że rzucił się szybko, by ją podtrzymać. Odepchnęła go i cofnęła się o krok.

- Sprzedałem Kedleston, milady - rzekł i złożył jej ukłon. - Już do mnie nie należy.

Zachwiała się, lecz gwałtownie cofnęła dłonie, gdy ponownie chciał ją podtrzymać.

- Coś ty powiedział? - Wyglądała, jakby ledwie do niej docierał sens jego słów.

- Kedleston jest twój, lady Worthing - wyjaśnił. - Gratuluję! - dodał z ironią.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała szeptem.

Dlatego że cię oszukałem. Dlatego że cię kocham. Dlatego że umarłbym dla ciebie i pewnie znajdę jakiś sposób, żeby to wkrótce zrobić, pomyślał, a głośno rzekł:

- Po prostu bawiło mnie, że był przez jakiś czas mój, i że moja była także córka hrabiego Worthinga. Ale znudziłem się i jednym, i drugim.

- Nie możesz się mnie tak łatwo pozbyć.

Uśmiechnął się.

- I wcale nie zamierzam. Ale małżeństwo mnie nudzi. Już nigdy nie będę bawić się w żeniaczkę, skoro raz spróbowałem. Uważam jednak, iż oddałem ci cenną przysługę. Pewnie nigdy nie wyszłabyś za mąż, gdybym tu nie przybył, nie uwiódł cię i nie poślubił. Teraz zaś masz i tytuł, i posiadłość, a wkrótce będziesz miała również dziecko, jej dziedzica. Nieważne, syna czy córkę. Byle się urodziło.

Patrzyła na niego przez długą chwilę z nieodgadnioną twarzą. Po raz setny chyba zastanawiał się, czemu przyszła do niego przedwczoraj w nocy. Odpowiedź na to pytanie mogła wszystko zmienić.

Czy jednak na pewno?

Przecież dokonała wyboru. Postanowiła zaufać ojcu, bo ojca kochała, a jego nie. Sama mu to powiedziała jasno i wyraźnie. W końcu nie miała za co go kochać.

Nie, nie okaże słabości. Nie teraz. Ukrywanie najmniejszych nawet słabości stało się jego drugą naturą.

- Możesz w spokoju cieszyć się wszystkim, co masz, milady. A ja... ja będę się radować, żyjąc gdzie indziej.

Zaczęła się śmiać, z początku cicho, prawie bezgłośnie, potem hałaśliwie, wręcz histerycznie. Założył ręce za siebie i unióśł brwi.

- Ach, cóż za żart - rzekła, opanowawszy się wreszcie. - Wspomniały, niesłychany żart! A więc opuszczam cię teraz.

Znów zaczęła się śmiać, a po chwili zebrała fałdy sukni i zaczęła zbiegać w dół. Bał się, że upadnie, lecz na szczęście nie straciła równowagi.

Stał nadal w tym samym miejscu, choć już dawno zniknęła mu z oczu. Jeśli nie nienawidziła go wcześniej, robi to teraz. Dokonał tego, co sobie zamierzył. Będzie lepiej, jeśli go znienawidzi. Dla nich obojga.

Westchnął ciężko i zaczął schodzić ze wzgórza.

Kasandra biegła jak szalona, nie zwalniając ani na chwilę. Czowała, że jest na krawędzi załamania nerwowego. Wszystkie myśli skupiła na tym, by znaleźć się wreszcie w swoim pokoju.

Nie zdążyła tam jednak dojść.

Gdy wpadła, kamerdyner skłonił się przed nią i oznajmił, że ktoś czeka na nią w szkarłatnym salonie. Była zbyt znękana, aby pytać, kim jest przybysz. W pierwszym odruchu chciała prosić Dextera, by powiedział, że nie ma jej w domu i nieprędko wróci. Poniechała nawet i tego. Nie da się dłużej ukrywać prawdy przed sąsiadami. Weszła do salonu i zobaczyła mężczyznę, który wyglądał przez okno.

Gdy odwrócił się, oniemiała. To był Nigel.

Ale przecież kilka minut temu zostawiła go na wzgórzu, ubranego zupełnie inaczej.

Nie, to nie może być Nigel.

## ROZDZIAŁ 24

Czy mam przyjemność z hrabiną Worthing? - spytał mężczyzna.

- Kim pan jest? - zdołała wyszeptać. Znała jednak odpowiedź, nim jeszcze zaczął mówić. Oczywiście, że znała. Napisała do niego.

- Bruce Wetherby, do usług, milady - rzekł, składając jej głębokoki ukłon.

Brat Nigela. Napisała do niego, kiedy wysłała Robina po raz drugi do Londynu. Prawie o tym zapomniała. Zadała mu w liście mnóstwo pytań w nadziei, że udzieli odpowiedzi, które pomogą jej rozwikłać zagadkę, jaką był jej mąż.

Bruce był tak podobny do Nigela, że na pierwszy rzut oka nie dałoby się ich rozróżnić. A jednak dostrzegła subtelne różnice. Ten mężczyzna nosił nieskazitelny i kosztowny strój, lecz nie odznaczał się tak wyrafinowaną elegancją jak Nigel. Twarz miał zupełnie pozbawioną ironii kryjącej się w spojrzeniu Nigela, brak mu też było męskiego uroku.

- Pojmuję pani zaskoczenie - odezwał się Bruce Wetherby. - Pewnie Nigel nie powiedział, że jesteśmy bliźniakami.

Kiedyś wspomniał, że w jego rodzinie nie zdarzały się bliźnięta. A sam miał bliźniaczego brata! Pokręciła głową przecząco.

- Z listu wnoszę, że nie mówił pani zbyt wiele o naszej rodzinie.

- Prawie nic. Znam tylko imiona pana i siostry. - Przymknęła na chwilę oczy. Kiedy je otworzyła, zobaczyła, że podszedł znacznie bliżej. Patrzył na nią z wyraźną troską.

- Proszę, tu jest krzesło. Wygląda pani, jakby miała zaraz zemdleć.

- Co za podobieństwo.

- Nawet nasz pierwszy wychowawca i wielu służących nie potrafiło nas rozróżnić. - Ujął ją za ramię i podprowadził do krzesła. - Korzystaliśmy z tej okoliczności, ile się tylko dało.

Pomógł jej usiąść, a sam usiadł obok.

- Czy już pani lepiej? A może wezwać służącego, żeby posłał po pani pokojówkę?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Przyjechał pan osobiście. Nie spodziewałam się tego.

- Jest pani przecież moją bratową - rzekł łagodnie. - I choć nie napisała pani w liście wszystkiego, zrozumiałem, że coś się nie klei w waszym małżeństwie. Moja żona miała podobne wrażenie. W czym mógłbym być pomocny?

Patrzyła na Bruce'a i dziwiła się, że choć przez chwilę mogła pomylić go z Nigelem. Czy Nigel kiedykolwiek patrzył w sposób tak otwarty, czy miał tak spokojną twarz mimo autentycznej troski w oczach?

- Czemu nie okazał mu pan wsparcia? Czemu odsunął się pan od niego i wyzuł z ojcowizny?

Spuścił oczy i przez chwilę milczał.

- Brat, jak sądzę, nie powiedział pani prawdy o sobie? - spytał wreszcie.

- Nie.

- Nie wiedziała pani, że hrabiemu Worthingowi, pani ojcu, zabrał posiadłość?

- Nie.

- A o jego... kryminalnej przeszłości? • •

- Nic nie wiedziałam.

- W takim razie szczerze żałuję, że nie mogłem się z panią porozumieć. Mógłbym wszystkiemu zapobiec. Musi pani być głęboko nieszczęśliwa. Proszę mi pozwolić, bym coś dla pani zrobił. Proszę pojechać ze mną do Dunbar Abbey. Moja żona i siostra powitają panią z radością. Moje dzieci również.

- Panie Wetherby, Nigel jest moim mężem. Spodziewam się dziecka. Kedleston to mój dom.

Odchylił się do tyłu w krzesło.

- Oczywiście. W takim razie przepraszam. Przypuszczałem, że jest pani w rozterce.

- Myślał pan, że on mnie maltretuje?

- Jeśli poprawił się na tyle, by traktować żonę z oddaniem, wrócę do domu o wiele szczęśliwszy, niż byłem przed wyjazdem. - Odwrócił głowę, lecz nie na tyle szybko, by Kasandra nie dostrzegła łez w jego oczach.

Z oddaniem. Nigel zwrócił jej Kedleston i wolność, bo znudził się i majątkiem, i nią. Zostawił ją i nigdy nie wróci.

Utraciła wszystko. Wszystko prócz dziecka w jej łonie. Pewnie niedługo z chęcią pojedzie do Dunbar Abbey w hrabstwie Lincoln, żeby tam żyć razem z rodziną Nigela. Jako osoba zależna od nich, choć Nigel chciał łożyć na utrzymanie dziecka. Wspomniała o tym z goryczą.

- Nie odpowiedział pan na moje pytania, panie Wetherby.

- Niewątpliwie słyszała już pani tyle złego o moim bra... o Wroxleyu, że starczy tego na całe życie, milady. Sądząc z pani listu, wie pani coś niecoś o jego przestępstwie i... i o karze.

- Tak. Odkryłam ślady po chłóście na jego plecach podczas... podczas nocy poślubnej.

- Śladypo... och, dobry Boże! - Znów ujrzała łzy w jego oczach, nim zerwał się z krzesła i podszedł ponownie ku oknu, stając tyłem do niej. - Zrobił wszystko, by się od nas odwrócić. Wzgardził naszymi zasadami. Odziedziczył tytuł i Dunbar, gdy mieliśmy ledwie po siedemnaście lat. Zawsze był niespokojnym

duchem. Zawsze obchodzono się z nim surowiej niż ze mną. Brał sroższe ciągi, wysłuchiwał dłuższych reprimend. Ojciec poświęcał mu dużo więcej czasu niż mnie. Nigel zawsze mawiał, że właśnie ja winienem zostać wicehrabią i panem Dunbar, bo znacznie lepiej się do tego nadaję. Nie było to prawdą, a może ja tylko sądziłem, że tak nie jest. W końcu cały ciężar spoczął na jego barkach.

Zamilkł, Kasandra zaś nie zadawała żadnych pytań.

- Wyruszył do Londynu - podjął po długiej chwili. - Ja zostałem w Dunbar, próbując rozstrzygnąć, co począć z moim życiem. Nigel szedł na złą drogę. Zaczęły nas dochodzić słuchy o najróżniejszych wybrykach, jakich się niekiedy dopuszczają młodzieńcy. Karty, hulanki, rozpus... ach, proszę mi wybaczyć. Martwiłem się nie bez powodu! Sądziłem jednak, iż znam mego brata, i nie spodziewałem się po nim jawnie haniebnego postępku. Tymczasem, po długim, a zatrważającym braku wiadomości, usłyszeliśmy, co się stało. Oszustwo karciane to już coś bardzo złego. Coś, po czym dżentelmen na zawsze traci dobre imię. Ale kradzież...

Znów zapadło milczenie. Bruce wsparł dłonie na parapecie i pochylił głowę.

- Zataił swoją tożsamość - rzekł wreszcie. - Nie mam pojęcia, jakim sposobem, skoro wszyscy świadkowie musieli wiedzieć, kim był. Mogliśmy coś dla niego uczynić, gdybyśmy tylko zdołali dowiedzieć się w porę wszystkiego. Moglibyśmy postarać się choćby o złagodzenie wyroku. Może udałoby się zamienić go na banicję. Poszedłbym na wygnanie razem z nim. O nic nas jednak nie poprosił. Może czuł wstyd. Zawsze wolałem myśleć, że tak właśnie było. Z trudem mi jednak przyszło w to wierzyć, gdy wreszcie przyjechałem do Londynu i dowiedziałem się o wszystkim. Już go zesłano. Dopiero wtedy poznaliśmy całą prawdę.

Sprzedał część rodzinnych klejnotów. Akurat te, które ze względów uczuciowych ceniliśmy najbardziej. Szydził z mojego statecznego zachowania w obecności swych przyjaciół, zwłaszcza z tego, że pochlebstwami udało mu się mnie nakłonić, bym został rządcą Dunbar bez żadnego wynagrodzenia. Drobną rzeczą, ale dokuczyła mi dotkliwie. Był wszak moim ukochanym bratem. A jednak za jego staraniem na piętnastych urodzinach naszej siostry, Barbary, obchodzonych bardzo uroczysto, pojawił się jeden z najbardziej osławionych w Anglii rozpustników. Mieliśmy też sprzedać Dunbar. Mówiłem już z prawnikiem, który przygotował stosowne papiery. Była też pewna młoda dama, oso-

ba dobrze urodzona, której mój brat wbrew jej woli zrujnował życie. Oczekiwała jego dziecka. Nigdy się nie zdobyłem na złożenie jej wizyty, choć miałem taki zamiar.

Kasandra przycisnęła ręce do łona. Czuła, że wbija paznokcie w dłonie, prawie do krwi.

- Teraz wie pani już wszystko - rzekł Bruce po kolejnej chwili głuchej ciszy. - Nękały mnie gniew, bezradność, przygnębienie. Myślałem, że z żalu postradam zmysły. On był... on był jakby moją drugą połową. Chłodny rozum zawsze jednak przeważał nad najsilniejszym nawet uczuciem. Radziłem się najlepszych prawników w całej Anglii, co jednak skończyło się żałością. Gdybym bowiem nie odebrał Dunbar Wroxleyowi, pewnie by nie zapragnął tak gorąco Kedleston i nie okrył się jeszcze większą hańbą, wygrywając go od pani ojca i zarazem dokonując zemsty, do jakiej sprawiedliwość i uczciwość nie dawały mu prawa.

- Pan go kocha - powiedziała Kasandra, nie dbając o rozsądek.

Bruce zaśmiał się, lecz nie był to wesoły śmiech.

- Ja go kochałem. Podobnego człowieka nie sposób jednak miłować. Proszę o wybaczenie bratową, może pani sądzi inaczej.

- Był niewinny.

- Spodziewałem się takich słów - rzekł łagodnie. - Spodziewałem się, że pani mu uwierzy. Jest pani jego żoną. A także moją bratową. Czy mogę pani oddać jakąś przysługę? Lękam się bowiem, iż źle się pani przysłużyłem, mówiąc to wszystko, chociaż na pani własną prośbę. - Uśmiechnął się niepewnie. - Nie powinienem tu dłużej pozostawać. Proszę mi jednak powiedzieć, czy mógłbym coś dla pani zrobić, i proszę pisywać do mnie od czasu do czasu, gdyby pani potrzebowała brata lub siostry.

- Bardzo to miłe z pana strony..., Czy w waszej rodzinie były inne bliźnięta?

- Ostatnimi czasy nie, lecz w poprzednich pokoleniach owszem. Ze strony babki naszego ojca. Zdarzało się to rzadko, a zawsze chodziło o synów, w dodatku pierworodnych - cóż za przedziwny zbieg okoliczności! Zapewne wielu z młodszych braci, tych urodzonych parę minut później, czuje rozgoryczenie. Ja nigdy. Kochałem Nigela, lecz widziałem też, jak dotkliwie ciąży mu brzemień starszeństwa. Próbowałem mu pomóc, zawsze chciałem być u jego boku. Powinienem być pojechać do Londynu razem z nim.

- Nie był pan przecież stróżem swego brata. Pańskie...

Nie zdołała dokończyć zdania, bo drzwi otworzyły się, a potem zamknęły cicho za Nigelem.

Wygląda tak elegancko i wytwornie, jakby dopiero co wyszedł z garderoby, przemknęło jej przez myśl. Z jedną brwią uniesioną i z monoklem przy oku prezentował się też wyjątkowo arogancko i cynicznie.

- Na Boga - rzekł głosem pełnym znudzenia - toż to szanowny Bruce Wetherby we własnej osobie. No proszę, mój brat! Czy wolno mi spytać, co robisz w Kedleston? Jak sądzę, moja żona posłała po ciebie.

- Pani hrabina napisała mi, że cię poślubiła. - Bruce zbladł. - Przybyłem złożyć jej wyrazy uszanowania. Właśnie się z nią żegnałem, gdy przerwałeś nam rozmowę.

Jakże są podobni, a jednocześnie najzupełniej odmienni, pomyślała Kasandra. Kiedyś musieli być nie do odróżnienia. I nierozłączni. Przed wyjazdem do Londynu. Przed fatalnym spotkaniem Nigela z jej ojcem. Spotkaniem dwóch różnych bliźniaków, z których każdy był jednak tym starszym.

Fatalne spotkanie. Czuła, że kręci jej się w głowie.

- Pan Bruce Wetherby zostanie w mojej posiadłości nieco dłużej, milordzie - odezwała się. - Ty również. Obaj zostanieie w tym pokoju, a ja z niego wyjdę. Nadszedł czas, byście znowu stanęli twarzą w twarz. Po prawie dziesięciu latach.

Wybiegła z salonu, lecz obejrzała się, nim zamknęła drzwi. Bruce ponownie odwrócił się ku oknu. Nigel patrzył za nią, najzupełniej zaskoczony.

- Jeśli zechcesz się potem ze mną zobaczyć, milordzie, znajdziesz mnie nad sadzawką - rzekła i zatrzasnęła drzwi.

Sadzawka była teraz jedynym właściwym dla niej miejscem. Dusiłaby się w pokojach. Musiała pójść właśnie tam.

Byli nie tylko braćmi, ale i bhźniakami. A utrata bliźniaczego brata była bardziej dotkliwa niż utrata matki i ojca, czy nawet młodszego braciszka, zmarłego w wieku lat pięciu, gdy oni mieli ich po siedem. Była niczym amputacja części ciała i duszy.

Podobno po amputacji czuje się ból odjętych członków, jakby wciąż jeszcze pozostawały na swoim miejscu.

- Miło mi się dowiedzieć, Bruce - rzekł Nigel, sadowiac się na krzesło, z którego dopiero co wstała Kasandra - że wreszcie odpowiadasz na jakieś listy.

- Za to właśnie najbardziej tobą gardzę, Wroxley. - Bruce nadal patrzył w okno. - Zabrałeś tej kobiecie należną jej z prawa własność i uwikłałeś ją w małżeństwo z szubrawcem.

- Nie powiedziała ci? Padłem ofiarą gwałtownych wyrzutów sumienia i zwróciłem jej zarówno posiadłość, jak i wolność. Gdy-



byś przyjechał jutro, to, na moją duszę, przekonałbyś się, że ustąpiłem z pola walki.

Bruce odwrócił głowę ku niemu.

- Wyjeżdżasz? - spytał głosem pełnym pogardy. - Spłodziłeś z nią dziecko i teraz ją zostawiasz?

- Ach, więc powiadomiła cię, że zaznam wkrótce radości ojcostwa. Pewnie z całego serca pragniesz, aby to nie był chłopiec. Pospiesz się i sam ożeń, abyś mógł płodzić własnych synów. Dunbar Abbey i tytuł powinny wszak zyskać dziedzica. Musisz być bardzo rozczarowany odkryciem, że kolonie, ciężkie roboty i galery nie zdołały mnie zabić.

W pokoju zaległa pełna wrogości cisza.

- Ożeniłem się pięć lat temu - rzekł wreszcie Bruce. - Mamy z Charlottą troje dzieci - dwóch synów i córkę.

- Nie miałem pojęcia, że tak gorąco pragniesz wszystkiego, co utraciłeś, rodząc się pół godziny później. Byłem młody i na tyle naiwny, by nie martwić się zbytnio, kiedy przyszło mi gnść w więzieniu. Powtarzałem sobie i każdemu, kto chciał mnie słuchać, że Bruce wkrótce się zjawi i wszystko załatwi, jak należy. Bruce, lepsza połowa samego mnie, Bruce, cudotwórca! Kiedy mnie sądzono, wyczekiwałem twego przybycia z nieznacznie tylko nadwątloną ufnością. Gdy już mnie wleczono w kajdanach, wciąż miałem nadzieję, że przyjedziesz, by mnie ratować. Nawet na statku galernicznym, głęboko pod pokładem, nadsłuchiwałem, czy się nie zbliżasz. Młodzi ludzie nie powinni sobie pozwalać na tak głupią naiwność.

- Nie jestem cudotwórcą! Jak mogłem przyjechać, skoro o niczym nie wiedziałem?! Jak mogłem cię ratować, skoro nie wzywałeś pomocy? Dlaczego nie wysłałeś nikogo z wiadomością? Nie pozwolili ci pisać?

- Aniechże cię! Pisywałem codziennie. Za sowitą opłatą, rzecz jasna. Zapewniali mnie, że wyślą listy. Obiecywali...

Bruce znów odwrócił głowę i tym razem obydwaj spojrzeli sobie w oczy.

- Jacy „oni”? - spytał.

- Moi przyjaciele - odparł Nigel.

- Przyjaciele... - rzekł powoli Bruce. - Nie dostałem ani jednego listu!

Wciąż jeszcze cierpię z powodu własnej naiwności, pomyślał Nigel. Nigdy dotąd nie brał czegoś takiego pod uwagę. Byli jego przyjaciółmi. Ale Bruce był jego bratem. Bliźniaczym bratem.

- Pisałeś? - spytał Bruce zduszonym głosem.

Nigel zaśmiał się.

- Sam byłeś jeszcze chłopcem, kiedy to się stało. Nie zdołał-  
byś mi pomóc.

- Czy byłeś winien? Twoja żona mówi, że nie.

- Naprawdę? Na Jowisza! - Czyżby grzecznościowe kłamstwo  
na znak solidarności z mężem? - pomyślał. - Zresztą to już nie  
ma znaczenia, czy byłem winien, czy nie. Dowody świadczyły  
przeciwko mnie. Wydano więc wyrok.

- Owszem, ma znaczenie. - Głos Bruce'a był pełen determi-  
nacji.

Nigel spojrział na brata z zaskoczeniem.

- No dobrze. Jeśli to dla ciebie takie ważne, powiem ci. Zawini-  
łem tylko młodzieńczą głupotą. Miałem przyjaciół, równie mło-  
dych i równie głupich jak ja sam, a porzuciłem ich dla szajki star-  
szych i sprytniejszych. Oni sprawili, że poczułem się jak król  
świata. Znalazłem się wtedy bliżej piekła, niż myślałem. Spłata-  
li mi szatańskiego figła. Pewnie wciąż się jeszcze z tego śmieją.  
Worthing był, rzecz jasna, jednym z nich.

- Byłeś niewinny? Jak to możliwe?

Nigel wzruszył ramionami.

- Wzięto mnie podstępem. O wiele gruntowniej, niż sobie do  
tej pory uświadamiałem. A prócz tego niezwykle skutecznie.

- Ale kto to zrobił? Worthing? Dlaczego?

Nigel pokiwał głową.

- Byłem młody i niedoświadczony. Zapewne sprawiało im sa-  
tisfakcję niszczenie młodych, głupich chłopców. Kto wie, może  
nie byłem ich jedyną ofiarą. Wiem tylko tyle, że to się stało i że  
przeżyłem. Mogłem jedynie biadać i knuć zemstę. Z pewnością  
nie spodziewali się, że przeżyję. Wiele dałbym za to, by zoba-  
czyć gębę Worthinga, kiedy się dowiedział, że wróciłem.

- Czemu sprzedałeś klejnoty po mamie?

- Klejnoty po mamie?

- Dlaczego zamierzałeś sprzedać Dunbar?

- Co takiego?! - Nigel spojrział na brata ze zdumieniem.

- Och, dobry Boże! - zawołał Bruce. - A więc to była część  
ich planu! Nie zrobiłeś ani jednego, ani drugiego, prawda? No  
i nie uczyniłeś brzemienną panną Hickmore. Pewnie wcale nie  
zaszła w ciążę!

- Kim, u diabła, była panna Hickmore?

- Pewnie nigdy nie istniała. - Bruce przymknął oczy. - Pokaż  
mi ślady po biczowaniu.

- O tym też ci powiedziała? Zapomnij o nich. Owszem, mam je dotąd na plecach.

- Nigelu. - Bruce podszedł bliżej. - Pokaż mi je. Do diabła, pokaż. - Oczywiście miał pełne łez.

- Lepiej tego nie rób. Byliśmy parą niemądrych, niewinnych chłopców. I ty, i ja. •

- Pokaż je - powtórzył Bruce.

Nigel wstał, zdjął surdut, kamizelkę i koszulę, a potem odwrócił się tyłem. Zapadła długa cisza. Wreszcie poczuł, że dwie dłonie dotknęły pleców, a potem usłyszał głośny szloch.

- A wszystko to działo się wtedy - mówił Bruce urywanym głosem - kiedy oderwano mnie od ciebie, kiedy ożeniłem się z Charlottą, kiedy płodziłem dzieci, kiedy śmiałem się, jeździłem konno i tańczyłem. A gdy wróciłeś i poszedłeś odwiedzić Barbarę, zabroniłem jej się z tobą widywać i przesłałem ci wiadomość, byś trzymał się od nas z daleka.

- Zrobiłeś to, co i ja bym zrobił na twoim miejscu - rzekł Nigel, wciągając koszulę przez głowę.

- Nie - zaprzeczył Bruce. - Nie zrobiłbyś tego. Zawsze byłem dumny, że kieruję się rozumem. Ty kierowałeś się sercem. Nigdy byś się mnie nie wyrzekł.

- Ale zrobiłem to. Nie dalej niż pół godziny temu kazałem ci opuścić Kedłeston.

- Gdyby twoja żona nie zmusiła nas do rozmowy...

- Zrobiła to jednak. - Nigel spojrzał na brata. - Zdołałem przeżyć, lecz jakaś część mnie obumarła. Może powróci do życia.

Padli sobie w objęcia.

- To Charlotta namówiła mnie, żebym przyjechał, zamiast pisać list - powiedział Bruce, gdy znów stanęli naprzeciw siebie. - Nalegała, bym zobaczył się z twoją żoną i zaofiarował jej pomoc. Ale chciała też, żebym zobaczył się z tobą. Mówiła, że muszę z tobą pomówić. „Cokolwiek zrobił - rzekła - nie możesz żyć bez niego”. Nie chciałem się z tobą widzieć, ale ona strasznie by mnie nękała, gdybym tego nie zrobił.

- Chciałbym ją poznać. Twoje dzieci też. No i Barbarę.

- Zobaczysz wszystkich - zapewnił go Bruce, odmłodniały nagle i rozpogodzony - Już niedługo. Musisz przyjechać do Dunbar z lady Wroxley - przepraszam, lady Worthing - oczywiście, jeśli może podróżować. Jeśli zaś nie, wszyscy przyjedziemy tutaj. Chcemy...

- Zapomniałeś, że jutro już mnie tu nie będzie. Zostawiam i Kedłeston, i żonę.

Brat spojrział na niego w zdumiony.

- Nie wolno ci tego robić. Nigdy więcej.

- Poznałem cię na nowo - rzekł Nigel - i zrozumiałem, że mnie nie zdradziłeś. Ty zaś rozumiałeś, że nie utraciłem czci. Lecz ze mną i z Kasandrą to zupełnie inna sprawa.

- Ależ Nigelu, przecież to twoja żona. Jest prześliczną, uroczą istotą... no i córką Worthinga. Czy o to chodzi? Czy widzisz tylko Worthinga i swoją nienawiść do niego, gdy patrzysz na jego córkę?

- Znużył mnie i Kedleston, i ona. Wyjeżdżam.

Buce spojrział bratu w oczy.

- To ta twoja stara sztuczka ze spojrzeniem. Próbowałem je naśladować, ale każdy mi wtedy mówił, że robię zeza. Spójrz mi w oczy i wtedy powiedz, że się nią znudziłeś.

- Do diaska, Bruce - głos Nigela znów zabrzmiał lodowato - czy chcesz mnie jeszcze raz nazwać łgarzem?

- Dlaczego odjeżdżasz?

- Wyjaśniłem ci...

- Nie - zaproponował Bruce - nie wyjaśniłeś. Dlaczego chcesz odjechać?

Nigel westchnął.

- Zabrałem jej wszystko. Wszystko, Bruce, nawet ciało. Jak strasznie musi się czuć, wiedząc, że nosi w sobie moje dziecko. To córka Worthinga. Kochała go. Nie potrafi uwierzyć w jego podłość, musi więc uwierzyć w moją. Nie mogę zwrócić jej wolności ani wydrzeć nienarodzonego jeszcze dziecka. Mogę jednak dołożyć wszelkich starań, żeby zwrócić jej to, co zabrałem.

- Przecież powiedziała mi - przypomniał Bruce - że jesteś niewinny.

- Chciała być lojalna względem męża wobec osób trzecich.

- Mówiła przecież z twoim bliźniaczym bratem. Może ona nie chce, żebyś odjeżdżał? Może ma więcej siły charakteru niż my obaj razem? Może cię kocha i nie dba o resztę? Może pragnie, żeby dziecko miało ojca? Może po prostu chce, byś tu został? Pytałeś ją o to? Dałeś jej możliwość wyboru?

- Nie dałem jej żadnego wyboru, kiedy się z nią żeniłem. Ona kocha człowieka, którego udawałem. Wciąż jest młoda i niewinna. Muszę jej to jakoś wynagrodzić.

- Karząc samego siebie? Znowu? Może tym razem powinieś dać jej jakiś wybór?

Nigel przymknął oczy.

- A jeżeli mnie nie zechce? Jeśli powie, że woli, bym wyjechał?

- Wtedy wyjedziesz, co skądinąd zamierzasz zrobić.

Nigel spojrział na brata ponuro. Gdyby wyjechał, nie pytając jej o zdanie, nie miałyby przynajmniej pewności, że go nie chce. Zachowałyby szczątki swego wewnętrznego opancerzenia. Nie byłby wystawiony na ryzyko bólu, który nawet po tym, co przyszło mu już wycierpieć, okazałyby się nie do zniesienia.

- Dobry Boże - jęknął Bruce - toż ty ją kochasz! Czy sądzisz, że nie potrafię czytać w twoich myślach, bo nie widziałem cię przez ostatnich dziesięć lat? Idź i zdobądź ją!

- Zostaniesz tutaj? - spytał Nigel. - Chyba nie znikniesz nagle na następnych dziesięć lat?

- Zostanę - zapewnił Bruce. - Niech ten wasz kamerdyner pokaże mi, którędy się idzie do gościnnego pokoju. Biedaczysko! Oczy mu prawie na wierzch wylazły, kiedy mnie zobaczył. No, idź! Ja mogę poczekać godzinę, dwie, a nawet cztery czy pięć. Mówiła, że będzie nad jakąś sadzawką. Nie powiedziałyby tego, gdyby nie chciała cię więcej widzieć. Czy ładnie jest nad tą sadzawką? - spytał z uśmiechem.

- To najpiękniejsze i najbardziej romantyczne miejsce na świecie - odparł Nigel.

Bruce uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy Nigel wyszedł z pokoju.

## ROZDZIAŁ 25

Siedziała na tym samym pnium, na którym usiadła, gdy się jej oświadczył. Patrzyła poza sadzawkę, w stronę wodospadu. Słomkowy kapelusz leżał na trawie u jej stóp. Cała scena była wręcz wymarzoną tematem dla malarza.

W scenie tej nie było jednak miejsca dla niego.

Zdawała się nie słyszeć jego nadejścia. Nie odwróciła głowy ani w żaden inny sposób nie dała do zrozumienia, że wie, iż nie jest już sama.

To było jej miejsce, gdzie lubiła przebywać w samotności.

Najwyraźniej wszystkim naokoło udało się osiągnąć szczęście. Barr-Hampton wreszcie przejrzał na oczy i zrozumiał, jaki skarb miał tuż koło siebie. Patience zdobyła męczyznę swego życia. Mieli się pobrać za miesiąc.

Dzień wcześniej Will Stubbs poślubił małą podkuchenną, którą kiedyś uratował z opresji w oberży. Była mizerną, żałośnie

pospolitą, bladą istotą o pozbawionej kobiecych wdzięków figurze. Harówka i wymuszony seks wyzuły ją z wszelkiego powabu. Ale miłość pokonała wszystkie przeszkody i istotnie okazała się ślepa. A była naprawdę wielka. Will był nią tak przepełniony, że niemal pękał od jej nadmiaru. Kiedy zaś przyprowadził swoją oblubienicę tego ranka do biblioteki, by ją przedstawić przyjacielowi, spuściła w przerażeniu głowę i dopiero na prośbę Willa podniosła ją, by spojrzeć mężowi w oczy. Nigel nigdy jeszcze nie widział oczu tak pełnych uwielbienia, ufności i prawdziwego piękna. To była doprawdy niezwykła chwila.

Dla Nigela była to również chwila dojmująco bolesna, choć szczerze się cieszył ze szczęścia przyjaciela.

Ale on też otrzymał dziś swoją miarę szczęścia, i to niemałą. Odzyskał brata bliźniaka i żaden cień nie miał już odtąd mącić ich przyjaźni. Było to szczęście najzupełniej niespodziewane, tym bardziej więc cenne.

Niewiele jednak dla niego znaczyło w chwili, gdy stał na skraju polany przy sadzawce, wsparty o pień drzewa. Polaną zalewało światło słoneczne. On stał w cieniu. Najwyraźniej słońce nie było dla niego, podobnie jak spokój i piękno sceny przed jego oczami.

Podobnie jak kobieta w centrum tej sceny.

Nie wiedział, co jej ma rzec. Wszystko zostało powiedziane już wcześniej na wzgórzu. Oczywiście nie mówił wówczas szczerze, ale nie był pewien, czy coś odwrotnego mogłoby się dobrze przysłużyć im obojgu.

Wreszcie się poruszyła. Pochyliła głowę, by oprzeć czoło na kolanach. Niemal w tym samym momencie coś obudziło jej czujność. Uniosła twarz i zwróciła ją gwałtownie w jego stronę.

Nie poruszył się.

Wstała więc i podeszła ku niemu. Z całą świadomością chciał utrwalić w pamięci jej kształty, jej twarz. Próbował ją sobie wyobrazić razem z dzieckiem. Nigdy nie zobaczy tego na własne oczy. Przymknął powieki.

- Czemu skłamałeś? - spytała. Uniósł brwi na znak zdziwienia. - O tym, że nie było bliźniąt w twojej rodzinie.

- Mego brata traktowałem wówczas jak zmarłego. Nie miałem więc ochoty ujawniać tego, że sam jestem bliźniakiem.

- Jak poznałeś mego ojca? Czy przypadkowo?

- Niezupełnie. Kiedy dowiedziałem się, że bawi w mieście, zadałem sobie sporo trudu, by uzyskać jego zaproszenie i wyjaśnić mu, kim jestem.

- A kim jesteś?

- Czy jeszcze się nie domyślasz? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Przecież wiesz choćby to, że jestem bliźniakiem. Jesteśmy dalekimi krewnymi. Bardzo dalekimi, nie musisz się więc lękać, że twoje dziecko urodzi się z zajęczą wargą, zniekształconym uchem lub że będzie upośledzone umysłowo. Ścisłe mówiąc, mamy wspólnego prapradziadka. - Popatrzył jej w oczy i głęboko zaczerpnął tchu. - To właśnie było jednym z powodów mego zainteresowania galerią portretów rodzinnych.

- Więc mój ojciec był z tobą spokrewniony? Skąd o tym wiedziałeś? Trzeba chyba wytrwale badać drzewa genealogiczne, żeby dowiedzieć się czegoś podobnego po tak długim czasie. Skąd wiedziałeś?

Uśmiechnął się.

- Lepiej nie pytaj, bo gdy odpowiem, uznasz moje motywy za jeszcze bardziej złowrogie.

- Chcę wiedzieć.

Powiedziała to ostro, a gdy uniosła ręce, spostrzegł, że dłonie ma zaciśnięte w pięści. Trzymała je przez chwilę w tej pozycji, jakby chciała go uderzyć. Po chwili jednak opadły bezwładnie.

- Muszę wiedzieć. Powiedz mi. Muszę to wiedzieć!

Milczał. Nie potrafił wyznać prawdy.

Spojrzała jednak na niego.

- Powiedz mi - szepnęła.

- To stara historia - zaczął - dotycząca rodziny mojej babki. Babka była jedynaczką. Jej ojciec zaś był kiedyś dziedzicem hrabiów Worthing, starszym z bliźniąt. Gdy dorósł, utracił pierworództwo, bo nagle odkryto, choć w dość podejrzanych okolicznościach, że w istocie starszy był jego brat. Oznaczało to, że potomkowie mojej babki są dziedzicami tytułu hrabiowskiego. Podobnego roszczenia nie dałoby się udowodnić, zawsze jednak marzyłem, iż Kedleston będzie kiedyś należał do mnie. A gdy jako dziewiętnastolatek przybyłem do Londynu, dowiedziałem się, że hrabia Worthing jest w stolicy. Bardzo mnie to poruszyło.

- Opowiedziałeś mi o wszystkim?

- O tak, z wielkim przejęciem. Pamiętam, jak żartowaliśmy, że mógłbym się upomnieć o należne mi prawa, pozbawiając schedy i jego samego, i jego córkę.

- I nie miałeś najmniejszego pojęcia, dlaczego zadał sobie tyle trudu, by cię zniszczyć? Dlaczego nie dbał o honor, wszelką przyzwoitość, byle tylko się ciebie pozbyć?

Spojrzał na nią uważniej. Czy naprawdę uwierzyła, że jej ojciec postąpił niegodnie, a on był tylko ofiarą?

- Może uwierzył w moją historię? - rzekł z bladym uśmiechem. - Ale myślę, że nie, Kasandro. Nie, nigdy nie potrafimy wyjaśnić, jak się to stało.

Sięgnęła pomiędzy fałdy sukni i wyjęła z kieszeni złożoną kartkę. Był to list, który tak ją niedawno przygnębił. Podała mu go, nie patrząc.

- Chcę, żebyś to przeczytał. Paczuska, o której się tu wspomina, leży bezpiecznie w moim pokoju.

Popatrzył na nią, lecz nie podniosła na niego oczu. Była bardzo blada. Odwróciła się i odeszła parę kroków dalej, prawie pod wodospad. Usiadła na porośniętym trawą brzegu.

Nigel rozłożył kartkę i zaczął czytać.

Domyśliła się prawdy już w chwili, gdy ujrzała Bruce'a. Może było to z jej strony niemądre? W końcu na świecie żyją tysiące bliźniaków. A jednak była pewna. Potrzebowała tylko odpowiedzi na kilka pytań potwierdzających to, co już wiedziała.

Ciągle jeszcze patrzyła w inną stronę, gdy Nigel podszedł i usiadł obok niej na trawie.

- Musisz zniszczyć ten list - rzekł po chwili milczenia.

Zaśmiała się.

- A więc wiesz już wszystko. Teraz rozumiesz, czemu ojciec to zrobił. Doskonale się orientował, że tylko ty znasz prawdę. Powiedziałaś mu oczywiście, że posiadłość winna być przekazana prawowitemu dziedzicowi?

- Chyba tak. Przestań go nienawidzić, Kasandro. Przecież chodziło mu o twoje bezpieczeństwo i twoją przyszłość.

- Ale wiedział również, że i ja otrzymam ten list! Nie potrafił zrezygnować z życia, do jakiego przywykł, przekonał więc samego siebie, że postępuje słusznie, że już za późno, by naprawić stary błąd. A kiedy już uśpił sumienie, gotów był robić najokropniejsze rzeczy, byle tylko zachować to, co wcale nie należało do niego.

- Nie możesz przeniknąć jego myśli. Nie powinnaś więc tak surowo go osądzać. Powinnaś go nadal kochać.

Nie zastanowiła się nawet, dlaczego nagle zaczął bronić ojca.

- Wiem, uległam tej samej pokusie. Przekonałam się, jaka jest potężna.

- Kedleston jest twój. Tytuł też. Ja niczego nie chcę. Zniszcz list i zapomnij o nim. Jutro wyjadę. Jeśli nie będziesz chciała



dziecka, zabiorę je później. Wtedy wreszcie zapomnisz, że mnie kiedykolwiek spotkałaś.

Prawie to samo powiedział jej już na wzgórzu. Teraz posunął się tylko o krok dalej. Zadeklarował, że jest gotów zabrać dziecko. Mówił jednak w zupełnie inny sposób, już nie aroganckim, pozornie znudzonym tonem, lecz łagodnie i czule.

Położyła głowę na kolanach.

- Poleciałam panu Croftowi, żeby cię odszukał - zaczęła. - Ciebie, potomka podstępnie oszukanego człowieka, ciebie, prawowitego dziedzica. Nie wiem, jakich prawnych zabiegów to wymaga. Nawet Croft nie wiedział. Nadałam jednak bieg sprawie i już się nie wycofam.

- Zrobiłaś to, nie wiedząc jeszcze, że chodzi właśnie o mnie. Chciałaś zaryzykować utratę... wszystkiego?

- Nie chciałam - odparła - ale to jedyna rzecz, jaką mogłam zrobić. Długo się wahałam i w końcu doszłam do wniosku, że nie potrafiłabym żyć z tą świadomością, takjak mój ojciec, a jeszcze wcześniej dziadek. Nie mogłam więc zrobić nic innego. To jedyne wyjście.

- Kasandro. - Pogładził ją delikatnie po głowie. - Podziwiam cię i szanuję. Każdego dnia od naszego ślubu nabierałem coraz mocniejszego przeświadczenia, że jesteś kobietą z charakterem. Gdybym mógł uświadomić to sobie wcześniej, moja noga nie stanęłaby nigdy w Kedleston. Nie jestem godzien ucałować skraju twojej sukni.

Westchnęła. Jego słowa były bardzo miłe, ale jeszcze nie takich oczekiwała.

- Jak możesz mnie dotykać, skoro jestem jego córką? Przecież byłeś niewinny. Zupełnie niewinny. Padłeś ofiarą matactw innego człowieka. To on cię wtrącił. Boję się nawet myśleć, ile musiałeś wycierpieć. Niegodne traktowanie. Ból. Bezsilność. Rozpacz.

- To już minęło. Zdołałem przeżyć.

- Nie, nie minęło. - Uniosła głowę. Patrzyła teraz prosto na niego. Spostrzegła, że znów opuścił powieki, że ponownie skrył się za maską. - To ciągle w tobie tkwi.

- Koszmary dręczą mnie coraz rzadziej. Straciły też na sile.

- Nie myślę o koszmarach. Powiedz mi wreszcie prawdę. Całą prawdę. Pozwolisz mi ją poznać? Co dla ciebie znaczy Kedlestone? Co znaczą... - Głęboko nabrała tchu. Musiała podjąć to ryzyko, choć mogła zniszczyć samą siebie, i to nieodwołalnie. - Co znaczą... ja?

Maska nadal trwała nieruchomo na jego twarzy.

- Kedleston, milady? Oczywiście, kocham Kedleston. Marzyłem o nim od dzieciństwa. Rzeczywistość zaś przerosła marzenia. A ty? Oczywiście, kocham również ciebie.

Znów ten obojętny, pełen znużenia głos. Nie zraziła się jednak.

- Czy mówisz szczerze?

Gwałtownie zmarszczył brwi.

- Czyżbyś mnie nie wierzyła? Oczywiście, że mówię szczerze.

- Dlaczego więc boisz się prawdy?

Oczy za spuszczonej powiekami były zupełnie pozbawione wyrazu.

- Czemu miałbym się bać, milady? Jakże mógłbym się bać?

Uklękła obok niego i objęła go ramionami.

- Chyba bardzo trudno było tam przeżyć. Zwłaszcza komuś takiemu jak ty.

- Komuś takiemu jak ja? - Uśmiechnął się. - Masz mnie więc za słabeusza?

- Nie - zapewniła - ale byłeś tylko chłopcem. Wychowano cię na dżentelmena. Mimo to przeżyłeś. Wiem dlaczego.

- Doprawdy?

- Musiałeś zyskać siłę i udało się. Stałeś się niewiarygodnie silny. Tak silny, że w końcu zdołałeś uwierzyć w siebie. Nie było tam przecież nikogo, w kim mógłbyś pokładać wiarę. No, może prócz pana Stubbsa.

- Milady, mogłabyś wróżyć z ręki. Robiłabyś to niezwykle przekonująco - rzekł ze śmiechem, nakrywając jej dłoń swoją.

- Ale zdobywając tę siłę, stałeś się zarazem słaby - dodała.

Pochylił się, by ucałować wewnątrz jej dłoni.

- Cóż to za paradoks? - spytał.

- Nie potrafisz teraz ufać nikomu prócz siebie. Nie potrafisz nikogo szczerze kochać i nie pozwalasz nikomu kochać ciebie. Owszem, kochasz brata i, jak sadzę, także siostrę. Kochasz też mnie. Wierzę, że mnie kochasz. Wiesz, co oznacza słowo „miłość”, nawet jeśli wymawiasz je w ironiczny sposób. A robisz tak, bo chcesz chronić się przed cierpieniem, w razie gdyby twe uczucia odrzucono. Nigelu, ja cię kocham. Kocham. Musisz mi pozwolić cię kochać!

Próbował się uśmiechnąć, lecz bez skutku.

- Nigelu - szepnęła. Pochyliła się i zbliżyła wargi do jego ust. Pocałowała go delikatnie. Jego usta nie drgnęły. - Musisz mi na

to pozwolić. Nic ci się już nie stanie. Jestem przy tobie i kocham cię. Nigdy nie przestanę kochać, nawet jeśli jutro odjedziesz i więcej nie wrócisz. Kocham cię.

Próbował wyswobodzić się z jej uścisku, odsunąć jej ręce. Ale objęła go bardzo mocno i jeszcze silniej do niego przywarła. Coś podpowiadało jej, że jeśli teraz go straci, to już na zawsze. A on utraci siebie samego na resztę życia.

Mocowali się przez chwilę, aż w końcu się przewrócili. Upadł na wznak, a ona legła na nim. Już miała unieść głowę, żeby uśmiechnąć się do niego i na nowo podjąć walkę, kiedy usłyszała, że zaczął szlochać. Wiedziała, że ten bolesny szloch, wydo-  
bywający się gdzieś z głębi trzewi to dopiero początek. Wkrótce wstrząsał już całym jego ciałem. Rozumiała, jaka to dla Nigela udręka. Chciał się podnieść i zejść z jej oczu, jeśli mu tylko pozwoli.

Nie pozwoliła. Nadal leżała na nim, z ramionami oplecionymi wokół jego szyi, z głową na jego sercu. Długo. Bez najmniejszego ruchu. W końcu się uspokoił. Nawet wtedy nie podniosła jednak głowy, nie poruszyła się.

- Kasandro - rzekł w końcu - tak się bałem.

- Wiem, kochany. Wreszcie stamtąd wróciłeś.

- Nie potrafię uczynić cię szczęśliwą. Niszczę wszystko, czego dotknę.

- Nie, już nie. Miałeś bardzo ograniczoną władzę nad tym, co się wtedy z tobą działo, a mimo to dokonałeś bardzo wiele. Pan Stubbs już nigdy nie zejdzie na złą drogę, bo zdołałeś przemóc jego początkową nienawiść. Niedługo zostanie oberżystą i ożeni się z Sally, wiesz? On ją naprawdę kocha. Czy to nie zdumiewające? Kiedy służąca powiedziała mi o tym dziś rano, rozpłakałam się z radości. Pomogłeś Robinowi zrozumieć, że Patience nie jest już jego małą kuzynką, tylko ukochaną kobietą. Dzięki twoim staraniom wielu ludziom w Kedleston będzie się żyło znacznie lepiej. Zaskarbiłeś sobie wdzięczność ciotki Matyldy, a nawet ciotki Beatrycze. Mnie nauczyłeś, jak wspaniała może być miłość między mężczyzną a kobietą. Nawet jeśli jutro wyjedziesz i tak będę najszczęśliwszą osobą na świecie. Dałeś mi też dziecko. Jesteś taki dobry! Jesteś dobrym człowiekiem pod maską cynizmu. Nie możesz mnie okpić ani uciec ode mnie. Tyle mi przecież dałeś.

Uniosła głowę i starała się przybrać taką pozycję, by mogła zajrzeć mu w twarz. Oczy miał zaczerwienione i Szeroko otwarte. Ujrzała w nich tak wielką wrażliwość, że niemal się przestraszyła.

Czyżby toczyła z nim walkę, nie dając niczego w zamian? Nie, ofiarowała mu akurat tyle, ile było trzeba, a nawet więcej. Uśmiechnęła się do niego.

- Mój najmilszy - szepnęła.

Jeszcze nieco drżącymi rękami począł gładzić ją łagodnie po głowie i ściągnął jej czepek.

- Moja najmilsza. Moja najmilsza. - Przyciągnął jej twarz do swojej.

Kochali się aż do bólu. Poruszał się w powolnym rytmie, leżąc na niej całym ciałem. Nieustannie patrzyli sobie w oczy. Uśmiechnęła się rozmarzona. On pozostał poważny, lecz z jego oczu zniknął strach, ustępując miejsca miłości. Miłości, spokojowi i bezpieczeństwa, jakie mógł znaleźć tu, w Kedleston.

Obydwoje jęknęli jednocześnie, osiągając szczyt. Przytuliła się do niego, kiedy położył się przy niej.

Leżeli w słońcu.

- Mój najmilszy - powiedziała jeszcze raz. A potem dodała, śmiejąc się z cicha: - Mój lordzie Worthing.

Pocałował ją.

- Nie trzeba. Spalimy list i damy nowe polecenia Croftowi.

- Nie, nie zrobimy tego.

- Czy nigdy nie staniesz się uległą, posłuszną żoną, milady?

- Nigdy. W końcu wciąż jestem hrabiną Worthing.

- I panią Kedleston. - On również cicho się zaśmiał.

- Wszystkie sprawy rozwiążą się same, kiedy przyjdzie na świat dziecko. Obojętne, chłopiec czy dziewczynka. Nie będzie już miało znaczenia, co jest czyje.

- Już teraz nie ma to znaczenia - powiedział. - Co było moje, jest twoje.

- A moje jest też twoim - odparła z uśmiechem. - Co poczniesz z Dunbar Abbey?

Roześmiał się szczerze.

- Będę musiał stoczyć niezgorszą potyczkę z własnym bratem, ale, mam nadzieję, zakończoną większym powodzeniem niż batalia z tobą. Bruce poruszy niebo i ziemię, żeby mi tylko wszystko zwrócić.

- Nie uda mu się, bo w tej walce stanę po twojej stronie.

- Do licha! Biedny Bruce. Współczuję mu z całego serca. Nie ma cienia szansy.

Zaśmiała się.

- Ach - rzekł, znów spoglądając na nią spod w półprzymkniętych powiek - jak miło słyszeć, że znowu się śmiejesz. Kiedy cię po raz pierwszy ujrzałem, wydałaś mi się wcieleniem słonecz-

nego blasku. Jakże pragnąłem, byś mi go trochę udzieliła. A potem sądziłem, że zupełnie cię go pozbawiłem.

Dotknęła jego policzka i powoli pokręciła głową.

- Teraz ty jesteś moim słońcem.

Roześmiał się. Nie tym dawnym, szyderczym śmiechem, lecz takim, w którym słysząc było serdeczność, ufność i szczęście.

- Kocham cię - powiedział.

- Wiem. - Pocałowała go. - Wiem.

Przez chwilę słońce wydało mu się zbyt promienne. Wtuliła twarz w jego kamizelkę, wdychając jego zapach. Niewiele brakowało, by wszystko utracili. Bardzo niewiele. Obydwoje spodziewali się tego. A potem obydwójce wszystko odzyskali. Cały świat. Cały blask słońca.

- Kocham cię - szepnęła.